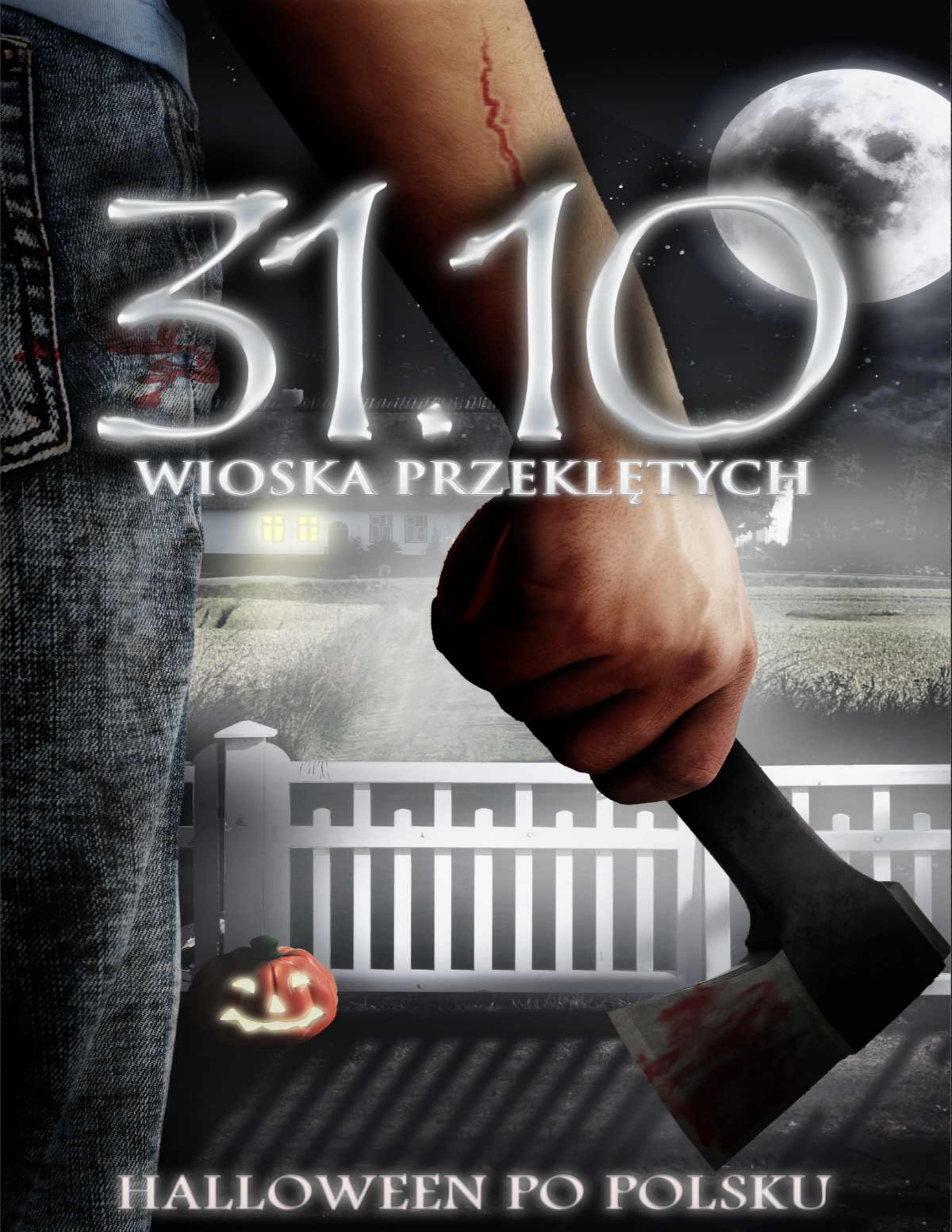




31.10

WIOSKA PRZEKŁĘTYCH

HALLOWEEN PO POLSKU

31.10

WIOSKA PRZEKLĘTYCH

HALLOWEEN POLSKU

Wydawnictwo WRCW

2012

Alfabetyczny spis autorów:

Szymon Adamus

Ewa Bauer

Kamil Czepiel

Grzegorz Gajek

Marek Grzywacz

Chepcher Jones

Anna Klejzerowicz

Antonina Kostrzewa

Daniel Koziarski

Tomasz Krzywik

Krzysztof Maciejewski

Paweł Mateja

Piter Murphy

Kinga Ochendowska

Andrzej Paczkowski

Thomas Percy, Marcin Janiszewski

Marcin Podlewski

Tymoteusz Raffinetti

Kornelia Romanowska

Marek Rosowski

Anna Rybkowska

Arkadiusz Siedlecki

Sylwia Skorstad

Michał Stonawski

Marek Ścieszek

Karolina Wilczyńska

Magdalena Witkiewicz

Redaktor zbioru: Kinga Ochendowska

Ilustracje: Magdalena Mińko

Projekt okładki: Michał Olejarski

Wydawnictwo WRCW

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów.

Wszystkie prawa zastrzeżone

PDF: 978-83-272-3190-1

EPUB: 978-83-272-3192-5

MOBI: 978-83-272-3194-9

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)



Spis treści

[Wstęp](#)

[Z nieba zstąpienie](#)

[Wurdałak](#)

[Zbłąkana dusza](#)

[Wioska przeklętych](#)

[Obok](#)

[Wywiad z Wiedźmą](#)

[Wielkie powroty mistrza Goltentota](#)

[Skrzypce...](#)

[Rachunek nie do spłacenia](#)

[O jedną noc za dużo](#)

[Pielgrzymka](#)

[Transparentni](#)

[Korepetytorka](#)

[Noc](#)

[A co, jeśli zło wygląda jak ja?](#)

[Kwestia smaku](#)

[Długa noc w Strzyżewie](#)

[Łaknienie](#)

[Krypta](#)

[Witaj w domu](#)

[Sekret leśnej sadzawki](#)

[Utylizacja](#)

[Przyjaciel z dzieciństwa](#)

[Rzeźnik](#)

[Noc Trzynastego](#)

[Koty ze Strzyżewa](#)

Wstęp

Drodzy Czytelnicy,

Na wstępie, chciałabym podziękować serdecznie wszystkim za fantastyczne przyjęcie zeszłorocznego wydania „31.10. Halloween po polsku”. Wasza spontaniczna reakcja zaskoczyła zarówno autorów zaangażowanych w tworzenie tej antologii, jak i sam rynek wydawniczy. Od tego czasu wiele się zmieniło. Jak zapewne zauważyliście, nasz zbiór udowodnił, że Internet otwiera nowe możliwości wydawniczo-dystrybucyjne, udostępniając środki, dzięki którym możemy szybciej i skuteczniej docierać do czytelników. W ciągu ostatniego roku, na rynku pojawiło się wiele wspaniałych e-antologii opowiadań i cieszymy się niezmiernie, że mieliśmy swój udział w tej przemianie, która dokonała się nie tylko w umysłach czytelników, ale również w samym podejściu autorów. Książka drugiej kategorii, zwana e-bookiem, stała się równoprawną publikacją i zyskuje sobie coraz szersze rzesze zwolenników. Stało się tak głównie ze względu na niższe ceny, szybkość dystrybucji i stale zwiększającą się dostępność czytników elektronicznych.

W zeszłym roku, jeden z głównych patronów medialnych – serwis Virtualo.pl, specjalnie dla nas wprowadził do swojej oferty długo oczekiwany format .mobi, z którego korzystają przede wszystkim użytkownicy czytników Amazon Kindle. To właśnie nasza antologia, „31.10. Halloween po polsku” jako pierwsza została udostępniona w tym formacie. Dziś możemy cieszyć się znacznie szerszym zakresem usług – mamy możliwość zakupu książki w „multiformacie”, automatycznego wysłania e-booka na czytnik czy też otrzymania kodu, pozwalającego na pobranie zakupionej, papierowej książki w formacie elektronicznym. Spore udogodnienia otrzymały również wydawnictwa i serwisy promujące czytelnictwo elektroniczne, które dzięki wspomnianym już kodom mogą przekazywać legalne kopie książek w konkursach, jako materiał recenzencki lub reklamowy.

Wracając jednak do naszej antologii. „31.10. Halloween po polsku” jest projektem mającym na celu z jednej strony aktywizację środowiska autorów, z drugiej strony umożliwienie nawiązania bezpośredniego kontaktu z naszymi czytelnikami. Nie jest działaniem komercyjnym, lecz formą zabawy, mającej przynieść radość i rozrywkę

wszystkim uczestniczącym w niej stronom. Dlatego też, w tym roku zdecydowaliśmy się na przyjęcie do grona autorów nie tylko już znanych pisarzy, lecz również debiutantów, fascynatów słowa lub po prostu naszych zeszłorocznych czytelników.

Przed wszystkimi uczestnikami Halloweenowej zabawy postawiliśmy zadanie: mieli napisać opowiadanie, którego akcja rozgrywa się w Strzyżewie, niewielkiej wsi na południu Polski. Wsi znanej szerzej pod nazwą „Wioska przeklętych”, w której magia, horror i zbrodnia znajdują się na porządku dziennym. Autorzy mieli ograniczoną wiedzę na temat tego, o czym piszą pozostali uczestnicy – mogli co najwyżej wchodzić w interakcje z postaciami, które przypadły w udziale innym. W ten sposób powstała książka, którą właśnie czytacie. I już za chwilę będziecie mogli sprawdzić, jak nasi autorzy poradzili sobie z tym niełatwym, ale zarazem inspirującym zadaniem.

Podobnie jak w zeszłym roku, chciałabym serdecznie podziękować zarówno patronom medialnym, jak i wszystkim, którzy przyczyniają się do sukcesu naszej antologii. To wspaniałe doświadczenie – móc pracować z grupą zaangażowanych, kreatywnych umysłów. Bo książkę tworzą nie tylko sami autorzy, ale również ci, którzy wykonują zupełnie inne, równie ważne zadania. Jest to między innymi Chris Babental, który odpowiedzialny jest za profesjonalny skład naszej publikacji. Kolejne podziękowania należą się Michałowi Olejarskiemu, który zaprojektował okładkę tegorocznej edycji. Nie zapominajmy również o Magdalenie Mińko, której ilustracje zabierają Was do magicznego świata wsi Strzyżewo.

Wszystkim, którzy przyłożyli rękę do postania naszej antologii, należą się serdeczne podziękowania. To zaszczyt i przywilej móc z Wami pracować.

Bardzo się cieszę, że zeszłoroczne konkursy i zabawy, które dla Was przygotowaliśmy, spotkały się z tak szerokim zainteresowaniem. W tym roku postanowiliśmy kontynuować tę tradycję. Na naszej stronie internetowej oraz w serwisach społecznościowych znajdziecie informacje o tym, jak przyłączyć się do Halloweenowej zabawy. Zdradzę Wam tylko, że w ramach nagród, jakie czekają na Was w tym roku, znajdują się między innymi papierowe egzemplarze naszej zeszłorocznej antologii! Zapraszamy zatem na: <http://www.facebook.com/halloween.po.polsku>, gdzie możecie również spotkać się i porozmawiać z autorami opowiadań. Czekamy nie tylko na Wasze gorące komentarze, ale i na Wasze okolicznościowe zdjęcia, muzykę i przepisy kulinarne. Zabawę zakończymy o północy, 31 października, zapalając na naszej ścianie symboliczne świece, kończąc tym

samym Halloween i upamiętniając nadejście typowo polskiego Święta Zmarłych.

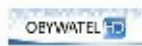
Nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko pozwolić Wam przewrócić stronę i wybrać się w podróż do Strzyżewa, gdzie czekają na Was nasi autorzy i wykreowany przez nich świat. Niech prowadzą Was ich błędne ścieżki! Tylko uważajcie, by nie stracić gdzieś po drodze głowy.

Happy Halloween!

Redaktor wydania,
Kinga Ochendowska

PATRONAT

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow



Z nieba zstąpienie

Kinga Ochendowska

Źródło mocy znajdowało się dokładnie pod domem sołtysa. Oczywiście, nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ najokazalsze domostwo we wsi zbudowane zostało na ruinach starego zamku, zaś stary zamek wznosił się w miejscu, gdzie znajdowały się piekielne wrota. Historię zamku i otaczającej go osady znało każde dziecko w Strzyżewie. Nawet, gdyby młode matki nie szeptały tej opowieści do ucha już niemowlętom w kołysce, niezwykłość wsi i tak byłaby nie do ukrycia. W końcu, trudno żyć spokojnie na wrotach piekieł, zwłaszcza, gdy raz w roku otwierają się one z hukiem i nad osadą szaleją tajfuny rozsierzdzonych demonów.

Tak, życie w Strzyżewie nigdy nie było proste.

Dawno, dawno temu, w czasach gdy rycerze i smoki chodziły jeszcze po ziemi, pewien dobrze urodzony mąż podróżował wąskimi, leśnymi duktami, wraz ze swoją młodą małżonką i wiernym sługą Janem. Była późna jesień, chłodne wiatry zapowiadały rychłe nadejście zimy. Drzewa straciły kolorowe wieńce liści, które teraz wirowały i tańczyły w rytm uderzeń końskich kopyt. W drodze byli już od dawna. Świetne kiedyś ubrania poszarzały i zbladły, halki młodej szlachcianki pokryły się grubą warstwą błota. Zmęczone konie z trudem wyciągały kopyta, rozglądając się tęsknie za połacią soczystej, zielonej trawy. Natura była jednak nieubłagana i jedynym, na co liczyć mogły konie, były pożółkłe kępki, wystające tu i ówdzie spod leśnego poszycia. Zarówno ludziom jak i zwierzętom groził głód i doskwierało zimno. Zdawali sobie sprawę, że schronienie muszą znaleźć szybko, w przeciwnym bowiem razie, któryś z poranków zastanie ich martwych, pokrytych pierwszym szronem nadchodzącej zimy. Toteż ucieszyli się niezmiernie, gdy pomiędzy drzewami zamajaczyły im kamienne mury okazałego zamku. Szlachcic miał nadzieję, że zostawiwszy młodą żonę pod opieką mieszkańców ruszy szybko w drogę, dotrze do stolicy i pokłoni się przed królem, który w uznaniu jego bitewnych zasług, obiecał mu zamek

i połąć ziemi. Jeśli więc obróci wystarczająco szybko, zanim przyjdą pierwsze śniegi, niebawem zamieszka z żoną w nowym domostwie. Popędzili zatem konie i w niedługim czasie stanęli przed opuszczonym zwodzonym mostem. Niewiele myśląc, z nadzieją na odpoczynek, trójka wędrowców wjechała do zamku.

Szare mury zdawały się wznosić do samego nieba, zaś odgłos kopyt, uderzających o kamienny dziedziniec, roznosił się głuchym echem. Nikt nie wyszedł im na spotkanie, więc szlachcic posłał służącego Jana, by ten odszukał mieszkańców i dał im znać o przyjeździe niespodziewanych gości. Jednak mimo tego, że wierny sługa przemierzył cały zamek wzdłuż i wszerz, nie znalazł żywej duszy. Jednak sam zamek nie wyglądał na opuszczony. Na ciężkich kotarach i złożonych meblach nie widać było ani śladu kurzu, kuchnia okazała się być w najlepszym porządku, z całkiem nieźle zaopatrzoną spiżarnią, zaś w kominkach czekały szczapy drewna, gotowe do podpalenia i ogrzania zimnych, kamiennych komnat.

Chcąc nie chcąc, postanowili zostać w zamku i poczekać na powrót jego właścicieli. Służący Jan przygotował im obfity posiłek z zapasów znalezionych w spiżarni, zaśłał wielkie łóżce w jednej z sypialni. Po raz pierwszy od wielu tygodni, zasnęli spokojnym snem.

Dni mijały powoli, a właścicieli zamku ani widu, ani słyhu. Szlachcic wysłał więc sługę, by rozejrzał się po okolicy, odnalazł ludzi i być może dowiedział się czegoś o tajemniczych mieszkańcach fortecy. Jan wyruszył bladym świtem i powróciwszy wieczorem miał do przekazania swemu panu interesujące nowiny. Otóż, całkiem niedaleko, pół godziny drogi od zamku, znajdowała się niewielka, przytulona do zbocza góry wieś. Jej mieszkańcy przyjęli Jana przyjaźnie, jednak gdy dowiedzieli się skąd przybywa, zaczęli rzucać niespokojne spojrzenia w stronę, gdzie znajdował się zamek. Na początku nie chcieli rozmawiać o ukrytej w lesie fortecy, jednak gdy Jan zaczął nalegać, wyjaśnili, że zamek jest bardzo stary, znajduje się w lesie od dawna i najbardziej wiekowi wieśniacy nie pamiętają, kiedy został zbudowany. Ostatni jego mieszkańcy opuścili go w środku nocy, załadowawszy na furmanki i bryczki cały ruchomy majątek i oddalili się w nieznanym kierunku. Nikt ich więcej nie widział. Jako, że wieś należała do posiadłości, wieśniacy nie przejmowali się tym zbytnio, ponieważ pod nieobecność właścicieli zamku nie musieli oddawać daniny, dzięki czemu ich życie, zwłaszcza w trudnych, zimowych miesiącach, stało się łatwiejsze. Słudze wydawało się, że wieśniacy nie mówią mu wszystkiego na temat zamku, jednak żaden z nich nie powiedział nic więcej. Właściciele zniknęli i nikt o nich więcej nie słyszał.

Z takimi właśnie nowinami Jan powrócił do swego pana.

Szlachcic zamyślił się nad opowieścią sługi. Skoro mieszkańcy zamku wyjechali, pozostawiając wspaniałą posiadłość samą sobie, a król obiecał mu dwór, może mógłby poprosić o ten właśnie zamek? Z opowieści Jana wynikało, że pola otaczające wieś wyglądały na żyzne, obory pełne były zwierząt a stodoły zboża. W otaczających zamek lasach z pewnością znajdzie się wystarczająco dzikiej zwierzyny, by utrzymać dwór, zaś same zabudowania były imponujące i dobrze utrzymane. Jak pomyślał, tak zrobił. Kilka dni później ucałował małżonkę, dosiadł wypoczętego konia i pognał jak wiatr w kierunku stolicy, by prosić króla o ofiarowanie mu zamku. Miał nadzieję, że powróci szybko, zanim nadejdzie zima i zdąży jeszcze poczynić odpowiednie przygotowania.

Stało się jednak inaczej. Do stolicy dotarł szybko a na miejscu okazało się, że król właśnie rusza na wojnę i potrzebuje każdego miecza. Zanim zdążył wyłuszczyć swoją sprawę, już został przydzielony do oddziału zbrojnych, który wyruszył na północ – oddalając się zarówno od zamku, jak i oczekującej jego powrotu młodej małżonki.

Minęły dwa lata i skończyła się wojna. W uznaniu kolejnych zasług szlachcica, król bez wahania przyznał mu zamek, o który prosił, zwłaszcza że nikt nie mógł tej posiadłości odnaleźć w żadnych rejestrach. Szczęśliwy szlachcic pognał co koń wyskoczy na południe, gdzie jak miał nadzieję, oczekiwała go wytęskniona małżonka oraz nowe, spokojne i dostatnie życie.

Była późna jesień, deszcz uderzał zimnymi strugami w korony drzew. Ziemia rozmokła i kopyta konia zanurzały się głęboko w błotnistej mazi. Rycerz poganiał konia bez ustanku. W końcu zmęczone zwierzę poślizgnęło się na wystającym, oblepionym błotem śliskim korzeniu i padając na ziemię przygniotło szlachcica swoim ciężarem tak, że ten stracił przytomność.

Ocknął się pod wpływem strug zimnego deszczu, które spływały mu po twarzy. Koń nadal leżał na boku, raz na jakiś czas próbując się podnieść i natychmiast opadając z powrotem na ziemię. Szlachcic przysunął się do zwierzęcia, ostrożnie oglądając jego nogi i kopyta. Niestety, jak się okazało, noga konia był złamana. Oznaczało to, że żaden z nich, ani koń, ani rycerz nie dotrą do zamku. Co gorsze, wjechali już w niezamieszkany, leśny obszar, na którym trudno było spodziewać się żywej duszy, a co za tym idzie – kogoś, kto mógłby udzielić szlachcicowi pomocy. Rycerz ciężko zwalił się na plecy, pozwalając by strugi marznącego deszczu spływały mu po twarzy. Nagle, do jego uszu dobiegł niewyraźny,

odległy tętent końskich kopyt i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Słaby i zziębnięty poczołgał się w kierunku ścieżki, wzywając pomocy ile tchu w piersiach. Tętent kopyt przybliżał się i w niedługim czasie usłyszał pokrzykiwania woźnicy. Z ciemności, na leśnym dukcie wyłonił się czarny powóz, zaprzęgnięty w cztery czarne konie. Wysoko na koźle siedział woźnica, który ujrawszy szlachcica gwałtownie ściągnął lejce i konie zahamowały, zapadając się kopytami w gęstym błocie.

Na leśnej ścieżce zapanowała cisza, przerywana tylko parsaniem koni. Drzwi powozu otworzyły się i wysiadł z niego wysoki, przystojny i dobrze ubrany mężczyzna, wyglądający na dworzanina lub dobrze prosperującego szlachcica. Spod karmazynowej, aksamitnej narzutki wystawały nieskazitelnie białe koronki kołnierza i mankietów. W ręce trzymał jasną, haftowaną chustę, kontrastującą z kaskadą ciemnych, gęstych loków, które swobodną falą opadały mu na ramiona. Postąpił kilka kroków i zatrzymał się tuż przed wciąż leżącym na ziemi rycerzem, rzucając przy tym spojrzenie na spoczywającego w niedalekiej odległości, niespokojnego, wyraźnie cierpiącego konia.

Rycerz wymamrotał kilka słów, próbując unieść głowę, by spojrzeć na nieznanego, zabrakło mu jednak sił i opadł z powrotem na ziemię. Przed oczami wirowały mu ciemne plamy i czuł, jak opuszczają go siły. Z ciemności dobiegł go głos nieznanego, dziwnie dudniący i odległy. Nieznajomy ów zaoferował rycerzowi pomoc, stawiając jednak przy tym warunek – szlachcic miał oddać mu pierwszą rzecz, o której dowie się w domu, a o której nie wie i której się nie spodziewał zastać. Stojąc w obliczu śmierci, szlachcic przyjął propozycję nieznanego, mimo że od razu rozpoznał prawo niespodzianki. W owych czasach, kiedy jeszcze mistyczne stworzenia wędrowały po ziemi, stosowanie prawa niespodzianki było dość powszechne. W większości przypadków chodziło o dzieci, o których ojcowie nie zdążyli się dowiedzieć, wyjeżdżając na wojny i długie wyprawy. W ten właśnie sposób czarodzieje i wiedźmy zyskiwały nowych uczniów, którym przekazywały tajemną wiedzę. Zadrżał rycerz na samą myśl o oddaniu swego dziecka nieznanemu, jednak strach i zmęczenie wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. W końcu – tłumaczył sobie – nawet jeśli będzie zmuszony oddać dziecko na służbę mistrzowi magii, to zawsze mogą z żoną postarać się o kolejne. Jeśli zaś przyjdzie mu umrzeć gdzieś przy drodze, tak niedaleko domu, jego żona na zawsze pozostanie sama, bez żywiciela i obrońcy.

Jak pomyślał, tak zrobił i obiecał nieznanemu to, o czym nie wie, czego się nie spodziewa i o czym dowie się zaraz po przyjeździe do domu. Nieznajomy zbliżył się do

szlachcica i przyłożył białą chustę do jego rozpalonego czoła. Ten zaś poczuł, jak gorączka znika i myśli stają się jaśniejsze. Wspierany ramieniem swego wybawiciela pokuśtykał w stronę powozu, z najwyższym trudem wspiał się po trzech niestabilnych schodkach i opadł na siedzenia. Nieznajomy przytknął mu do ust pucharek z gorzkawym w smaku napojem, który jednak natychmiast dodał mu sił i niezwykle orzeźwił zmęczone ciało. Kilka chwil wystarczyło, by poczuł się na tyle silny, że wychylił głowę przez okienko powozu, by zobaczyć, co robi tajemniczy przybysz. Ten zaś podszedł do konia, nadal leżącego na boku i rżącego niespokojnie. Następnie nachylił się nad nim i nucąc cichą pieśń położył chustę na zranionej nodze zwierzęcia. Zaklinał przez chwilę z półprzymkniętymi oczami, potem ujął konia za uzdę, a ten przyklęknął podnosząc się i w końcu stanął pewnie na nogach. Nieznajomy przywiązał konia z tyłu powozu, sam zaś wsiadł do środka i z kufra wyciągnął ciepłe ubranie i pelerynę, które polecił szlachcicowi założyć. Potem pstryknął palcami na woźnicę, a ten ściągnął lejce i cztery czarne konie pognały przez las, unosząc ze sobą powóz, nieznajomego i szlachcica.

Nie ujechali daleko, gdy pomiędzy drzewami zamajaczyły szare mury zamku. Powóz zatrzymał się w pewnym oddaleniu, nieznajomy nakazał szlachcicowi dosiąść konia i jechać dalej samemu, a nade wszystko – pamiętać o danej obietnicy. Szlachcic obiecał ponownie, podziękował za pomoc i co koń wyskoczy, pognął do zamku zastanawiając się, czy dziecko to chłopiec, czy dziewczynka. Z dziewczynką byłoby łatwiej, bo wydanie panny za mąż wiąże się z koniecznością wyłożenia dużego posagu, zaś chłopiec może wnieść posag żony do rodzinnego majątku. Poza tym, chłopiec byłby prawowitym dziedzicem świeżo nadanych mu przez króla włości. Tak czy owak, będzie musiał stanąć przed trudnym zadaniem przekazania wiadomości żonie. Jednak, czego by nie myśleć o prawie niespodzianki, zachowanie życia było dużo bardziej istotne niż coś, do czego jeszcze nawet przywiązać się nie zdążył.

Dojeżdżając do zwodzonego mostu zauważył ze zdumieniem, że w okolicy coś się zmieniło. Otóż, niespodziewanie, jego oczom ukazała się niewielka, dobrze utrzymana osada, przyklejona prawie do murów zamku. Okazało się bowiem, że żona rycerza była kobietą wygodną i przedsiębiorczą. Uznała ona, że półgodzinna wycieczka do wsi to za dużo. Potrzebowała też służby, bowiem mimo tego, że wierny Jan był bardzo zaradnym człowiekiem, nie mógł występować w roli praczki, pokojówki i kucharki. Udała się do wsi i nakazała młodym mężczyznom wybudować pierwsze, skromne domy na podzamczu.

Z czasem pojawiły się kolejne, bowiem rodziny nie chciały być rozdzielane. Nie można było powiedzieć, by do nowych domów przenosili się chętnie, bowiem zamek cieszył się we wsi złą sławą. Opowiadano o nim straszne i dziwne historie. Sami wieśniacy skarżyli się, że w nocy coś nie daje im spać. Zdawało im się, że coś ciężkiego spoczywa na ich piersiach sprawiając, że trudno im był złapać oddech. Starsi mieszkańcy orzekli, że ani chybi musi to być jakaś strzyga, która nocami wędruje po osadzie. Mądra baba, której nikt nie ważył się nazwać czarownicą, chociaż nią właśnie była, dała im ziół zebranych przy pełni księżyca i kazała wrzucać ich po trochu do płonącego w chałupie ognia, by strzygę odegnać. W końcu nocne duszenia się skończyły i mieszkańcy mogli spać spokojnie. Z czasem stara wieś całkiem opustoszała, pozostały po niej tylko samotne chałupy. Wszyscy mieszkańcy przenieśli się w okolice zamku. Na pamiątkę owej pierwszej strzygi wioska ochrzczona została Strzygowem.

O tym właśnie szlachcic dowiedział się, gdy tylko dojechał do bramy, a żona wybiegła mu na spotkanie. Rycerz małżonkę utulił w ramionach, następnie zaś zaczął rozglądać się za dzieckiem-niespodzianką. Gdy zapytał o nie żonę, ta ze zdziwieniem odpowiedziała, że żaden potomek jeszcze się nie narodził, jednak jeśli rycerzowi bardzo zależy, mogą rozpocząć starania już najbliższej nocy. Z dumą za to opowiedziała mężowi historię nowo powstałej osady, oczekując że będzie zachwycony jej zaradnością. I wtedy właśnie szlachcic zrozumiał, jak przewrotne bywa prawo niespodzianki. Przecież nieznajomy wyraźnie powiedział, że ma to być coś, o czym nie wie i czego się nie spodziewa. A ponieważ spodziewał się dziecka, od razu powinien zrozumieć, że nie tego dotyczył układ z tajemniczym wybawicielem. Tak oto szlachcic pojął, że oto musi oddać we władanie tajemnym mocom nowo powstałą osadę, o którą z pewnością nieznajomy upomni się niebawem.

Po prawdzie, rycerz odetchnął z ulgą. Jeśli wybawiciel chce rządzić tą głupią osadą, niech mu będzie! Uznał, że okupił swoje życie niebywale niskim kosztem. Chce Strzygowo? Proszę bardzo, wieś należy do niego!

Ostatni dzień października powitał wszystkich deszczem. Od samego rana na niebie kłębiły się gniewne, burzowe chmury. Wicher szarpał konarami drzew, które trzeszcząc uginały się przed jego mocą. Mieszkańcy uszczelniali szpary w oknach i drzwiach suchym mchem, by nie stracić resztek ciepła. Jeszcze przed południem, rozległo się pukanie do bram zamku. Wierny Jan wyszedł na dziedziniec, zobaczyć kogóż to niesie w tak straszną pogodę.

Ze zdziwieniem zauważył drobną, blondwłosą dziewczynę, odzianą w stare łąchmany. Dziewczyna wyjaśniła, że niedawno straciła rodziców i wędrowała w poszukiwaniu służby, a w tak wspaniałym zamku z pewnością znajdzie się jakaś praca. Jan, wzruszony losem dziewczyny, zaprowadził ją do kuchni. Tam polecił kucharce, by nakarmiła ją i pozwoliła się ogrzać, zaś następnie znalazła jakieś drobne prace, na przykład rozpalanie ognia w kominkach, czy wynoszenie ziarna ptactwu. Dziewczyna podziękowała Janowi i z wdzięcznością zajęła miejsce przy piecu.

Październikowe dni bywają krótkie, toteż szybko nadszedł zmierzch. Zerwała się olbrzymia ulewa, błyskawice raz po raz rozdzierały niebo. Mieszkańcy wsi, przerażeni gwałtownością burzy, wystawili przed domy zapalone świece, które dla ochrony przed wiatrem umieścili w wydrążonych rzepach. Miały one odegnać demony, upiory i zagubione dusze. Z daleka zdawać się mogło, że cała osada usiana jest drobnymi płomykami, które tańczyły i migotały na wietrze.

Szlachcic i jego żona siedzieli przy kominku w komnacie rycerskiej, gdzie na ścianach wisiały trofea w postaci wyprawionych skór i głów upolowanych przez szlachcica jeleni oraz dzików. W kącie, na drewnianym krzyżu wisiała zbroja z hełmem, mieczem i tarczą ozdobioną nieznanym, rodowym herbem. Pod ścianą przemykała jasnowłosa, drobna dziewczyna, z zamiarem dołożenia kilku szczap do trzaskającego w kominku ognia. Właśnie przyklękała, by wymieść nadmiar popiołu, gdy rozległo się donośne puknie do bram zamku, które głośnym echem rozniosło się po pustych korytarzach. Szlachcic i jego żona popatrzyli po sobie zastanawiając się, któż to podróżuje w taką pogodę. Wierny Jan pobiegł otworzyć bramę i po niedługiej chwili powrócił w towarzystwie gościa. Szlachcicowi zimny dreszcz przebiegł po plecach, od razu bowiem rozpoznał tajemniczego nieznajomego, który pomógł mu w drodze powrotnej do domu. Niczego nieświadoma żona uśmiechnęła się niepewnie, zapraszając gościa by usiadł i wysyłając Jana by przyniósł więcej wina i dodatkowy puchar.

Nieznajomy rozsiadł się wygodnie w pobliżu kominka. Szlachcianka zauważyła dziwne zachowanie męża i rzuciła mężowi pytające spojrzenie. Ten zaś bez słowa przypatrywał się swojemu wybawcy, którego karmazynowy surdut wydawał się jednym z płomieniami tańczącymi w palenisku. W końcu szlachcic zapytał nieznajomego z czym przybywa, ten zaś odrzekł, że przychodzi po to, co mu się należy, to czego szlachcic się nie spodziewał, a o czym dowiedział się po powrocie do domu. Zdumiona szlachcianka spojrzała na męża, zaś on opowiedział jej o przygodzie, która przydarzyła mu się w drodze powrotnej i przyznał,

że prawem niespodzianki, w zamian za uratowanie mu życia, wieś Strzygowo muszą oddać tajemniczemu wybawcy. Żonie nie w smak było oddawać swoją wieś, rozumiała jednak, że nie mają wyjścia. W owych czasach, wszyscy okazywali respekt dla magicznych zasad. Prawo niespodzianki zaś było najważniejszą z nich.

Nieznajomy strzepnął śnieżnobiałą chusteczkę trzymaną w dłoni i na ziemię poleciały z komina drobne iskierki, które opadły na kamienną posadzkę, by po chwili zgasnąć, pozostawiając po sobie drobne płatki popiołu. Na zewnątrz przetoczył się grzmot. Mieszkańcy wsi zadrżeli ze strachu w swoich chatach przeczuwając, że oto zdecydowały się ich losy.

Nieznajomy powstał, klasnął w dłonie i na ten znak otwarły się drzwi komnaty. Puste korytarze zaroily się od dziwnych stworów – strzyg, duchów i demonów. Przestraszona szlachcianka uniosła się na krześle i zemdląła, zaś szlachcic poderwał się na równe nogi. W kandelabrach, jasnym płomieniem rozjarzyły się tysiące woskowych świec a mieszkańcom wsi zdało się, że nad zamkiem rozbłysła ognista luna. Na głowie nieznajomego zapłonęła ciemnym światłem korona, na której przedzie widniał herb, taki sam, jak na ozdobnej zbroi stojącej w rogu komnaty. Niezwykła gra światel jeszcze się jednak nie skończyła. W rogu komnaty pojawiła się łagodna, jasna luna. Gdy szlachcic odwrócił się w tamtą stronę dostrzegł po raz pierwszy drobną dziewczynę w łachmanach, stojącą spokojnie obok sterty suchych szczap drewna, spoczywających na podłodze przy palenisku. Na ten widok, w oczach nieznajomego pojawił się wyraz głębokiego niezadowolenia. Dziewczyna, nie zważając na wyraźną niechęć czarnego księcia, wykonała drobny gest dłonią i drzwi komnaty zatrzęsnęły się z hukiem, pozostawiając po drugiej stronie wszystkie kłębiące się tam demony. Następnie postąpiła kilka kroków w kierunku szlachcica i łagodnym głosem przemówiła do wszystkich obecnych w komnacie. Oznajmiła, że siły ciemności próbowały nadużyć prawa niespodzianki, które powinno być stosowane tylko w wyjątkowych przypadkach. Jednak umowa została zawarta i nic jej zmienić nie zdoła. Siły dobra mogą jedynie złagodzić skutki owej umowy tak, by dusze mieszkańców zamku i wioski mogły kiedyś zaznać spokoju. Otóż, każdego roku, ostatniego dnia października, gdy zasłona pomiędzy światem żywych i umarłych jest najcieńsza, odbywać się będzie bitwa, do której piekielne i niebieskie moce przedstawiają swoich wysłanników. Bitwa ta zwana będzie „Z nieba zstąpieniem”, ponieważ tylko w tym dniu jasne moce będą mogły postawić stopę na wrotach piekieł. W zależności od wyniku bitwy, przez kolejny rok,

zamek i wieś pozostawać będą we władaniu zwycięzcy, a mieszkańcy czynić będą tak, jak nakaże im obecnie panująca siła. Żaden z mieszkańców nie może, do końca swojego życia, ani po jego zakończeniu, opuścić wsi. Pozostać w niej muszą również wszyscy przyjezdni, którzy przybędą do niej z własnej woli i pozostaną przez trzy noce z rzędu. Szlachcic dowiedział się, że zamek, w którym tak nieopatrznie się zatrzymał, od wieków należał do czarnego księcia, który zbudował go na samych wrotach piekieł. Ponieważ jednak wieś została stworzona przez człowieczą żonę, nie podlegała pod władzę sił zła. Dlatego właśnie piekielne siły sprawiły, że szlachcic w drodze powrotnej uległ wypadkowi i zmusiły go podstępem, by wypełnił prawo niespodzianki. Rycerz zrozumiał, że cena, która zrazu wydała mu się niska i bez większego znaczenia, ostatecznie okazała się najwyższą z możliwych. Ani on, ani jego dzieci, za życia i po śmierci, nie będą mogły opuścić Strzygowa a wieś stanie się polem wiecznej walki pomiędzy siłami dobra i zła. Jeszcze przez wiele lat przeklinał dzień, w którym on, jego młoda żona i wierny służący Jan dostrzegli pomiędzy drzewami szare, dostojne mury piekielnego zamczyska.

Ulewa ustała nad ranem. Zniknęły demony, strzygi i upiory. Nigdzie nie można było znaleźć ani tajemniczego czarnego księcia, ani jasnowłosej służącej. Szlachcic wsiadł na konia i popędził przed siebie by sprawdzić, czy to wszystko mu się aby nie przyśniło. Jednak okazało się, że pomimo iż zdawało mu się, że oddala się od zamku, za każdym razem błędne ścieżki sprowadzały go z powrotem w okolice szarych murów. Wiele razy próbował i nie mógł opuścić Strzygowa. Ani on, ani żaden z mieszkańców wioski. Pozostawało czekać i wierzyć, że kiedy granica pomiędzy światami będzie najcieńsza i nadejdzie czas wielkiej bitwy, siły dobra zwyciężą i uwolnią potępione dusze.

Bliskość wrót piekieł i źródła mocy, znajdującego się pod domem sołtysa, emanowała na całą wieś. Zatrutowała wodę, zmieniała rośliny i zwierzęta. W końcu, nie pozostał ani jeden nienaznaczony przez zło kamień, ani jedno drzewo, ani nawet najmniejsza drobina piasku. Wioska pulsowała ukrytą mocą, wabiącą do siebie niczego nieświadomych podróżników, wyciągając swoje zatrute, lepkie macki. Drzewa przemieszczały się z miejsca na miejsce, ścieżki znikwały nagle pozostawiając wędrowca w dzikiej głuszy, gdzie czyhały na niego zmiennokształtne zwierzęta. Wieś trwała, zawieszona w czasie i przestrzeni. Mijały wieki i wszystko wokół zmieniało się powoli. Wygodne, asfaltowe drogi zastąpiły leśne dukty. Pojawiły się zdobyczne cywilizacji takie jak prąd, telefony, komputery i codzienna prasa.

Wszystko to przenikało również do Strzygowa, którego nazwa została w końcu zapisana na mapach administracyjnych jako Strzyżew, zaś następnie Strzyżewo. Z prostych chałup wyrosły gospodarskie budynki. Powstał i sklep, i szkoła, a nawet murowany kościół. Z pozoru – zwykła wieś, jak wiele innych w tym regionie kraju. Pod powierzchnią zaś, do szpiku przeżarta przez królujące tu od wieków zło. Wiedzieli o tym, a może przeczuwali, mieszkańcy okolicznych osad i zamiast używać nazwy Strzyżewo, szeptali o niej „Wioska Przeklętych”. Nikt o zdrowych zmysłach nie wybierał się nocą w jej pobliże, a jeśli zbłąkany wędrowiec zmuszony był do przemknięcia się obok wieczorową porą, niejednokrotnie uczynił znak krzyża lub wysunął mały i wskazujący palec prawej dłoni na kształt rogów, by odegnać czyhające na niewinne dusze zło. Odnaleźć Strzyżewo było trudno i łatwo. Ci którzy go rozmyślnie szukali, błądzili w okolicznych lasach i jedyny pożytek miały z nich wilki, całymi watahami krążące po okolicy. Jeśli starali się je ominąć, błędne ścieżki prowadziły ich wprost na polanę, na której stoją, przysłonięte mglistymi oparami, stare, podupadłe budynki.

Straszne krążyły opowieści o zamieszkującej tam czarownicy. Prawdziwej wiedźmie z piekła rodem. Pisali nawet o niej w gazetach. Na językach znalazł się również sołtys i cała jego rodzina, łącznie ze śliczną jak obrazek, malutką córeczką. Kościół i znajdująca się nieopodal krypta, nawet w środku dnia sprawiała, że przechodniom dreszcze chodziły po plecach. A pisarz? Ten który pojawił się nagle w Strzyżewie i nigdy go już nie opuścił? Pisarz, to zupełnie inna historia. Nie mniej straszna niż ta, o wioskowej nauczycielce.

Co tu kryć – zło toczyło wszystkich i wszystko w Strzyżewie. I co więcej, mieszkańcy tracili już nadzieję na ratunek. Nauczyli się żyć w sąsiedztwie zła. W zasadzie, gdy się przyzwyczaić, wcale nie było najgorzej. Raz w roku zbierali się więc na placu przed domem sołtysa, by z umiarkowanym zainteresowaniem obserwować wielką bitwę, której wynik zdawał się być z góry przesądzony. Zło w Strzyżewie miało głębokie korzenie.

A pomiędzy jednym zstąpieniem a drugim, przemieszczając się w czasie i przestrzeni, wioska przeklętych zdobywała coraz to nowe dusze. Od czasu do czasu, w samym środku nocy, uchylały się wrota piekieł i na świat wpełzały straszliwe kreatury, by dręczyć, kusić i sprowadzać na ciemną stronę każdego, kto znalazł się w ich pobliżu.

Witajcie w Strzyżewie, wiosce przeklętych.

Czy odważycie się przenocować tu trzy noce z rzędu?

Wurdałak

Grzegorz Gajek

Cracovia, 27 Novembris mensis, A.D. 1517

Marcus Monescius ad suum patrem Iulium

Czcigodny Ojcze,

Wielce jestem wdzięczny za księgę, którą przesłaliście, ale bardziej jeszcze za opowieść zawartą w dołączonym do niej liście. Była mi ona główną ekscytacją ku temu, abym Wam opisał pełny przebieg wypadków towarzyszących memu zranieniu. Wybaczcie tylko, jeśli moim słowom zbraknie cyceroniańskiej gracji Waszego pióra. Bliższą mi zawsze była cezariańska zwięzłość, a i opowieść moja tak jest dziwną i niepokojącą, że jedynie suche przedstawienie faktów może mnie utrzymać w przekonaniu, że nie uległem złudzeniu.

Jak wiecie, pan mój, Ludwik, z Bożej Łaski król Węgier i Czech, nieledwie jeszcze pacholęciem jest odumartym przez ojca zeszłej zimy. Do opieki nad nim zobowiązało się dwóch wielkich mężów, jako to Maksymilian, cesarz rzymski, oraz Zygmunt, król Polski, a Ludwika stryj. Celem umocnienia rodzinnej zażyłości pan mój z początkiem lata tego roku został zaproszony na dwór Zygmunta. Muszę przy tym pochwalić się, że i ja w owym zaproszeniu byłem imiennie wymieniony, gdyż król wielką atencją darzy Italię. Chodzą pogłoski, że poszukuje żony spośród naszych wielmożów, może nawet z Medicich.

Pod koniec czerwca stanęliśmy na zamku w Krakowie. Król podjął nas godnie, nie szczędząc pieniądza na ucztę, zonglerów i śpiewaków. Owe krotochwile szybko mi spowszedniały, jednak tyle z nich wyniknęło dobrego, że wszedłem w zażyłość z pewnym uczonym mężem imieniem Wawrzyniec Choroszewski herbu Jastrzębiec. (Osobliwe jego imię, jak mi eksplikował, bliskim jest naszemu Lorenzo i należy je kojarzyć z laurowymi wieńcami poetów). Odnalazłszy w nim pokrewny umysł, zyskałem przewodnika, który wielce mi był pomocnym w moich studiach nad wschodnimi krajami, zarówno w materii ich

fauny i flory, jak i obyczajów i wierzeń.

Z końcem lipca zbrzydło i królowi ucztowanie, więc udaliśmy się ku przepastnym borom przy wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej – na łowy. Przy okazji stryj mego pana chciał mu pokazać siedliska polskiego wołu leśnego, którego w miejscowej mowie zwą „żubrem”. Zwierzęta owe wydały mi się wielce interesującymi ze względu na swe rozmiary i siłę. Z zaciekawieniem przyjąłem również informację, że są one chronione specjalnym królewskim nakazem i nie wolno nikomu na nie polować pod karą gardłową. Szersze ich opisanie zamieszczę w traktacie, nad którym pracuję, tymczasem wracam do opowieści.

W pierwszych dniach sierpnia dotarliśmy do miejscowości Strzyżewo-Wieś, należącej do zamieszkałego w odległości kilku stająg Hieronima Strzygłowa herbu Sulima. Król z większą częścią dworu osiedli w pobliskim pałacyku myśliwskim, reszta musiała stanąć we wsi rozlokowana po różnych *tabernach*. W tej drugiej grupie znaleźliśmy się również ja i pan Wawrzyniec, co było nam na rękę, gdyż zamiarowaliśmy przed udaniem się na łowy rozpytać się wśród szlacheckiej drobnicy i chłopstwa o lokalne wierzenia.

Aborigini nie przyjęli nas życzliwie. Łatwo było zmiarkować, że tameczny lud jest ponury i radziej trzyma sam ze sobą niżli z obcymi. Przechadzając się po osadzie od *taberny* do *taberny* zauważyliśmy też, że jakowyś niepokój wisi nad chałupami jakby cień mrocznej tajemnicy. Kto miał okiennice, trzymał je zatrzaśniętymi, a na wielu drzwiach wisały krzyże.

Aby wyjaśnić to zjawisko, zaszliśmy do farny. Tameczny proboszcz powiedział nam, że zeszłej zimy do wsi zawitała zaraza, a wygłodniali wilcy mnóstwo bydła poszarpali. Gołota, chłopstwo i insza ciemnota, eksplikował, boi się, że i tego roku się to powtórzy.

Człowiek ten nie pojmował prawdziwej istoty goszczącego wśród prostego ludu strachu, czego mieliśmy się wkrótce dowiedzieć. Polak, choćby niewiadomo jak skryty w sobie, to urodzony gawędziarz, trzeba mu tylko półgarnca miodu lub kwaterki wódki. Mając to na uwadze, wróciliśmy do jednej z *tabern* i powtórzyliśmy swoje zapytania, hojnie sięgając do kiesy. Okazało się, iż zdaniem wielu *aboriginów* za zarazę i straty wśród bydła i trzody winny jest stwór zwany *vurdalacus*.

Ó w *vurdalacus*, pół-człowiek, pół-bestia, to upiór zrodzony z kazirodczego związku, pożywiający się ludzką krwią lub mięsem, duszący dzieciątka w kołyskach, przynoszący ze sobą mór i nieurodzaj. Ten i ów, podochociwszy sobie więcej niżby wypadało, przebąkiwał, że taką bestią jest pan miejscowy, Hieronim Strzygłów, jednak insi zaraz ich uciszali.

Zapewne bali się gniewu pana.

Parobcze gadanie, rzekł nam karczmarz, młody żydowin. Później jął tłumaczyć, że może pan Strzygłów i dusi dzieci, ale podatkami, a krowy porywa jako daninę. Surowy ów pan nie cieszył się wielką miłością, gdyż niezależnie od urodzaju trzymał się ściśle litery prawa, a przy tym wielki był oryginał i odludek. Jak wielki, miałem się przekonać. Jak również o tym, ile prawdy jest w gadaniu prostaczków, a już teraz mogę rzec, że więcej niżli się onemu karczmarzowi zdawało. Tymczasem jednak oburzała mnie ciemnota, z którą się spotkałem.

Następnego ranka ruszyliśmy wreszcie na łowy.

Przez trzy dni musiałem znosić niewygody spania na twardej ziemi i przyglądać się, jak młódź rycerska ciska oszczepem lub strzela z łuku, choć radziej zaszyłbym się w ciepłej komorze z jakąś księgą. Za to pan mój Ludwik bawił się znakomicie. Trzeba Wam wiedzieć, Ojczy, że od kołyski nieomal zdradzał ciągoty ku sprawom rycerskim, choć jako dziecko był słabego zdrowia. Stryj jego, mimo iż posunięty wiekiem i tuszą, również wielką przyjemność znajdował w łowach. Sam byłem świadkiem jak przy pomocy włóczni powalił sporego dzika.

Czwartego dnia, bardziej z nudy niż jakowejś głębszej potrzeby, dałem się namówić na udział w nagonce na knura. Na swoje nieszczęście.

Uciekał nam przez większą część dnia, klucząc po bagnach, gdzie konie nie mogły pewnie stąpać. Zwodził nas, drażnił, raz nawet napadł na naganiacza i śmiertelnie poharatał dwa psy. Zanim zagnaliśmy go w jar, z którego nie miał dogodnego wyjścia, zaczęło się już ściemniać.

Pamiętając, jaki los spotkał owe psy, które wcześniej weszły mu w drogę, nie byłem bardzo prędki, by podążyć za nim. Widząc moje niezdecydowanie, przodem ruszył pan Deciusz herbu Topór, aby zakończyć sprawę. Prawdopodobnie, nieświadom, oddał swoje życie za moje.

Z jaru wypadła na nas jakaś bestia. Czy był to ów dzik, którego tropiliśmy? Nie wiem. Usłyszałem kwik koni, krzyk. Bardzo wyraźnie poczułem ohydny smród, którego nie potrafię nazwać inaczej niż smrodem śmierci. Kojarzył mi się z gnijącym mięsem, krwią i mokrą sierścią. Potem mój koń upadł, a ja straciłem zmysły.

Co zaszło, wiem z opowieści. Wedle nich dzik, wyjątkowo potężna bestia, wypadł z jaru, powalił pana Deciusza, trając go śmiertelnie, a potem uderzył kłami mego wierzchowca,

rozpruwając mu brzuch i wywlekając wnętrzności. Konie reszty naszego towarzystwa popłoszyły się tak, jakby sam diabeł na nie napadł, więc mało kto widział, co dokładnie się dzieje. Zanim udało im się nad nimi zapanować, bestia znikła. Mnie znaleźli nieprzytomnego ze strzaskaną nogą, przygniecione go truchłem własnego wierzchowca. Zabrali mnie czym prędzej do królewskiego obozu, gdzie cyrulik stwierdził, że należy mnie przenieść do łóża i porządnie opatrzyć.

Najbliższym dworem w okolicy okazało się Strzyżewo, sadyba pana Strzygłowa herbu Sulima.

Ocknąłem się dopiero po tygodniu, wychudły i blady. Miałem paskudnie złamaną nogę, pęknięta kość przebiła skórę i mięśnie. Cyrulik bał się, że zabierze mnie zakażenie krwi; gorączka długo nie ustępowała. Ostatniego dnia byli pewni, że nie wyżyję, ale po przesileniu przyszła poprawa. Rankiem – otworzyłem oczy. Nadal wzdrygam się na wspomnienie człowieka, którego wówczas ujrzałem.

Zdawało mi się, że ciągle majaczę. W komorze panowała duchota, śmierdziało starą krwią i przepoconą pościelą. Moich przyjaciół nie było w pobliżu. Tylko on jeden odcinał się czarną plamą na tle roziskrzonych od słońca bielonych ścian, bardziej cień niż człowiek. Mój gospodarz.

Sam jego wygląd budził niepokój. Niewysoki, chudy, żółtawy, miał w sobie coś chorobliwego, jakby dawno nie oglądał słońca. Jego rzadkie włosy były kruczoczarne. W odróżnieniu od innych Polaków policzki miał gładko wygolone, więc wąs nie zasłaniał nadmiernie mięsistych ust. Oszczędny w ruchach, zawsze mówił cichym głosem. Jeśli, jak powiadają, oczy są zwierciadłem duszy, to człowiek ów najwyraźniej duszy nie posiadał, gdyż jego oczy zdawały się martwe.

Tego dnia, któregośmy się po raz pierwszy ujrzeli, nie zamieniliśmy ani słowa. Pan Strzygłów przypatrywał mi się dłuższą chwilę. Cień uśmiechu błąkał mu się po ustach. W końcu wyszedł, a ja poczułem się tak, jakbym dopiero w tej chwili obudził się z koszmaru. Później zaszedł do komory mój przyjaciel pan Choroszewski wraz z kilkoma serdecznymi mi dworzanami Ludwika. Na moją prośbę roztworzyli wszystkie okna. Chłód poranka, wesołe głosy kompanów i wrychle podane wino przepędziły cienie z mojej duszy.

Niestety następnego dnia towarzystwo musiało dołączyć do bawiących się łowami królów, jednak do tego czasu na tyle sił mi wróciło, że byłem w stanie moje wcześniejsze niepokoje zrzucić na karb choroby i zasłyszanych w *tabernie* bają pijanego chłopstwa. Nie

powiem, żeby przymusowa gościna widziała mi się miłą, ale cóż było zrobić?

Następny tydzień minął jak tydzień katorgi. Sen męczył mnie więcej niż odprężał. Ból i nawracająca czasami gorączka przynosiły koszmary. Budziłem się późno, z piekącymi oczyma i sztywnym karkiem, tylko po to by ujrzeć mojego ponurego gospodarza i ponownie nie zamienić z nim słowa. Dni spędzałem w łożu, bez ruchu, z utęsknieniem wyglądając wizyt cyrulika lub przynoszącego mi jedzenie olbrzymiego, gburowatego sługi. Były to jedyne okazje do tego, by z kimś słowo zamienić i przerwać nieznośną nudę. Wiadomość, że mogę spróbować stanąć na nogi, przyjąłem jak błogosławieństwo.

W dniu, w którym wreszcie opuściłem łożo, zostałem poproszony na wieczerzę do gospodarza. Przy długim stole w sali bawialnej poza nim samym zastałem również jakąś damę. W pierwszej chwili założyłem, że musi być jego siostrą. Po pierwsze, dlatego że pan Strzygłów nie wyglądał mi na kogoś, komu mogłoby zależeć na niewieścich wdziękach. Po drugie, dama poza jedną posiadała wszystkie te same co on cechy urody, jako to kruczoczarne włosy, kontrastujące z nimi jasne oczy, bladą cerę i drobną budowę kości. Różniło ich to, że, podczas gdy mój gospodarz straszył odrażającą wręcz szpetotą, ona zachwycała rzadkim, delikatnym pięknem.

Pan Strzygłów nie spieszył się z prezentacją, zatem przedstawiłem się sam i w zamian dowiedziałem, że dama jednak jest jego żoną. Katarzyna Strzygłów, tak się nazywała.

Siedliśmy. Służba wniosła dania.

Ku memu zdziwieniu, zostałem usadzony na jednym końcu długiego stołu z panią Katarzyną po prawicy, podczas gdy pan Strzygłów zasiadł na końcu przeciwnym – samotny. Nie powiem, żebym nie cieszył się tym stanem rzeczy. Żona gospodarza okazała się o wiele lepszym kompanem do rozmów niżli on sam. Szybko zmiarkowałem, że jest to dama wielkiej ogłady i do tego uczona. Łaciną władała z pełną swobodą. Choć nie światowa, z lektur wiele wiedziała o obcych krajach i zachęcała mnie, abym opowiadał o osobliwościach Italii. Intelktualna ekscytacja, jak i – nie ukrywam – kilka kielichów wina sprawiły, że poczułem się na tyle kontent, aby popробować konwersacji również z panem Strzygłowem. Uderzyło mnie, że, podczas gdy ja i jego małżonka zajadamy w najlepsze, on tylko obraca w palcach kielich z winem i przygląda nam się, samemu nie tykając potraw. Zagadnąłem go o to.

Nie odpowiadał tak długo, że przyszło mi do głowy, iż mnie nie dosłyszał lub zignorował. Zmieszany, nie powtarzałem zapytania. On jednak po jakimś czasie drgnął,

jakby dopiero co się przecknął. Popatrzył na mnie. Zaśmiał się, zakrywając dłonią usta. Wreszcie rzekł: Miły panie, proszę o wybaczenie, jadam tylko specjalnie przygotowane potrawy. Później zapatrzył się na swój kielich. Myślałem, że jego zainteresowanie moim pytaniem już minęło, lecz myliłem się ponownie. Nie odrywając wzroku od kielicha zaczął mówić cichym, aksamitnym głosem.

Rozwodził się szeroko nad starym zranieniem, które otrzymał podczas wojny moskiewskiej. Bełt z kuszy, powiedział, ugodził go prosto w wątpia. Cudem wyżył, ale organy jego dotąd nie odzyskały dawnej sprawności, dlatego jadał jedynie delikatne, długo gotowane mięsiwa. Z jakiego zwierzęcia, nie powiem, skwitował. A na zakończenie, ku mej najwyższej odrazie, wdał się w rozważania nad trudnościami wydalniczymi, które miewał.

Do tego czasu żałowałem już, że się w ogóle do niego zwróciłem. Spróbowałem przeprosić się bólem w nodze, który zresztą naprawdę od jakiegoś czasu mi doskwierał, ale pan Strzygłów upierał się, żebym poczekał, aż wniosą jego danie. Chciał mi pokazać owo cudo, które z taką łatwością przechodziło przez jego jelita.

Rad nierad musiałem wytrwać. Odrobinę pociechy odnalazłem w tym, że gospodarz umilkł, pozwalając żonie przejąć zadanie zabawiania mnie. Pomimo bólu i spowodowanego wzburzeniem nawrotu gorączki odpowiadałem grzecznie, starając się wykrzesać z siebie wcześniejszy entuzjazm.

Nareszcie wniesiono danie dla pana Strzygłowa. Nie wyglądało imponująco. Ot, podługowaty kawał szarego mięsa. Najwyraźniej gotowany. Bez sosu. Nie zwróciło wówczas mej uwagi, że wcale nie wydaje się delikatny, odpowiedni dla kogoś cierpiącego na wątpliwe schorzenia. Nie zastanowiłem się też, pomimo wcześniejszej uwagi pana Strzygłowa, z jakiego może być zwierzęcia.

Radowałem się tylko, że dane mi będzie wreszcie oddalić się do swej komory. Wstałem. Zakręciło mi się nieco w głowie. Pani Katarzyna przyzwała znanego mi już potężnego sługę, aby mnie podtrzymał i odprowadził. Przeprosiła, że tak długo mnie trzymali, a potem zaczęła chwalić mą ogładę.

Wtem pan Strzygłów ponownie się odezwał, nie patrząc na nas, nie odrywając się od posiłku, całkiem jakby mówił do siebie. Jego słowa wprowadziły mnie w osłupienie i zażenowanie tak wielkie, że spłonilem się jak panna. Zachwycił się bowiem mą urodą, chwalać zwłaszcza me wyrażnie silne – achillejskie, jak rzekł – łydki oraz kształtne uda.

Nie byłem pewien, czy wziąć tę wypowiedź za afront, zresztą nie bardzo wypadało,

abym ganił swego gospodarza, więc wycofałem się pospiesznie z sali.

Położywszy się, długo nie mogłem zasnąć. Rozbolała mnie głowa i czułem się słabo. Noga dawała mi się we znaki nie mniej niż pierwszego dnia po przebudzeniu. Wypełniała mnie odraza wobec dworu, w którym byłem uwięziony, i siedzącego na nim pana. Zastanawiałem się, ile jeszcze będę musiał czekać, nim ktoś mnie stamtąd zabierze. Współczułem też biednej damie, która w tym ponurym miejscu spędziła pewnikiem większą część żywota.

Zdarza się tak czasem, że gdy intensywnie o kimś myślimy, samą siłą umysłu sprowadzamy tego kogoś do siebie. Dla mnie pewnie lepiej by było, gdyby wtenczas tym kimś okazał się pan Wawrzyniec, miast niego jednak jeszcze tej samej nocy do drzwi mojej komory zapukała pani Katarzyna.

Jej wizyta nie wydała mi się niczym niestosownym, tym bardziej, że przyszła wraz ze służą. Nie ma zresztą nic zdrożnego w tym, że dama odwiedza mężczyznę, gdy ten zaległ zmożony chorobą. Ponadto godzina nie była wcale późną, gdyż, zmęczony wieczerzą, szybko się położyłem. I proszę, Ojcze, nie myślcie, że się Wam tłumaczę, jak to robią winni. Daleki jestem od tego, by ukrywać swoje grzechy. Tamtej nocy moje spotkanie z panią Katarzyną, przynajmniej dla mnie, było zupełnie pozbawione grzesznych intencji.

Przyszła, aby przeprosić mnie, jeśli poczułem się dotknięty zachowaniem jej męża. Nalegała, abym mu wybaczył, gdyż ze względu na słabe zdrowie stał się zgorzkniałym i nieraz nie całkiem władnym nad słowy i czyny. Przyniosła mi też księgę, abym miał czym się zająć w ciągu następnych dni rekonwalescencji.

Od tamtej chwili widywaliśmy się regularnie. Przychodziła miast cyrulika zmieniać mi opatrunki, a czasami po prostu zobaczyć jak się mam. Wieczerzaliśmy razem każdego dnia, rozmawiając przy tym z sobą i unikając uwagi pana Strzygłowa. Przy ładniejszej pogodzie prowadziła mnie po podwórku, choć z konieczności te spacery musiały być krótkimi. Kiedy skończyłem książkę, którą mi dała, przyniosła następną. Nie było to nic wartego wspomnienia, ale pozwalało wypełnić czymś nudę chwil spędzanych bez niej.

Przez jakiś czas rośłem w siłę, ale potem pogoda się zmieniła. Nadszedł okres słotny, zapowiedź coraz bliższej jesieni. Wraz ze wzburzeniem elementów najwyraźniej wzburzyły się również humory w moim ciele. Ból w nodze stał się silniejszym, coraz częściej cierpiałem na nawroty gorączki.

W tym okresie pani Katarzyna jeszcze czulszą otoczyła mnie opieką i jeszcze więcej

czasu spędzaliśmy wspólnie. Aż pewnej nocy odwiedziła mnie w łóżnicy i – niech Bóg mnie osądzi – nie opierałem się jej. Ból i gorączka zamiast ostudzić mój zapal tylko go zwiększyły. Nie wiem, skąd wzięła się we mnie ta grzeszna ciągota, czy była wynikiem choroby, czy związanego z brakiem aktywności niepokoju ducha, czy może wreszcie wynikała z niesamowitej aury miejsca, w którym się znalazłem. Piszę Wam o tym, Ojcze, zanim powierzę moje grzechy Bogu przez spowiedź, gdyż wiem, że mnie nie potępicie, a potrzebuję z kimś podzielić się brzemieniem, by lepiej zrozumieć szaleństwo własnej natury. Odrazą napawa mnie to, co uczyniłem, ale nie tak wielką jak to, co nastąpiło potem.

Przez dwa albo trzy dni moje kontakty z panią Katarzyną straciły na częstotliwości, co jest naturalne, biorąc pod uwagę sytuację. Nie czułem się jednak winny. Dlatego, kiedy przyszła znowu nocą, przyjąłem ją ochoczo. Dopiero gdyśmy się zbliżyli, spostrzegłem, że w jakiś czas po niej do komory wkradł się jej mąż. Byłem wstrząśnięty, bałem się, że przyłapał nas i zareaguje w jedyny możliwy dla mężczyzny sposób – sięgając po żelazo. Tymczasem on siedział tylko i przyglądał się nam tymi swoimi niehumanicznymi, wyłupiastymi oczyma.

Pani Katarzyna wyczuła moją nagłą drętwotę. Rozejrzała się po pokoju, a ujrawszy go, roześmiała w sposób wyuzdany. Miał przerwać, zachęcała mnie do dalszych igraszek. Lecz ja straciłem po temu wszelką ochotę. Obrzydzony, odepchnąłem ją od siebie. Krzyknęła coś po polsku, po czym wyszła w stanie najwyższego oburzenia. Pozostałem sam na sam z jej mężem.

Wtenczas zaczął mnie ogarniać strach. Absurd sytuacji i jej kontradycja wobec naturalnego porządku rzeczy sprawiły, że – kolejny już raz – poczułem się jak w koszmarze. Oto ja, w ciemnej komorze, w łóżu splamionym grzeszną rozpustą, a naprzeciw mnie para pustych zwierzęcych oczu.

Jeśli przeżyję tę noc, wyjadę – postanowiłem sobie.

Pan Strzygłów po dłuższym czasie poruszył się wreszcie. Wstał i podszedł do mnie. Wyciągnął dłoń. Cofnąłem się odruchowo. Coś głęboko we mnie podpowiadało mi, że jego dotyk jest nieczysty. Jednak jak długie jest łóżo? Nie miałem gdzie uciekać.

Dotknął mnie. Delikatnie musnął palcami mój policzek. Uśmiechał się przy tym. Potem, równie delikatnie, musnął moją usztywnioną, obandażowaną nogę. Zakłuło lekko. Wyszedł.

Tę noc spędziłem bezsennie, a o pierwszym brzasku zabrałem się za wykonanie swego

postanowienia. Sprawa okazała się trudna. O jeździe konnej nie było mowy, więc zaczepiłem parobka z wozowni. Ten nie dość, że nie rozumiał łaciny, to jeszcze okazał się niemową. Próbowałem wabić go obietnicami zapłaty, pokazując mu sakiewkę i powtarzając nazwę Strzyżewo-Wieś. On pokazał tylko, jak jego but grzęźnie w błocie i wzruszył ramionami. Zrozumiałem.

Myśl o spędzeniu kolejnego dnia w tak nienaturalnych okolicznościach wydała mi się wstrętą, więc w odruchu desperacji postanowiłem skonfrontować mego gospodarza. Przyjął mnie życzliwie, jakby nic nigdy nie zaszło. Informację o moim wyjeździe zbył machnięciem ręki. Nastawał, abym dokończył kuracji. Lękał się o moje zdrowie.

Nie uspokoiła mnie ta rozmowa. Resztę dnia spędziłem na gorączkowych modłach o poprawę pogody, a nocą nie kładłem się spać pomimo znużenia.

Niewiele to zmieniło. Tym razem odwiedził mnie gospodarz wraz z samsonowatym sługą. Z początku, podobnie jak poprzednio, obaj siedzieli tylko i przyglądali mi się. Próbowałem ich zagadywać, ale ignorowali mnie. Później pan Strzygłów wstał, podszedł do mnie i spróbował znowu dotknąć mojej twarzy. Odtrąciłem jego rękę i w gniewie chciałem zerwać się z łóżka i wynieść choćbym miał kusztykać całą drogę przez las, lecz nim zdążyłem się podnieść, dopadł do mnie sługa i oburącz przycisnął do łoża. Zaczęliśmy się szamotać. Uderzyłem wielkoluda w twarz, łamiąc mu nos i już zrywałem się do nieporadnej ucieczki, gdy nagła eksplozja bólu osadziła mnie na miejscu. Pan Strzygłów otwartą dłonią uderzył mnie w zranioną nogę.

Zakręciło mi się w głowie, żółć podeszła do ust. Zrozumiałem, że w obecnym stanie jestem całkowicie bezradny, zdany na łaskę zwyrodnialca, który przyjął mnie w gościnę. Jego sługa otarł krew z twarzy i ponownie skrępował mi ramiona.

Pan Strzygłów uśmiechnął się. Jego spojrzenie wyraźnie padło na moje wstydlive części. Wyciągnął dłoń i dotknął ich. Później powoli powiódł palcami wzdłuż uda aż do pękniętej piszczeli. Nacisnął na nią lekko. Ponownie zakręciło mi się w głowie. Krzyknąłem.

Spoliczkował mnie.

Potem wyszedł nie uroniwszy ani słowa, a sługa podążył za nim. Zostałem sam. Obrzydzenie i strach przelały się przeze mnie obezwładniającą falą i musiałem dać im upust, kalając podłogę podle łoża. Humory uszły ze mnie z taką gwałtownością, że straciłem zmysły i na kilka godzin popadłem w gorączkowe majaczenia.

Ocknąłem się nad ranem; osłabiony, lecz zdeterminowany opuścić to obłąkane miejsce.

Pomyślałem o wymknięciu się oknem, lecz po bliższych oględzinach zorientowałem się, że w moim stanie byłoby to po pierwsze niebezpieczne, po drugie – hałaśliwe. Podszedłem zatem do drzwi. Na poły spodziewałem się, że będą zamknięte. Nacisnąłem klamkę – ustąpiły bez oporu. Wyjrzałem do izby. Pusto.

Ostrożnie ruszyłem do wyjścia na podwórzec. Niestety po obejściu kręcił się już ten sam potężny parobek, który nawiedził mnie w nocy. Gdyby nie moja noga pewnikiem dałbym radę przemknąć się kole niego, póki był zajęty. Chętnie zaryzykowałbym nawet kradzieży koni byle tylko się wydostać. Tymczasem byłem więźniem, choć nikt nie trzymał nade mną straży.

Cofnąłem się do izby. Powoli dochodziło do mnie, że jeśli mam się uratować to tylko jednym sposobem i choć jestem mężem pióra i kałamarza, a nie miecza, gotowałem się do walki. Na początek trzeba mi było znaleźć broń. Fechtunek nie wchodził w grę, więc zacząłem się rozglądać za jakimś pistoletem. Polacy mają w zwyczaju trzymać mnóstwo wszelakiego oręża pod ręką, gdyż w razie wojny król mocny jest wszystkich ich powołać do wojska. Trzymają także liczne trofea jako znak dawnych wojennych przewag. Jednak ku memu zdziwieniu nie udało mi się niczego znaleźć ani w sieni, ani w izbie, ani w wieczerniku.

Postanowiłem zakraść się do prywatnej komory pana Strzygłowa. Jego samego na szczęście tam nie zastałem. W ogóle dwór wydał mi się dziwnie cichy i wyludły; jedynie z kuchni dochodziły dźwięki jakiejś krzątany.

Zabrałem się za przeszukiwanie sekretarzyka. Znalazłem tam mnóstwo papierów, ale niczego, co mogłoby mi być pomocnym w ucieczce. Już miałem porzucić bezowocne wysiłki, kiedy spojrzenie moje padło na potężny, oprawny w skórę wolumen, spoczywający w jednej z szuflad. Na obwolucie widniał elegancki, choć nieco już zatarty, inkrustowany napis: *Silva Rerum*.

W tym miejscu pozwolę sobie na krótką dygresję, gdyż owe *Silvae Rerum* są ciekawą osobliwością polskiego obyczaju, którą przyszło mi poznać za sprawą pana Choroszewskiego, a która zupełnie jest nieznaną w naszych stronach. Polscy panowie prowadzą księgi, w których spisują rozmaite wydarzenia swojego żywota jako i kurioza, na które zdarza im się natrafić. Wśród ich notatek znaleźć można wersety poezyj, opisy podróży, wspomnienia z wojen, przepisy na smakowite potrawy, a także informacje o narodzinach, chrzcinach, ślubach, zgonach i innych codziennych sprawach. Księgi takie

przekazuje się z pokolenia na pokolenie, niektóre z nich sięgają nawet czasów piastowskich.

Gdym natrafił na *Silva Rerum* pana Strzygłowa, wielka i zgubna mnie zdjęła ciekawość. Niebaczny na niebezpieczeństwo, zacząłem czytać, licząc na to, że znajdę wzmianki, które pozwolą mi lepiej zrozumieć zwyrodniałą naturę mego gospodarza.

Notatki czynione jego własną ręką były nieliczne i mało czytelne, jakby cierpiał na jakowyś niedowład, łacina wulgarna. Kryły się w nich sugestie najmroczniejszej natury. Niektóre zdania wryły mi się w pamięć tak silnie, że pewnie do końca życia będę zmuszony odczytywać je znów i znów w najgorszych koszmarach.

Słabuję, upuszczanie krwi na nic, potrzeba mi żywota...

Dziewka jest mi wstrętną, odesłałbym ją, żeby nie krew, nie wola ojca.

Znów porodziła martwe...

Porodziła szkaradztwo, żywota w nim nie stało na nic.

Słabuję, ciągle słabuję.

Żywot bydlęcy na nic.

Przeklęta dziewczka, jej łono już chyba całkiem uschło. Trzeba je wzmocnić, tylko nie wiem, jak. Pije krwi i wywar z wątroby, ale to na nic.

Płuco i serce, i srom, z różnych... Części męskie i kobiece. Bez krwi. Nie tak jak radził ojciec.

Porodziła. Tym razem żyło dłużej, ale było słabym i odrażającym.

Pomarło.

Słabuję. Upuszczanie krwi i żywot w odpowiednich proporcjach. Płuco i serce, i srom. Tak.

Czytając, zdałem sobie sprawę, że pan Strzygłów nie tylko podatny jest przeciwnym naturze ciągłom ciała, ale również zaprzedał się sztuce alchemicznej i mrocznym praktykom. Jego perwersje bynajmniej się na tym nie kończyły. W pisanych pewniejszą ręką jego ojca notatkach natrafiłem na zapis, który rzucał cień ohydneho plugastwa na łożę małżeńskie mego gospodarza.

Żona moja porodziła znów, pisał starszy Strzygłów, tym razem dziecko żywie, ale przyszło przed czasem i bardzo słabym jest i ułomnym. Pewnikiem nie wyżyje. Daliśmy mu Hieronim. A potem: Porodziła córkę. Ta jest silna. Damy jej Katarzyna.

Dalej przerzucałem kartki, nie mogąc zapanować na zdrożną ciekawością, mimo iż odraza rosła we mnie z każdą chwilą. W gorączkowych poszukiwaniach natrafiłem na

kolejne sugestie kazirodczego spółkowania, wiele pokoleń wstecz. Ród Strzygłowów stary jest, herb Sulima jeszcze piastowscy króle mu nadali. Od jak wielu wieków krzyżowali się tylko sami z sobą, boję się myśleć. Deformacje i inne zesłane przez Boga znamiona bluźnierczych związków dotyczyły ich przynajmniej od czasów króla Kazimierza, dziada mego pana Ludwika. Obecnie wyglądało na to, że sama natura postanowiła przeciwdziałać ich dalszemu rozmnażaniu, wyjaławiając łono pani Katarzyny.

Pochłonięty perwersyjną fascynacją musiałem spędzić na czytaniu przynajmniej godzinę, gdyż na dworze rozedniało już w pełni. Dopiero, gdy poczułem słońce na skórze, otrząsnąłem się i zamknąłem księgę, ale wtenczas było już za późno, straciłem szansę na to, by niepostrzeżenie wymknąć się i zapomnieć o całej sprawie, jakby była zaledwie dusznym snem.

Pan Strzygłów stał o dwa kroki ode mnie.

Musiał zakraść się swoim zwyczajem, korzystając z mojej nieuwagi. Choć mikrej postury, zajął mi drogę do drzwi. Jego mięsiste wargi rozciągał bezmyślny uśmiech, a blade, wyłupiaste oczy wpatrywały się we mnie. Albo może raczej w jakiś punkt tuż nad moim ramieniem, bo miałem wrażenie, że wcale mnie nie widzi.

Chwilę trwaliśmy w milczeniu i bezruchu. W końcu on zapytał, co robię w jego prywatnej komorze. Zupełnie jakby nic dziwnego między nami nie zaszło, tylko to może, że przyłapał mnie, jak nadużywając jego gościny myszkuję po domu. Wtenczas coś we mnie pękło. Poczułem jak gotują się we mnie krew i żółć, sprowadzając bachiczne szaleństwo. Cisnąłem w niego księgą.

Próbował się zasłonić, lecz nie zdołał. Ciężki wolumen uderzył go w twarz i powalił, zalanego krwią, na podłogę. Zaczął wyć. Był to niezwykle wysoki, nieludzi wrzask przypominający po trosze skowyt psa, a po trosze zawodzenie dziecka. Nie próbował zatamować krwotoku. Wpatrywał się tylko w swe zbroczone dłonie i wył.

Nie wiem czemu, ale ten jego krzyk rozwścieczył mnie jeszcze bardziej. Pomyślałem, że chcę, aby się zamknął, choćbym miał go do tego zmusić wtłaczając mu jego własne zęby do gardła. Nie panując na buzującymi w żyłach humorami, pochwyciłem swe kule i, podskoczywszy na jednej nodze do pana Strzygłowa, z całych sił uderzyłem go w głowę.

Padł i ucichł. Byłem pewien, że go zabiłem.

Przeskoczyłem ciało i ruszyłem do kuchni. Słyszałem, że sługa rzucił to, co robił w podwórku i wpadł już był do sieni, więc chciałem mu stawić czoła choćby z nożem

kucharskim w dłoni. Nie przewidziałem tylko, że kto inny stanie mi na drodze – pani Katarzyna.

Wpadłem na nią, przekraczając próg kuchni. Dźgnęła mnie kilka razy na oślep, raniąc w ramię i plecy, ale potem krótkie ostrze ugrzęzło w fałdach mego grubego kubraka. Mimo dezorientacji udało mi się chwycić ją nieporadnie. Razem upadliśmy i przetoczyli się w poprzek kuchni. Od uderzenia straszliwy ból przeszył mą nogę i poczułem, że krew na nowo pociekła z rany. Nie zdołałem utrzymać chwytu. Pani Katarzyna wpadła na ceglana kuchnię, przewracając garnki. Zalała ją wrząca woda. Krzyknęła krótko, przejmująco, a potem z bólu omdlała.

Ja tymczasem rzuciłem się, aby chwycić nóż, który upuściła. Dopadłem go i spróbowałem się podnieść, balansując na zdrowej nodze. Wtedy ujrzałem, co poza wodą wydostało się z garnka. Pod moimi stopami leżała na poły obgotowana z mięsa ludzka głowa.

Odkrycie to tak mną wstrząsnęło, że nie zdążyłem się przygotować na wejście parobka, który rzucił się na mnie, szybko wyłuskał mi nóż z dłoni i przygniótł mnie do ziemi.

Tymczasem pan Strzygłów musiał się być ocknąć, bo wszedł wrychle do kuchni. Był jeszcze bardziej bladym niż zazwyczaj, a krew okryła jego twarz ponurą maską, upodabniając go do jakiegoś nieludzkiego stworu. Trzymał się za głowę i krok jego chwiało się nieco, lecz poza tym zdawało się, że doszedł już do zmysłów. Bezczułym wzrokiem obrzucił pomieszczenie, po czym nakazał parobkowi spętać mnie, a następnie zająć się panią Katarzyną. Uczyniwszy to, na następne polecenie swego pana, sługa wyniósł mnie do stajni, gdzie osiodłał trzy konie. Usadzono mnie w wysokim, damskim siodle, tak, abym mógł siedzieć z usztywnioną nogą wyprostowaną i przywiązano postronkiem, bym nie spadł. Pojechaliśmy w las.

Z naszej trasy pamiętam niewiele, gdyż mroczyło mi się w głowie z bólu i gorączki. Gdyśmy później z panem Choroszewskim i ludźmi króla jegomości próbowali odnaleźć miejsce, do którego mnie wywieziono, Bóg mi świadkiem – nie dałem rady go wskazać. Pamiętam, że było to w jakiejś starej części lasu, gdzie drzewa były grube i pokryte wiekowym mchem. Stał tam krąg uczyniony z postawionych na sztorc, zgrubnie ciosanych kamieni. Pośrodku znajdował się pogański ołtarz, splamiony zbrązowiałą krwią bluźnierczych ofiar. Na nim właśnie mnie złożono.

Powiadają filozofowie, że spojrzeć w oko śmierci i nie zadrzeć jest największą cnotą.

Księża nauczają, że nie będzie wydany na zatrącenie ten, którego pogańska ręka powali, a kto ochoczko zbędzie żywota w imię Pana Naszego i Zbawcy, Jezusa Chrystusa, sławiąc je w głos w ostatnich swych chwilach, temu nawet czyścicowe męki będą oszczędzone. Ja jednak, patrząc w pustkę oczu dobywającego noża pana Strzygłowa, zdobyłem się na szloch zaledwie. Jeśli modliłem się do Boga, to o to tylko, aby wybawił moje grzeszne ciało z niebezpieczeństwa.

Chciałbym myśleć, że moje modły zostały wysłuchane. Drzę jednak na wspomnienie o tym, gdyż, jeśli tak się stało, ryzykując bluźnierstwem muszę zapytać: przez kogo? A jeśli nie przez litościwego Pana, to cóż uczyniłem ze swą duszą w tamtej chwili tchórzostwa?

Pozostaje mi tylko wierzyć, że strach i ból sprowadziły na mnie pomieszanie zmysłów, a świadectwo moich oczu jest fałszywym.

Pan Strzygłów kazał parobkowi przytrzymać mnie, gdy on sam miał zadać cios. Nim ten jednak padł, krew zboczyła mi na twarz. Usłyszałem krótkie chrząknięcie. Z brzucha potężnego sługi wyrósł długi, pokryty śliską czerwienią róg. Zaraz potem zwałisty mąż padł martwy, a mnie ukazało się stworzenie bardziej przerażające niż podobizny diabłów z dzieł flamandzkich mistrzów.

Róg wyrastał z podbródka niemal ludzkiej twarzy osadzonej na nienaturalnie długiej szyi, wyrastającej pomiędzy łopatek bestii o kształcie dzika, ale rozmiarach żubra. Paradoksalnie twarz ta wyglądała całkiem łagodnie, miała duże oczy o kształcie migdałów, brwi ciemne, wygięte w subtelne łuki, usta delikatne. Zawisała na chwilę nade mną. Potem stworzyciel wyciągnął szyję i zbliżył swe oblicze ku zmartwialemu z przerażenia panu Strzygłowowi.

Tamten zdążył wyrzec tylko jedno słowo. Nie dosłyszałem dobrze, lecz zdało mi się, że było to polskie słowo „ojciec”.

Gdy się odezwał, twarz stworza rozwarła się niemal na pół, odsłaniając garnitur wilczych kłów. Jednym kłapięciem bestia zerwała głowę pana Strzygłowa z ramion.

Bryznęła na mnie posoka. Krzyknąłem. Spróbowałem rzucić się do ucieczki, ale udało mi się tylko stoczyć z ołtarza. Uderzyłem nogą o kamień. Po krótkim przeblysku bólu ogarnęła mnie dobrotliwa ciemność.

Ocknąłem się w jakiś czas potem. Ciało pana Strzygłowa i jego sługi nie było nigdzie w pobliżu. Tylko świeża krew plamiąca ołtarz pozostała jako świadectwo ich gwałtownej śmierci. Martwe były też ich konie, i na poły pożarte. Mój za to – ocalał. Paść się spokojnie

nieopodal, choć dawno powinien spłoszyć go smród śmierci.

Dosiadłszy go, odjechałem, byle dalej od tamtego plugawego miejsca.

W dwa dni później odnaleźli mnie osłabłego pan Choroszewski i królewscy myśliwcy. Zabrali mnie do obozu, gdzie mogłem wypocząć. Z ich opowieści dowiedziałem się, że pojechali po mnie na dwór w Strzyżewie, sądząc, że dość już nabrałem sił, bym mógł dołączyć do reszty towarzystwa, jednak dom i gospodarstwo zastali wyludłym. Całe szczęście ogary odnalazły mnie bez trudu. Jak się okazało, koń mój, gdym w przebłyskach przytomności nie próbował zwrócić go gdzie indziej, do rodzimej zawracał stajni.

W zamian opowiedziałem im historię mej przymusowej niewoli, nie szczędząc przy tym opisów perwersyj gospodarza. Zarzut czarnoksięstwa i kazirodztwa nie mniej ciężkim jest w Rzeczypospolitej niż w Rzymie, jednak wróciwszy na miejsce nie znaleźliśmy żadnych śladów mogących potwierdzić moją historię. Znikła nawet *Silva Rerum* Strzygłowów.

Od tego czasu powstała na dworze pewna nieufność wobec mnie. Nikt nie miał wątpliwości, że jakoweś mroczne sprawy zaszły na Strzyżewie, jednak jaką rolę w nich odegrałem – nikt nie był pewien. Zauważyłem, że dworacy unikają kontaktów ze mną, a niejeden odzegnuje się od złego po spotkaniu. Poprosiłem zatem pana mego o zwolnienie z obowiązków na czas rekonwalescencji i wróciłem z panem Wawrzyńcem do Krakowa. Przez jakiś czas radowałem się, że chociaż ten jeden przyjaciel pozostał mi wiernym, ale z czasem spostrzegłem, że i on odwiedza mnie coraz rzadziej i jakby jest zakłopotany.

W tym mniej więcej czasie wysłałem Ci mój poprzedni list. Obecnie czuję się już dużo silniejszym, choć nadal kuleję i ból mi dokucza. Niemniej za kilka dni ruszam śladami króla Ludwika z powrotem do Budy, coby zdążyć przed nadejściem najsroższych mrozów.

Ostatnią tylko rzecz chciałbym Ci jeszcze opowiedzieć, nim zapieczętuję ten list. Kiedy przechadzam się czasami po rynku, zdaje mi się, że widuję okutaną wielkim szalem kobietę, która mi się przypatruje. Jest ona ciężarną, choć niedługo sądząc po rozmiarach jej brzucha. Kilka razy chciałem przyjrzeć się jej dokładniej, ale zawsze niknie mi w tłumie, nim zdążę na dobre rozróżnić rysy jej twarzy. Zeszłej nocy przyśniło mi się, że zachodzi do mojej komory. Obudziłem się z przeczuciem, że ujrzę pana Strzygłowa, jak siedzi w kącie i wlepia we mnie swoje dziwne oczy. Oczywiście nic takiego nie zaszło.

Czy sądzisz, że to z napięcia nerwów? Myślisz, że może i ta kobieta mi się przywiduje?

Cura ut valeas,

Marco



Zbłąkana dusza

Andrzej Paczkowski

Wydarzyło się to w roku pańskim 1920 w przeklętej wsi Strzyżewo, o której nie mówi się dzisiaj za wiele. Mało kto pamięta tamto wydarzenie, ponieważ wioska wymarła a jedynie stare mury, wyłaniające się jeszcze podczas księżycowych nocy z wybujałego zielska, opowiadają smętnie o minionych dziejach, które piętnem strachu naznaczały osadę i żyjących w niej ludzi.

Wiadomo było, że wioskę zamieszkiwał szalony ksiądz. Pewnej nocy przydarzyła mu się jakaś dziwna historia, po której już nigdy nie odzyskał zmysłów, a okolica została przez niego dosłownie zasypana krzyżami, by, jak to mówił, odpędzić czające się na każdym kroku zło.

Wiele mówiło się o topielicy, płaczącej nad małym bagnem, w którym sama biedaczka straciła życie. Błąkała się po lesie szukając swojego zagubionego dziecka, gdy przez nieuwagę zaplątała się w krzewy i weszła na pobliskie moczary. Ciało nieszczęśnicy, jak również zwłok dziecka, nigdy nie odnaleziono. Jej płacz i zawodzenie słyszy każdy, kto przypadkiem zawędruje w pobliże dawnej wioski...

Była też rodzina, którą rankiem znaleziono martwą i nikt nie wiedział, kto był za to odpowiedzialny. Ludzie widzieli cienie i rogi dziwnych stworów, ale czy to naprawdę samo zło przyszło tamtej nocy z piekieł i dokonało tej zbrodni?

We wsi znikwały dzieci, nocami nawiedzał ją sam szatan, przedmioty dziwnie się zachowywały a ludzie nie przyjaźnili się, ponieważ nikt nie wierzył nikomu. Po zmroku rodziny siadywały w domach, przy dokładnie zamkniętych drzwiach. Drżeli, odmawiając modlitwy, które nigdy nie pomagały, ale przynajmniej dawały jakąś złudną nadzieję. Każdej nocy coś się przecież działo...

Pewne małżeństwo z wytęsknieniem oczekiwało narodzin dziecka. Choć może się to wydawać dziwne, byli to ludzie wielce zamożni. Osiedli w Wiosce Przeklętych, gdyż potrzebowali schronienia. Rodzina kobiety nie potrafiła pogodzić się z mezaliansem córki. Kiedy małżonkowie zupełnym przypadkiem dotarli do wioski, ślad po nich zaginął, a oni

odetchnęli w spokoju, wierząc, że od teraz będą wieść spokojne i dostatnie życie.

Ich marzeniem było dziecko zrodzone z miłości. Niestety mijały lata, a kobieta nie zachodziła w ciążę. Na nic zdali się rady mądrych bab, których w wiosce nie brakowało, ani nawet modlitwy, których, zdawało się, Bóg tam nie słyszał. W końcu wybrali się do miejscowej czarownicy, okropnej i starej jak świat jędzy z wielkim nosem. Niestety i ona odprawiła ich z kwitkiem, nie chcąc wchodzić z nimi w konszachty. Nad wioską wisiało przekleństwo.

Po wielu latach kobieta straciła radość życia, poroniła bowiem sześć razy. Niewiele brakowało, aby oszalała ze smutku, bezsilności i rozpacz.

Lecz oto stał się cud: nieoczekiwanie zaszła w ciążę i urodziła złotowłosą dziewczkę. Na imię dali jej Annuszka. Dziewczynka obdarzona została pięknymi błękitnymi oczami i wesołym uśmiechem, dlatego ojciec od razu nazwał ją swoim aniołem.

Nie wszystko jednak ułożyło się tak, jak powinno. Cieniem na życiu rodziny położyła się choroba Annuszki. Dziewczynka od urodzenia była słabowita, zwykły podmuch wiatru doprowadzał ją do najcięższej choroby. Dlatego miała nigdy nie opuszczać domu. Mogła wyglądać na świat jedynie przez małe okienko swojego pokoiku, gdzie bawiła się klejnotami rodzinnymi matki.

Matka próbowała wszystkiego, aby pomóc córce. Dowiadywała się jak ją uleczyć, ale chociaż prosiła i błagała, mądre baby kręciły głowami.

– Ona nie narodziła się dla życia – powiadały tylko i odchodziły.

Mijały lata, Annuszka nigdy nie wyszła za próg domu. Rodzice niezwykle ją kochali, dawali jej wszystko, czego mogłaby zapragnąć, choć dziewczynka nigdy nie miewała zachcianek, a największą radość znajdowała w objęciach rodziców.

Gdy Annuszka miała pięć lat, zdarzyło się najgorsze: dziewczynka, pchana ciekawością, wyszła na zimne powietrze, bo widziała bawiące się i śmiejące dzieci sąsiadów. Znowu ciężko zachorowała. Od tego czasu już nie wstawała z łóżka. Każdego dnia jej oczy coraz bardziej gasły i ciemniały. Rodzice siedzieli przy łóżku i nie odchodzili na krok.

– Tatusiu, czy nadal jestem twoim aniołem? – każdego dnia pytała ojca słabym głosem.

– Tak, nadal jesteś i będziesz moim aniołem.

– Na zawsze?

– Na zawsze...

Umarła po paru kolejnych dniach. Ich rozpacz sięgnęła zenitu. Opłakiwali córkę oboje przez dwa kolejne dni i nie chcieli dopuścić do siebie myśli, że Annuszka odeszła, że już jej nie ma między żywymi. Oboje posiwieli, pochudli na twarzy i ciele, zmarnieli jeszcze bardziej. Czy takie życie było im pisane?

Wreszcie zrozumieli, że dziecko należy pochować, że nie mogą jej zostawić w takim stanie. Ubrali ją w białe szaty, do włosów wpięli drogie spinki, na małej szyi zawisł diamentowy naszyjnik, na rękach złote pierścienie i bransolety. Bogactwo dawno straciło dla nich sens i blask, niech więc córka zabierze wszystko ze sobą.

Pewnego zimowego dnia małą ułożono do trumny, zamknięto wieko i wyniesiono na rękach z domu. Padał śnieg i szara wioska wyglądała jeszcze gorzej niż zazwyczaj: martwe konary drzew wyciągające macki w stronę ciemnego nieba, czarne kamieniste drogi, zasypane śniegiem domy, dym uciekający z kominów ku mglistym przestworom. Tak naprawdę tylko ten szary dym – ulotna dusza spalonych drzew – był wolny. Człowiek nie może za życia zaznać takiego szczęścia, zawsze pozostaje spętany przez jakieś ograniczenia.

Małżonkowie mogli pocieszać się jedynie tym, że ich Annuszka była już równie wolna, co szare smugi wijące się nad domami.

Idąc przez wieś widzieli ludzi chowających się za firankami w domach. Ciekawskie spojrzenia aż paliły, nikt jednak nie wyszedł i nie odprowadził ich dziecka w ostatniej drodze. Ludzie nie pałali do siebie ciepłymi uczuciami. Każdy był kowalem swego losu w tej dziwnej, opuszczonej przez Boga wiosce.

Na cmentarzu już czekał ksiądz w swej czarnej sutannie. Wyglądał jak ciemna zjawia pośród białych zasypanych śniegiem grobów. Obok niego ziała płytka dziura, wykopana na szybko, w której zostały złożone zwłoki Annuszki. Raz dwa zakopano trumnę, ksiądz odmówił pośpiesznie jakieś formułki i zniknął. Rodzice po godzinie wrócili do domu...

Nastała noc. Wieśniacy mieszkający w Wiosce Przeklętych nie życzyli swoim sąsiadom dobrze. Każdy zazdrościł, ile mógł, obserwował, a jak tylko nadarzyła się okazja, zabierał jeden drugiemu nawet spod nosa. Dwóch odważnych zgadało się tej samej nocy. Spotkali się na cmentarzu o północy, kiedy już mieszkańcy wioski spali. Panował przeraźliwy ziąb, mróz skuł ziemię i ciężko było z powrotem wykopać małą trumnę pełną klejnotów. Bogactwo jednak tak bardzo kusiło, że obcierają dłonie do krwi, wykopali wreszcie to, czego pożydali.

Zadowoleni otworzyli wieko trumny i spojrzeli na małą bladą dziewczynkę leżącą

spokojnie jakby we śnie na jasnej poduszce. Wyglądała jak anioł, więc z początku przestraszyli się, że niebiosą ich pokarają, ale blask klejnotów zrobił swoje. Poczęli w szale zdejmować z niej świecidełka, aż pozostały tylko pierścionie na palcach. Chwycili jej zimną dłoń i szarpali, ale złoto nie chciało zejść z napuchniętych po śmierci palców. Ciągnęli tak mocno, aż wreszcie dziewczynka usiadła w trumnie i wydało im się, że otworzyła oczy. Oboje uciekli z krzykiem zabierając ze sobą worek z kosztownościami.

Rodzice tej nocy nie potrafili zasnąć. Matka wylewała morze łez. Oboje wspominali na swojego anioła, była przecież wszystkim, czego pragnęli, spełnieniem ich marzeń, darem od losu, a nagle jej zabrakło. Życie przestało mieć dla nich jakikolwiek sens. W końcu zasnęli.

Przebudzili się słysząc, że ktoś dobija się do drzwi wejściowych. Opuścili ciepłe pośłania, podeszli oboje do okna i spojrzeli przed ganek. Tuż pod drzwiami stała ich córka i rozpaczliwie szlochając błagała o wpuszczenie do środka. Rodzice się wystraszyli. Wiele razy słyszeli takie opowieści o duszach zmarłych blakających się po śmierci. Dusze te mogły być bardzo niebezpieczne, sprowadzały zło, chorobę i wszelkiego rodzaju nieszczęścia. Dlatego opuścili zasłonki i nie zważając na krzyki dochodzące zza drzwi, zamknęli się w pokoju.

Po jakimś czasie krzyki ustały i zapadła cisza. A więc zbłąkana dusza, chcąc im wyrządzić jakąś krzywdę, odeszła, zostawiła ich w spokoju.

Nad rankiem, po otwarciu drzwi, znaleźli ciało swej córki, zimne i sztywne, skulone, nadal próbujące małymi zaciśniętymi pięściami dostać się do środka.

Tej nocy bowiem gdy rabusie wykopali trumnę, Annuszka pod wpływem silnego szarpania ożyła naprawdę, serce jej zaczęło bić i krew na powrót zaczęła płynąć w żyłach. Patrząc na miejsce, w którym się znalazła, zaczęła płakać. Było jej niesamowicie zimno, i nie wiedziała, co robi na cmentarzu w nocy, bez rodziców, zupełnie opuszczona. Wstała i poszła po śladach w stronę zabudowań. Dwa ślady butów prowadziły do jej domu, do którego dotarła raz dwa, chociaż nigdy wcześniej nie widziała go z zewnątrz. Zaczęła ze szlochem walić w drzwi i prosić by jej otworzono. Niestety, kiedy rodzice się pojawili, nie wpuścili jej do środka. Annuszka upadła na kolana i płacząc coraz słabiej waliła małymi piąstkami w drzwi. Mróz nad ranem nadszedł jeszcze silniejszy i powoli dziewczynka zamarzła na śmierć. Tym razem już umarła naprawdę...

Od tamtego czasu dusza Annuszki chodzi po wiosce i próbuje dostać się do domów przerażonych mieszkańców. Nieustannie słysząc jej płacz...

Historia ta wydarzyła się w Wiosce Przeklętych, ale nie była jedyną, bowiem każdego dnia i każdej nocy zdarzały się tam niezwykle ludzkie tragedie, o których do dziś opowiadają stare mury. Jeżeli zabłądzisz w miejsce dawnego Strzyżewa, strzeż się podróżniku, bo już nie wyjdiesz stamtąd żywy...

Wioska przeklętych

Michał Stonawski

Robert zacisnął dłonie mocniej na kierownicy, po to tylko, by za chwilę oderwać jedną z nich i otrzeć pot z czoła. Wytarł ją szybko o spodnie, i zmienił bieg. Zerknął na siedzącą obok żonę, zapatrzoną z obojętną miną w krajobraz za oknem.

– Nie pomagasz mi – Zakomunikował.

Nie odpowiedziała. Równie dobrze mogłaby krzyczeć. Szczerze mówiąc, wolałby już ten wariant, ale Aga, w sytuacjach, kiedy zdawali się być skazani na siebie, potrafiła milczeć długie godziny. Wymownie, widowiskowo i z najwyższą pogardą malującą się na twarzy. Pewne było, że w końcu któreś z nich nie wytrzyma i wybuchnie. W większości przypadków, była to ona.

Westchnął poirytowany i spróbował skupić się na drodze, jednak jej monotonia zaczynała go już nużyć. Asfaltowa, mocno podziurawiona szosa biegła prosto przez las od ponad godziny, czasem tylko lekko skracając. Żadnych rozgałęzień, odnóg, polnych drózek niknących w gęstwinie czy choćby jakiegokolwiek wioski. To ostatnie martwiło Roberta najbardziej. Jeszcze raz spojrzał na tablicę rozdzielczą, jakby chcąc się upewnić, jakby tym razem kontrolka rezerwy paliwa przestała migać, a wcześniejsze spostrzeżenia były tylko pomyłką. Migła dalej dając boleśnie do zrozumienia, że jeśli szybko nie znajdzie się ani jedna stacja benzynowa, stary, ponad dziesięcioletni Opel Astra zatrzyma się pośrodku lasu, na cholernie rzadko uczęszczanej drodze prowadzącej bóg jeden raczy wiedzieć gdzie. Robert doskonale wiedział, co się wtedy stanie.

Wtedy twoja kochana żona zacznie wreszcie mówić – szepnął mu w duchu wewnętrzny głos. – *Ale raczej nie będzie to nic przyjemnego, prawda?*

Musiał się z nim zgodzić. To właśnie między innymi z powodu jej humorów byli teraz tutaj.

Znów otarł pot z czoła. Nawet na zacienionej drodze dało się odczuć niesamowity, nawet jak na koniec sierpnia, upał. Było też duszno, zbierało się na burzę. Sądząc po intensywności duchoty, taką z gradem wielkości kurzych jajek, siekącym deszczem i co

najmniej dwoma trąbami powietrznymi.

Zniecierpliwiony klepnął w zamontowany na środku deski rozdzielczej GPS. Urządzenie zepsuło się jakieś trzy godziny temu. Ekran po prostu zamigotał i zgasł. Próbowali z Agnieszką jakoś go naprawić, mieli nawet przygotowane zapasowe baterie, jednak wyglądało na to, że sprzęt nadaje się na złom. To chyba chwilę później, kiedy przyznał, że nie wie, gdzie jest, postanowiła się na niego obrazić. Wcześniej rzucając parę przekleństw i inwektyw pod adresem jego osoby. Coś o byciu życiowym nieudacznikiem, idiotą i prawdopodobnie najbardziej żalonym mężczyzną na świecie.

– Przydałaby mi się mapa ze schowka – rzucił w przestrzeń.

Całkowity brak reakcji. Zmełł w ustach przekleństwo. Nie mógł, prowadząc, sięgnąć na drugą stronę samochodu. Jednak, póki droga była prosta, mapa mogła jeszcze poczekać, więc nie drażył dalej.

Myślami wrócił do Krakowa. Wyjeżdżali w dużo lepszych nastrojach. Ona, z ciekawością, on z nadzieją. Ta podróż miała dać im czas na oddech, pomóc wyraźnie sypiącemu się małżeństwu. Działo się między nimi źle już od jakiegoś czasu, Robert sam nie wiedział, czy było to osiem miesięcy, czy rok. Był za to zdziwiony, że wystarczyły tylko dwa lata od ślubu, by tak się od siebie oddalili. Każde zajęło się własną karierą. On był dziennikarzem, ona uczyła w szkole. Oboje mieli smykałkę do swoich zawodów. W efekcie, mijali się jedynie w domu, będąc bardziej współlokatorami, niż małżeństwem. Co jakiś czas tylko udało się znaleźć chwilę na szybki, mechaniczny seks. Nie tak to miało wyglądać.

Myśleć o wyjeździe zaczął już dwa miesiące wcześniej. Nie szukał kurortu, ani hotelu. Zależało mu na jak najbardziej odosobnionym miejscu, gdzie będą się mogli skupić tylko na sobie. Aga, kiedy tylko o tym usłyszała, sama podchwyciła ten pomysł. To ona znalazła Strzyżewo. Jedna z internetowych znajomych poradziła jej tą wieś. Podobno koleżanka znajomej była tam z mężem, nieźle wypoczęli. To miała być taka polska utopia, gdzie prąd jest tylko w paru domostwach, a ludzie wciąż żyją jak za dawnych lat. Aga zapuściła swoje internetowe wici i, choć nie znalazła żadnej informacji o samej wsi (której nie było nawet na mapach), udało jej się dowiedzieć, jak tam dojechać.

Szybko dograli terminy, wzięli urlop, zmienili swoje statusy na Facebooku. Włączyli alarm w mieszkaniu i wyjechali, słuchając na przemian płyt AC/DC i Abby.

A po sześciu godzinach jazdy, podskakiwali na nierównym asfalcie jakiegoś zadupia, będąc coraz bardziej na siebie wściekli.

Pierwsze poważne oznaki ubytku benzyny samochód zaczął dawać tuż przed tym, jak wyjechali z lasu, w pełne słońce, na dosyć sporą polanę. Wyschnięta trawa i wrzosa ciągnęły się na dobre dwa kilometry w każdą stronę, w oddali majaczyło pojedyncze, rozlatujące się domostwo z małym poletkiem uprawnym zaraz za nim. Z naprzeciwka, od strony lasu, wolno jechał rozklekotany traktor, na którego widok Robert poczuł nadzieję. Nie bacząc już na oszczędną jazdę, przycisnął pedał gazu.

To był błąd. Paręnaście metrów później, toczyli się już tylko siłą rozpędu. Agnieszka prawdopodobnie podejrzewała kłopoty już od jakiegoś czasu widząc napięcie na twarzy męża. Ignorowała to, jak długo mogła. W momencie, kiedy Opel zatrzymał się w szczerym polu, nie mogła już dłużej milczeć.

– Co się stało? – Rzuciła ostro. – Czemu stanąłeś?

– Benzyna się skończyła – mruknął Robert.

– OCZYWIŚCIE zapomniałeś zatankować – powiedziała jeszcze spokojnie, wyjątkowo powoli wymawiając niektóre słowa, smakując wręcz ich brzmienie – OCZYWIŚCIE. I co teraz, możesz mi powiedzieć?

Będziemy stać, idiotko.

– Spróbuję poprosić o pomoc tego faceta w traktorze.

Patrzył, na w pół wściekły, na w pół zafascynowany na jej twarz. Złość potrafiła zrobić na niej prawdziwe spustoszenie, jak gdyby była artystą, zaś oblicze jego żony tylko gliną czekającą na ciągle to nową formę. Zwykle okrągła, miła i uśmiechnięta w pewien lekko dziecinny, naiwny sposób zdawała się zmieniać w groteskową maskę, zimną, twardą, odpychającą. Usta wykrzywiały się w nierówny sposób, jakby jeden kącik był wyżej, od drugiego, brwi zsuwały ku sobie, nos marszczył. W przeciągu pół sekundy stawała się odpychająca i brzydka, nie była już sobą.

– Jesteś największą porażką, jaką widziałam! Jak, kurwa, można nie zatankować?! Nienawidzę cię! Gnoju! Jebany gnoju!

Parę razy uderzyła go w pierś pięścią. Z oczu pociekły łzy. Dawniej, w tym momencie próbowałby ją przytulić, zapewne by się szarpała, jednak w końcu uspokoiła w jego ramionach. To było dawniej, kiedy jeszcze miał na to siłę. Teraz po prostu wypiął się z pasów, wyszedł z samochodu, zatrzasnął drzwi. Z kieszeni spodni wyjął pudełko papierosów i zapalniczkę. Oparł się o maskę. Zapalił. Zaciągnął się głęboko, z ulgą

wypuścił dym. Zapatrzył na wolno zmierzający w ich stronę traktor.

Pod koniec pierwszego papierosa usłyszał trzaśnięcie drzwi od strony pasażera. Westchnął. Podeszła do niego, lekko szurając nogami po żwirze na poboczu. Opuszczona głowa, lekko wygięte w podkówkę usta. Dłonie zaciśnięte w pięstki. Jak mała dziewczynka, przepraszająca za złe zachowanie.

Uderzyła go znów w pierś, delikatnie, otwartą dłonią. Pchnęła bardziej. Potem wtuliła się w niego. Zrozumiał. Skiepowował ostatni raz na asfalt, odrzucił peta na pobocze. Otoczył ramionami. Stali tak przez parę chwil bez słowa.

– Też mogę jednego? – Poprosiła wreszcie.

– Pewnie.

Przysiadła obok na masce. Razem zapatrzyli się na wiodącą ciągle prosto drogę i widoczną dalej ścianę lasu.

Widziany z daleka traktor podjechał do nich po piętnastu minutach. Jednak, kiedy się przybliżył, stało się jasne, że pierwotny plan Roberta, by poprosić o holowanie samochodu, nie może dojść do skutku. Pojazd musiał nadawać się na złom już pięć lat temu, w tej chwili mógł spokojnie aspirować do miana ciekawostki technicznej. Już z trzystu metrów dało się dojrzeć pogięte, zardzewiałe blachy karoserii, niektóre zastąpione przez przycięte na oko kawałki innego koloru. W kabinie kierowcy brakowało przedniej szyby, pozostałe były albo zbyt brudne, by nadawać się do użytku, albo powybijane, zaś zamiast zwyczajowego „pyrkania” silnika, zdawało się, iż ten ciągle się krztusi. Pojazd posuwał się naprzód w tempie szybkiego marszu człowieka.

Kierowca, stary rolnik mikrej postury z nierównym, siwym zarostem na twarzy wychylił się do nich przez rozbitą szybę.

– A co to się stało? – Zagadnął. Miał akcent, z jakim ani Aga, ani Robert wcześniej się nie spotkali. W rzeczywistości brzmiało to jak; „Ea coo toou się stao”? Mówił przy tym bardzo nosowo, jak gdyby cierpiał na najgorszy rodzaj kataru zatykający całkowicie zatoki. Agnieszka dopiero po pewnej chwili zrozumiała, co właściwie stary powiedział.

– Potrzeba pewnie podwózki, a?

– Nie wie pan, gdzie można tu dostać paliwo? – Zapytał Robert. Jego akcent musiał się wydać tamtemu tak samo dziwny, bo ten milczał przez chwilę, wpatrując się w nich szeroko otwartymi niebieskimi, ale wyblakłymi jakby oczami.

Jak martwe, rybnie ślepia – Pomyślała Agnieszka. Mimowolnie poczuła dreszcz.

– Paliwo, ha? Paliwo? – Uśmiechnął się wreszcie. – Benzyny pan tutaj w nie znajdziesz, daleko by szukać, oj daleko. Mamy trochę na zbyciu w chałupie – podrapał się po łysinie w zamyśleniu. – Trochę i bym dać mógł. A ka jadą? Hę?

– Do Strzyżewa. Pan wie gdzie to...?

Stary odgiął się nagle do tyłu, zamarł przez chwilę z ni to uśmiechem, ni grymasem na twarzy. Trwało to może z pół sekundy, potem znów wychylił się przez szybkę z szerokim uśmiechem, odsłaniając parę pożółkłych zębów.

– Strirevo, tak się w okolicznych wsiach mówi. U miastowych inaczej nazywają, ale u miastowych wszystko inne... a to tu, za lasem – wskazał ręką kierunek, z którego przyjechał. – Ale samochodem niech nie jadą, to nie dla samochodu jest trasa. W połowie drogi już tylko bagniska i młaka na około, to i błoto i woda. Nie przejadą!

– E, ja mam dobry samochód, nie takie drogi przejeżdżał – machnął ręką Robert.

– Nie przejadą! – Uparł się stary. – A i benzyny mało, będzie na drogę tam, nie będzie na powrót. Wracać nie chcą? Ja wiem, co mówię. Ale wy, miastowe, niech się nie martwią. Podwiozę do chałupy, bierzemy konie, zawiozę kawałek. Konie przejadą, nawet tym gratem nie da rady, o! – Zakończył swój wywód i zapatrzył się na nich oczekująco rybim wzrokiem.

Po krótkiej naradzie uznali, że mogą przystać na propozycję. Bagaży nie mieli wiele, zdołali spakować się w dwa turystyczne plecaki. Jakoś wepchnęli się do kabiny, większej, niż w standardowym typie tego pojazdu. Robert miał niejasne przeczucie, że stary maczał w tym palce, przy jednym z „remontów” swojego traktora.

– Dziękujemy! – Rzuciła Aga, gdy wsiadali.

– Eeee, tam – machnął tamten ręką.

Traktor z wolna zawrócił i potoczył się powoli drogą. Robert raz tylko obejrzał się na stojący na poboczu samochód.

Już nigdy więcej nie miał go zobaczyć.

Minęło ponad dziesięć minut, nim zatrzymali się przed domem. Jeśli traktor widziany z oddali zdawał się jechać wolno, to z dodatkowym obciążeniem i z perspektywy pasażera ciasnej kabiny bardziej pełzł, niż jechał po coraz bardziej dziurawej nawierzchni. Upał, choć było już po południu, wzmógł się jeszcze, dodatkowo zaczął im dokuczać obrzydliwy smród, którego źródłem zdawał się być starszy mężczyzna. Adze znów przyszło na myśl

skojarzenie z rybą, tym razem rozkładającą się w upale. Wyraźnie pobladła na twarzy i przymknęła oczy, walcząc z mdłościami. Kiedy wysiedli, z ulgą powitała rozpalone, ale świeże powietrze.

Domem okazała się być stara, rozpadająca się już drewniana chata. Ze ścian wielkimi płatami schodził tynk odsłaniając nagie cegły, w dachu brakowało wyraźnie parudziesięciu klepek, z komina leniwie płynął dym. Za przybrudzonymi od pyłu oknami dało się dojrzeć białe zasłonki. Po prawej stronie za dom wiodły koleiny. Widać było fragment stodoły, po podwórku chodziły kury. Coś jednak w całej tej wiejskiej scenerii zdało się Robertowi fałszywe. Po chwili zdał sobie sprawę, co takiego: nigdzie nie słyszał ujadania psa.

Przez drzwi prowadzące do małej sieni pozbawionej podłogi wyszła siwa, tęga kobieta w fartuchu. Zobaczywszy gości, otworzyła szeroko oczy. Aga ukloniła się jej grzecznie i już miała się witać, jednak tamta nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem. Rzuciła do męża kilka szybkich, niezrozumiałych zdań pełną gwarą, brzmiącą jak inny, nie podobny do żadnego język. Odpowiedział w podobny sposób, dodając tylko jedno słowo, które zrozumieli; Strirevo. Kobieta rzuciła przyjezdnym wylężnione, zaskoczone spojrzenie. Cofnęła się do sieni czyniąc pośpiesznie w powietrzu parę szybkich znaków. Trzasnęły zamykane drzwi.

Zaskoczeni, cofnęli się o krok.

– Się miastowe nie przejmują – stary znów przeszedł na dialekt, który przy odrobinie wysiłku mogli zrozumieć, choć brzmiało to jak; „Sieeo miastooowe ni przejmajiu”. – Baba stara, przesądna, obcych się boi.

Znów zapatrzył się na nich z twarzą pozbawioną wyrazu oczekując chyba na coś, jednak po paru sekundach wyprostował się gwałtownie.

– Pójdźta za mną.

Wzięli plecaki. Gospodarz poprowadził ich w stronę stodoły. Za domem zobaczyli stary wóz z zaprzężonym już do niego koniem, jak gdyby na nich czekający.

– Wejdą już – kiwnął na nich dłonią.

W czasie kiedy się wspinali (Aga miała z tym trudności, ale Robertowi udało się ją wciągnąć) starszy mężczyzna wyjął ze stajni mały bat i połatany, wiklinowy kapelusz z niezwykle szerokim rondem. Potem przybliżył się do konia, pogłaskał po szyi i za uzdę wyprowadził na drogę. Bez wysiłku wspiął się na kozła. Obejrzał się na pasażerów.

– Wygodnie? – Zapytał, a gdy potwierdzili dodał. – No, to jedziem! Wio, Kasztanek! Heta, heta!

Już kiedy ruszyli, Robert z rozbawieniem pomyślał, że mimo naleciałości językowych, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Będąc chłopcem często wyjeżdżał z rodzicami daleko w góry, zapuszczając się aż pod Babią Górę w okolice Zubrzycy. Tam też rozbrzmiewały znajome końskie komendy oznaczające kierunki. Ułożony w pozycji pólężącej, oparty o plecak przymknął oczy, słuchając polnych świerszczy. Upał nie był już tak nieznośny, rzucane, co jakiś czas „Wiśta!” i „Heta, Heta!” brzmiały swojsko. Podążając w stronę Strzyżewa, miał wrażenie, że będzie to dobry pobyt.

Nie miał pojęcia, jak daleki jest od prawdy.

Obudził się zaraz po tym, jak minęli granice lasu. Zerknął na Agnieszkę, która także zasnęła oparta o plecak. Jeszcze spała.

Zdał sobie sprawę, że mimowolnie pociera pokryte gęsią skórą ramiona. Kiedy wjechali między drzewa temperatura drastycznie spadła. Sam las wydawał się inny, niż ten, przez który niedawno jechali samochodem. Cienie były głębsze, drzewa wyższe i grubsze. Po obu stronach drogi widoczność ograniczała się do paru metrów, dalej gęste krzaki, zwalone drzewa i martwe gałęzie skutecznie zasłaniały widoczność. Betonowa droga zmieniła się w polną, z każdym zaś metrem piasek na niej ciemniał, robiło się go mniej. Kiedy Robert spojrzał przed siebie, zobaczył już tylko glinę. Dwieście metrów przed nimi w drodze błyszczały pierwsze kałuże.

– Daleko do tego Strzyżewa? – zapytał.

Stary przygarbił się na swoim miejscu, ręką poprawił kapelusz. Siedział dziwnie sztywno, wpatrując się w jeden punkt na drodze.

– Bydzie z godzinę jeszcze – odparł po chwili ciszy. W jego głosie zabrzmiała jakaś niechęć. – Jak pytań nie ma więcej, to cicho. Zwirze słuchają...

Robert chciał wypytać gospodarza o te zwierzęta, ale po namyśle uznał, że lepiej będzie go nie drażnić. Zabobony w tej okolicy były jeszcze bardzo rozpowszechnione i kto wie, jak ich przewoźnik zareagowałby na zbytnią ciekawość.

Z plecaka wyjął grubą bluzę i przykrył nią Agnieszkę. Wyjechali bladym świtem, oboje spali o wiele godzin za mało. On mógł wytrzymywać brak snu, jego żona jednak robiła się natychmiast rozdrażniona i narzekała na ból głowy.

A to ostatnia rzecz, jaką byś sobie życzył – znów odezwał się cichy głos.

Coś zaszleściło w krzakach z prawej strony. Robert natychmiast wpatrzył się w tamto

miejsce, lecz niczego nie dostrzegł. Był jednak pewien, że cokolwiek to było, było duże. Jeszcze raz rozglądał się uważnie. Ten las pasował do takiego, w którym można, a nawet powinno się spotykać dzikie zwierzęta. Sądząc po powalonych pniach, dzikości i grubości większości drzew, albo zbliżali się do matecznika, lub też w nim byli. Nawet spacerując jako dziecko po Orawie, nie widział takich lasów. Oczywiście, zdarzały się obszary, w których ciężko było się poruszać z powodu gęstości zalesienia, ale nic nie mogło równać się z tym, na co w tej chwili patrzył. Las wydawał się ciemniejszy, bardziej tajemniczy. W pewien sposób pierwotny, pełen dziwnych dźwięków, skrzypień i chrzęstów. Z każdą chwilą słyszeć było coraz mniej ptaków, zaś drzewa po obu stronach zdawały się przybliżać do siebie, przepuszczając coraz mniej światła, jakby chciały ich zmiażdżyć, ukarać za wtargnięcie.

Mimowolnie, wzdrygnął się i potarł zgrabiąle z zimna palce. Wóz zatrząsł się na sporym korzeniu, plusnęła woda. Jechali przez coraz bardziej podmokły teren, plaskało błoto pod kołami. Koło drogi wydać było rozległe kałuże, nieraz wdzierające się na nią, bądź całkowicie ją pokrywające. Raz zarośla po obu stronach przerzedziły się i Robert dojrzał małe, brudne jeziorko. Woda wystąpiła z brzegów i teraz część drzew stała w niej na głębokość przynajmniej pół metra. Pod powierzchnią zakłębiło się coś dużego. Usłyszał plusk, przez moment zdawało mu się, że coś w brunatnej toni błysnęło niczym łuski.

Wkrótce dojechali do rozwidlenia. Na środku stała drewniana kapliczka. Jezus na krzyżu wyginał plecy w łuk, twarz wykrzywiona była bólem, usta otwarte szeroko, albo nabierały powietrza, albo ostatni raz je wydychały. Wielkie, nieproporcjonalne oczy wpatrywały się gdzieś w niebo. Pod rzeźbą ktoś ustawił wypaloną do połowy świecę.

Skręcili w lewo. Tu błoto było już o wiele głębsze, koń wyraźnie zwolnił. Drogę, jeśli jeszcze można było ją tak nazywać, co jakiś czas przecinały głębokie kałuże, w których mieściły się prawie całe koła, raz czy dwa zdarzyły się wypływające z lasu potoczki. W duchu Robert musiał przyznać gospodarzowi rację; nie było żadnych szans, by przejechać tą drogą samochodem. Cudem było, że wóz nie osiadł gdzieś w głębokim błocie.

Zrobiło się jeszcze ciemniej. Drzewa przesłoniły niemal całe niebo, pozostała jedynie wąska szpara. Z biegiem czasu zaczęło się Robertowi zdawać, że coś biegnie koło drogi za nimi. Co parę minut słyszeć było szelesty, zakołysała się gałązka.

Bzdura. Nic za nami nie idzie. Dałeś się podejść zabobonom.

Jednak szło. Robert widział wyraźnie, jak krzaki zakołysały się całe.

Pewnie jakiś wygłodzony pies z wioski, który zapuścił się odrobinę za daleko. Słyszałeś już o takich historiach w Zubrzycy, pamiętasz?

Pamiętał. Jego starszemu koledze z gospodarstwa w ten sposób zginął pies. Uciekł w stronę lasu i już nie wrócił. Ojciec chłopaka znalazł parę tygodni później gdzieś w lesie kości, objedzone do czysta. Nie było jednak śladów walki, pies po prostu zabłądził i wreszcie padł z głodu.

Szelest rozległ się ponownie i nagle wszystko się skończyło. Widać, zwierzę w końcu się znudziło i pobiegło w las.

Nagle ich przewoźnik odłożył bat na bok.

– Prrr! – Zawołał.

Obejrzał się lekko. W gęstym półmroku pod rondem kapelusza widać było tylko zarys twarzy.

– Wychodzą – nakazał.

– Co się stało? – Agnieszka otworzyła oczy, rozglądała się po okolicy zdezorientowana.

– Czemu tak ciemno?

– Wychodzą – powtórzył gospodarz.

– Ale dlaczego? – Zdziwił się Robert. – Nie dojechaliśmy chyba jeszcze...?

– Dojdą sami. Za zakrętem już Strirevo. Ja tam nie jadę. Nie lubim sołtysa, sołtys nie lubi mnie. Wychodzą teraz.

Robert chciał zaprotestować, jednak po namyśle postanowił postąpić według woli tamtego. Ostatecznie, mogą przecież przejść ten ostatni odcinek sami. Pomógł Agnieszce wstać i ubrać plecak. Zanim zarzucił swój, wyjął z niego portfel. Już stojąc na drodze, otworzył go i zbadał zawartość.

– Jeśli bym mógł się za pomoc odwdzińczyć... – zaczął.

– Dwie monety – padła szybka odpowiedź. – Tyle starczy. – Znów skulił się na swoim miejscu, wcisnął głowę w ramiona, mocniej chwycił bat.

Robert nie wiedział, co miały oznaczać „dwie monety”. Wyjął jednak z portfela dwie piątki, podszedł do mężczyzny. Z cienia, jaki roztaczało nadzwyczaj szerokie rondo kapelusza wysunęła się pokrzywiona, starcza ręka. Położył na niej pieniądze. Zamknęła się i wycofała.

– Dziękujemy bardzo za pomoc. No i zgłosimy się po tą benzynę za jakiś czas...

Nie doczekał się odpowiedzi. Wziął za rękę wciąż niedobudzoną Agnieszkę. Kiedy

przeszli kawałek dzielący ich od zakrętu, obróciła się jeszcze ostatni raz. Wóz stał tam jeszcze. Zarówno przewoźnik, jak i koń zastygli nieruchomo.

Dokładnie wtedy, kiedy Robert wydał z siebie okrzyk zachwytu, starszy mężczyzna poruszył się wreszcie, wyprostował, świsnął batem. Wóz zaczął skręcać. Kiedy stary uniósł na moment głowę, Agnieszce wydało się, że spod ronda słomkowego kapelusza patrzą na nich martwe, rybie oczy. Mocniej chwyciła rękę męża, spojrzała po raz drugi. Zobaczyła tylko zgarbioną sylwetkę wykrzykującą komendy do zawracającego zwierzęcia.

Robert poczuł, jak żona mocniej ściska jego rękę. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Dotarliśmy, popatrz.

Parę metrów przed nimi las kończył się nagle przy zielonej, odrapanej tabliczce z białym napisem „Strzyżewo”. Droga, jeszcze błotnista, biegła w dół po zboczu niezbyt stromego pagórka, na którego szczycie się znajdowali. Góry, które jeszcze nie tak dawno ledwo majaczyły na horyzoncie teraz znacznie się przybliżyły, na jednej z nich, w świetle zachodzącego już słońca błyszczała stacja przekaźnikowa. Bliżej widok znów zasłaniał las wznosząc się po drugiej stronie doliny. Na zboczach niecki i w samym jej środku rozrzucone były stare, drewniane chaty o spiczastych dachach pokrytych jeszcze gontem. Z wielu kominów leciał dym. W samym centrum niedużej wsi stały trzy czy cztery domy z kamienia, należące pewnie do najzamożniejszych, jednak nawet im nie udało się zepsuć klimatu tego miejsca.

Jednak nie to tak zachwyciło Roberta. Zachodzące gdzieś za lasem słońce barwiło niebo i chmury na niesamowity, ciemnoczerwony kolor, jakiego na nie widział jeszcze nigdy. Cała okolica skąpana była w tym świetle. Niezwykły widok tak zachwycił, jak niepokoił.

Znów poczuł, jak Agnieszka ściska jego rękę, mocno, natarczywie.

– Pomóż mi zdjąć plecak.

Jej twarz w intensywnym, czerwonym świetle wydała mu się ciemnoszara. Tak naprawdę musiała być zupełnie biała.

– Niedobrze mi – wydusiła z siebie, próbując jak najmniej otwierać usta. – Czekaj tutaj. Nie podchodź.

Został z plecakiem w dłoniach. Podeszła pod jedno z drzew i tam pochyliła się nagle, nie mogąc dłużej walczyć z mdłościami.

– Aga...? – Zawołał za nią. Nie wiedział, jak zadać pytanie. Na szczęście zrozumiała.

Pomachała mu i dała znak, by nie podchodził.

Wróciła po paru minutach. Uśmiechała się blado. Z kieszeni plecaka wydobył chusteczki i wodę. Począł, aż przepłucze usta.

– Jak się czujesz? – Zapytał cicho. – Co się stało? Chcesz wracać?

Pokręciła głową.

– Nie, nie. Wszystko dobrze. To tak po prostu, sama nie wiem, pewnie nerwy. Już mi lepiej.

Widząc jego niedowierzanie uśmiechnęła się szerzej.

– Naprawdę. Wszystko OK.

Podniosła swój plecak z trawy i ruszyła w dół. Robert schował butelkę i także ruszył za nią.

Aga schowała ręce do kieszeni obcisłych jeansów. Nie chciała, by mąż widział, jak drżą. Z pewnością zaczęłyby zadawać pytania, a ona nie umiała kłamać. W końcu musiałyby mu powiedzieć, że tam, pod ścianą lasu z jej ust leciała także krew.

– Kurwa – zaklął Robert, grzebiąc w plecaku.

– Ciszej... – Aga podniosła na niego wzrok znad stosiku ubrań, który właśnie wyładowała na łóżko obok siebie. – Co jest?

– Nie działa. Zupełnie – pokazał jej swojego smartfona. – Bateria była na full. I nic.

– Trzeba było zostać przy starszym typie – uśmiechnęła się i sięgnęła do kieszeni, wydając komórkę. Zmarszczyła brwi, wcisnęła parę guzików. – Też nie działa...

– Pokaż.

Rzuciła mu aparat. Przez chwilę majstrował przy nim, coś mrużąc pod nosem. W końcu poddał się, wyraźnie zrezygnowany.

– Wahania temperatury – wyjaśnił, chyba bardziej chcąc sam siebie przekonać, niż ją. – Baterie tego nie lubią. Na pewno po podłączeniu do kontaktu, obie by odżyły.

– A widzisz gdzieś tu gniazdko?

Rozglądnął się odruchowo, wiedząc, że żadnego nie znajdzie. Prąd w Strzyżewie miało tylko parę domów, a ten, w którym znaleźli schronienie oczywiście do nich nie należał. To, że cokolwiek widzieli po zmroku, zawdzięczali ustawionym w pokoju świecznikom.

– No to jesteśmy odcięci już totalnie.

Uśmiechnęła się do niego, wydając kolejną partię bluzek.

– Nie marudź, przynajmniej mamy dach nad głową.

Kiwnął głową. Jadąc tutaj przewidzieli wszystkie możliwości, Robert zapobiegliwie zabrał ze sobą dwuosobowy namiot i karimaty. W duchu jednak wierzyli, że uda im się znaleźć nocleg u któregoś z mieszkańców, być może jakieś pokoje do wynajęcia.

Kiedy zeszli do wioski, słońce już zaszło, zaczynało powoli robić się ciemno. Uzgodnili, że nie będą pukać do każdej z chałup. Gdyby nikogo nie spotkali, rozbiliby namiot na jakimś polu po drugiej stronie wsi. Na szczęście parę minut później zobaczyli w ogródku tą staruszkę. Nie musieli nic mówić, podobnie, jak ich wcześniejszy dobroczyńca, sama zaproponowała pomoc, twierdząc, że ma wolny pokój. Specjalnie dla nich, jak określiła. Co ciekawe, mówiła bez śladu jakiegokolwiek gwary.

Pokój, właściwie izba połączona z kuchnią kamiennym piecem, na którym suszyły się grzyby, okazała się miejscem przytulnym. Dwa jednoosobowe łóżka, stolik na nierównych nogach, odrapane, duże okno w dzień dające pewnie wiele światła. Gospodyni mieszkała dwa pomieszczenia dalej, w pokoju za sienią, w z wyglądu nowszej, choć i tak starej, drewnianej dobudówce. Od głównej części domu różniło ją to, że szpary pomiędzy deskami nie były wyłożone mchem. Chata była wręcz identyczna z tą, w której Robert mieszkał jako dziecko na Orawie. Tamta spłonęła w końcu, od uderzenia pioruna. Wdychając zapach świeżych, ususzonych grzybów i słysząc trzaskanie ognia, poczuł, jak odżywają wspomnienia.

– Co się tak wyszczerzyłeś?

Potrząsnął głową, powracając do rzeczywistości.

– Mówiłem ci kiedyś, jak jeździłem z rodzicami na Orawę?

Chwilę milczała, najwyraźniej usiłując sobie przypomnieć.

– Coś wspominałeś – powiedziała wreszcie. – A co?

– Jeśli chciałabyś wiedzieć, jak tam było... to w zasadzie tak, jak tutaj. A ty? – Zmienił temat. – Jak się czujesz?

Skrzywiła się, zaraz później uśmiechnęła z przymusem.

– Nic mi nie jest, mówiłam ci. To się czasem kobietom zdarza.

Uciekała przed nim wzrokiem. Poczuł ukłucie niepokoju, ale nie drażył tematu.

Naraz rozległo się pukanie do drzwi. Oboje drgnęli, zaskoczeni. Drewniana podłoga w kuchni skrzypiała, kiedy po niej przechodzili. Teraz nie słyszeli niczego, żadnych kroków, które poprzedzałyby stukanie.

– Proszę! – Odruchowo krzyknęła Aga.

Drzwi otworzyły się, w progu stanęła gospodyni, ściskając za ramię małą, najwyżej dwunastoletnią, chudą dziewczynkę w białej koszuli nocnej.

– O, już jesteście prawie rozpakowani! – Uśmiechnęła się szeroko. Jak na staruszkę, miała wspaniale utrzymane zęby, proste i duże, wręcz nienaturalne. – To moja wnuczka, Asia. Przyszła do nas dzisiaj na noc. Zawsze przychodzi, kiedy nie może spać. Ma złe sny.

Mała spuściła wzrok, wyraźnie zawstydzona.

– Chciałam zaproponować gorące, świeże mleko, tak przed snem – ciągnęła dalej tamta.
– Nie ma nic lepszego w Strzyżewie. Nic lepszego od mleka.

Zamilkła, patrząc na nich z wyczekiwaniem.

– Czemu nie? – kiwnął głową Robert. – Chętnie, całe wieki nie piłem dobrego, wiejskiego mleka. Aga...?

– Ja tylko skończę się rozpakowywać. Ale ty już idź, zaraz dołączę. Dziękujemy pani...

Starsza kobieta wyraźnie ucieszyła się na tę wiadomość. Odwróciła się i podreptała do kuchni, Robert wstał, stawy kolanowe zatrzeszczały głośno.

Mała Asia ociągała się jednak. Wreszcie uniosła głowę, wbijając spojrzenie swoich brązowych oczu w Agnieszkę.

– Czy mogę zostać z panią...? – Zapytała nieśmiało.

Tamta skinęła głową. Uśmiechnęła się do niej życzliwie.

– Jeśli chcesz, siadaj – poklepała pościel obok siebie.

Wyraźnie ucieszona mała, podeszła parę kroków i usiadła na skraju łóżka, przypatrując się jej ciekawie.

Robert siedział za stołem, tyłem do okna. W poobijanym garnku, pełniącym rolę świecznika, stało dziewięć świec, rzucając migotliwe światło na całą kuchnię. W piecu huczał ogień. Na żelaznej blasze stał mały garnuszek, w którym podgrzewało się mleko. Mężczyzna westchnął z błogością. To był pierwszy dzień urlopu, a już czuł się wypoczęty i zrelaksowany, jak nigdy.

– Nie podoba mi się – stwierdziła odwrócona do niego tyłem gospodyni.

– Słucham? – Drgnął, całkowicie zaskoczony.

– Ta twoja. Zrobiła źle. Zupełnie mi się nie podoba.

– Nie rozumiem...

– Kochasz ją? – Przerwała mu ostrzejszym tonem. Żołądek zwinął mu się w supeł. Jeszcze nie rozumiał, ciągle siedział za stołem, bardziej zdziwiony niż przestraszony. – Kochasz swoją żonę? Będiesz z nią zawsze?

– Oczywiście... nie rozumiem, o co pani chodzi?

W tym momencie jego wzrok padł na przeciwległą ścianę. Wisiał na niej krzyż, bardzo podobny do tego w mijanej przez nich po południu kapliczce. Różnicę dało się jednak zauważyć od razu. Przybity do krzyża Chrystus już nie próbował złapać oddechu, teraz wił się w spazmach bólu i krzyczał. Wykrzywiona groteskowo twarz skierowana była prosto na patrzącego.

Dokładnie, kiedy gospodyni odwróciła się do Roberta, zrozumiał, że ten Chrystus na ścianie wrzeszczy nie tylko z bólu, ale i ze strachu.

Pod spojrzeniem starej padł pod stół, przyciskając dłonie do skroni. Z nosa pociekła ciemna, gęsta krew.

Początkowy jęk, przerodził się w krzyk.

Mała Asia przysunęła się bliżej Agnieszki tak, że teraz dzieliło je może dwadzieścia centymetrów.

– Czemu to zrobiłaś? – Zapytała cicho dziewczynka.

– Co zrobiłam? – Aga wyciągnęła ostatnią koszulkę z plecaka i teraz składała ją równo w kostkę.

– Nie powiedziałaś mu.

Tamta zamarła w połowie ruchu. Zaczynała podejrzewać, o czym mówi mała. Ale nie mogła, nie miała prawa o tym wiedzieć. To na pewno nie to.

– Nie powiedziałaś mu, że będziesz miała dziecko. A przecież miałaś powiedzieć. Czemu nie powiedziałaś?

Koszulka spadła na podłogę. Po twarzy dziewczynki zaczęły lecieć łzy. Gdzieś w okolicach kości ogonowej Agnieszka poczuła zimny dreszcz, skradający się coraz szybciej w górę kręgosłupa. Włosy na karku stanęły na sztorc, w skroniach szumiała krew.

– O czym ty mówisz? – Zapytała ochryplym szeptem.

– A potem wzięłaś te pigułki. Pamiętasz, co powiedziała ci Ania? Że potem to tylko parę dni biegunka i po kłopotcie.

Ciężkie łzy kapały na pościel. Asia przytuliła się mocno do zeszywniałej nagle kobiety.

Małymi rączkami zaczęła zsuwać ramiączka jej bluzki.

– Czemu byłam dla ciebie kłopotem, mamusiu? – Spytała płacząc.

Robert wył z bólu. Stara kobieta pochyliła się nad nim, na ustach błąkał się uśmiech.

– Przypomnij sobie, na pewno pamiętasz.

Poderwał się z ziemi, zaraz upadł.

– Nie pamiętasz mnie?

Coś ciągnęło wzrok ku twarzy kobiety. Choć wydała mu się znajoma, nie chciał wierzyć. Nie mógł.

Schyliła się i pogłaskała go po twarzy. Za jej plecami dostrzegł ludzi; mężczyźni i kobiety, mieszkańcy wioski. Ich twarze zdawały się mu rozmyte, niektóre powykrzywiane jakąś chorobą. Patrzyli się na niego w milczeniu, wyczekująco. Znów spojrzał na nią.

Desperacko szukał innych rozwiązań, niż to jedno, tak teraz oczywiste. Nie znalazł.

– Nie pamiętasz mnie, Robert? – Spytała Agnieszka. Jej pomarszczona, starsza o jakieś czterdzieści lat twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

Nie mógł zrozumieć. Nie chciał. Obrócił się na czworaka. Ciężko dysząc podpełzł do drzwi drugiej izby. Resztkami sił rzucił się na klamkę.

Wpadł do środka i niemal natychmiast cofnął się, nie mając siły, by krzyknąć.

Na podłodze walały się ostre fragmenty szyby z wybitego okna, w dachu ziała dziura. Nie było gwiazd, tylko smolista, lepka czerń. Jego żona siedziała na połamanych, spróchniałych resztkach łóżka. Z materaca zostały jakieś szmaty i zardzewiałe sprężyny. Była półnaga, bluzka leżała na ziemi, obok stanik. Odgięta do tyłu z półprzymkniętymi oczami przyciskała do piersi dziewczynkę. Od jej przyciśniętych do sutka ust, aż do podbrzusza kobiety ciekła stróżka krwi, barwiąc koszulę nocną małej. Słysząc było odgłosy mlaskania i ssania, Aga pojękiwała cicho.

Naraz spojrzała na niego. Na jej, początkowo zaskoczonej twarzy, pojawił się grymas żalu.

– Nie byłam gotowa – Szepnęła. – Teraz jestem. Czy pamiętasz?

Ukrył twarz w dłoniach. Krzyknął z bólu, kiedy głowa znów eksplodowała bólem.

Pamiętał.

Widział wyraźnie obrażoną twarz żony. Siedziała zapatrzona w krajobraz za oknem. Jechali autostradą, pasem szybkiego ruchu.

– Nie pomagasz mi – zakomunikował.

Nie odpowiedziała. Równie dobrze mogłaby krzyczeć. Szczerze mówiąc, wolałby już ten wariant.

– Przydałaby mi się mapa ze schowka – rzucił w przestrzeń.

Całkowity brak reakcji. Zmełł w ustach przekleństwo. Naprawdę, potrzebował tej mapy. Gdzieś tu powinien być zjazd, jeśli go przegapią, urlop może pozostać tylko w sferze marzeń.

– Jeśli coś się stanie, to będzie twoja wina.

Wzruszyła ramionami. Jeszcze bardziej go to rozwścieczyło.

Starając się patrzeć na drogę, pochylił się w prawą stronę, ręką otwierając schowek. Starał się coś znaleźć na wyczucie. Nie szło mu. Na chwilę tylko zerknął.

Kiedy Aga zaczęła krzyczeć, zdążył tylko zauważyć zbliżający się zderzak dużego tira. Za późno.

Wspomnienia przyspieszyły, migając jedno za drugim. Półna droga, traktor, wreszcie długa podróż przez ciemny matecznik. Ile tak naprawdę trwała? Tygodnie? Lata? Dekady? Potem szelesty w zaroślach, dwie monety dla przewoźnika i Strzyżewo, wioska wszystkich przeklętych. Cel podróży.

Kiedy tłum mieszkańców rzucił się na niego, nawet nie krzyczał.

Strzyżewo przyjęło ich do siebie.

Kraków, 7 września 2012

Obok

Marcin Podlewski

*Zmarła dziewczynka nocą chichocze
Popycha wściekle huśtawki puste
Chudą piąsteczką w okno łomocze
I szczypie w biodra baby zbyt tłuste

Goni pożółkłe liście z cmentarza
Wiatr jej kręcone loki rozwiewa
Pnie się po ścianach, z lecących gazet
Kartki wyrywa, wrzeszczy i śpiewa

W lustrze niekiedy upiorem mignie
Lub na ulicach zgubi się pustych
Oddechem zionie – ciało zastygnie
Palcem wykreśli krzywe trzy szóstki

W starych ruderach zamieszka czasem
Na fortepianie zagra złośliwie
Kota pogoni, by gdzieś pod lasem
Pogłaskać jeża nad wyraz tkliwie.

Jak smutno ogród wygląda nocą
Gdy po posągach pajak przebiegnie
Zmarli się w trumnach swoich szamocą
A ona cicho zmęczona legnie

Nikt dawno o niej już nie pamięta
Zatarł się napis na starym grobie
Podobno była kiedyś przeklęta
Podobno z dachu skoczyła sobie.*

Kiedys przyśniło mi się piekło.

Śniłem o czystych salach, zimnych i pustych. O wypolerowanych oknach, o nieskazitelnie czystej posadzce. O ścianach pomalowanych na białe. Wszystko w świetle energooszczędnych jarzeńówek i w chłodzie klimatyzacji.

Dochodzące z pokoi jęki potępionych były wygłuszone przez szczelnie zamknięte drzwi z okrągłymi klamkami. Krew płynęła cienką strużką w specjalnie do tego przygotowanych podłogowych rowkach. Elegancki, metroseksualny szatan nosił czarne lakierki i rozdawał wszystkim zimne wizytówki. Żadnych kotłów ze smołą, żadnego smrodu. Wszystko błyszczące i pachnące cytryną, jak w reklamie.

We śnie przesuwalem się leniwie po kolejnych pomieszczeniach – zupełnie, jakbym patrzył na wszystko przez obiektyw aparatu. Pstryk: dentystyczna sala tortur. Pstryk: zwisające, błyszczące haki. Pstryk: dziura w podłodze, najeżona stalowymi kolcami. Wszystko z atestem, wszystko antyalergiczne i odkażone. Piekło trzymało naprawdę wysokie standardy.

Nie czułem strachu, raczej lekkie zaciekawienie. Byłem ciekaw, kto wymyślił tak czyste i chłodne piekło. Z pewnością nie szatan – ten pracował jedynie w public relations i widać było, że piekło go przerasta. Sunąłem zatem – w stronę swojego pokoju, w którym miałem spędzić nudną i pełną cierpienia wieczność.

Dziś myślę, że to był świetny sen. Pełen optymizmu i wiary. Wiary w pewien porządek. Świat może być skażony chaosem, przeżarty przez głupotę i przypadek. Ale piekło – o ile istnieje – będzie inne. Sprawiedliwe i logiczne aż do bólu – dosłownie i w przenośni. Wymierzone suwmiarką i wyliczone komputerem. Spokojne i poważne jak sama śmierć.

I zupełnie martwe.

Zaczne może od stodoły.

Siedziałem na samym dole, na klepisku pełnym resztek smoły, gnijących buraczanych liści i wyschniętego zboża. Nie miałem ochoty się ruszać. Zamiast tego wolałem obserwować trzeszczący od wiatru strop. Podtrzymujące go belki zdawały się śpiewać i był to całkiem przyjemny dźwięk. Dodatkowo pachniało sianem, a ubóstwiałem ten zapach. Siedziałem,

a przez szpary w drewnie przeciskały się promienie słońca.

Czułem się jak po solidnej dawce valium. Nie myślałem o kontraktach, inwestycjach i tkwiącej w kieszeni komórce HTC najeżonej kontaktami do kluczowych klientów. Nie chciałem być nigdzie indziej, nie chciałem myśleć. Było mi dobrze. Przeszkadzało mi tylko jedno: niewielkie kamyki tłukące mnie po głowie.

Kamyki uderzały mnie w czoło w odstępach co minutę, może dwie i zdecydowanie rozpraszały. Ten, kto nimi ciskał (o ile był ktoś taki) koncentrował się na jednym tylko miejscu, więc, jak pomyślałem leniwie, muszę mieć już nieźle obitą łepetynę. Łup! – no i proszę, kolejny. Niemal wbrew sobie wyciągnąłem język i oblizałem wargi. Smakowały żelazem. To musiała być krew z rozbitego czoła. Krew, jak krew – wciąż byłem przytomny. Czy był sens się przejmować? Niekoniecznie. Uśmiechnąłem się i popatrzyłem na strop.

Słońce musiało z wolna zachodzić, bo światło nabrało przyjemnego różowego koloru. A może był to świt? Całkiem możliwe: chyba słyszałem śpiew ptaków. Ptaki? Nie, raczej nie. Raczej czyjś głos. Pomyślałem, że nie ma to znaczenia i wtedy dostałem w czoło kamieniem wielkości kurzego jaja.

Ból powinien być niesamowity, ale dotarł do mnie jak przez mgłę. I chyba to spowodowało, że w mózgu zaskoczyła mi jakaś zapadka. Zrozumiałem, że coś jest nie tak. Z trudem schyliłem głowę i popatrzyłem na zakrwawiony kamień. Leżał tuż obok mojego lewego, markowego buta DeeZee i jego widok nie byłby może przerażający gdyby nie fakt, że niedaleko leżała cała sterta podobnych. Strop przestał mnie interesować. Cofnąłem się z jękiem i złapałem za zakrwawioną głowę. Nagle poczułem ból.

– Hej! Jesteś tam?!

Ktoś krzyczał. Z trudem zlokalizowałem źródło dźwięku. Na prawo stała oparta o stryszek stodoły drabina. To ona do mnie wrzeszczała. Zamrugałem oczami. Krew spływała mi po powiekach i skapywała z brody.

– Jesteś tam?! Cholera jasna...

Wychrypiałem coś, unosząc głowę.

Na stryszku siedziała dziewczyna, mniej więcej 16 letnia. Ubrana na czarno, z ostrym tapirem na włosach. Wymalowana na kolorowo. Wyglądała jak nawiedzona pankówka, wyjęta żywcem z lat 80. Najwyraźniej szykowała się do ataku: w rękę trzymała znany mi dobrze kamień. Obok postawiła sobie wypełnione nimi wiadro. Psychopatka!

– Jezus Maria!

Chyba krzyknąłem, bo opuściła rękę z kamieniem. Patrzyła teraz na mnie, jak na jakiegoś dziwoląga. Próbowałem wstać, ale ledwo uniosłem się na nogach i zaraz walnąłem o klepisko.

– Kim... Kim...

– Jak masz na imię?! – krzyknęła. Jak mam na imię? Po cholere jej to było? Byłem jednak sparaliżowany strachem, a pankówa miała w zanadru kamienną amunicję. Zakasłałem.

– Jerzy... Mam na imię Jerzy!

– Jerzy z Białowieży – parsknęła. Bałem się. Rzuci czy nie rzuci? Jeśli podskoczę i kopnę tę drabinę, nie zejdzie. Potem skoczyć w lewo, w stronę wyjścia. Stodoła była otwarta, co zauważyłem kątem oka. Dam radę? Muszę. Pobiegnę... Na policję zdążę zadzwonić później. Spiałem się i z przerażeniem stwierdziłem, że wciąż nie mogę się ruszyć. Nogi miałem jak z waty. A zatem: to koniec. Zmasakruje mnie, jak psa.

– Ty, Jerzy, nie bój się – socjopatka odezwała się ugodowym, i chyba przez to jeszcze bardziej przerażającym tonem. – Nie będę już w ciebie rzucała, okej?

– Rzu... Rzucała?!

– Rzucała, rzucała – parsknęła. – Z tymi kamieniami miałam niezły pomysł, nie?

– Świetny – przytaknąłem. Co, jak co, ale z wariatami tak powinno się postępować. Przytakuj, uśmiechaj się, a gdy nadarzy się okazja walnij w łeb i uciekaj.

– No ja myślę – zgodziła się. – Z początku cię kłułam. Znalazłam taki szpikulcec w oborze i kłułam cię tym szpikulcem. Wcześniej kopałam, szturchałam i tak dalej. No i papierosy. Gasłam ci na szyi. Ale potem pomyślałam: szyszynka.

– Naprawdę?

– Wydziela melatoninę – wyjaśniła. – To hormon snu. Byłam super z biologii – pochwaliła się. – W każdym razie pomyślałam: dlaczego nie? I zaczęłam walić cię w czoło. Żeby uszkodzić ci szyszynkę.

– Uszkodzić mi szyszynkę?

– Jasne. Czasowo, oczywiście.

– To świetnie – zgodziłem się. I rzeczywiście: było świetnie, a raczej – mogło być. Z sekundy na sekundę czułem się coraz lepiej. Jeśli zagadam tę wariatkę, może uda mi się uciec albo, gdy zbiorę więcej sił, odpłacić jej pięknym za nadobne. – Dziękuję.

– Nie wygłupiaj się.

– Słucham?

– No, nie rób z siebie idioty – powiedziała. Podparła brodę jedną ręką i popatrzyła na mnie kpiąco. W drugiej wciąż trzymała kamień. – Masz mnie za jakąś psychopatkę, co? Nie bój się, nic ci nie zrobię. Naprawdę – spojrzała na mnie badawczo. – Jak się czujesz?

Zdenerwowałem się.

– Rzucasz we mnie kamieniami, przypalasz papierosami i pytasz, jak się czuję?!

Wzruszyła ramionami.

– Tak.

– Gdzie ja jestem, do cholery?!

– W stodole. Nie pamiętasz? – zaciekawiała się. Pokręciłem głową i chwyciłem za kawałek drewna wystający z klepiska. Był dość długi, jakiś pień czy coś. W każdym razie, można się było na czymś podciągnąć. Powoli zacząłem się podnosić. W głowie huczało.

– Słuchaj, może lepiej jeszcze nie wstawaj – zasugerowała moja niedoszła morderczyni.
– Wyglądasz jak wychudzony Freddie Mercury.

– Niezbyt to pocieszające biorąc pod uwagę fakt, że on nie żyje – wycedziłem.
Otworzyła szeroko oczy.

– Freddy nie żyje?! Co ty gadasz?! Kiedy umarł?!

Wzruszyłem ramionami.

– Nie pamiętam. Jakoś tak w latach 90.

– A co mu było?

Zamrugalem.

– Aids mu był. Nie oglądasz telewizji?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, ty – warknąłem obcesowo. – Jak tam masz na imię... Wychodzę. Idę do szpitala. I na policję, jeśli nie zostawisz mnie w spokoju.

– Policję? – zaciekawiała się.

– Policję. Rozumiemy się? – wciąż patrząc na nią badawczo, wyciągnąłem komórkę trzęsącą się ręką. Ekran był jednak martwy: bateria się wyczerpała. – Jest tu jakiś szpital? Przychodnia?

– Nie ma.

– A gdzie ja jestem?

– W Strzyżewie. Naprawdę nie wiesz? – zainteresowała się.

– Też byś nie wiedziała, gdyby ktoś rozbijał ci głowę kamieniami. W jakim Strzyżewie?

Pankówa nachyliła się i opłótła drabinę ramionami. Dopiero teraz zauważyłem, że – nie licząc czarnej sukienki a’la krepina – miała na sobie getry w paski, mieniające się wszystkimi kolorami tęczy i kończące się ciężkimi martensami. O tych butach wiedziałem tyle, że nie warto nimi oberwać. Zamachała nogami i splunęła na klepisko.

– A, taka wiocha.

Wszystko jedno. W końcu wszystko się wyjaśni. Wyjdę i znajdę jakąś chałupę z telefonem. Jestem przecież w stodole, a stodoły stoją obok chałup. Wciąż patrząc na dziewczynę zacząłem się wycofywać. Zerknęła na mnie kąpiąco do momentu, w którym wygramoliłem się na zewnątrz, wprost w promienie słońca. Rozluźniłem się: jednak nie rzuciła kolejnym pociskiem.

Było cicho. Wiatr poruszał lekko gałęziami stojących nieopodal podwórka, rozłożystych drzew. Obejście było puste: żadnych zwierząt. Stodoła sąsiadowała z pustą oborą i ceglanym, niewielkim domem z wybitymi szybami. Tu raczej telefonu nie będzie, dom wyglądał na opuszczony. Splunąłem krwią. Co tu jeszcze było? Kilka metrów dalej stał rozklekotany wóz z dyszlem bez jednego koła, stara karoseria po fiacie 126p, kilka sparciałych opon, nieco cegieł (widocznie ktoś planował się rozbudować), krzywa studnia i popękane koryto. Podwórze nie było zamknięte: furtka w metalowym płocie była uchylona. Tuż za nią znajdowała się wyżłobiona kołami wozów droga, jakieś rozwalone resztki samochodu Cinquecento i kolejne chałupy, przetykane fragmentami widzianego na horyzoncie pola i brzozowego lasu.

– Podoba ci się?

Odwróciłem się nerwowo. Pankówa stała kilka metrów za mną, oparta o drzwi stodoły. W dłoni wciąż trzymała kamień. Uśmiechnąłem się krzywo.

– To tylko do obrony. Ten kamień. Wiesz: gdyby ci odbiło – wyjaśniła. – Odbija ci czasem?

– Nieszczególnie.

– Ile masz lat? – spytała. – Czterdzieści?

– A co cię to obchodzi? – spytałem. Znowu wzruszyła ramionami. – Trzydzieści pięć.

– Rany, ale jesteś stary dziad – uśmiechnęła się.

– Będiesz miała tyle samo, szybciej niż myślisz – odparowałem odruchowo.

– Nie sędzę.

– Halo! – wydarłem się, nie zwracając na nią uwagi. – Hop! Hop! Jest tu kto?!

Cisza. Pankówa patrzyła na mnie kpiąco. Zauważyłem, że na czarnej koszulce skrytej pod skórzaną kurteczką ma napis „SUBHUMANS”. Pewnie chodziło o zespół. Przełknąłem ślinę: wciąż smakowała żelazem. Jak wyglądała sytuacja z tymi chałupami pod drugiej stronie drogi? Czy też były puste?

– Dobra – oznajmiłem ugodowo. – Bądź taka kochana i powiedz mi, którąś do szosy. Co tu tak pusto? Dożynki macie, czy jak?

Nie sądziłem, że cokolwiek powie, ale wyciągnęła rękę w lewo.

– Pójdiesz tam. To jakieś... Prawie dwa kilometry. Przejdiesz wzdłuż chałup, ciągle prosto. Miniesz kościół na takiej górcie, ale tam w żadnym wypadku nie włącz – zastrzegła twardo. – Tam nikogo nie ma. Potem jest taki rynecek, stary i gówniany. Za ryneczkiem znowu kilka chałup i szosa. Godzina jest... – spojrzała w niebo – Jakaś szesnasta, więc do zmroku masz jeszcze trzy. Wiesz co? – spojrzała się na mnie z wciąż nie schodzącym jej z twarzy kpiącym uśmieszkiem. – Pójdę z tobą, będzie zabawniej.

– Dziękuję, ale nie.

– Nic ci nie zrobię, słowo. Wywalę ten kamień, jeśli obiecasz, że też mi nic nie zrobisz. Okej?

– Po co we mnie rzucałaś?

Przygryzła wargi.

– Po co rzucałaś, po co rzucałaś. Nudny jesteś. Przepraszam, w porządku? Wkleiłeś się po prostu...

– Co zrobiłem?

– No... Wiesz, siedziałeś tam zupełnie nieprzytomny. Nie miałam... Kogo wezwać, więc kiedy stwierdziłam, że jesteś wklejony... To znaczy gapisz się w jeden punkt i nie ma z tobą kontaktu, to próbowałam wszystkiego. Dopiero kamienie podziałały. Sorry. Nie wiedziałam już, co robić. Naprawdę przepraszam, okej? – wyglądała, jakby jej było autentycznie przykro. Walila mnie kamieniami po głowie, kłuła zardzewiałym drutem, przypalała papierosami i kto wie, co jeszcze, a teraz jest jej głupio? Cóż, tak najwidoczniej postępują psychopaci. Wydają się z pozoru normalni, a w rzeczywistości mają labirynt w mózgu. Tłuką swoje ofiary, a potem nad nimi płaczą. Czy i z tą nawiedzoną pankową tak właśnie

było?

Lubię o sobie myśleć, że znam się na ludziach. Jerzy Tejfer, kierownik regionalny działu sprzedaży produktów szybko zbywalnych. Na zebraniach motywacyjnych personelu patrzę i od razu wiem, kto ściemnia. Znam wszystkie magiczne sztuczki. Na wylot przejrzę płaczliwe spojrzenia w stylu „zepsuło się samo, panie kierowniku”, a modlitwę „nie dało rady” znam na pamięć. Jak jednak wyczuć psychopatkę? Jeśli jest teraz na etapie „grzecznej dziewczynki”, najlepiej po prostu na tym skorzystać. I oglądać się za siebie, bo może się jej przestawić. Chrząknąłem.

– Dobrze. Ale wyrzucić ten kamień.

Wyrzuciła.

Dziwna sprawa.

Droga wiodła – tak jak obiecała pankówa – prosto, skryta pod konarami drzew. Kilka białych, chudych brzózek. Nigdzie żadnych zwierząt. Podeszedłem do jednego z domów i zajrzałem: w środku śmierdziało stęchlizną. Wszędzie taki sam obrazek: ruina. Ale nie to mnie nawet zaskoczyło, a przewrócony słup telegraficzny. Leżał w poprzek drogi, powalony zapewne przez jakąś burzę. Resztki wystającego zbrojenia wyglądały na od dawna zardzewiałe.

– Co to? – spytałem pankówę. Puściłem ją przodem, bo nie zamierzałem oberwać nagle z tyłu. Dziewczyna zareagowała dziwnie: zachichotała i wskoczyła na pogruchotane żelastwo.

– Szkoda, że nie widziałeś jak poleciało!

– Nikt tego nie posprzątał? Tak to zostawiliście?

– Pewnie! A kto miał niby sprzątać? Anarchia rządzi, człowieku!

– Co tu się dzieje?

– Nie marudź. Już niedaleko.

Nie kłamała: widziałem przycupnięty niżej, ciemny rynecek. Już stąd było widać, że jest pusty. A może coś tam się ruszało? Nie mogłem dostrzec, ale widziałem coś jakby cień, cień cienia... Rozedrgany i niewielki. Przyspieszyłem kroku. Droga zrobiła się nagle brukowana, domy zaczęły wyglądać na porządniejsze. Zauważyłem zadbane ogródki i chyba jakieś budynki urzędowe tam, w dole.

– Poczekaj chwilę, okej?

Nie zamierzałem stawać, ale pankówa podbiegła do przodu i stanęła przed niewielkim, murowanym domeczkiem ze spiczastym dachem. Wyglądał jak większość budowli w Strzyżewie: jak kupa zapomnianego nieszczęścia.

– Ed! – krzyknęła dziewczyna. – Ed! Jesteś tam?!

Nikt jej nie odpowiedział.

– Ed!!

Tym razem coś zaszurało. Ktoś wyglądał dyskretnie przez okno, zadrgała firanka. Pankówa spojrzała w moją stronę.

– Boi się – wyjaśniła. – Ed! Wyłaź!

– Natalia?

– Wychodź, mamy gościa!

– Już prawie osiemnasta!

– Rany, ed! Wyyychodź!

– Nie drzyj się! Nie wychodzę!

– Wyyyychodź! Edward ma cykoooraaa!!!

– Cicho bądź!

Ed, Edward, czy kimkolwiek był, zatrzasnął okno. Natalia, bo tak najwidoczniej miała na imię pankówa, spojrzała w moją stronę i wzruszyła ramionami.

– Nie wyjdzie. Przynajmniej nie teraz. Ma pietra po prostu. Słyszałeś go? Osiemnasta, osiemnasta – całkiem umiejętnie naśladowała wystraszony głos swojego przyjaciela. – Cykor. Jeszcze jest całkiem jasno.

– Co za Ed? – spytałem. – To twój chłopak?

Wydeła wargi.

– Zaraz tam „chłopak”. Ed to Ed. Mieszka tu. Idziemy? – nie zwracając już na mnie uwagi, ruszyła do przodu, składając ręce na plecach. Takie przechadzanie się długimi, powolnymi krokami moja mała córeczka nazywała „szpakowaniem”. Przetarłem twarz. Coś zaczęło mi się błąkać pod czaszką: gniewny grymas niezadowolonej z czegoś żony, sukieneczka córeczki... Ile siedziałem w tej cholernej stodole? Czy to moja kolej opiekowania się Mają? Znowu wyjąłem HTC, ale wciąż był martwy. Może gdybym znalazł jakąś ładowarkę... Najgorsze było to, że nie pamiętałem numeru do Elżbiety – wszystko było zapisane w kontaktach. Była żona z pewnością wykorzysta to w kolejnej kłótni i znowu zacznie nastawiać Maję przeciwko mnie.

– Co tam oglądasz? – nie zauważyłem Natalii, która stanęła tuż obok i z zainteresowaniem wpatrywała się w komórkę. – Co to jest?

– Telefon.

– Srefon – parsknęła. – Za mały. I nie ma guzików. Masz go z Ameryki czy z RFN?

– Z T-mobile – odpowiedziałem, chowając go do kieszeni. – Nie wiesz, że...

– Czekaj!

Powiedziała to takim tonem, że zamilkłem. Wyglądała jakoś inaczej: na przestraszoną. Spięła się w sobie i zacisnęła nerwowo pięści tak, że sam się zdenerwowałem.

– Słyszysz?

– Co? Nic nie słyszę...

– Tam jest...

Spojrzałem w kierunku, który mi pokazała. To była brukowana uliczka w dół obserwowanego już przeze mnie, rynku. Wyteżyłem słuch. Coś tam klekotało i chyba stękało, czy jak to tam nazwać. Sam nie wiem czemu, ale powoli ruszyłem w tamtą stronę wiedziony jakąś niezdrową ciekawością. Jeden, drugi, trzeci krok. A potem go zobaczyłem.

Starzec sunął po ziemi ni to na czworakach, ni to na nogach. Wydawał się ślepy: oczodoły wyglądały na czarne i puste. Poszarpane łachmany otaczał zardzewiały, ciężki łańcuch: to on klekotał o bruk. Zamrugalem oczami.

Było w tej postaci coś zwierzęcego: szarpała się jak wściekły pies, ale w dziwnie zwolnionym tempie i chyba to spowodowało, że stanąłem jak wryty. Naturalnym odruchem było podejść i pomóc nieszczęśnikowi, ale nie mogłem się na to zdobyć. Starzec zastygł na moment, pólżąc z nogami rozstawionymi jak żaba i zaczął dygotać. Potem znów się szarpnął. Łańcuch zaklekotał.

– Litości! Litoości! – zajęczał starzec. Głos miał jak papier ścierny: przeszły mnie dreszcze. Czy nas wyczuwał? Co robi, kiedy stwierdzi, że nie jest sam?

Nie mogłem się ruszyć. Sytuacja była na tyle nierealna, że całkowicie mnie sparaliżowała. Starzec zadrżał raz jeszcze i – co wystraszyło mnie chyba jeszcze bardziej – ruszył się wyjątkowo szybko, jakby coś go puściło. Po sekundzie zniknął pomiędzy ścianami stojących przy drodze domów. Jeszcze przez moment słyszeliśmy klekot łańcucha, a potem wszystko umilkło.

– Boże... – wyszeptałem. – Co to było?

Nie sądziłem, że coś usłyszę w odpowiedzi, więc głos Natalii podział na mnie jak kubeł

zimnej wody.

– To chyba ten dziad kościelny – powiedziała. – Nie pamiętam jak się nazywa. Fatalnie, co?

– O czym ty mówisz?! Cholera jasna, dosyć już tego! – nie zamierzałem krzyczeć, ale wydarłem się na cały regulator. – Spieprzaj i zostaw mnie w spokoju, rozumiesz?!

Nic nie odpowiedziała. Wściekły i wystraszony wyrwałem do przodu, w kierunku ciemnego rynku. Tam – będzie tam telefon, ludzie, cywilizacja... Minąłem mającący na wzgórzu kościół otoczony starym cmentarzem i po jakichś dwudziestu metrach znalazłem się w stodole.

Siedziałem na brudnym klepisku. Belki znów śpiewały od wiatru, rzednące światło przeciskało się przez szpary. Co, do diabła? Z trudem odwróciłem wzrok od stropu i spróbowałem wstać. Poszło mi całkiem nieźle: niemal zerwałem się na nogi.

– Tylko godzina – dobiegł mnie głos Natalii. Pankówa siedziała tam, gdzie wcześniej: na stryszku i obejmowała rękami drabinę. – I nie musiałam znowu rozkwaszać ci łepetyny! Gratulacje, panie Dead Kennedy!

– Co: godzina? – wychrypiałem.

– No, tylko godzinę byłeś nieprzytomny – splunęła na słomę. – Czy raczej: nieprzytomny – dodała takim tonem, że domyśliłem się, że chodzi o jakąś nazwę. – Ciekawa byłam, jak daleko zajdziesz. Ja przechodzę prawie kilometr, zanim wrócę na rynek. Dokładnie tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt cztery kroki. Liczyłam – chrząknęła i znowu splunęła na słomę. – W promieniu od cukierni.

– Co?...

– Tam mnie znaleźli. Na rynku. W cukierni. Zbiłam szybę i wlałam do środka. Musiałam się gdzieś przyczaić, żeby... No, wiesz. Zaćpałam się – wyjaśniła, pokazując mi rękę zeszpeconą przez siną, pręgowatą żyłę. Zrobiło mi się słabo.

– Co ty opowiadasz?!

– Nie mów, że nie rozumiesz! A ty kim niby jesteś? Wypadek samochodowy, co? – prychnęła. – Ten rozwalony wóz obok, ten w rowie, to przecież twój, co nie? Czeka! – krzyknęła widząc, że blady jak papier, zmierzam w kierunku wyjścia. – Nie wylaż teraz – dodała ciszej. – Robi się ciemno.

– Tym razem psychopatko, jeśli za mną pójdziesz i będziesz próbowała znów walnąć

mnie w głowę...!

– Po co miałabym to robić?

– Żeby mnie tu zaciągnąć! Zaatakuj mnie znowu, to nie odpowiadam za siebie! – wysyczałem. Byłem autentycznie przerażony. – Chcesz oberwać?! Zbliź się tylko do mnie, cipo, to popamiętasz!

– Okej – wzruszyła ramionami. – To sobie idź. Zaczekam tutaj. Może wrócisz, jeśli będziesz miał szczęście.

– Zamknij się!

– Jest noc i on wyjdzie, zobaczysz. Zawsze wychodzi.

Zakląłem tylko w odpowiedzi i wyszedłem ze stodoły. Nie spojrzałem nawet, czy moja prześladowczyni sięga po kolejny kamień.

Było już niemal czarno.

Czerń zdała mi się gęsta i lepka. Bezksiężycowe niebo rozbłyskiwało martwymi punktami gwiazd. Czy one w ogóle świeciły? Nie migotały: tego byłem pewny.

Drzewa przy podwórzu i te za płotem wyglądały jakoś inaczej. Stare i spróchniałe, chyliły się pod naporem ciężkiej grawitacji. I ziemia. Ziemia też była jakaś inna. Twardsza. Kucnąłem, biorąc w dłoń kilka brudnych kamyków by zaraz je odrzucić. Coś było z nimi nie tak. Nieliczne kępki trawy niemal cięły mnie w rękę – z trudem oderwałem mankiet od rozczapierzonych źdźbeł. Nieważne. To przez tę nienormalną idiotkę. Wstałem i zacząłem powoli iść przed siebie. Usta mi spierzchły: dałbym wiele, żeby się napić czegoś mocniejszego.

Strzyżewo, tak? Nigdy nie lubiłem wsi. Praca w obejściu, wszystkie te krowy i kury. Niedziela w kościele, dusząca pierzyna, muchy. Pole, konie, wóz z dyszlem. Bród, smród i ubóstwo. Że też musiałem wylądować właśnie tutaj, w jakimś wioskowym zadupiu, po wypadku, ze szwankującą pamięcią i to w towarzystwie psychopatki. A teraz... Obserwuje mnie, to pewne. Cóż, niech sobie popatrzy. Przyspieszyłem kroku, wychodząc z powrotem na drogę.

Kiedy go zobaczyłem, byłem już niedaleko kościoła.

Z początku dostrzegłem cień – co było o tyle dziwne, że wszystko spowiły już ciemności. Ludzka, nienaturalnie wysoka i dziwnie chuda sylwetka. Tuż pod plamą głowy jaśniała jej biała krecha tak, jakbym widział świetlną szczelinę.

Stałem. Nie widział mnie – kimkolwiek był. Pracował, grzebiąc coś w ziemi. Postąpiłem jeszcze dwa kroki i schroniłem się za drzewo. Patrzyłem teraz, bezpiecznie ukryty: wzrok powoli przyzwyczajał mi się do gęstego mroku.

Postać nachylała się i prostowała, wyciągała długą, odzianą w czerń rękę. Coś łapała, coś chowała, grzebała – sam nie wiedziałem, co widzę. I szum: dochodził stamtąd niepokojący szum jakichś odgłosów. Znów jęki? Modlitwy? Nawoływania? To głupota – wyjdę i... Ale nie wyszedłem.

Trwało to jakieś pięć minut, ale wydało mi się znacznie dłużej. Potem sylwetka nagle odwróciła się i ruszyła na mnie. Przywarłem do kory, w ustach zamarł mi jęk. Dlaczego się bałem?

Nie widziałem dobrze, ale był to chyba człowiek. Wyjątkowo chudy, odziany w łopoczącą czerń. Pod głową znów ta biała skaza. Sunął wyjątkowo szybko, zupełnie jakby nie szedł, tylko lewitował. Minął mnie w ułamku sekundy i zdążyłem jeszcze zobaczyć nienaturalnie wydłużoną twarz i zamknięte oczy, skryte pod wielkimi, pomarszczonymi powiekami. Cały był rozciągnięty jakoś, zupełnie jakby gorąco zniekształciło klatkę filmu uwidaczniającą jego postać. Niby normalnie, a jednak... I te zamknięte oczy – one mnie przeraziły. Miałem wrażenie, że wiem czemu są takie i bałem się, że się otworzą.

Długo nie ruszałem się z miejsca bojąc się, że wróci. Pod czaszką wirowały mi myśli, czy raczej szalone ich strzępy: a więc teraz już wiesz, teraz już wiesz co to. Wiesz teraz. Nie miałem pojęcia o co mi chodzi, ale bałem się i myślałem – wiem, to głupie – że znów jestem dzieckiem, że cała fasada dorosłości pękła i pokruszyła się jak stary wazon.

Oderwałem się w końcu od drzewa i jakoś wbrew sobie zacząłem zbliżać się do miejsca, gdzie tamten stał i grzebał.

– Jezu... Jeeezu...

Stamtąd coś takiego dochodziło potem zmieniając się w bełkot. Ten starzec? Czy to był on? Nie chciałem go oglądać. A potem: coś jak płacz dziecka i chorobliwy chichot. I znowu: słaby, zrozpaczony jęk.

Zajrzałem.

Coś tam było, tam w dole. Kotłowały się jakieś nieforemne ciała, przykryte czarną ziemią. Dłonie unosiły się w górze, pragnąc uwolnić się z napierającego piachu. I twarze: wykrzywione od niezrozumiałych tortur, zasypane, poklejone błotem. Ciała włożyły na siebie, jak robaki, i znowu spadały, oślepione, nieprzytomne, bezradne. A jednak ich grzebał: kimkolwiek byli, kimkolwiek był.

– Chodź! Uważaj, bo wpadniesz!

Poleciałem do tyłu.

– Aaa!

– Nie drzyj się, bo wróci!

To była Natalia. Odwróciłem się do niej i niewiele myśląc uczepiłem się jej nogi. Złapała mnie za bark i znowu pociągnęła. Chciała, żebym wstał, ale nie mogłem.

– Na nogi frajerze! Wiesz, jak on szybko zaiwania? Będzie tu w trzy sekundy...!

– Co... Co...

– Potem! Chodź, proszę cię! Chodź!

Uniosłem się na drżące nogi.

– Nie patrz!

Ale i tak spojrzałem. Kolejna stopklatka: nagie dziecko usiłujące wdrapać się po ścianie dziury, ślepe, o połowie głowy kończącej się tuż nad oczami. I jeszcze mężczyzna: wykrzywione nogi i ręce, wszystko na odwrót. Spojrzał na mnie czarnymi oczodołami i otworzył usta. Były większe niż zwykle, wyglądały na rozerwane. Kapało z nich gęste błoto.

– Zostaw to! Już po nich... Chodź!

Szarpnęła mnie za rękę i zaprowadziła zataczającego się na drogę. Nie pamiętam jak dotarliśmy do bezpiecznej przestrzeni stodoły.

Kiedy byłem mały, mój starszy brat, Jan, nastraszył mnie opowieścią o upiornej pani.

Upiorna pani miała być bardzo podobna do naszej matki. Wyglądała i zachowywała się tak, jak ona, była wszakże upiorem, który potrafił upodobnić się do mam naiwnych chłopców. Różnicę można było dostrzec jedynie w jasnym świetle. Było wtedy widać, że potwór podający się za matkę ma na sobie postrzępione szaty, potargane, zgniłe włosy i ostro spiłowane zęby. – Upiorna pani nie jest jednak głupia – tłumaczył mi Jan. – Chowa

się przed światłem. Przychodzi nocą, kiedy śpisz. Niby ci całuje, jak mama, ale szuka miejsca na szyi żeby wyssać ci krew. Ale najbardziej lubi włożyć pod łóżko. Czeką tam, aż uśniesz, a kiedy już śpisz, wbija ci zęby w stopę i ssie krew, aż umrzesz.

Nie byłem głupi i wiedziałem, że Jan coś kręci, ale na wszelki wypadek zapakowałem do łóżka latarkę. Tej samej nocy, gdy już lekko przysnąłem, usłyszałem czyjś stłumiony chichot. Obudziłem się. Dźwięki dochodziły spod łóżka, schowałem więc stopy pod kołdrę, zapaliłem więc latarkę i schyliłem się, żeby poświecić i wypłoszyć upiora. Ale upiorna pani była szybsza. Wysunęła się nagle spod łóżka i wrzeszcząc jak opętana próbowała złapać mnie za nogę. Miała ostre zęby i sukienkę naszej mamy. Zacząłem wrzeszczeć i walnąłem ją przez łeb latarką. Wtedy upiorna pani zaczęła krzyczeć i płakać, co automatycznie przywołało rodziców. Zapalili światło i moim oczom ukazał się wyjący wniebogłosy brat. Trzymał się za głowę, na której rósł już piękny, okazały guz. Sztuczne kły leżały na podłodze, a nałożona sukienka mamy wyglądała na naderwaną. Wszystko skończyło się karczemną awanturą, ale byłem pewny, że nigdy tak bardzo się nie bałem.

Aż do dzisiaj.

– Jesteśmy w piekle?

– Nie, no co ty. Jakim piekle. To Strzyżewo. Mówiłam ci, pamiętasz?

– I ja nie żyję?

– Wszyscy nie żyjemy.

– To gdzie jesteśmy, do cholery?!

Natalia wzruszyła ramionami. Połowa mózgu kazała mi zamknąć się i zwiewać gdzie pieprz rośnie, zanim utracę do końca zdrowe zmysły. Druga połowa była cholernie ciekawa. Siedząc na stryszku ledwo powstrzymałem kiwanie się w tył i w przód. Za nic nie chciałem zlaźić na dół. Drabinę wciągnąłem na górę i upchałem pod ścianę, pomimo zapewnień Natalii, że „do stodoły nie wejdzie”.

– Ed by ci lepiej wytłumaczył. No, nic. Widzisz, Jerzy: jesteśmy „obok”.

– Obok czego?

Westchnęła. Durny uczeń zadał głupie pytanie.

– No, kiedy wyciągasz kopyta to wychodzi na to, że zostajesz tam gdzie byłeś, ale jakoś tak „obok”. Nie ma tu żywych, ale są po nich ślady. Domy, drogi, sprzęty i tak dalej. One wiesz, powoli się zmieniają, kiedy zmieniają coś u siebie żywi, ale idzie to naprawdę bardzo powoli. Dlatego większość rzeczy się psuje i sypie. Nawet dzień czy noc idzie tu jakoś

ślamazarnie, a przyroda jest jakaś zepsuta. Wszystko co nowe dociera do naszego „obok” z opóźnieniem.

– A żywi? Nie można do nich wrócić?

– Może i można. Wielu próbowało, ale trudno się precysnąć. Słyszałeś opowieści o duchach?

Przycisnąłem twarz do podciągniętych pod brodę kolan.

– Jezus Maria. Naprawdę nie żyję?

– No.

– Ile czasu tu już jestem?

Wstała i zaczęła dreptać po stryszku. Wyciągnęła długie źdźbło słomy i wpakowała je sobie do ust, ssąc je z widocznym zastanowieniem.

– Rany, człowieku, nie mam pojęcia. Nawet nie wiem, ile ja tu już jestem. Który był rok, jak tu trafiłeś?

– A skąd mogę wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– No to może kiedy jechałeś swoim samochodem? Wiesz, kiedy był ten wypadek?

– Nie pamiętam wypadku. Ale... Chyba był 2010. Może 2011?

– O, kurde! Ja fiknęłam w 1985. Może później, a może wcześniej... Nie pamiętam – skrzywiła się. – Sporo mi, wiesz... Wyleciało. Kompocik, rozumiesz.

– Nie rozumiem.

– No, brown sugar i te sprawy. Co ty taki, niekumaty? Ćpałam sobie, mówiłam ci przecież – wyjaśniła lekko, zupełnie jakby mówiła o herbatce u cioci. – Ale teraz już nie ćpam – zastrzegła. – Skończyło się.

– Dlaczego?

Prychnęła.

– A widzisz tu jakiś towar? Na początku dostawałam totalnego świra, mówię ci! Latałam i darłam się jak... Próbowałam palić tę trawę co tu rośnie, ale nie miałam żadnej zapalniczki... przynajmniej na początku. Teraz co prawda coś tam znalazłam... i papierosy też, ale wtedy... Chciałam jak Indianie, patyk o patyk i wiesz co? – wyrzuciła słomkę i wytarła wargi. – Gównem z tego wychodziło. Leżałam potem i dygotałam. Fajnie musiałam wyglądać. Pewnie dlatego mnie nie ruszył.

– Ten... to coś?

- Tak, ten sam. Widziałam, jak obok sunął. Potworny co? Nie żyje już chyba od bardzo dawna. Nie tknął mnie jak innych, bo myślał, że już jestem... no wiesz.
- Nie, nie wiem.
- Że już jestem w piekle.

Edward wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem.

Był chyba w wieku Natalii, ale na tym podobieństwo się kończyło. Chudy i pryszczaty, z grzywą skołtunionych włosów i w okularach w rogowej oprawie wyglądał jak wyjątkowo zaniedbany dubler Harry’ego Pottera. Był ubrany w trumienny garniturek, co wskazywało na to, że został w nim pochowany. Pod paznokciami miał żałobę po zdechłym szczurze, jak lubiła zawsze mawiać moja matka na temat czarnych obwódek brudu.

Dotarliśmy do niego wczesnym rankiem i – tym razem – bezceremonialnie otworzyliśmy drzwi. Nie wyglądał na zadowolonego, ale wpuścił nas do środka. Urządził się całkiem nieźle, choć każdemu z pokoi przydałoby się generalne sprzątanie. W powietrzu unosił się kwaśny zapach zastalego powietrza, więc natychmiast otworzyłem okna.

Podłogi i regały były zavalone przez książki, które, jak się pochwalił, przynosił z pobliskiej biblioteki. Miał do niej bezproblemowy dostęp. Chwalił się zresztą, że może dotrzeć w każde miejsce w Strzyżewie: średnica jego działań wynosiła prawie dwa i pół kilometra.

– Wciąż przybywają nowe książki – oznajmił, grzebiąc w jednym z wysokich regałów. By się tam dostać użył niewielkiej, podrapanej drabinki. – Żywi dużo czytają, więc książki pojawiają się najszybciej. Fajnie co? Mogłabyś przejść się kiedyś ze mną do biblioteki, jest jeszcze w twojej strefie – odezwał się do Natalii głosem bardziej piskliwym, niż zwykle. – Popatrzyłabyś na pannę Elizę, czy nie idzie. Ostatnim razem – wyjaśnił pewniejszym tonem – omal mnie nie złapała, kiedy wynosiłem opowiadania Ochendowskiej.

- A kto to ta Eliza? – spytałem.
- Bibliotekarka – wyjaśniła Natalia. – Myśli wciąż, że żyje, a wygląda jak upiór.
- To ile w końcu ludzi... to znaczy zmarłych jest w Strzyżewie?
- Tych... normalnych niewielu – Edward rzucił na podłogę kolejny, gruby tom. – Zostało jakieś dziesięć osób. Z nami trojgiem trzynaście. No i on.
- Co za on? Powiecie mi wreszcie?
- Moment! Jest! Mam... Natalia, pomóż mi. Może się rozpaść.

– Co to jest?

– Historia – oświadczył z dumą, podając jej wyjątkowo gruby i ciężki foliał. – Połóż na podłodze obok map. Już schodzę.

– To Strzyżewo – oznajmił wreszcie, pokazując nam w księdze pięknie wykonany drzeworyt. – Dawna własność rodu Porajów. O tu, jest cmentarz z czasów osadnictwa. Bardzo stary. Byłaś tam kiedyś? – spytał Natalii. Wzruszyła ramionami.

– Nie mogę tam dojść. Za daleko.

– Jeśli będziesz ćwiczyć, w końcu dojdiesz – oznajmił z miną znawcy. – Trzeba każdego dnia próbować pójść dalej. Ale na ten cmentarz lepiej nie chodzić. Nie jest tam za fajnie.

– A co tam jest?

– Kręcą się... no wiesz, Nieprzytomni. Tacy jak do niedawna twój „kolega” – powiedział patrząc na mnie z wyraźną pogardą. – Nie wiedzą, że nie żyją, snują się... gapią się w jeden punkt. A jeśli są długo w tym stanie, to zaczynają coraz gorzej wyglądać. Sypią się, jak wszystko tutaj. A pewnego dnia, kiedy się budzą... no sama wiesz... zwykle wariują – chrząknął i przewrócił kartkę.

– Tu jest młyn wodny z 1418 roku – podjął pokazując nam obrazek na stronie. – Wtedy wieś należała do klarysek. Ale nie, to nie to... Nie tego szukam... Chwila... Jest! No właśnie, klaryski – popukał palcem w jakiś akapit. – To one wybudowały kościół w 1360 roku, ale potem podobno spłonął. Następny wybudowano dopiero w 1721, dzięki staraniom proboszcza Wojciecha Szablikowskiego, by w 1848 wybudować murowany. I ten stoi do dziś.

– Czyli ksiądz Wojciech? – spytała Natalia.

– Nie, ja obstawiam pierwszego księdza, Pawła. O nim zachowały się najstarsze dokumenty, z 1408 roku.

– Czekaście – przerwałem. – Oświecicie mnie wreszcie?

– Ten upiór to ksiądz – powiedziała Natalia. – Nie mów, że nie widziałeś honoratki.

– Jak to: ksiądz?

Natalia odsunęła się od ksiąg i położyła na plecach, pomiędzy kartami i postrzępionymi okładkami. Nie mogłem nie dostrzec, że Edward zerka na nią z zaciśniętymi ustami. Czy okulary zachodziły mu mgłą? Młodzieńcza miłość, silna i smutna. Nawet po śmierci.

– Ed, powiedz mu.

– W porządku – odkaszlnął. – Masz na imię Jerzy, tak?

Skinąłem głową.

– Dobra. Słuchaj Jerzy, jesteś tu od niedawna. Przez jakiś czas byłeś jak wszyscy tutaj, Nieprzytomny, dopóki Natalia cię nie obudziła. Prędzej czy później każdy się budzi i jeśli budzi się stosunkowo wcześnie, to nie wariuje tylko zadaje pytania. Tak było z Piotrem. Pamiętasz Piotra, Natalia?

– Tak, fajny był z niego gość. Po 50-tce, ale w porządku.

– Co się z nim stało?

– Dorwał go ksiądz Paweł. Coś mu się pewnie nie spodobało. Jemu zresztą nic się nie podoba. Wiesz, pewnie myślał, że po śmierci będzie inaczej.

– Nie rozumiem.

– Ksiądz Paweł wie, że nie żyje, ale myśli, że nie żyje naprawdę. To znaczy... myśli, że jest w piekle i nie rozumie dlaczego. Myśli, że jest martwy... że jest martwy nawet tutaj, gdzie śmierci już nie ma. Widziałeś go przecież, widziałeś co z siebie zrobił. Raz... – Edward urwał na moment – raz mnie dotknął. Był zimny jak lód i cuchnął trupem.

Przerwał. Nie ponaglałem go.

– Widzisz Jerzy: to miejsce, to całe „obok” jest okropne, ale ma swoje plusy. Można je zmieniać, jeśli się postarasz. Jeśli wyteżysz wolę, możesz zmienić kamień w piasek lub, sam nie wiem... zrobić czarną, żywą jamę tak, jak on. I możesz zmieniać siebie. Jeśli długo jesteś Nieprzytomny albo wariujesz to zaczynasz wyglądać coraz gorzej. To nowe ciało jest plastyczne, rozumiesz. Dostosowuje się tak, jak wszystko tutaj. Ta „rzeczywistość” jest bardziej miękka. Moim zdaniem to przez żywych.

– Nie rozumiem.

– W końcu żywi zmieniają Strzyżewo, co nie? Wciąż dochodzą do nas nowe rzeczy, przenikają do naszego „obok”. A to oznacza, że to miejsce jest do pewnego stopnia, podatne na zmiany. Im jesteś tu dłużej, tym skuteczniej potrafisz na nie wpływać. A on, ten ksiądz, jest tu już bardzo długo i podobno nigdy nie był Nieprzytomny.

– Trochę pamiętam, kiedy jeszcze był, no wiesz, normalniejszy. Kiedy się tu pojawiłem, a było to dawno temu, wyglądał jeszcze prawie jak człowiek. Ale zachowywał się dziwnie. Kręcił się po okolicy i tylko patrzył. Z nikim nie rozmawiał. I wtedy ludzie zaczęli znikać. Zabierał ich podobno do kościoła. Mówił im pewnie, że trzeba ukorzyć się przed Bogiem, że zasłużyli na karę, że są w piekle. Ale oni nie chcieli słuchać. A potem zaczęli znikać. Tak po prostu.

– Myślę, że nikt go nie podejrzewał, nie na początku. Ale pewnego dnia to on zniknął. Nie było go bardzo długo. Ludzie mówili, że udało mu się przejść do żywych, że to go zmieniło. Wiesz, to przejście do żywych jest możliwe, ale bardzo trudne. Nie musisz specjalnie się skupiać, czy ćwiczyć. Musisz tylko znaleźć swoje ciało. Kiedy je znajdziesz... musisz w nie wejść. To tak, jakbyś na nowo umierał. Zbliżasz się do niego i ono cię przyciąga. Wnikasz w nie i czujesz na nowo ten cały ból, rozumiesz. Ból śmierci. Trudno to wytrzymać. To zmienia człowieka. Ale jeśli ci się uda, przejdiesz tam. Będiesz znowu u żywych. Nie będą cię widzieć, nie będą cię słyszeć, ale tam będziesz. A jeśli... jeśli będziesz tam wystarczająco długo, to w końcu cię zobaczą.

– Tak, możesz wrócić z powrotem tą samą drogą. Wtedy jest nawet gorzej, bo już wiesz, co cię czeka. Ale nawet jeśli postanowisz wrócić, nie będzie to proste. Nie tak łatwo jest znaleźć swoje ciało. Tu, u nas, jest tam gdzie umarłeś. Ale w świecie żywych żywi biorą przecież ciało i zakopują je na jakimś cmentarzu, co nie? Czujesz co prawda gdzie ono tam jest, bo jakoś cię przyciąga. Sama podróż do niego nie jest jednak łatwa. Trudno podróżować u żywych.

– Czas płynie inaczej u żywych. Przyspiesza, gubisz się, zapominasz. Są tam i inne rzeczy, inne istoty, a niektóre wyjątkowo nie lubią zmarłych. Jeśli jednak znowu wejdiesz w swoje ciało i przejdiesz do nas przez swoje ciało tutaj, będziesz silniejszy. I zmienisz się. Bo kiedy on w końcu wrócił, był już taki jak teraz. Wyglądał jak duch. Nawet gorzej: jak martwy duch, z zamkniętymi oczami. Ludzie zastanawiali się: co tam zobaczył? Co zobaczył u żywych? Ile razy przechodził tam i z powrotem, na nowo przeżywając swoją śmierć? W każdym razie wszystko się wtedy zmieniło. Przestał się ukrywać. Zaczął polować na tych, którzy jego zdaniem zasłużyli na karę. I budował swoje piekło, piekło w Strzyżewie. A miał do tego wyjątkowy talent.

– Widziałem go kilka razy. Wychodził zawsze nocą tak, jakby szkodził mu dzień. Lewituje, wspina się po murach jak jakiś wampir. Jest tylko z pozoru powolny bo jak trzeba, potrafi być bardzo szybki. Nie wiadomo dlaczego część osób zostawia, a część nie. Tych, których zabierał zmieniał tak, jak potrafił zmienić fragmenty Strzyżewa. Zaciągał ich do tego kościoła i tam... nie wiem, co im tam dokładnie robił, ale wychodzili stamtąd połamani i zniszczeni. A potem... Brał ich nieforemne ciała i albo puszczał samopas, albo budował im indywidualne piekła w różnych miejscach. Mówiłeś, że widziałeś jedno z tych miejsc, tak? To lepiej nie wchodzić do domów. Lubi domy. Sporo w nich jego piekieł, możesz

mi wierzyć. Naprawdę sporo.

Umilkł, zmęczony długim wywodem. Milczeliśmy wszyscy: trudno było o jakiś komentarz do tego horroru. Oszałały, martwy od dawna ksiądz, Strzyżewo zmarłych umiejscowione gdzieś „obok” świata żywych, zagadkowe i upiorne powroty do tego świata, piekła tworzone przez złośliwość, strach i nienawiść... Wstałem i podszedłem do jednego z okien. Wyjrzałem na zewnątrz, w stronę odległego rynku.

– Dlaczego nic z tym nie zrobiliście?

– Żartujesz – Natalia uniosła się na łokciach. – A co niby mieliśmy zrobić? Widziałeś go, jak zasuwa? Na głowę chyba upadłeś!

– Czekaj Natalia, on chyba nie rozumie – Edward zamknął księgę, w powietrze uniósł się obłoczek kurzu. – Próbowaliśmy, jeśli chcesz wiedzieć. Jakieś... dziesięć lat temu? Trudno powiedzieć, bo tu czas jakoś się ciągnie, jest ślamazarny. Głupia jesień potrafi trwać bardzo długo.

– I co? Nie udało się?

– Nie udało się – potwierdził. – Mieliśmy fajny plan. Chcieliśmy go spalić w tym jego kościele. Wraca tam za dnia i siedzi aż do nocy. Taki staruszek, Robert jakiś tam, kiedy umarł, miał przy sobie zapalniczkę. Pomyśleliśmy, że powyciągamy trochę benzyny z tych wraków, które są w Strzyżewie, podlegemy kościół i gotowe. Nie mieliśmy pewności, czy to zadziała. Czy można spalić zmarłego? Ale doszliśmy do wniosku, że jak się sfajczy, to zajmie mu mnóstwo czasu zanim na nowo się zregeneruje. Może udałoby się wtedy coś wymyślić, co z nim zrobić... No i wybraliśmy się pewnego dnia pod ten kościół. Było nas chyba trzydziestu – potarł czoło. – Mieliśmy jakieś trzy litry benzyny, niedużo, ale myśleliśmy, że to wystarczy.

– I nie wystarczyło?

– Nie, to nie tak – pokręcił głową. – Kościół zaczął się palić. Zablockowaliśmy drzwi i okna, mieliśmy pochodnie. I nagle... zobaczyliśmy jak te drzwi zaczynają się wybrzuszać. Łomotał w nie od środka, jak oszałały. Był potwornie silny. Cofnęliśmy się, część osób uciekła. I nagle – uderzył pięścią o okładkę księgi – trzasnęło! Drzwi pękły, a on wyleciał. Palił się i wrzeszczał. Ten wrzask... on nie wrzeszczał jak człowiek. Byliśmy nieżywi, ale to on wyglądał jak duch. Twarz miał białą jak kreda, wydawał się cienki i bardzo wysoki jak własny cień, oczy wciąż zamknięte jak trup, ale otworzył szeroko usta, bardzo szeroko tak,

że widzieliśmy tylko czarną jamę. Skoczyliśmy ku niemu z pochodniami, ale złapał jednego z nas. Chyba sołtysa. Wziął... i go rozerwał na pół, ciągle krzycząc jak opętany. I wtedy... wtedy uciekliśmy.

Przełknąłem ślinę.

– I od tego czasu nie próbowaliście?

– Nie – odezwała się Natalia. – Już nigdy.

Oparłem się o ścianę. Chciało mi się gwizdnąć, zaśmiać, a może zapłakać.

– Wiecie co – odezwałem się po chwili przygnębiającej ciszy – w zasadzie, to wcale się wam nie dziwię.

Zmierzchało, kiedy zostawiliśmy Edwarda i powolnym, zrezygnowanym krokiem zaczęliśmy iść w stronę stodoły. Czułem przygnębienie: pozagrobowy świat niewiele jak się okazało, różnił się od zwykłego. Były tu te same rozpadające się sprzęty i budynki, te same stare drzewa i – podobnie jak w życiu – nocą lepiej było siedzieć w domu, a nie wałęsać się po ulicach.

Zaróżowione niebo pomalowało naszą ponurą wieś na wesołe kolory. Spojrzałem przed siebie: spuchnięta kula słońca nurkowała między czubkami leśnych drzew. Rozsądek nakazywał się śpieszyć, ale widziałem już stodołę. Kilkadziesiąt metrów i zaraz będziemy na miejscu.

– Nie masz chyba pretensji, że pomieszkamy razem? – spytałem. – Pewnie znajdę sobie z czasem jakiś dom. Sporo tu pustych, co? – odchrząknąłem. – I dziękuję.

– Za co?

– Za rozwalenie mi łba kamieniami.

– Nie ma sprawy – powiedziała, w zamyśleniu kopiąc jakąś grudkę. – Eee... Jerzy?

– Co?

– Jak się ubierają teraz dziewczyny? Te z twoich czasów?

– Nie spodobałoby ci się.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nieważne, i tak nie mogę zmienić ubrania. Nie mam na co. Zresztą to się nie niszczy, wiesz? To pewnie nie jest nawet prawdziwe ubranie. Zmienia się, kiedy sam się zmieniasz, rozumiesz.

– Nie rozumiem, ale nie szkodzi.

– Szkoda, że nie masz fajek – westchnęła. – Nie umarłeś z fajkami, co?

– Nie palę.

– Kurde! No nic, trudno – skrzywiła się. – Mam jeszcze karton, ale szybko idą. Na rynku jest kilka świeżych sklepów, które niedawno musieli wybudować żywi. Edward może zbierać te swoje książki, ale fajki to podstawa.

– W zasadzie to ciekawy problem logistyczny. Palisz fajki, czy cienie fajek? – zażartowałem.

– Chyba nową markę. Fajki Obok – zachichotała. – Ale wiesz, czego mi najbardziej potrzeba? Jakichś płyt. W bibliotece jest stary adapter. Nakręcany, czujesz? Możesz wsadzić płytę i posłuchać kilku kawałków. Najlepiej z samego rana, kiedy Eliza siedzi w piwnicy.

– A po co tam łązi?

– Od stu lat segreguje jakieś fiszki – znowu się zaśmiała. Miała miły śmiech. – Sto lat, wyobrażasz sobie?

Przechodziliśmy już przez bramę, kiedy sam zachichotałem.

– Wiesz co – zagadnąłem. – Pokaż mi ten samochód. Wiesz, ten w którym zginąłem.

– A po co ci to?

– Moja miła, poznasz za chwilę tajemnicze pudełeczko o nazwie iPod. Powinien być w pełni naładowany.

– Nie czaję.

– To zaczniesz – obiecałem. – Będziesz miała te swoje „płyty”.

Uśmiechnęła się i skrzywiła w lewo. Poszedłem za nią.

Cinquecento leżało w rowie, wbite w okazały buk tak, jak zauważyłem je na samym początku. Teraz wiedziałem, czyj to samochód. I wiedziałem, czyje ciało jest za kierownicą.

– Poczekaj – Natalia złapała mnie nagle za rękę. – Nie idź.

– Co?

– Nie zależy mi, ok? – dziwne, ale zaczęła wyglądać na wystraszoną. – Daj spokój. Już ciemno. Chodźmy do stodoły i tyle. Sama – przełknęła ślinę – sama go jutro wyciągnę, ok? Wy tłumaczysz mi jak wygląda...

– Sama daj spokój – zaoponowałem. – Chodzi ci o moje ciało, co? Prawie nic nie czuję, mam tylko gęsią skórę. Nic mnie nie „wciągnie” do żywych. iPod jest zresztą w bagażniku, a zobacz: ten jest uchylony. Nie zamierzam grzebać przy swoich zwłokach.

– Nie o to chodzi. Wracajmy – ścisnęła mnie mocniej. – Jerzy. Proszę.

– Nie wygłupiaj się – odsunąłem jej rękę i zacząłem iść w kierunku wraku. – Już za chwileczkę, już za momencik – zanuciłem, chcąc ją nieco rozbawić – zapoznasz się z dokonaniem tajemniczego artysty o nazwie Fisherspooner!

Ale nigdy nie wyciągnąłem tego iPod'a. Wystarczyły trzy kroki bym dojrzał i nagle zrozumiał.

Cień zmasakrowanej galarety za kółkiem, to musiałem być ja. Twarz wbita w kierownicę, jak w masło. Używany wóz, powypadkowy, bez poduszek powietrznych. Oszczędność – drugie imię śmierci. Ale nie to spowodowało, że w oczach stanęły mi nagle łzy.

– Jerzy...

– Wiedziałaś! – wyjęczałem. Zasmarkąłem się, ale niewiele mnie to obchodziło. – Wiedziałaś, do cholery!

– Jerzy... posłuchaj...

Odwróciłem się do niej. Stała dwa metry dalej i patrzyła na mnie ze smutkiem, jak wyrzut sumienia.

– Nie mogłam nic zrobić.

– Nie mogłaś? Nie mogłaś!

Sam nie wiem jak to się stało, ale stałem już przy niej, ściskając ją za gardło. Szarpała się, ale ja byłem silniejszy.

– Ty suko!

– Puść!

Czy zmarłego można udusić? Cóż, jakkolwiek dziwnie to brzmi, na pewno można zabrać mu dopływ powietrza. Widziałem jak twarz Natalii sinieje, a oczy powoli wywracają się białkami do góry. Mdląła. Wyglądała jak... Puściłem ją nagle i usiadłem na drodze, płacząc. Słyszałem, jak ciężko kaszle, a potem oddycha, z trudem próbując wypluwać poszczególne słowa.

– Jerzy... prze... przepraszam...

– Pierdol się!

– Wziął ją. Proszę cię. Wziął ją. Dawno. Już po niej. Nie mogłam nic zrobić. Musiał ją wziąć, bo nigdzie jej nie widziałam.

– Kłamiesz!

– Nie, ja...

– Skąd wiesz, że miałem córeczkę?! – przerwałem jej. – A nie synka, co? Miała na sobie spodenki... a teraz nie... nie widać... nie może być widać, nie po tym wypadku!

Nie odpowiedziała. Spojrzałem: zamazywała mi się przez łzy.

– W porządku. Widziałam. Zabrał ją – powiedziała martwo. – Zabrał ją sporo przed tobą. Zabrał ją tam, gdzie ich zabiera. Do kościoła.

– Do kościoła, tak?!

– Czekaj, gdzie... gdzie leziesz?!

– Zabiję skurwiela! A potem ciebie!

– On już nie żyje! – dobiegła do mnie, ale tym razem nie odważyła się mnie złapać. – Nie zabijesz go!

– Chcesz się przekonać?! Moja... moja Maja! Moja córeczka – znowu zacząłem płakać, a potem znowu poderwałem się na nogi. Przyspieszyłem. – Słyszysz dupku?! ZABIJĘ CIĘ!!!

– Przepraszam.

Były to tak ciche i niespodziewane przeprosiny, że stanąłem na moment – akurat na tyle, by oberwać w głowę porządnym, półkilogramowym kamieniem.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Moja była żona Elżbieta zawsze powtarzała, że ojciec ze mnie taki, jak z koziej dupy trąba. Zaliczałem się do tych szczęśliwych idiotów, którzy pozwalają dziecku jeść chipsy i lody zmieszane z ciastem, a – w przypływach piramidalnej głupoty – podrzucają je tak wysoko do góry, że ryzykują upadek i skręt karku potomka.

To, co Elżbieta uważała za przejaw kretynizmu, Maja wprost uwielbiała. Napychałem ją czekoladą i pozwalałem nie myć się przed snem, do którego dochodziło dopiero wtedy, kiedy sama padła. Telewizja? Proszę bardzo. Komputer? Jak najbardziej. Wystarczyło, że moją szyję otuliły małe rączki i byłem zapakowany i sprzedany. Rozpieszczałem to dziecko jak niefrasobliwy dziadek i wiedziałem, że pierwszego kandydata do ożenku spuszczę ze schodów jeśli nie będzie zarabiał trzy razy więcej ode mnie. Miłość do mojej córeczki miał ów nieszczęśnik dodatkowo udowodnić odciskami na rękach, które – co zrozumiałe –

pojawiają mu się wskutek nieprzerwanego noszenia „mojego skarbu”.

A teraz mój skarb porwał nienormalny, zmarły strzyżewski ksiądz.

– Budzi się?

– Chyba tak.

– Za mocno go związałeś.

– Przecież od tego nie umrze.

– Bardzo zabawne.

– Jerzy... jesteś tam?!

Nie było sensu dłużej udawać, więc otworzyłem oczy. Obraz był jak za mgłą, zapaskudzony przez ciemnokrwiste plamy, ale zauważyłem i Natalię, i Edwarda. Przywiązali mnie do jakiejś belki w stodole. Stali nade mną jak dwóch wystraszonych swoich wybrykiem gnojników. I bardzo słusznie. Wiedziałem, że gdy tylko się uwolnię, łby im poukręcam.

– Wiedzie... – splunąłem. – Wiedzieliście.

Natalia nie odezwała się, ale Edward kucnął przy mnie. Patrzył teraz wprost w moje oczy, zza grubych szkielec. Jego spojrzenie wydało mi się raptem inne, jakby mądrzejsze. Dziwne. Pomyślałem: jak długo? Jak długo tu już jesteś, wyrostku? Ile dekad tkwisz „obok”?

– Jeśli obiecasz, że nic nam nie zrobisz, rozwiążemy cię – powiedział.

– Obiecuję – odparłem. – I to jeszcze jak obiecuję. Obiecuję wam wiele różnych rzeczy. Rozwiążcie mnie, do cholery!

– Sam widzisz – dobiegł mnie głos Natalii. – Jak zobaczył, kompletnie mu odbiło.

– Jerzy – Edward mówił do mnie niemal szeptem – zrozum, to nie nasza wina. Natalia owszem, widziała twoją córeczkę, ale tylko przez chwilę. Jak stała przy wraku i... – zawahał się – i płakała. Ty łaziłeś dookoła. Byłeś Nieprzytomny, tak?

Zacisnąłem oczy, ale wyczarowany przez niego obraz nie chciał zniknąć. Kręcę się przy samochodzie, dziecko wyciąga do mnie rączki... ale ja go nie widzę.

– On tam od razu przylazł. Widział ciebie, ale Nieprzytomni go nie interesują. Złapał za to twoją córeczkę i... – znowu urwał na moment by wreszcie dokończyć głucho: – zabrał ją.

– Po co? Żeby ją...

Edward kiwnął głową. Szarpnąłem się, ale więzy mocno trzymały.

– Zabiję go! – krzyknąłem. – słyszycie?! Rozwiążcie mnie, do cholery! Musi być jakiś sposób, żeby... Widziałem, co z nimi robi. Przeciąga ich, tak? Do żywych. I ściąga ich z powrotem. Zrobię z nim to samo!

Edward pokręcił głową.

– To nic nie da, Jerzy. Jest już zbyt silny. Sam sobie tylko zaszkodzisz. On przecież przełaził tam i z powrotem, wiele razy. Jest obłąkany, ale silniejszy niż ty.

– Zabrał moją córeczkę!

– Słuchaj... – Edward złożył dłonie w trójkącik. Wciąż patrzył mi prosto w oczy. – On nie ściągnie jej od razu. Nie teraz. Zrobi to dopiero za jakiś czas, wtedy kiedy... Będzie już z nią źle. Świat żywych nie jest dla nas bezpieczny, mówiłem ci. On nas zmienia, tak jak zmienił jego.

Skoczyłem niemal ku niemu, ale sznur wciąż mocno trzymał. Trzeba mu przyznać, że nie cofnął się, nie wystraszył. Uśmiechnąłem się krzywo.

– W takim razie sam po nią pójde. Nie pozwolę mu jej zabrać.

– Nic na to nie poradzisz – odparł. – Zgubisz się tam i oszalejesz. Będiesz nękał żywych, aż staniesz się swoją własną upiorną karykaturą. A on ściągnie cię potem tak jak pozostałych i zafunduje ci prywatne piekło.

– Musi być jakiś sposób!

– Nie.

– Nie pieprz. Ile tu już jesteś? Możesz udawać przed Natalią, że masz tyle samo lat co ona, ale mnie nie oszukasz – skrzywiłem się. – Sam przyznałeś, że pamiętasz, jak jeszcze ksiądz był normalny.

– To nie ma nic do rzeczy...

– Ma. Tylu wpadło w jego sidła, a ty nie? Po tylu latach? Chcesz powiedzieć, że potrafiłeś przetrwać tyle czasu? – znowu się szarpnąłem. Strzelałem na ślepo, ale zmienił się na twarzy. Na pewno coś ukrywał. – Dogadałeś się z nim, co? Co z tego masz? Daje ci spokój, co? Jak myślisz, ile to jeszcze potrwa? Nie... – zawahałem się – czekaj... Już wiem.

– Nic nie wiesz – zdenerwował się. Przechyliłem głowę, ale dobrze widział, na kogo patrzę.

– Ona, co? – wyszeptałem. – Popatrz tylko. Narkomanka, pankówa. Istne siedlisko grzechu. Rozumiem, że na początku była nieprzytomna, ale kiedy ją już przebudziłeś... Bo ty to zrobiłeś, prawda? Obudziłeś ją, a on ją dojrzał. I nic jej nie zrobił?

– Przestań.

– Powiedz mi – doszeptałem. – Albo ona się dowie. Jak myślisz, będziesz miał jakieś szanse, kiedy będzie wiedziała? Bo i tak są kiepskie.

– O czym mówicie? – Natalia zainteresowała się najwidoczniej naszą wymianą zdań, bo podeszła bliżej. Edward wstał. Patrzył na mnie gniewnie, ale widać było, że nasza rozmowa nie za bardzo mu odpowiada. Oblizął wargi.

– Natalia, przetnij te sznury.

– Zwariowałeś?

– Przetnij je mówię. Jerzy nic nam nie zrobi. Wie, że to nie nasza wina. Jest tylko zrozpaczony. Prawda, Jerzy?

Z początku nie odpowiedziałem. Kiwałem się ze spuszczoną głową. Potem spojrzałem na niego raz jeszcze.

– Nie – powiedziałem. – Nic wam nie zrobię. Zrobię coś tylko jemu, prawda Ed?

Zapadła cisza. A potem, patrząc mi prosto w oczy, kiwnął niemal niedostrzegalnie głową.

– Przetnij sznury, Natalia.

– Ale...

– Przetnij, proszę.

Przecięła.

Czasami miewam sny.

Zmarli nie powinni mieć snów. Sny to domena żywych. Ale, kiedy przerywam na moment swoją wędrówkę po świecie żywych by odpocząć, sny przychodzą do mnie i nic na to nie poradzę.

Śnię o Strzyżewie „obok”. O wynaturzonych, zmęczonych cieniach drzew. O rozsypujących się powoli domach. O suchej trawie i o wraku cinquecento. I o kościele stojącym niedaleko niewielkiego, zapomnianego cmentarza.

W moim śnie wszystko spowija błyszcząca mgła. Lewitują w niej niewielkie iskierki: to promyki nadchodzącej zmiany. I wtedy pojawia się światło, które ożywia kamienie i rośliny. Spomiędzy szczelin zaczynają wyrastać srebrne kwiatki. I zapach: tak, pojawia się zapach. Zapach słodkiej wanilii.

Jest tam Edward. Stąpając pomiędzy chałupami naprawdę wygląda jak zmarły Harry

Potter. I naprawdę czaruje: dotyka ziemi, wskrzeszając promienie i iskry. Szepcząc, zmienia kolor drzew. Powoli – bo wszystko tu trwa powoli – ale coś z tego wychodzi.

Pojął naukę.

Świtało.

Strzyżewo opierało się wstającemu słońcu, z trudem przyjmując w siebie promienie światła. Wiedząc co się dzieje, łatwo dostrzegałem czarne, odporne plamy. Ślad tu i ślad tam: podpisy martwego księdza. Trzecia chałupa po lewo: piekło. Dziura pod kościołem: piekło. Fragmenty piekła, niczym wirus atakujący zdrową tkankę.

Szliśmy w stronę kościoła we trójkę, ale do środka miałem już wejść sam. Nie miałem broni, nie licząc tej spoczywającej bezpiecznie w mojej kieszeni. Nie oglądałem się za siebie, bo i po co. Nie będę tęsknić: to wiedziałem na pewno.

– Czujesz? – spytała Natalia. Kiwnąłem głową.

Nie zauważyłem tego wcześniej, ale wokół kościoła wisiała gęsta, mroczna aura. Powietrze zdawało się bardziej ciężkie, ziemia bardziej kamienna. Nawet słońca było jakby mniej, ale to akurat najmniej mnie dziwiło. Ksiądz nie przepadał za słońcem. Ciekawe, czy to dzięki jemu podobnym powstały legendy o wampirach.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Edward.

Kościelne drzwi bardziej przypominały bramę niż zwykłe odrzwia. Drewniane i ciężkie nie miały na sobie żadnych ozdób. Tylko na samej górze ktoś, najprawdopodobniej ksiądz, umieścił masywne grawery z żelaza. To było coś w rodzaju wiszącego nad drzwiami wielkiego okucia, pełnego upiornych płaskorzeźb. Zmrużyłem oczy. W coraz jaśniejszym świetle dnia, łatwo było dostrzec szczegóły: wykrzywione, z wolna poruszające się fragmenty ciał i twarze. Usta otwierały się w bezgłośnym jęku, drgały przymknięte powieki.

– Jeśli chciałbyś wiedzieć, co zrobił z niektórymi zmarłymi ze Strzyżewa, to teraz już wiesz – powiedziałem do Edwarda – ozdabiają wejście.

– Co to takiego? – wyszeptała Natalia.

– Ostrzeżenie – wyjaśniłem. – Lepsze od napisu nad drzwiami u Dantego: „porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie”. Cóż, akurat tego nie zrobię. Wchodzę.

– Ostatnie słowo? – spytał Edward. Wzruszyłem ramionami.

– Do widzenia? Dobra, otwieram. Cofnijcie się.

Usłuchali. Edward pierwszy zszedł po kościelnych stopniach i usadowił się przy dawno ogołoconym ze zmarłych cmentarzyku. Stał z rękoma w kieszeniach swojego trumiennego garniturku czekając na Natalię.

– Jerzy – odezwała się do mnie, kiedy dotknąłem ciężkiej, mosiężnej klamki.

– Co?

– Nie musisz tam iść. Możesz zostać. Jak... – zawahała się. – Jak na starca, jesteś całkiem w porządku.

– Dzięki – uśmiechnąłem się i nacisnąłem klamkę. Spojrzałem wyczekująco na Natalię, czekając, aż zejdzie po schodkach. Dopiero kiedy stanęła obok Edwarda, naparłem na drzwi.

Szło mi nad podziw gładko. Drzwi uchyliły się i wszedłem do środka, stając na kamiennej posadzce. Jeśli myślałem, że wejście zamknie się gwałtownie za moimi plecami, to byłem w błędzie. Odrzwia zamknęły się wolno, z głuchym tąpnięciem, jakby ktoś kładł mi na grób cmentarną płytę.

Zostałem sam.

Kościół nie był wielki. Kopuła sufitu, pokryta przez niewyraźne freski wyglądała na popękaną. Nad drewnianymi ławkami unosiła się czarna secesyjna ambona. Przez kolorowe witraże przeciskało się światło, malując posadzkę na żywe kolory. Na lewo i na prawo stały stare spróchniałe konfesjonały, a nieliczne klęczniki wyglądały na mocno zakurzone.

Postąpiłem kilka kroków do przodu by szybko zauważyć, że Bóg nie mieszkał już tu od dawna. Martwy ksiądz pozdejmował wszystkie krzyże i powyrzucał święte figury. Nie było tu też świętego sakramentu. Zamiast niego, na pozbawionym ozdób ołtarzu stała tylko jedna rzecz: wielka i stara, na wpół zgniła trumna. Wszystko tak, jak powiedział mi Edward.

– Jestem! – krzyknąłem. – Słyszysz, pojebańcu? Jestem!!!

Coś się poruszyło. I ten chłód: poczułem go nagle, mroźny i martwy podmuch. Nie wiadomo było skąd dochodził, dopóki nie spojrzałem w górę.

Upiór wisiał na wielkim kandelabrze, z opadającymi w dół rękami. Tak jak i wcześniej wydał mi się wielki i dziwnie cienki, spowity w czarną sutannę. Głowę miał przekrzywioną pod dziwnym kątem i nagle pomyślałem: powiesił się. To samobójca. Czy dlatego...? Głos zamarł mi w krtani. Podeszedłem bliżej.

– Słyszysz mnie?!

Zadrgał, jakby przeszedł przez niego silny prąd. Kandelabr zabrzęczał. Czy był to jego duch, czy ciało? Nie – to był on. Ciało musiał zdjąć dawno i umieścić w tej starej trumnie, a teraz spał w ten przerażający sposób – powieszony jak wtedy, gdy zdecydował odebrać sobie życie. Zauważyłem teraz, że ma gołe, poranione stopy z których coś kapało: czarna, ciężka maź. Krew? Najgorsza była wszakże jego martwa twarz: rozciągnięta i nienaturalna, z wciąż zamkniętymi oczami.

Nie reagował. Bardziej wściekły niż przestraszony podszedłem do trumny i popchnąłem wieko. W nozdrza uderzył mnie zapach starej zgnilizny. Było tam jego ciało, które wydało mi się czarne, jakby spalone. Czy to resztki sutanny? Popchnąłem mocniej pokrywę, szło opornie. Kiedy odsunąłem ją w dwóch trzecich, kandelabr zadzwonił tysiącem szklanych ozdób. Odwróciłem się.

Ksiądz spłynął w dół, jakby ktoś spuszczał go na niewidzialnej linie. Zatrzymał się tuż nad ziemią, ledwo ją dotykając poczerwiałymi palcami stóp.

– No chodź, sukinsynu – powiedziałem. – No chodź, księżulku.

Ruszył się. Jego głowa wyprostowała się powoli, zupełnie jakby coś ją nakręcało. Oczy miał zamknięte, ale patrzył na mnie. I nagle zaczął mozolnie ku mnie sunąć. Cofnąłem się odruchowo; w plecy wbił mi się brzeg trumny. Nie chciałem żeby się zbliżał, ale wiedziałem przecież, że to nieuniknione. Był już całkiem blisko i nagle wyczułem czego chce. Pragnął mnie objąć, objąć i utulić. Zawrzeć mnie w uścisku tak, bym stał się mu bardzo bliski. Zupełnie, jakbym miał stać się nim.

– Nie boję się – powiedziałem, kiedy w końcu mnie dotknął. Ale nie była to prawda. Był zimny, potwornie zimny, silny i potwornie pusty. Złapał mnie wpół i zaczął ciągnąć do wnętrza trumny. Tu, już za chwilę, miałem umrzeć razem z nim. I znaleźć się tam, skąd spodziewał się zabrać mnie w powrotną przejażdżkę. I raz jeszcze. I jeszcze raz. Aż oszaleję. Aż oszalejemy oboje.

Wyciągnąłem z kieszeni zapalniczkę świętej pamięci Roberta. Nacisnąłem zapłon i, czując już powiew jego śmierci zapaliłem płomień.

Ale on otworzył oczy.

Był ślepy. Patrzyły na mnie dwa białka pozbawione źrenic. Ksiądz otworzył usta – znów zobaczyłem tę czarną jamę – i wpił mi się nimi w ramię. Jęknąłem. Nie ssał krwi, ale czułem jak wysysa coś ze mnie, jak słabną mi ręce. Zapalniczka wypadła mi z dłoni i zgasła.

– Nie! – zawodziłem. – Nie, nie, nie!

Martwy ksiądz nie słuchał. Kładł mnie już w swoje ciało i wtulał się we mnie tak mocno, że poczułem nagle na gardle uścisk liny. Wieszaleń się. Wieszaleń się razem z nim. Boga nie było. Nic nie miało sensu. Wszystko to kłamstwo, wszystko było stracone. Stracone było całe życie. Czy były to jego myśli czy moje? Nie wiedziałem. Dusilem się.

To był koniec.

– Ej, wiecholu! Słyszysz?! Halo, wieśniaku! Zostaw go!

Przed oczami miałem już mroczki, serce biło wolniej i wolniej. Jak przez mgłę dobiegł mnie łoskot przewracanych ławek.

– Ej, widzisz to? Rozpierdalać ci tę budę, dziadu! Punk is not dead!

Chyba wtedy mnie puścił. Złapałem się od razu za gardło, łapczywie chwytając powietrze. Chwyciłem ręką za brzeg trumny i wypadłem na zewnątrz, waląc ciałem o kamienną posadzkę.

Natalia stała obok zdemolowanych ławek z zapalniczką w dłoni. Edward w tym czasie przewracał konfesjonał. Nawet z tej odległości widziałem, że wolałby być zupełnie gdzie indziej. Budka wywalila się i od razu pękła, zapewne ze starości. Ale ksiądz nie patrzył w tamtą stronę. Patrzył na Natalię.

– I co wlepiasz gały, popaprańcu?! – krzyknęła. – Co ty sobie...

Nie dokończyła, bo ksiądz jednym susem znalazł się przy niej i chwycił ją za tapirowane włosy. Był szybki, potwornie szybki. Krzyknęła z bólu, kiedy zaczął ciągnąć ją w stronę trumny.

– Natalia! – wrzasnął Edward.

Ksiądz nie patyczkował się z nią tak jak ze mną. Musiał czekać na to od bardzo dawna bo zachowywał się tak, jakby nas nie widział. Odepchnął mnie tak mocno, że poleciałem do tyłu rozwalając rząd kościelnych ławek. Zobaczyłem jeszcze, jak Natalia rzuca zapalniczkę. Upadła tuż pod trumną.

– Zrób to! – krzyknęła Natalia. – Zrób to!

Podniosłem się, ale zaraz przewróciłem zahaczając o fragment połamanej ławki. Nie dam rady, pomyślałem. Nie zdążę. Ale podpełzłem i złapałem zapalniczkę odrętwiałymi palcami. Już miałem zwolnić zatrzask, ale zawahałem się.

– Zrób to! – krzyknęła ponownie. Wpychał ją już do trumny i sam siedział już w środku. Widać było, że nie oderwę go od niej – byli już w połowie. Wklejali się jakoś, zanikali.

– Nie! – krzyknął Edward, biegnąc w naszym kierunku. Ale ja zapaliłem już płomień.

– Może i wyjdiesz – powiedziałem – ale wtedy już nie wrócisz, skurwysynu.

– Jerzy, czekaj! – Edward chwycił mnie za ramię. Odepchnąłem go. I spojrzałem w oczy Natalii. Musiała już cierpieć, czuć jego ból. Odwróciłem wzrok i przytknąłem ogień do spróchniałej trumny. Zapaliła się od razu tak, jakby na to czekała. A ksiądz zawył.

Nigdy nie zapomnę tego wrzasku. Chciał chyba przerwać przejście, ale Natalia trzymała go mocno, ciągnęła go w jego śmierć. Już siniał: zerwał honoratkę, która zajęła się płomieniem. Na szyi wykwitła mu samobójcza pręga. Płonął, ale niewiele mnie to obchodziło. Najważniejsze, że płonęło jego ciało. Upiór wyciągnął rękę, machnął w moim kierunku, ale palce miał już z zimnej, lepkiej mgły.

Zniknęli.

Dziś wyjeżdżam.

Stoję właśnie przy wraku cinquecento i patrzę w zadumie na swoje ciało. Edwarda przy mnie nie ma, nie chce ze mną rozmawiać. Wcale się mu nie dziwię. Sam bym nie chciał.

Czy moja śmierć będzie boleć? Możliwe, choć była dość krótka. Edward nie spali ciała, to mi obiecał. Nie ma to zresztą znaczenia: musiałby dokonać tego, w momencie mojego przejścia. Inaczej, jak uważa, przelazłbym nawet przez popioły. Liczy zresztą na to, że odnajdę nie tylko Maję, ale i Natalię. Jak twierdzi, w świecie żywych ksiądz nie będzie tak silny, jak w naszym strzyżewskim „obok”. Mam zatem szansę. A poza tym – ja mam drogę powrotu. On już nie, chyba, że pociągnąłbym go ze sobą. A tego na pewno nie zrobię.

Ale nie o tym chcę powiedzieć.

Myślałem dziś o zmarłych. Edward powyciąga tych, którzy tkwią w strzyżewskich pieklach. Jest szansa, że sami się uleczą skoro ksiądz nie będzie już ich „doglądał”. Rzecz jednak w tym, że potrafił owe piekła zbudować. Złą wolą, nienawiścią i strachem otworzył strzyżewskie czarne dziury.

Dlatego nachylałem się do ziemi i myślę o Mai. Myślę też o Natalii. O ich uśmiechach, o ich żartach, o ich miłości. Myślę nawet o punku. A spod mojej dłoni wyrasta piękny, srebrny kwiat.

Upiór stworzył tu piekło. Warto więc zrobić coś innego. Kto wie, może o to w tym wszystkim chodzi?

Oddycham głęboko i pełen nadziei wchodzę w swoje ciało.

A po chwili nie jestem już obok.

Wywiad z Wiedźmą

Chepcher Jones

Czułam, że znowu coś nadchodzi. Coś mrocznego, groźnego, niepewnego i ostatecznego. Cała chata się trzęsła, jakby dostała dreszczy lub, co wydaje się być bardziej malownicze, robaków. Kamienie w ogródku od strony drogi to aż pokryły się dziwnymi krostami, a sama ścieżka się zwinęła. Coś mi się widzi, że pewno znajdę ją w starym młynie przy Bełtawie, ale to potem. Najpierw stanę oko w oko ze złem. Mocą niewymiernie targającą moimi... aurami. Choć może to być też wczorajsza kapucha. Pycha była, Wam powiem, z grzybkami, świeżutkim mięskiem, no osesek nie mięsko! Zawiesista, lekko przypalona, z krwistymi pomidorkami, co mi je sąsiadka, obłudnie prosząc oczywiście o pomoc, podrzuciła. Dlatego atmosfera w domu raczej ciężkawa, ale to może i lepiej. W końcu oto i nadszedł. Jest! Widzę go. Wredny typ, albo tylko przyodział taką skórę. Kto wie, co się kryje w środku, gdy tylko opadnie wstążka i pozłotka? Łysawy, brzuchaty, prawie się toczy... zagłębia przez sztachety. Oj, nie zauważył gwoździ. A tak się dopraszały uwagi. I po portkach. Pierwsze starcie dla nas. A i chyba pierwsza krew utoczona. Kurcze, nie zniechęcił się. Idzie dalej, niestety ostrożniej. Gdzie! No facet, ty myśl, jaki dzwonek przy takiej ruderze, tyż brak wyobraźni, choć... może myśli, że po tym wszystkim zgrywam tylko ekscentryczkę?

W końcu czemu nie. Jestem gwiazdą!!!

Wróg jednak nadal w natarciu i już szturmuję główną bramę... znaczy furtkę się stara otworzyć. Dziwnie niemrawo mu idzie, a oliwiona woszczyną przedwczoraj i to świeżo toczoną. Powinna działać, choć uparte to bydle. O, jakoś poszło. Wpuściła go jednak? Ot, to ćwoczyca niemyta! Już ja jej potem deski wydrapię. Pozbędzie się ostatnich warstw niebieskiej farby... Usz wróg niepewnie kroczy ku mnie zerkającej zza zasłonki. No tak, ścieżki nie ma, zostały doły i wądoły, a i wodą wypełnione, mlaszczące chciwie, jakby głodne były, a karmiłam chyba niedawno, chyba... co rusz coś pyka na powierzchni. No chodź maleńki, pójdź w ramiona Wiedźmy. Oj! Dobra! To musiało boleć. Furtka jednak miała plan i nim wróg opuścił jej zasięg nagle cofnęła się i starą, zardzewiałą malowniczo gałką trzasnęła gościa w klejnoty. Zwija się. Jak ona trafiła? Przez ten bandzioch to

naprawdę nie wiem, jak on sam w ogóle widzi swój interes. No, ale nadal żyje. Spryciarz wziął kijaszek, co go ostatnio dłubać miałam na stracha na dzieci i zaparł furtkę. Nie da rady, ale ból zostanie. Ciekawe, jak mu pójdzie dalej? Jedna kałuża, druga, ot przyzwyczaił się i wyrznął w głaz. Ej, będzie nie tylko śliwa, ale się mu moja sztuka naskalna odbiła na nosku... ech!

No czas stawić mu czoła czas. Jeden rzut oka, prawego, co to mniej się obilo ostatnio, bo trza lico sprawdzić...

„Lustereczko, lustereczko, powiedz przecie... czyż nie najcudniejsza ze mnie wiedźma w Strzyżewskim świecie?”

„Like always, Ciotka!”

– Taaa? – uśmiechnęłam się promiennie i szeroko garniturem ubytków, otwierając drzwi, udając, że nie widzę ani błota, ani wojennych barw na licu wroga.

– Wiedźma ze Strzyżewa? Bo ja Redaktor Magister z wywiadem, dzwoniliśmy... –

– Ależ zapraszam. Trafił pan bez problemów, no jak tam życie w stolicy? Coś do picia? – Nawet nie sprawdzał, co to. A dałam mu nalewki na jarzębinie. Jak weźmie drugi oddech, znaczy twarda sztuka jest i przeżyje, czyli trzeba będzie zmienić taktykę.

– Może gulaszu?

– Na żabach?

Zerknął trochę podejrzliwie w mój kocioł, co, muszę przyznać, mnie obraziło. Co jak co, ale talent kulinarny domaga się zawsze dowodów czołobitności i pokłonów. Świniak owrzodzony! Asz by mu w dupsztala poszło...

– Nie! Ja patriotycznie, zagramanicznej kuchni nie ciekawam, się nie martwi, żadne ameby. Na sąsiedzie... –

Uuuu... salwa poszła po całej kuchni. Ot ty mój, będziesz to, kurde, własną mordą wycierał! Ino poczekaj, parszywy pismaku, ino czekaj jak cię po celebrycku zdzieleł chochlą!

– Za mocny? No za życia stary Maciszak se nie żałował przypraw, ale rodzina wdzięczna była za jego spokojny, wiekuisty sen. Bo widzicie on się odradzał...

– Wampir?

– A gdzie wampir, gorzej... poborca podatkowy!

– I teraz już nie wróci?

– A nie, po wygotowaniu i wysraniu raczej nie ma mocnych.

Kuchnie mam malowniczą, taką pod siebie zrobioną, więc pismak skulony na stołku z pieńka zdołał się wpasować ino pomiędzy kozę piecyk, a szafeczkę ze srebrnymi okuciami – wersja ćwieki. Bolesna przy zderzeniach, ale i ciągłym nacisku też.

– Chciałbym oczywiście porozmawiać o TAMTYM DNIU.

Słyszałam te wielkie litery, ale już się nie śmiałam. No bo i po co? Po pierwsze, nauczyłam się, że wtedy zawsze mniej płacili, a mnie się marzył nowy pluszak obronny. Taki rozmiaru półtora na półtora metra. Wersja zabij! Bo ten, co spoglądał teraz szklanymi ślepiami na pismaka potrzebował przyjaciela. A najlepiej trzech. Nie żeby sobie w obejmie nie radził, ale wiecie im więcej, tym weselej! Co dziwne, pismak wciąż go nie zauważył, a to rokowało na przyszłość. Niespodzianka będzie! Przygasiłam ogień pod gulaszem, stary raczej już nie mógł być bardziej aromatyczny, no i zaczęłam mówić. Znowu. Po drugie... miałam dość tej historii i skrywanej prawdy.

– Halloween. U nas wygląda jak wszędzie teraz. Latają te dzieciaki po ulicach, włączają na dachy, przebierają się, pacykują mordy. Co gorsza, dorośli też tak robią, a już ten karłowaty Zdych to mistrz jest. Szykuje się do helołina przez cały rok. Jak ostatnio przebrał się za Proboszcza, dostał wszystkie łakocie. I nawet nikt nie oszukiwał go robaczywkami. W tym roku nie było inaczej. A i pogoda była wstrętnie radosna. Ciepło wciąż, liście szeleściły zdobiąc wszystko kolorami. Normalna kobieta nie wie co założyć do takiej pogody. A ja ta chciałam nago polatać w kręgu penisowych głazów. Cudowne miejsce, naprawdę magiczne... podobno działa też na potencję, tak tylko wspominam... ale nie, nie można. Bo przecież dzieci, bo to podobno obnażanie!!! Ot, jakby coś ponad ciało dojrzałej bardzo raźnie kobiety, było piękniejszego? Niemożliwa przecież... –

– No tak, ale...

– Grzeczni starszym nie przeszkadzają! BABCIA CIĘ NIE UCZYŁA! – ryknęłam trochę. Pęto kiełbasy spadło z powały, a za nim potoczyły się cebule. Chyba worek pękł, nieważne. – Na dodatek na niebie była tęcza. Tak pięknie by się na miotle krążyło. Taka tęsknota. Widzę to, jakby znowu się działo. Ta kometa, która spadła tej nocy, pewno dlatego dzieciaki takie zielone były. Albo farbkę rzucili do składu ino w takim kolorze. Pamiętam, że Sołtys palnął w karczmie pogadankę o szkodliwości palenia, cukru, GMO i czym tam jeszcze. Przysnęłam. Jak wstałam, nikogo nie było, a w drodze do domu to ino te zielone dzieciaki przemykały. Ale tym razem wiedziałam jak się zemścić. Rok temu zeżarły mi serniczek z lukrem, który stygł lekko na oknie. Zeżarły i jeszcze chciały cukierków, więc

w tym roku ukręciłam mordoklejki. Wiadome było, że się smarkaczom rozdarte mordy skleją na tydzień. A co niektórym może na dwa. Nie mogę przesadzać. Z jednej strony należy trzymać swoją trzódkę w ryzach, z drugiej, z Proboszczem mam umowę. Uważamy, iż równowaga w przyrodzie być musi, a i w kasie też! Ale te zielone były dziwne. Krzyczały, ale piskliwie. Jakoś tak pipczały, dziwnie migały w okolicach skroni i wszystkie, ale to wszystkie miały wielkie, białe zęby. To u nas raczej sporadyczne. Wpierw myślałam, że znowu promocja jakiś tabsów w szkole, ale nie... coś było nie tak.

– Znaczy nie wie...

Nie dokończył. Jakiś ciemny, że nie wie jak się przy damie zachować? Czy coś z nim nie tak? Tureta ma? Takiego wiecie specjalnego, dziennikarskiego? Pierun wie, w mieście tyle tych chorób powymyślali, że się nie obaczy. Pluszak dał mu w zęby. Znaczy będę miała milusie perełki do niedzielnego naszyjnika. Po ostatnich redaktorach nawet to nie zostało. Każdy poległ przy próbie spożywczej. Pierwszy przy nalewce, drugi wpadł do gulaszu, co go w weki popakowałam już. Ten, mimo aparycji krągłej bili, miał jednak jakąś siłę. Coś mi w nim nie pasowało. A może zwyczajnie się starzeję?

– Uprzedzając pytania, wycieraj szmatą tą posokę, to nie chlew, to Chatka Wiedźmy jest, celbrycka w Strzyżewie! Jak nadmieniałam, uprzedzając pytania, nie czytam gazet, nie słucham radia i nie mam Telewizji. Jak mi się fantazji zachce, to se podpatrzę niziołki w kamiennym kręgu. A jak coś się ma stać, to wiem, nie potrzebuję, coby mi durne redaktory z miasta przypominały! Wiedziałam, że coś jest nie tak, ale w helołina zawsze coś było nie tak. Kilka lat temu spiryt zmienił się w wodę święconą, potem kanalizacja u sołtysa wybiła, nakryła sołtysową po szyję... z kochankiem. Ot norma, taki czas. Kołem się świat kręci. Musi coś się dziać, by i spokój mógł być, się nie da inaczej. Ale te zielone dzieci? Nabrałam pewności, jak się okazało, że galaretki, co je na przynętę wystawiłam, nie obklejają mojej furtki, tylko dostały nóżek i skrzydełek. I się rozmnażają!!! To była plaga, jak stonka, albo i gorzej. Nie Pluszak, już nie lej go, niech posprząta i zakrzepnie, przecież uświni nam chatę! Dobry Pluszak, idź weź sobie paczkę gumiaków mały kanibalisto! A ty słuchaj, bo powiem ci prawdę, a potem już z nikim o tym nie będę gadała, ale najpierw diengi malczik! Najpierw diengi.

Kulisty, zakrwawiony Redaktor ze szmatą wydobyl z kieszeni plik banknotów i patrzył jak Wiedźma je liczyła. Było coś w niej, coś nurtująco podniecającego... wzdrygnął się, jakby prąd go poraził i wrócił do szorowania. Nie zauważył, że potracił dyktafon, który

wpadł do miski z kompotem.

Kompot beknął i szepnął: „na zdrowie”.

– Może być, więc słuchaj, oto prawda. Nie wiedziałam, że alieny zaatakowały w swoich talerzach i czajniczkach świat. Nie wiedziałam. Po prostu lujnęłam w nie z gnojówki. A gnojóweczkę mam pierwsza klasa. Tyle tam światów, równoległych tyż i mas żyjących oraz nieżywych, że dobra na wszystko. Działa też na kurzajki i co dziwne, na porost włosów. Jakbyś był zainteresowany. Innym pismakom wcisnęłam kit o przygotowaniach i wielkiej walce, ale prawda była taka, że karmiona krwią gnojówka załatwiła sprawę. Szybko padali, ale co dziwne ani się nie rozpuszczali, ani nie znikali jak to było w całej reszcie świata. Podobno ci, co spadli na Strzyżewo to byli jacyś kacykowie, ichni proboszcze i Sołtysy, czy nawet... uch! Prezesy! Zawsze wiedziałam, że to miejsce ma potencjał, ale teraz trza będzie to zbadać dokładniej. Bynajmniej, gdy oni padli, zapici gnojóweczką, cała reszta na świecie podobno wyparowała, ale ci u nas zostali się cielesnie i wiesz...

– Zaraz zaraz, znaczy się zwłoki alienów wciąż są tutaj?

– A juści, no patrzy...

Poświata ze spiżarki była niemożliwa... Pismak, który nagle odzyskał siły i odkleił się od szmaty, chwycił za aparat i padł, no i zatrzęsł światem. Trza będzie ukusić go w saganie. No do beczki nie wlezie. Ale buty zachowam. Fajnie migają, jak się w nich chodzi i popiskują, jakby dusze ktoś w nich pozamykał. No i może pozamykał, tym lepiej, 1000 punktów do lansu Wiedźmy!

Na starsze panie, wiecie, rzadko kto zwraca uwagę. Niby mówią o tych zmianach, traktowaniu osób dojrzały, uniwersytetach trzeciego wieku... ale prawda jest jaka jest. My nie istniejemy, no i dobrze!

– O, Ciotka Budka, a wchodźcie, wchodźcie... no cóż tam targacie do miasta?

– A trochę zapasów na zimę i naprawdę niezłe zioła! Bo u was to tylko ta chemia, a na wsi wciąż bazujemy na ekologii! Żyjemy w łączności z całym kosmosem!

Wielkie powroty mistrza Gottentota

Paweł Mateja

O wszystkim, co wydarzyło się końcem maja roku 1939 na łące graniczącej ze Strzyżewem wiedziało niewiele, bo nikt, kto był świadkiem owych zdarzeń nie mówił o tym zbyt wiele. Później przyszła wojna, podczas której zbombardowano pół wioski; później przyszli ruscy i do reszty zrujnowali to co zostało. Wtedy już nikt nie chciał pytać o to, co było dawniej, świeżych ran jeszcze nie opatrzone, porodziły się dzieci z anonimowych gwałcicieli. A najbardziej dociekliwi albo uciekli już daleko, albo leżeli w zbiorowych mogiłach.

Może to i lepiej.

A oto, co w tamtym czasie się wydarzyło:

Stary dziad, Tadzio Walszczak, dobrze pamiętał nazwisko Gottentota, skoro więc zobaczył je na słupie ogłoszeniowym, zaczął krzyczeć w oburzeniu stek jakichś niewybrednych wulgaryzmów. Podeszło kilka osób, ktoś przeczytał:

Cyrk!

Uprzejmie zapraszamy wszystkich mieszkańców!

Szanowny mistrz Gottentot

wraz ze swoją zabawną kompanią

da występ w cyrku, który niedzielnym popołudniem

otwarty będzie dla wszystkich.

Uczone zwierzęta z dalekich krain!

Małpy i słonie!

Wesoła muzyka

i sztuczki, które zmienią już na zawsze wasze życie.

Coraz to nowe osoby podchodziły i czytały głośno, albo powtarzały, co właśnie czytał na głos kto inny. Golibroda wyszedł ze swojego przybytku, założył ręce nad grubym

brzuchem i dyskutował zawzięcie z medykiem. Deliberowali nad tym, co to właściwie słoń tak zawzięcie, że niemal poszło na brzytwy. Kilku rozwrzeszczanych chłopców zaczęło fikać w środku tłumu koziołki, aż pogonił ich proboszcz, bo jeszcze wtedy we wsi takowy miał co nieco do roboty. Sam ksiądz zaś zaczął dyskutować z Walszczakiem na temat nazwiska właściciela cyrku. Dziadzio bowiem zaklinał się na wszystkie świętości, że ów maestro już niegdyś w Strzyżewie bywał, jeszcze za dziadunia młodości i że nic dobrego z tego nie wyszło. Wtedy jeszcze występując samotnie, jako uliczny grajek i tandeciarz, grał fałszywe i smutne melodie albo sprzedawał rzeczy, które rozsypywały się w rękach jak tylko wróciło się do domu albo też okazywały się być czymś innym, niż się początkowo wydawało. Stary krzyczał i gestykulował tak zawzięcie, że skądś przypętało się kilku młodzików gotowych go przedrzeźniać za plecami aż proboszcz znów nie przegonił ich różgą. Duchowny utrzymywał zaś, że Walszczak plecie trzy po trzy i wszystko doszczętnie mu się pomieszało, choć sam nie mógł tych występów pamiętać, bo w tamtych czasach inny kapłan we wsi urzędował.

Przechodził wreszcie wójt – trzęsąca się i mokra od potu galareta. Przystanął sapiąc i przyznał, że to właśnie na jego zaproszenie przybywa cyrk Gottentota, za co spłynęły na niego słowa podzięk. Jak się jednak okazało w trakcie jego napuszonej mowy, nie miał z tym nic wspólnego i wcale nie wiedział, co to za wesola czereda, przez co zebrani stracili nim zainteresowanie.

W tych czasach wieś zdawała się jeszcze nie być jednoznacznie niebezpieczna, nikt nie mówił o niej, że jest przeklęta – a przynajmniej wydaje mi się, że tak było. Wieść rozeszła się szybko, wędrowała na językach z domu do domu, na pola i w las, nawet do chatki starej Sowy, więdźmy, która trzymała się na uboczu, ale której zdanie na temat cyrku cytowano też nie raz.

Mówiła, że Gottentot był już niegdyś w Strzyżewie, że jako wędrowny znachor leczył na targowisku ludzi, ale nikt nie ozdrowiał od jego praktyk, za to ona miała ręce pełne roboty, robiąc okłady na uschnięte kończyny czy wypalając wielkie kurzajki, jakie wyrastały niektórym na całym ciele. Mówiła, że był olbrzymem o skórze ciemnej jak smoła i rękach krótkich jak u kilkuletniego dziecka. Dziadzio zaś zaklinał się, iż obwoźny tandeciarz o tym nazwisku wyglądał raczej jak pajak-albinos, który spędził całe życie pod ziemią, że wzrok miał krótki jak u szczura, że miał wielką łysinę, ale włosy białe jak śnieg, że nie wiły się jak czarne winorośle, co powtarzała Sowa.

Słowa ich z poważaniem wracały włożone w cudze usta, bo liczono się ze starzyzną, ale też nikt nie brał ich do końca poważnie, bo co raz pletli jakieś niestworzone historie o diabłach, bo wiadomo było, że Sowa oszalała jak była jeszcze młoda i zgwałcił ją ktoś, gdy szła ze wsi do miasta. Dziadunio zaś lubił zagadywać tego i owego, a z ręki rzadko kiedy wypuszczał wtedy flaszkę.

Dzieci szybko znalazły miejsce gdzie – jak twierdziły – z całą pewnością rozbije się obóz cyrkowy. Była to wielka polana o mniej-więcej kolistym kształcie, z której można było bez problemu dojrzeć krzyż kościoła a do najbliższej chatki nawet dorzucić kamieniem. Żadne z dzieci nigdy cyrku nie widziało, słyszały tylko o nim jakieś opowieści. Wiedziały o wiele więcej, niż wydawałoby się ich rodzicom, ale też nigdy nie widząc podobnej rzeczy na oczy, tworzyły jej nedorzeczne wizje. Biegały tu i tam, goniąc się z poszczekującymi z uciechy psami, stawiały namioty z gałęzi albo zwyczajnie fikały koziołki i chodziły na rękach.

A gdzieś z boku polany w cieniu drzew siedział Skwarek i nucił pod nosem jakąś trudną do wychwycenia melodię. Patykiem dłubał między bladymi korzeniami i robakami, które umykały spod odsuniętego kamienia. Wcześniej któreś z dzieci wołało go z daleka, inne pomachało w jego stronę, ale wołał siedzieć dalej sam, bo męczył się szybko i zawsze dostawał najgorsze role w zabawach.

Były w wiosce dzieci i od niego grubsze, jak choćby syn piekarza, pulchny jak przerośnięta bułka, był Antoś, co stracił kiedyś palec, albo ta chuda jak patyk dziewczynka, co stała o kuli, bo kilka dni wcześniej tak przestraszyła się krzyku matki, że spadła z dachu, na który wlaźła dla przechwałek. Piszczala tam jak inne dzieci i śmiała się w głos, choć nie mogła biegać i skakać. Nie było tak, że to Skwarka odsunięto do grupy; od tak dawna chodził z poparzoną i czerwoną jak świeże mięso twarzą, że towarzysze zdążyli nawyknąć. Stracił wtedy w pożarze jedno oko i w ogóle nie poruszał się zbyt sprawnie, lecz to mu wójt-wuj wynagrodził, wciąż karmiąc go smakołykami, na jakie inne dzieci nie zawsze mogły sobie pozwolić.

Wszyscy znali we wsi historię, jak to się dom kowala zapalił nie wiadomo od czego w nocy i nim ktokolwiek mógł zareagować, zawaliły się od lat nie remontowane stropy i wszyscy prócz chłopca spalili się doszczętnie. I niby miał jakieś imię, nawet przez proboszcza w metryce chrztu wpisane, ale jak ktoś kiedyś rzekł: „Skwarek”, tak zostało, choć niejednemu żal było chłopca i że mu takie miano nadano.

Można by tu opowiadać, o tym, jak to czekano we wiosce na cyrk, można by opisywać zniecierpliwienie, nudzić o codzienności chłopów, o tym jak to wójt chodził między chałupami i rozповідаł zasłyszane gdzie indziej plotki, przypisując sobie autorstwo i twierdząc, że opowiada je pierwszy.

Można by opowiadać o tym, jak to dzieci co dzień wychodziły na łąkę i wyczekując wielkiego wydarzenia, organizowały spontaniczne, bezładne zabawy i własne festy. Albo o tym, jak to staruszkowie ciężkim krokiem ruszali na rynek czy w pola i pletli napotkanym swoje wersje historii, snując obawy jak opowieści.

Albo o tych ciemnych sprawach, co gdzieś w rudymentach miasta na wpół spały, roiły się w głowach tego i tamtego – dzikie fantasmagorie pełne niedokonanych żądz i marzeń, o których wspominać nikomu by się nie ośmielili, ale które realizowali powoli i skrupulatnie w ciemnościach każdej nocy.

Ale po co strzepić na to język, skoro owe wszystkie wydarzenia i tak miały okazać się nic nieznaczące?

A gdy przyjechali wreszcie do wsi, obwieścili to głośno i każdy mógł usłyszeć. Każdy wiedział, czy młody czy stary, albo głuchy czy ślepy.

Przodem jechał mały człowieczek na kozie, o dobrą godzinę wyprzedzając resztę taboru. Poganiane zwierze zawodziło i chude nogi uginały się pod ciężarem karzełka. Ten przykładał do ust krótką trąbę, z której wydobywał się jęk niewiele różniący się od koziego meczenia. Różnie jeżdźca później opisywano, choć prawie wszyscy byli co do tego zgodni, że miał czaszkę łysą i błyszczącą, wielką brodę splecioną w warkocze, a gdy wykrzykiwał łamiącym się głosem kwestie znane już z afisza, każdy mógł dostrzec, że w jego ustach brak całkowicie zębów.

Hałasy te niosły się w powietrzu, a był to ranek bardzo wczesny, dopiero zaczynały pisać pierwsze koguty. Pierwszy wyszedł za próg piekarz, ale krzyki idącego przez całą długość wsi komedianta w kilka chwil wybudziły nawet tych, którzy nie myśleli wcale wstawać z posłania przed godziną siódmą, a może i ósmą, jak wójta czy jego bratanka. Skwarek dopadł przybysza pierwszy. Mrużył jedyne oko, aby widzieć wszystko wyraźniej i chichotał podekscytowany, wyrzaskując z przejęciem jakieś pytania w stronę jadącego swoim piskliwym, lecz też nienaturalnie zachrypniętym głosem – mały człowieczek jednak nie odezwał się do nikogo ani słowem i nie zatrzymał się nim nie znalazł się na niewielkim

placu, nazywanym rynkiem, na którym wisiało obwieszczenie.

Tam stał chwilę w milczeniu, patrząc po twarzach zgromadzonych. Później mówił – a właściwie wykrzykiwał ogłoszenie raz za razem, jakby był nakręcaną zabawką. Później zaś padł na ziemię. Nikt nie sprawdził, czy przybysz jeszcze żyje, ale nie ruszył się na pewno przez długi czas. Zaniepokojona tłuszcza rozchodziła się powoli i wkrótce nie pozostał na placu nikt, poza nieruchomym ciałem leżącym obok bardzo flegmatycznej kozy. Ostatni odszedł Skwarek – pewnie zostałyby dłużej, ale stryj-wójt zawołał go na śniadanie.

Ciało leżało na placu przez kilka godzin. Prowadzone przez kalekiego prowodyra dzieci zjawiały się tam kilkakrotnie. Zniknęła gdzieś co prawda koza, której pewnie nie w smak było stanie na deptaku.

Kiedy słońce stało już w zenicie, na horyzoncie dostrzec można było wozy, jak powoli wyłaniały się spomiędzy łąnów zboża. Słońce piekło suchą ziemię i wzbijały się tumany kurzu, gdy kołyszące się na nierównościach koła przetaczały się drogą.

Ci, którzy pracowali w polu, usiedli i liczyli wozy. Pracujący z lewej strony ścieżki zarzekali się, że było ich co do sztuki siedem, ale Wizdyga, choć oczy miał już nie najlepsze, utrzymywał, iż liczył kilka razy i było ich nie mniej jak dziewięć. Wtórowała mu wnuczka, która właśnie niosła mu w pole pajdę chleba. Podobnie twierdzili inni, których pola leżały na prawo od ścieżki. Była w tym – co warto odnotować – niezwykła zgodność, gdyż strona prawa przekonana była, iż na tyłach toczył się niewielki i szpetny wóz, czarny jak smoła, a którego reszta zgodnie nie widziała.

Nie trwało długo, nim wozy przetoczyły się środkiem wsi, rzecz jasna w asyście czeredy, która początkowo wydawała z siebie piski podniecenia, później jednak ochłonęła zupełnie i w milczeniu pożegnała przyjezdnych za ostatnim domem. Kierowały się rzecz jasna w stronę polany, bo trudno byłoby o lepsze miejsce.

Godne odnotowania są jeszcze następujące fakty: nie widziano nikogo, kto trzymałby lejce i kierował wyprawą. Zniknęło też leżące na klepisku ciało, choć nikt nie zwrócił uwagi na to, czy to ktoś z wozu wciągnął je do środka, czy też mąż z forpoczty sam w końcu otrzeźwiał i zniknął niepyszny.

Piątka dzieci szła drogą. Zosia, Wojtuś i Klementyna to potomstwo gospodarza Wójcika, mały Teoś chowany jest tylko przez matkę, co lubi zaglądać do kieliszka tak często, jak chłopci nocą pukają do jej drzwi. Pierwszy idzie siostrzeniec wójta, cały się trzęsie

i szkaradna twarz mu poczerwieniała z podniecenia. Dzieci dostały od jego opiekuna trochę grosza, po to, żeby zabrały ze sobą Skwarka, ale przecież poszedłby z nimi i tak. Tylko dorośli tak naprawdę zauważają jak bardzo ma spalone ciało. Utyka i dyszy, męczy się o wiele szybciej niż inni, lecz idzie na przedzie, bo wszyscy słyszeli, że cyrk rozłożył już namioty. W ogłoszeniu stoi wyraźnie, iż w niedzielne popołudnie zaprasza się mieszkańców. Ledwie jest po kościele i obiedzie, ale dzieci z całej wioski już pędzą na polanę, gdzie zachwyca je barwność prążkowanych tkanin opinających olbrzymią konstrukcję. Głośno gra fałszywa ale wesoła muzyka, słyszeć ryki jakichś bestii, które gdzieś na tyłach obozu chcą rozerwać ściany klatek.

Dzieci zatrzymują się wraz i wstrzymują oddech w zachwycie. Bo przecież jeszcze tylko posiedzieć godzinę czy dwie, napawając się tym wszystkim, a później wejdzie się do środka, zostawi kilka groszy i zobaczy rzeczy, których może już nigdy nie będzie się miało okazji widzieć.

Dzieci chłoną ten pstrokaty obraz, ale wiele rzeczy umyka ich uwadze. Nie dostrzegają tego, że wkoło ani żywej duszy, jakby trupa ukryła się gdzieś, odpoczywając przed występem. Nikt nie biega nerwowo, nie krzyczy, nie poprawia ostatnich detali ani nawet nie nagania dzieci do środka.

Walszczak ma starsze i bardziej doświadczone oczy. Kręci głową zatroskany. Przyszedł na miejsce od razu po mszy i usiadł pod akacją, na tyle blisko, by widzieć cokolwiek, ale jednocześnie najdalej jak to możliwe. Nie ma on zamiaru wchodzić do środka w ogóle, nazwisko Gottentota to jedno, ale wszystko to nie podobałoby mu się wcale mniej, gdyby nazywał się ów mąż inaczej. Złe przeczucia dzieliła również Sowa, ta jednak zamknęła się w swojej chatce na cztery spusty i ani myślała się zbliżyć do polany choć na krok.

I tak aż do późnego popołudnia Strzyżewo wyludniało się powoli, a na polanie zaczęły gromadzić się tłumy. Dzieci i Walszczak byli tam już od dawna. Podekscytowana czereda i starzec ukryty gdzieś w cieniu, który odszedł szybko, jak tylko zabrzmiały pierwsze takty melodii płynącej z głównego namiotu. Trzymał się za głowę, mamrotał coś wyjątkowo niewyraźnie, mijał ludzi, którzy zeszli wczesnej z pola, pozamykali sklepy i domy. Ubrani odświętnie, w hałaśliwych grupach zmierzali na widowisko.

Po pierwszych taktach muzyka zmieniła się w miarową melodię na flet i cymbałki, która zapętlona raz za razem zrywała się znów i znów. Była to melodia wesoła, ale nieco

natrętna i drażniąca. Szybko wpadała w ucho, ale choć każdy chyba myślał, że po pięciu minutach znał ją na wylot, to nikt nie potrafił jej później zanucić.

Co ciekawsi krążyli już wokół namiotów, nikt jednak nie zaglądał do środka, nikt nie miał śmiałości. Nikt poza Skwarkiem i jego towarzyszami. Znużeni oczekiwaniem coraz to głębiej wchodzili w obozowisko. Zdawało się, że miejsce to było opuszczone, taką zastali ciszę i pustkę. Stały otwarte klatki, wozy głucho zamknięte i nawet na trawie nie wydeptał nikt śladów, nie było widać śmieci, nie ryczały żadne zwierzęta.

Skwarek nie czytał zbyt sprawnie, ale w domu wójta znalazł kiedyś pięknie ilustrowaną książkę, w której na jednej z rycin, podpisanej jako „akrobata cyrkowy”, zobaczył męczyznę nienaturalnie wygiętego w tył, z uśmiechem nieadekwatnym do wysiłku, jaki włożyć musiał w podobną konfigurację ciała. Wuj, który odpowiadał zawsze na każde pytanie, niezależnie od tego, czy znał na nie odpowiedź, powiedział, że na owej rycinie widać człowieka ćwiczącego przed jednym z numerów – po czym zaczął rozgadywać się o słońcach i gepardach, o malowaniu twarzy farbami i połykaniu noży – albo o karłach. Taki był jedyną osobą z cyrku, jaką Skwarek miał okazję zobaczyć, a nie chciał czekać do otwarcia, licząc, że może gdzieś podejrzy pracę cyrkowców – jako pierwszy – i że być może docenią jego dociekliwość, może nawet wytłumaczą, jak rzucać nożem albo tresować hipopotamy.

Rozczarował się więc ogromnie, gdyż nie zobaczył nic i już wracał, gdy usłyszał pukanie dobiegające z małego, czarnego wozu, stojącego na samym końcu polany. Mała Klementyna pisnęła i przestraszona uciekła, a za nią reszta dzieci. Został tylko Skwarek, który okiełznał rodzącą się panikę i podszedł do wozu. Pukanie powtórzyło się. Niewielkie drzwi wozu były zamknięte, okna zamazane smołą. Pukanie rozległo się po raz trzeci, zaintrygowany chłopiec odpowiedział podobnym sygnałem. Wtedy usłyszał szept, dobiegający gdzieś ze środka. Przystawił ucho do zamkniętych drzwi i próbował zrozumieć cokolwiek z bełkotu – jak mu się zdawało – skierowanego właśnie do niego. Nie potrafił rozróżnić słów, ale słuchał uważnie. I zdawało mu się, że głos ów sięga mu do wnętrza głowy, zaczyna wibrować, że wszystko drży i jednocześnie jest zimne, obce. Miał wrażenie, że nigdy nie będzie mu dane odejść z tego miejsca.

Nagle usłyszał zbiorowy krzyk radości, oto otwarły się podwoje dużego namiotu i tłum zaczął wchodzić do środka. Szepty ustały i chłopiec, wyrwany spod wpływu mamrotania, czym prędzej popędził w stronę wejścia.

Oto zaczyna się najważniejsza część historii.

Namiot cyrkowy z zewnątrz zdawał się ogromny, ale gdy wszyscy rozsiedli się w wąskich rzędach i ktoś zasunął kurtynę u wejścia, nagle wydało się, iż zebrali się w niewielkim kościółku strzyżewskim w czasie pasterki. Poza kilkoma wyjątkami, siedziano w ścisnięciu, bo miejsc było akurat tyle, ilu przybyłych. Gdyby doliczyć Sowę, dziadunia i kilku obywateli, którzy z powodu choroby czy zajęcia, pozostali w domach, wyszłoby, że wszystko zaplanowano co do metra.

Skwarek nie usiadł obok wuja, który w pierwszym rzędzie zdążył już rozsiaść się z innymi wiejskimi dostojnikami. Nie siedział też obok innych dzieci, które wpadły do namiotu na samym początku i opanowały kolejne rzędy. Chłopiec usadowił się z boku ławki, obok starego Rasia, hodowcy świń. Ten odruchowo wzdrygnął się, gdy zobaczył pogłębione półcieniami zniekształcone rysy twarzy grubego dziecka.

Wychylając się lekko, Skwarek mógł widzieć doskonale środek sceny, lecz ten pozostawał pusty. Wokół sceny paliło się tylko kilka lamp, jasnych i strzelających żółtymi płomieniami, ale sklepienie namiotu ginęło w mroku, jakby znajdowało się nieskończenie daleko. Przybyłe towarzystwo zaczynało się już powoli nudzić, onieśmieleni rozgadali się, komentując ascetyczny wygląd sali, ale umilkli wszyscy jak jeden mąż, gdy muzyka ucichła. Każdy z nich myślał, że w tym momencie właśnie melodia zagrała i dopiero po dłuższej chwili głębokiej ciszy oczywistym stało się, iż jest dokładnie odwrotnie, że dziwne, hipnotyczne nuty stały się tłem – a to nagle się urwało.

Na scenie stała kobieta tak wysoka, że najwyższemu ze wsi mogłaby napluć na czubek głowy. W przycienionej sali ledwo dało zobaczyć szczegóły jej aparycji, tak były delikatne. Zdawało się, że mruży oczy a wargi ma pobieleałe od zaciskania w wymuszonym uśmiechu. Mogłoby się komuś przewidzieć, że rysy jej twarzy, także filigranowy nos są tak naprawdę zgrabnie naszkicowane na gładkiej skórze. Ukłoniła się widowni sztywno i z widocznym trudem, po czym uruchomiła stojący na umiejscowionym w centrum sceny stoliku fonograf.

W lejkowatej tubie zaczęło szumieć i przez trzaski rozległ się piskliwy męski głos. Gdyby dziadunio Walszczak przyszedł na przedstawienie, pewnie od razu poznałby, kto jest jego właścicielem. Widownia siedziała w skupieniu, większość pierwszy raz widziała podobne urządzenie i choć trudno było początkowo rozpoznać słowa, po chwili uszy przyzwyczajały się do trzasków. Głos zapraszał na przedstawienie, niezmiernie ciesząc się, iż tak tłumnie

i gościnnie przyjęto cyrk szanownego mistrza von Gotentota i że ma on zamiar wraz ze swoją wesołą kompanią przedstawić sztuczki i figle, jakich jeszcze tam nie widziano. Głos mówił, że mistrz von Gotentot posiadał przed laty wielką wiedzę, zwiedzając świat wzdłuż i wszerz poznał magię oraz mechanizmy rządzące światem. A gdy nie było już nic więcej do poznania, postanowił dzielić się swoją wiedzą, dając podobne przedstawienia – ku krotchwili i nauce.

Cylinder fonogramu zamarł i głos się urwał. Mimoza ukłoniła się ponownie, a przedstawienie nabierało rumieńców.

O tym, co działo się później kilka osób pamiętało jeszcze przez długie lata.

Zaczął się raczej łagodnie, choć występy już od początku niosły wiele emocji. Był spacer po linie i trampolina, żonglowanie zarówno nożami jak i pochodniami. Wielki grubas jeździł na monocyklu, wywołując ogólny aplauz, choć większe zadowolenie wzbudziła para karłów obojga płci wykonujących przedziwne sztuczki na linie rozpiętej niedbale przez mimozę na wysokości jakiś dwóch metrów. Było jeszcze kilka podobnych przedstawień – efektownych i zabawnych, ale nikt nie mógł sobie później dokładnie przypomnieć, czego właściwie dotyczyły. Po tych krotchwilach mimoza wygasła wszystkie światła na scenie i zdawało się, że to przerwa na rozprostowanie kości. Toteż widzowie zaczęli się przeciągać i wstawać, zaczynając rozmowy. Tych jednak zaczęli szybko uciszać siedzący w pierwszych rzędach. Znow dało się słyszeć ten sam piskliwy, zachrypnięty głos, płynący najpewniej z kolejnego nagrania fonogramu.

Widzowie zostali poproszeni o pozostanie na miejscach, bowiem właśnie miała się zacząć główna część przedstawienia, której wstęp właśnie wszyscy mieli przyjemność zobaczyć. Teraz jednak cyrkowe sztuczki, jakich przecież wiele, miały zostać zastąpione przez o wiele bardziej wysmakowane i zdumiewające popisy oraz prezentacje, do których szanowny pan Gotentot miał wykorzystać swoją zbieraną przez długie lata wiedzę.

Ubrana w białe szaty mimoza stała w głębi sceny nieruchomo jak manekin i Skwarek poczuł niepokój, jakiego nie zaznał nigdy wcześniej. Głos z fonografu mówił o tajemnicach przekraczania granicy życia, dalekich wędrówkach w głąb nieznanых gór i w głąb nicości, jaka jest esencją naszego istnienia.

Przemówienie zdawało się niektórym nużyć, jak choćby szewca, który ziewał bezwstydnie, rozwalony szeroko w trzecim rzędzie. Ksiądz dziwnie zacisnął usta, jakby

ogarnął go absmak a dzieci zaczynały gadać coraz głośniej, raz za razem uciszane przez rodziców, próbujących cokolwiek pojąć z owej elukubracji. Były to jednak proste głowy i proste dusze, które w większości nigdy nie wyściubiły nosa więcej niż godzinę drogi poza granicę wsi.

Skwarek słuchał i czuł, jak jeszcze raz ogarniają go płomienie, które spaliły skórę jego twarzy gdy był jeszcze dzieckiem. Miał gęsią skórę, a każdy włos ciała zdawał się zniczem podsycanym przez płynącą z fonogramu przemowę. Jak inni niewiele z niej rozumiał, ale już samo brzmienie wypowiedzianych przez głos słów sprawiało, że brakowało mu oddechu. I uczucie to nie odchodziło, gdy po raz wtóry urządzenie zatrzymało pracę.

Na przeciwległym końcu sali zabłysnął nagle wielki i jasny płomień lampy naftowej. Jakaś postać szła w stronę widowni. Wielka i zawalista, szła ciężkim i wolnym krokiem. Lampę trzymała nisko w wyciągniętej ręce, oświetlając sobie drogę. Coraz wyraźniej było widać, że jest to muskularny ale otyły mężczyzna, który ważyć musiał nie mniej niż sto pięćdziesiąt kilogramów. Zbliżył się do widowni i osoby siedzące na przedzie wydały z siebie jęk grozy. Występujący uniósł lampę, rozświetlając widownię i przy okazji swoją twarz. Wtedy siedzący w dalszych rzędach dostrzegli, co wzbudziło przestach. Była to twarz kilkumiesięcznego niemowlęcia – żółta luminacja tylko podkreślała jej czerwony kolor i filigranowość.

Wielkie cielsko rozkołysało się nagle na boki i popłynął cichy piskliwy śpiew, w rytm kulawego walczyka bełkoczący słowa, które trudno było rozróżnić, ale na pewno była tam mowa o pięknej i wesołej zabawie, o dzieciach tańczących w kole. Skwarek nie słuchał – patrzył na sylwetki pojawiające się w oddali i idące w kierunku śpiewaka. Dwie niewielkie ciągnęły bardzo wysoką, szczelnie osłoniętą klatkę, jej kółka skrzypiały przenikliwie. Zajaśniały kolejne lampy naftowe, postacie ustawiły się w łuku i dołączały się kolejno do chóru.

Dziwne sylwetki i dziwne twarze, jakby niekompletne, nie do końca ukształtowane. Ludzie wysocy i niscy, zachrypnięte basy, barytony i delikatne, choć fałszujące kobiece soprany. Można było naliczyć kilkanaście postaci w kolorowych i bufiastych szatach, o twarzach wielobarwnie pomalowanych lub zupełnie bladych, pięknych i aparycjach leśnych dziadów.

Skwarek szczególną uwagę zwrócił na personę stojącą w końcu szeregu, niskiego i umalowanego jak mim mężczyznę o gładkiej twarzy, który poruszał miarowo szczęką,

jakby zupełnie nie w związku ze słowami piosenki. Był chyba najbardziej niepozorny i nikt niemal nie zwrócił uwagi, gdy nagle padł w tył i ubrana na czarno osoba z obsługi szybko zaciągnęła go na zaplecza namiotu. Siedzący na widowni chłopiec miał słabe oczy, ale pamięć dobrą i od razu dostrzegł, iż jest to ten sam brodaty karzeł, który wcześniej jechał na kozie przez wieś. Tutaj odmieniony, bez brody i w zupełnie innym stroju. Gdy ciągnięto go po scenie, był nieruchomy jak kłoda.

Pieśń nagle urwała się i, co również zauważył Skwarek, w tym samym momencie mimoza po raz kolejny wyłączyła fonogram. Reszta trupy ukloniła się i ustawiła lampy wokoło. Światło, doprowadzone systemem luster, spadało też z góry, nieco rozjaśniając panujący w namiocie mrok. Widzowie, z których większość zaczynała się czuć już mocno nieswojo, odetchnęli z ulgą. Scena wyludniła się nieco, przyszedł czas na najważniejszą część przedstawienia, a więc magiczne sztuczki. Zaczęły się jeszcze mocno konwencjonalnie – od tricków karcianych czy połykania mieczy, plucia ogniem i rzucania sztyletami przy zasłoniętych oczach. Mało kto widział wcześniej w Strzyżewie podobne przedstawienia, więc każde kolejno nagradzano aplauzem.

Z czasem jednak owe spektakle zaczęły być coraz bardziej niezwykle. Wprowadzono na scenę nieznane w Strzyżewie monstra. Był więc latający pies, który nie odrywał się od ziemi, ale miał wielkie, lekko prześwitujące błony między łapami. Kolorowe ptaki, jakich nigdy wcześniej nie widziano w Strzyżenie, albo wręcz i w całej Polsce, kolczasta kula, kryjąca drobne czarne ciało. Wielkie poruszenie wywołała małpa o rybiej skórze, która grała na małym werblu i robiła piruety. To, że dźwięk werbla dobiegał również w fonogramu, było jedną z ostatnich rzeczy, jakie Skwarek dostrzegł przed swoim wyjściem z sali.

W trakcie tego pokazu zasłabła siedząca obok niego dziewczyna, na którą przesadnie podziałał chyba widok kuriozalnego zwierza. Gdy wyprowadzano ją z namiotu, chłopiec wmieszał się w jej asystę, ale nie został przy omdlałej, tylko czym prędzej się oddalił. Przedstawienie wzburzyło jego emocje, lecz nie dlatego je opuścił, by przeżywać niedokonane w samotności.

Od czasu jak zobaczył upadającego na scenę karła, pragnął dowiedzieć się, co też się z nim stało, toteż skorzystał z okazji, aby bez świadków i hałasu zbliżyć się do zaplecza cyrku mistrza Gottentota. Gdy szedł między pomniejszych namioty i wozy, słyszał jak widzowie biją brawo po kolejnym spektaklu. Później zaś dobiegł go chór przerażonych

głosów i cisza. Między wozami zatrzymał się na chwilę, wodził wzrokiem po otoczeniu. Tył wielkiego namiotu miał w sobie mało widoczne przecięcie, służące zapewne za wyjście pracowników. Z niego rozbiegały się na wszystkie strony ślady stóp. Dało się też zauważyć dwie wyraźne linie pozostałe po tym, jak ktoś ciągnął omdlałego z cyrku w stronę wozów.

Nie do końca rozumiał, co skłoniło go do opuszczenia przedstawienia, jakiego już pewnie w życiu nie miał zobaczyć. Nie potrafił się jednak powstrzymać; przed oczyma miał nadal zastygły wyraz twarzy karła. Można by o nim powiedzieć, iż nie wyrażał nic, że był zupełnie pozbawiony emocji, ale chłopiec poczuł, iż pod tą maską obojętności kryje się coś większego, kryje się lodowata pustka i pragnienie nieistnienia. I to coś, co mogło być tylko wymysłem jego wyobraźni, sprawiło iż wędrował teraz między namiotami nasłuchując, bo nie chciał zostać przez kogoś przyłapany na myszkowaniu – ale bardziej dlatego, że w tej stagnacji i pustce kryć się musiało coś interesującego.

Przechodził obok czarnego wozu i zatrzymał się, by posłuchać znów szeptów. Zapukał w zamalowane smołą okno, ale ze środka nie nadeszła odpowiedź. Co niezwykle, właśnie owo milczenie zaniepokoiło chłopca o wiele bardziej, niż wcześniej słyszane bełkotliwe mamrotanie. Ogarniały go coraz bardziej paranoiczne uczucia, nie potrafił znieść myśli kielkującej w jego głowie – iż w środku jest jakaś istota, która teraz milczy. I że wcześniej, gdy słyszał dobiegające ze środka szepty i pukanie, tak naprawdę wewnątrz panowała pustka.

Odsunął się z obrzydzeniem i w tym samym momencie zauważył uchylone drzwi jednego z wozów. Na jego bocznej ścianie namalowana była wielka uśmiechnięta twarz pajaca, pod spodem napis głosił, iż jest to własność szanownego pana Gottentota.

Później Skwarek wszedł do tego wozu, bo ciekawość przeważała zdrowy rozsądek, bo ciekawość przeważała niepokój i można chyba powiedzieć, że po tym, jak zatrzasnęły się za nim drzwi, stał się on rzeczywiście własnością mistrza Gottentota.

Przedstawienie zakończyło się jakieś dwa kwadranse później, ale spora część widowni wyszła z namiotu wcześniej i w milczeniu, osobno udali się do swoich domów. Nikt nie chciał później mówić o wrażeniach, zwłaszcza o tym, co działo się w środku namiotu pod koniec widowiska. Niektórzy mówią, że Strzyżewo przesiąknięte mrocznymi siłami było od zawsze, inni – jak dziadzio Walszczak, twierdzili że wiele zmieniło się na niekorzyść po tej feralnej niedzieli.

Nikt nie zauważył, że zniknęło gdzieś niepełnosprawne dziecko nazwane Skwarkiem.

Mówili, że chłopiec wrócił po miesiącu, że musiał chodzić długo polnymi drogami, a czym żywił się i gdzie spał przez ten czas – nie wiadomo. Znalazła go Sowa i chyba tylko dzięki temu jest teraz tutaj, obok mnie, oddycha. Mówili, że chłopiec wrócił, ale tak naprawdę długo nie było nikogo w tym ciele; to co wracało przez lata wcale nie przypominało dawnego chłopca.

Następne lata spędziliśmy razem. Po tym, jak wrócił, jak przyszła wojna i wybiła większość naszych opiekunów i znajomych. Wójt uciekł ze wsi sam, pomarli moi rodzice i nie miał kto się zająć tym oddychającym manekinem. Zająłem się ja, bo wszyscy inni pamiętali rzeczy o których mówić nie chcieli i o których im przypominał swoim spojrzeniem.

Pamiętam ten dzień, musiałem zostać w domu sam, zmorzony gorączką i bólem brzucha. Wyłem z rozpaczony cały dzień, była przy mnie Sowa i kładła mi na czoło zimne okłady, podawała zioła i szeptała różne rzeczy, żeby mnie uspokoić. Miałem wtedy sześć lat, niewiele z tego wszystkiego rozumiałem, nie znajdowałem wytłumaczenia dla zawiązanych ust powracających. Całe lata zbierałem okruchy ich wspomnień, wydierałem podstępem słowa, które najchętniej by cofnęli. Największe jednak wrażenie robiły na mnie wyznania Skwarka, który czasem wychodził ze swojego pokoju, w którym gromadził stare lalki i zepsute zegary. Bywały takie noce, gdy budziłem się, a on stał nade mną i mówił, a później urywał w pół zdania i wracał. I znów jego ciało stawało się pustą skorupą.

O wielkiej klatce, która stała na środku sceny słyszałem przez te lata od kilku osób i domyślałem się, że jej odsłonięcie było kulminacyjnym momentem spektaklu. Pytałem o nią wielu, kręcili jedynie głową, jakby wiedza na ten temat była dla mnie niedostępna. „Kto tego nie widział, ten nie zrozumie” – szeptano i na tym kończyła się rozmowa. Osoba taka później unikała mnie przez długie dni. Wierzę, że Skwarek wie o tym, co w niej trzymano o wiele więcej niż inni. Bywało tak, że w czasie burzy nagle zrywał się z pośłania i uderzał całym ciałem o ściany pokoju. Krzyczał i prosił, by go wypuszczono, że dłużej już nie może na to patrzeć. Był jedyną osobą, której o to nie pytałem, bo wierzyłem, że to pytanie mogłoby go zabić. Nie myliłem się wiele.

Były rzeczy, które lubił robić. Sięgał po gazety oraz książki, uwielbiał szelest papieru i elegancję druku, zdawało mi się, że nie pojmuje nic z tego, jedynie literuje bez

zrozumienia. Ale dzisiaj znalazłem go na podłodze, oczy miał wytrzeszczone, twarz czerwoną i nabrzmiąłą. Zmarł na zawał, jak mi tłumaczono, choć mnie się zdaje, że ze strachu. Obok niego na dywanie leżała świeża gazeta lokalna otwarta na drobnych ogłoszeniach. Znalazłem informację, która go zainteresowała, była wytłuszczona spośród reszty tekstu. Stanowiła, że wiosną roku 1992, a więc za dokładnie trzy miesiące, zacząć ma się budować nowa inwestycja, w której pokładano wielkie nadzieje związane z rozwojem wsi. Główny inwestor obiecywał, że zmieni to region nie do poznania, że w ubojni znajdzie zatrudnienie każdy, kto pracy szuka i że praca ta będzie dla nas wszystkich nowym rozdziałem. Inwestor ów podpisywał się nazwiskiem Gotentot, które niewielu już osobom w Strzyżewie było znane.

Wszystkie rzeczy, które należały do mojego towarzysza, gromadzone przez lata w jego pokoju, są tam nadal. Czasem je przeglądam, szukając sensu w tym bałaganie. Znalazłem kilka lalek, ukrył je pod podłogą. Musiał długo pracować nad tym, by stworzyć z nich podobnie potworne dzieła. Z wielką precyzją wymieniał im kończyny, dokładał nienaturalną ich ilość, wydrapywał w twarzach nowe rysy. Czasem patrząc na nie mam wrażenie, że zaczynam rozumieć co kryło się w jego wnętrzu, co sprawiało, że nie odzywał się całymi miesiącami, by później krzyczeć całe noce. Ale to uczucie umyka szybko i chyba nic w życiu bardziej nie będzie mnie przerażać, niż myśl o tym, co dziać się musiało w cyrku mistrza Gotentota.

Oto jak kończy się owa historia, a zaczyna kolejna. Zamierzam złożyć wypowiedzenie z aktualnej pracy. W ubojni zwierząt, która ma zostać u nas niedługo otwarta, roboty nie powinno przecież brakować.



Skrzypce...

Anna Rybkowska

Nie nawykłem do takich wertepów, opłotków!

Kiedy zjechałem z autostrady, by dalej brnąć coraz gorszej jakości drogą, mina zaczęła mi rzednąć... Ukończyłem moją odyseję na pełnym dziur asfaltowo-łaciatym gościńcu i pomyślałem, że gorsze byłoby tylko klepisko wysypane sianem. Albo kocie łby – takie, po których toczyły się kiedyś z hałasem wozy drabiniaste. Mój audi miał niskie zawieszenie i dotąd nie narażałem go na jazdę po takich ostępach. Niepokoił mnie pastewno-buraczany zapach wpadający przez uchylone na postoju drzwi, ale najważniejsza była kondycja moich skrzypiec. Nienawykły do telepania cenny instrument kołysał się, jakby leżał w hamaku.

Skrzypce! Zawsze mnie drażniła ta nazwa! Moi rodacy nazwali błyskotliwy wyczyn lutników tak szkaradnie, że co rusz, sięgając po smyczek, myślałem o tym słowie ze zgrozą i powątpiewaniem. Pod dłonią wirtuoza nigdy przecież nie skrzypiały! Na miłość boską! Nikt inny nie powinien ich brać do ręki! Tak, racja, byłem przewrażliwiony, dostawałem furii, gdy ktoś ośmielał się wyciągać dłonie w stronę mojego stradivariusza, ale na Boga, instrument za kilka milionów euro zasługuje na respekt! Nie myślałem o sobie tego dnia, gdy pierwszy raz usłyszałem osobliwe partie, wygrywane w moim umyśle przez ducha z odległej przeszłości. Z wrażenia omal nie zostałem wówczas kaleką. Schody, po których szedłem, były śliskie po deszczu i zjechałem w dół, uderzając lędźwiową częścią kręgosłupa o każdy stopień, z osobna. Człowieka można jakoś poskładać, ale trzystuletni instrument? Nie, na Boga, nie!!! Teraz też nie obawiałem się, że tubylcy z czerwonymi gębami przywitają mnie widłami na tym zadupiu. Lękałem się, że wyjątkowy instrument może od niewygód zamilknąć na wieki albo stracić wiele ze swej unikalnej wartości. Był jak busola, kierował mnie do miejsca, skąd, jak podejrzewałem, przenikały do mojej świadomości dziwne zjawiska. Określiłbym, że paranormalne. Co jakiś czas spoglądałem na tylne siedzenie, by przekonać się, że jest bezpieczny i chociaż pogłaskać futerał. Kiedy wczoraj grałem, przed opuszczeniem hotelu w Warszawie... znowu posłyszałem melancholijne dźwięki. Ten ledwo uchwytny szept... Głos, czy raczej kaskadę oderwanych dźwięków, jak

staccato końskich kopyt po bruku .

„De profundis clamavi ad te Domine...”

Musiałem tu przyjechać, w to miejsce, chociażby po to, żeby skonstatować, że moje przeczucia są błędne, a wyobrażenia złudne i hipnotyzująco zwodnicze. Przekonać się wreszcie, że nie miałem racji, że nic mi do ucha nie szeptało, a żaden cień nie snuł się pod ścianą, ilekroć zaczynałem grać...

Grać, kolejne słowo, jakieś niewydarzone. „Grać” brzmi jak poruszona sterta puszek na wysypisku śmieci. Bolał mnie język ojczysty od kiedy na co dzień rzadko się nim posługiwałem. Odfrunąłem w świat, wyjechałem dzięki skrzypcom właśnie; rozpocząłem światową karierę i byłoby tak nadal, gdyby nie Antonio Stradivari. Ściślej instrument, który wyszedł spod jego palców... Wylicytowany przeze mnie na aukcji w Londynie. Odkąd zacząłem na nim grać... słyszałem głosy i widziałem postaci... Zdawało mi się, że nierealne, z pewnością nie z mojego, współczesnego świata. Trwało to od pewnego czasu, zacząłem się do tych zwidów przyzwyczajać. Nastrajały mnie minorowo i eterycznie. Bywało, że czerpałem z tych wizji natchnienie... Jednak od występów w Nowym Jorku wydaje mi się, że tracę powoli zmysły... Wówczas po raz pierwszy wyraźnie zobaczyłem na widowni tę rudowłosą dziewczynę o fascynujących, gorejących oczach. Oczach ogromnych i płonących żywym ogniem jak najczystsze szmaragdy. Byłem pewien, że to jej szept prześladował mnie nocami, gdy nie mogłem zasnąć... Słyszałem na przemian śmiech i słowa, wypowiedane w obcym języku, osobliwe zaklęcia czy modlitwy... Powtarzane ciurkiem, jakby odmawiała różaniec. Wygłaszała buddyjską mantrę? Widziałem czasem jak pomykał jej cień, słyszałem magiczny szelest sukni... I wówczas wydawało mi się, że z najgłębiej ukrytej szufladki mojej pamięci wymykał się ten osobliwy, pełen uroku tryl, który powoli zanikał... Znów budził się, kontynuował sekwencje dźwięków, które uderzały swoją melancholią i prostotą, jakby sam Apollo potrącał struny boskimi palcami. Niewiarygodne wprost jak ten znikomy dźwięk docierał do mnie z daleka... Budził drżące wspomnienia i nasuwał skojarzenia: ze starą komodą w pałacu zrujnowanym przez żołdaków, z jakimiś piórami przy koafierze... z parawanem pomalowanym w chińskie znaki ... Cóż, wywiodłem te wszystkie oszałamiające chwile wprost z pudła rezonansowego. Mój stradivarius miał niewątpliwie przede mną wielu właścicieli. Może nie wszyscy zdawali sobie sprawę z jakości tego przedmiotu? Nie każdy z posiadaczy umiał grać? Doceniać te vibrata, koloratury, te nieskończenie piękne moderata... Struny były wymieniane, ale samo drewno – jawor

i olcha – nadal trwały. Podobnie jak skryty we wnętrzu podpis samego mistrza. Był to talizman pamięci. Skupiał w sobie liczne drgnienia serc, których był przez lata przyczyną... Wszystko to wydawało mi się tak niezwykle, że postanowiłem za którymś razem podążyć umysłem, z całą odpowiedzialnością i powagą chwili, wprost do źródła owych utajonych znaków. Jak przeczuwałem, pochodzących ze świata zmarłych. Istotnie, kiedy poddałem się tej wizji zyskałem zdolność rozróżniania twarzy i poszczególnych miejsc. Powtarzały się, migały jak w kalejdoskopie. Jak w fotoplastykonie, do którego zaszedłem kiedyś w Paryżu. Dźwięki były tak realne! Obrazy zdawały się mijać, były zasnuwane mgłą i podobne do prześwieconych zdjęć. Nazbyt jasne, by dostrzec szczegóły. Nawiedzały mnie te obrazy w trakcie gry. Jeżeli próbowałem, wszystko było w porządku. Gorzej, gdy wizje nachodziły mnie w czasie koncertu, przed publicznością. Kiedy podświadomie śledziłem wzrokiem twarze, by doszukać się tej jednej... Z obawy o utratę koncentracji, starałem się skupiać na rejestrach nut, poszczególnych kadencjach granego utworu... Niestety, myśli i obrazy uparcie powracały, nie sposób było je zignorować.

I właśnie dlatego znalazłem się w Strzyżewie. Zadziałał mój osobisty, ukryty w umyśle GPS. W laptopie szukałem najmniejszej bodaj wzmianki o tej dziurze, niestety bezskutecznie. I już dwa razy podskoczyłem jak oparzony, gdy leżąca na miejscu pilota plastikowa butelka po wodzie głośno odkształciła się w miejscu zgięcia. Cholera, dlaczego byłem taki nerwowy? Nie należę do tego miejsca, w żaden sposób tutaj nie pasuję! Współ z moim stradivariusem, pięciuset sześćdziesięcioma kołami mechanicznymi pod maską samochodu i garniturem od Armaniego.

Czego właściwie się spodziewałem? Widok tej osady nie napawał optymizmem. Pobocze drogi było zarośnięte chwastami, barszcz plenił się i wybujał na wysokość mężczyzny. Wreszcie ujrzałem pierwszy dach w kłębowisku zarośli, w pobliżu dostrzegłem też zęby sztachet, niczym w paszczy rekina. Drewniany płot chylił się na jedną stronę. Zatrzymałem samochód, wysiadłem, zablokowałem drzwi i przykładając dłoń do skroni, począłem mozolnie szukać jakiejś furtki, by wejść na teren posesji. Nie natknąłem się na żaden ślad, choćby po zawiasach. Zabrakło mi odwagi by skoczyć przez płot, z obawy, że mnie psami poszczują. Wróciłem grzecznie do wozu z zamiarem odnalezienia innego gospodarstwa. Może to było opuszczone i nikt tu od dawna nie mieszkał? O dziwo, z daleka dostrzegłem talerz anteny satelitarnej, umieszczony na murze. Wzruszyłem ramionami. I wówczas znów... posłyszałem tajemniczy śmiech. Może jestem przemęczony? Tournée po Stanach...

Pokonywanie tych zapierających dech odległości... Może powinienem dać sobie spokój? Dlaczego się tu przywlokłem? Monika czekała na mnie w swojej willi w Toskanii, jak zawsze ponętna i błyskotliwa. Obiecywała rozkosze stołu i alkowy...

Tymczasem zniosło mnie na ten padół, gdzie śledziłem wzrokiem puste przestrzenie. Znalazł się w końcu jakiś dom! Dwóch osobników tkwiło za płotem. Jacyś podobni do siebie. Dziwni. Z przyklepionymi uśmiechami cyrkowych klaunów. W dziwacznych gieźlach, niby wyrosłe spod ziemi strachy na wróble.

– Dzień dobry – zagadnąłem.

– Na wieki wieków – odpowiedział ten niższy i pulchniejszy. Owiał mnie zapach kiszonki, swojski i zarazem drażniący.

– Szukam... – czego ja właściwie szukam? Uświadomiłem sobie, że nie miałem pojęcia! Przywiodła mnie tu intuicja. Nic o tym miejscu nie wiedziałem. Miałem pytać o pałac? O wojnę? Może o dziewczynę z rudym warkoczem?!!! Czego szukam? Muzyki? Na tym zapomnianym przez Boga skrawku nieprzyjaznej ziemi?

– Czy... – zawiesiłem głos, lękliwie oglądając się za siebie, czy mi czego nie ukradli miejscowi smarkacze. Nagle pojawili się w pobliżu, nie wiadomo skąd! Gotowi oberwać zderzaki, skoro ujrzeli samochód na zagranicznej rejestracji! To pewne, że mogłem ich swoją osobą drażnić. Powinienem był zawczasu przewidzieć to i ubrać się jakoś zwyczajnie, wynająć koreański samochód średniej klasy i zabezpieczyć lepiej skrzypce.

– Pan czegoś nietutejszy – pospieszył z pomocą filuterny człowieczek zza płotu – ale po polsku mówiący. Znaczy się... rodak?

– Tak – potwierdziłem skwapliwie, chcąc go wprowadzić w jeszcze lepszy nastrój.

– Ciekawość bierze zapytać szanownego pana, co taki aligant tu porabia i na cóż wdepnąwszy?

– Szukam... – jakby mi nagle słów zabrakło, gorączkowo przebiegam wszystkie korytarze krnąbrnej pamięci-cmentarza!

Zaśmiali się oboje dobrodusznie i spolegliwie.

– Toż u nas jest. Niedaleczko kościoła. Ot, wieża! – wskazał mi dzwonnice, wyłaniająca się ze wzgórza na horyzoncie, dosyć daleko, jakby już poza Strzyżewem. Ukośne promienie złociły wieczór, niepokojąco szybko zachodziło słońce.

– A gdzie by tu nocleg zamówić? – spytałem nieporadnie i wzbudziłem jeszcze większą wesołość.

– Taż wiadomo, że nie na cmentarzu... hy hy hy...

– Potrzebny mi pokój... na... kilka nocy... Może wystarczy na jedną – dodałem optymistycznie.

– Zarutko za tym zakrętem, z lewa, mieszka w domku z czerwonej cegły stara Larysa. Ona pokoje podnajmuje. U niej agroturystyka hy hy hy... To pan podje i mleka z udoju się napije!

– Powiadacie, że Larysa? – próbowałem podchwycić śpiewny akcent – A jakie ma nazwisko?

– Toć powiadam, że Stara.

Na mleko od dziecka byłem uczulony, ale nie zamierzałem się tym faktem chwalić. Skinąłem i wróciłem do samochodu. W międzyczasie ptaki ozdobiły odchodami przednią szybę, w sympatyczny desenik. Widać też nietutejsze...

Larysa, nie dość, że okazała się niestara, to jeszcze ładna i miła. Od razu zaproponowała mi skorzystanie z przyzwoicie wyglądającej łazienki, dała klucz do pokoju z oknem okolonym bluszczem, wręczyła czysty ręcznik i zaprosiła na kolację, jak już się „wypierzę”. Byłem zdumiony, bo kiedy po kąpieli i przebraniu zaszedłem do kuchni pachniało w niej baranią potrawką z ryżem, pojawiła się butelka wina z „Biedronki” a gospodyni miała na sobie czarną sukienkę z głębokim dekoltem i wysyłała mi jednoznaczne sygnały.

Po godzinie ucztowania zaproponowała mi bym złożył autograf na jej... lewej łopatkce... W nocy wszystkie koty wydają się czarne. Jej sukienka spadła do kostek i dziewczę, nagusieńkie, jak je pan bóg stworzył, roztoczyło nade mną opiekę... Spodobało mi się to Strzyżewo!

Niestety ranek przywitał mnie potężnym kacem i okropnymi wyrzutami sumienia. Niewiele pamiętałem z nocy, na poduszce pozostał zapach tanich perfum a w pokoju nie było skrzypiec! Zerwałem się z łóżka i wybiegłem na korytarz z pretensjami:

– Gdzie mój instrument?!!!

Dziewczę obierało ziemniaki i na mój widok powiedziało spokojnie:

– Instrument masz między nogami.

Trochę za późno spostrzegłem, że jestem nagi i osłoniwszy się wstydliwie gazetą, spytałem, już spokojniej.

– Czy powiedziałem ci o stradivariusie?

– A... ten instrument? Cóż, jego działania jeszcze nie poznałam – wstała spokojnie i podeszła do lodówki, na której spoczywał futerał.

– Uważaj! – krzyknąłem – to jest unikat, nie wolno mu zmieniać temperatury i wilgotności!

Jak każdy laik, nie miała pojęcia, że trzyma w dłoniach kilka milionów.

– Wolałam go tu przynieść, tego unikata, bo okno w nocy było otwarte, a skoro to jest takie ważne dla ciebie...

Niecierpliwie wydarłem jej z rąk futerał.

– Nigdy więcej tego nie rób!

– Czego?

– Nie ruszaj tego pudła!!!

Wzruszyła ramionami.

– W nocy byłeś miłszy... I nic cię nie obchodził ten jakiś... staro...

– Stradivarius. To są skrzypce! Dlatego tu jestem, one mnie przywiodły... – uciąłem wywód, bo pomyślałem, że nie ma sensu wtajemniczać tej ósóbki w moje ekstrawaganckie wizje. Jeszcze pomyśli, że jestem stuknięty. O ile już tego nie pomyślała. Postanowiłem najpierw zaradzić coś na kaca, a potem wy badać, czy na cmentarzu znajdę jakieś ślady.

W jeden dzień nie dałem rady obejść całej okolicy, chociaż to nie jest rozległa miejscowość. Sporo w niej osobliwości. Zrujnowany kościół, opuszczony tartak, hodowla pięknych koni... Ciąg drewnianych chałup jak z międzywojnia... Do tego te fizjonomie! Honore' Daumiere i jego satyra na „Typy paryskie” w żywej postaci, jakby wyjęta z kart poszczególnych litografii. Niewątpliwie znalazłby pożywkę dla swoich glinianych popiersi, chociaż, jak wiadomo, politycy bywają niezawodni jako natchnienie karykaturzystów. Tu nie spotkałem polityka, za to gęby stłamszone, oczka chytre, lica opasłe, figury grubo ciosane, lepkie i zwichrowane.

Snułem się z futerałem na plecach, czym pewnie zasłużyłem sobie na opinię wariata. Nie byłem pewien, czy instrument coś mi swą bliskością ułatwiał... Zabrakło mi zaufania do zamków w domu dziewczyny. Stawałem w różnych miejscach i grałem w nadziei, że

zobaczę, poczuję lub usłyszę coś... Z rozczarowaniem odnotowałem kompletny brak odzewu. Czyżbym zabłądził? Nie, przecież słyszałem śmiech i drgające pizzicato. Technika godna mistrza. Chciałem go poznać. Ją... Bo domyślałem się, że „maczała w tym palce” rudowłosa dziewczyna. Im bardziej starałem się odnaleźć źródło prawdy, tym większe nachodziły mnie wątpliwości. Czy mogłem mówić o jakiejś prawdzie? Czy ona istniała?

Wróciłem pod wieczór, głodny jak wilk i zawiedziony.

– Nie jadłeś obiadu. Odgrzać teraz? – spytała Larysa, jakbyśmy byli starym małżeństwem.

– Poproszę.

Z rozkoszą zasiadłem do ryby zapiekanej z serem i grzybami. Pachniała wyśmienicie, a moja towarzyszka posyłała mi co chwilę słodki uśmiech, jak obietnicę deseru.

– Gdzie się tak długo włóczyłeś? Szukasz czegoś?

– Parzysz doskonałą herbatę! I w ogóle jestem pod wrażeniem. Nie pasujesz do tego miejsca...

– Właśnie! Czekałam kiedy spytasz, co taka dziewczyna jak ja robi na tym zadupiu.

– Jaką usłyszę odpowiedź?

– Mieszkam tu.

– Sama?

– Dziadkowie pomarli, odziedziczyłam po nich to gospodarstwo.

– A rodzice?

– Ojca nie znałam, matka mnie nie chciała, po porodzie uciekła i zostawiła u dziadków jak kukułcze jajo... Mam tylko imię, które mi wybrała, jedyną pamiątkę. Może jakiś Rusek przejeżdżał wtedy ciężarówką i oddała mu się w krzakach...

– O! – wydałem usta, by odmalować na swej twarzy najbardziej współczujący wyraz, stosowny do opisanych okoliczności – smutne to. Nikogo nie masz? Chłopaka? Adoratora?

– Wyobrażasz sobie, że wówczas poszłabym z tobą do łóżka? – spytała zalotnie.

Czułem się niezręcznie, jak każdy facet, który najpierw czyni a potem myśli. Zauważyła to i pospieszenie dodała:

– Nie obawiaj się, to cię do niczego nie zobowiązuje.

– Muszą tu żyć jacyś nieślepi mężczyźni i chyba...

– Mam... opinię dziwki, od dawna. Wiesz, był taki ktoś, ale wyjechał do Niemiec, żeby popracować i przepadł. Dwa razy zrobił duży przelew na moje konto, bo mieliśmy wspólnie

prowadzić tę agroturystykę ale... widocznie zmienił zdanie. I przepadł. To było dwa lata temu. Zrobiłam remont domu, dołożyłam się do stajni Sobisiaków i...

– Doisz krowę?

– Każdego ranka i wieczora. Od Staśka z końca wsi mam ciągle świeże ryby. Poza tym kury, pies i koty, sześć pawi. Pawie są modne... choć, właściwie bezużyteczne. Samiec musi mieć harem. Wybudowałam im wolierę. To odmiana indyjska, dopiero za rok doczekam się pięknego trenu, o ile przeżyją zimę... Paw jest czujnym ptakiem, ostrzega przed niebezpieczeństwem lepiej niż pies. Poza tym zabija węże i skorpiony. No, nie u nas, rzecz jasna!

– Masz okazały ogród i sad.

– Sad trochę zdziczał... Nie daję rady ze wszystkim. Czereśnie w tym roku bardzo smakowały szpakom. A wracając do tutejszych, żaden nie nadaje się na poważny związek. Same pijusy, poszczypać w tyłek i zaciągnąć na siano to każdy potrafi, zwłaszcza jak żona gapi się w drugą stronę. Ale oni wszyscy wyobrażają sobie, że wystarczy jak mężczyzna raz na ruski rok się ogoli i założy do kościoła czystą koszulę. Przepoceni, niedomyci... Dla nich każdy, kto nie śmierdzi i dba o siebie to albo pedał albo... artysta!

Zaśmiałem się, bo wyraźnie na to czekała.

– Wiesz... nie oszczędzam tego na czym mi nie zbywa, a poza tym raz się żyje, czyż nie? Mam się tylko starzeć z roku na rok? Nieczęsto ktoś „do rzeczy” wdepnie do Strzyżewa. A ty? Spadłeś może z nieba? Komuś w nim podpadłeś i zesłali cię anieli, żebyś winy odpracował?

– To długa historia i...

– Spokojnie, nie jestem wścibska. Masz kogoś w tym swoim świecie?

Przypomniałem sobie dziennikarzy i ich nachalne pytanie: „Single or taken?”. Budziło moją wesołość. Byłem bowiem typem wiecznego kawalera, który nie zamierza wiązać się na stałe. Nigdy i z nikim.

– Dobra, cofam to pytanie!

Nie byłem też gorliwy w zaprzeczaniu. W końcu udało mi się zmienić temat:

– Był tu kiedyś dwór? Jakiś majątek?

– Tak. Mieszkali tu Strzyżewscy. Gdy Ruscy przyszli nas wybawiać, zwinęli się i uciekli. Pałac, a właściwie... wiejski dworek... po wojnie służył za przytułek, potem przedszkole, a jak resztę rozkradli, to magazynowano w nim pasze i wytloki kukurydziane. W pegeerze

były przekręty, ktoś nocą budynki i oficyny podpalił. Tartak jest na tym terenie. Właściciele się dotąd nie zgłaszali...

– Wszystko spłonęło?

– Mówię, że tartak jest na tym miejscu.

– A ... żydzi? Mieszkali tu jacyś starozakonni?

– Tak, na skraju osady, w pobliżu strugi rzecznej, była taka ich kolonia, mieli bożnicę, drewnianą; to Niemcy spalili... ich domy też poszły z dymem. Babcia opowiadała, że jej ojciec znał kilku żydów, także tych z miasteczka. Pewnie chodzi Ci o garbarza i jego córkę Sarę? Ponoć zdolna dziewczyna, grała na skrzypcach, mogła zrobić światową karierę... Zginęła z innymi... Niemcy któregoś dnia wszystkich wyprowadzili do lasu, na stary kirkut i rozstrzelali, potem kazali Polakom pochować w zbiorowej mogile... Pradziadek o tym wiedział, ja nic...

– Ktoś tu by mi o niej powiedział?

– Stary Bączek, o ile zechce. Ma chyba ze sto lat i bielmo na oczach... jak mu wręczysz flaszkę, to język rozwiązesz.

Następnego dnia, po kolejnej upojnej nocy z Larysą, udałem się na skraj Strzyżewa, do walącej się chałupy, w której mieszkał stulatek, uchodzący za kopalnię „wiedzy wszelakiej”. Siedział na pniu, obok pokręconej jabłonki i kurzył fajkę, a jego machorka miała dziwny zapach. Niby ślepy, a kiedy podszedłem i przywitałem go, pokazał mi stołek pod drzewem, nieopodal, tłumacząc, że ten obok jego pnia jest za niski dla kogoś mojego wzrostu a skoro na rozmowę o dawnych czasach przyszedłem, to i wygodniej mi będzie na solidniejszym sprzęcie. Posłuchałem rady, uprzednio wręczając butelczynę z miodówką. Miałem w zapasie jeszcze dwie w samochodzie, bo staruch uchodził za człowieka o „mocnej głowie”. Miodówkę tutejszego sumptu. Z „lipowca”, skarbu miejscowej pasieki i bimbru upędzonego na terenie... tartaku.

Kiedy zasiadłem na chwiejnym zydlu i otwarliśmy butelczynę, zatkaną szmatą, mało dyplomatycznie, ale jednak, odmówiłem picia „z gwinta”, bo Bączek wydzielał podejrzaną woń, miał w ustach ciemne pieńki zamiast zębów, a wczesne popołudnie to pora nie była do picia, jak dla mnie. Wzruszył ramionami, że pogardziłem jego zaproszeniem, bo przecież oferował mi napitek, nim sam skosztował. Jakiś czas mruczał z zadowoleniem i pił małymi łyżkami. Czekałem cierpliwie aż przerwie degustację, wierząc, że nastąpi w końcu moment, w którym wyrazi ochotę do rozmowy. Byłe co nie wyprowadza mnie z równowagi

ale dziad wystawił moją dobrą wolę na wielką próbę! Nim się obejrzałem wytrąbił całą zawartość butelki i rzucając pustą, za siebie, spojrzał, jakby czekał na więcej. Bez komentarza poszedłem do samochodu i zrezygnowany wróciłem od razu z dwiema. To go wyraźnie ucieszyło i w końcu zapytał:

– O co chciałeś mnie zapytać, chłopcze?

W obawie, że się wkrótce spije i zaśnie, albo zacznie głądzić bez sensu, przeszedłem od razu do rzeczy, chociaż miałem w planach zapytać o Strzyżewskich, tartak i ów kirkut w lesie.

– Sara, córka garbarza...

– Rudowłosa, z długim warkoczem... piękna dziewczyna. Miała wielki talent, jesienią planowała jechać do Wiednia, na studia... Ale wojna wybuchła i żydom nie pozwolono nigdzie wyjeżdżać. Chyba, że w bydlęcych wagonach.

– Słyszałem, że tragicznie zginęła...

– Jak oni wszyscy. Miała cenne skrzypce. Dostała od takiego bogacza, który tu przyjeżdżał do Strzyżewskich, na letnisko; on był chory na gruźlicę i wkrótce potem umarł. Poznał się na dziewczynie i podarował jej swój instrument, za ostatnią bytność. Zakochał się w niej ale... wiadomo, był już ledwo żywy, więc ino tyle mógł jej ofiarować. Zresztą, został tu pochowany, na kirkucie. Tam się po śmierci oboje spotkali, bo ona też leży, w zbiorowej mogile. Niemcy zabili jej ojca i braci a ją... najpierw zgwałcili a potem... Tyle, że skrzypce wziął ich komendant, ponoć też muzyk czy jakiś wielbiciel ... Wiadomo... oni kochali muzykę bardziej jak ludzi! Zapędzili nas, żebyśmy na to patrzyli... Kopałem im dół, razem z innymi, razem z tymi żydami, co jeszcze mieli siłę łopatę w ręku utrzymać... i widziałem... jak ten wysoki, smukły, nienaganny blondyn wziął z szacunkiem skrzypce. Kiedy obok padały serie z karabinów, on stał pod sosną i grał... jakiś bardzo rzewny kawałek, przymykając z lubością oczy... słyszałem krzyki Sary, kiedy wyprowadzili ją za stodołę, kilku ich było... Widziałem rozpacz jej ojca i przerażenie, bezsilność rodzeństwa. A potem, jak wróciła do szeregu w podartej sukience... Do ostatniej chwili próbowała chronić swojego młodszego brata, on płakał, miał może sześć lat... tuliła go do siebie, odwróciła mu twarz, żeby nie patrzył jak ci w mundurach wermachtu wymierzili broń w ich stronę. Stary już jestem i ślepy ale... to mi wystarczyło! Obraz poubieranych w jakieś gałgany i szmaty... te dzieci... głodne, wywleczone z chałup, wystrzelane jak kaczki... – wychylił butelkę i... o dziwo dopił znów do końca!

Przybity makabrycznym obrazem z przeszłości nie miałem już właściwie pytań. Podziękowałem i postanowiłem, że poszukam w lesie tej zbiorowej mogiły. Jakby odgadł moje myśli, odezwał się na koniec:

– Nie radzę pytać tu nikogo o te pozostałości kirkutu. Trzeba dojść do tartaku, potem od wiaty, pod lasem... będzie jakieś pięćdziesiąt kroków, na zachód... trzeba przejść przez kawałek pola Radoszewskich, oni tam zawsze psy spuszcza na noc... W lesie widać resztki macew ale wszystko zarosło po szyję... I menele tam lubią ucztować, można w gówno wdepnąć, bo nikt tu tego miejsca nie szanuje... macewy stare, nawet z siedemnastego wieku... żeliwne, sefardyjskie. Ludzie pobrali co się dało na złom. Ale kilku nie dali rady wykopać, cholernie ciężkie i... może się czego przestraszyli, bo teraz tam jakoś dziwnie po nocach wilki wyją... Powiadają, że ktoś poszedł tam w księżycową noc i widział zjawę... ale ja nie wierzę, bo tutejsze dybuki dawno wyniosły się z niegodziwej ziemi... Tam tylko krew zaschnięta, dla mojżeszowego ludu przeklęta. I cisza, wołająca o pomstę do nieba...

– Mogiła jakoś się wyróżnia?

– Ot, pagórek zarośnięty czarnym bzem, nic wielkiego. Z upływem czasu prawie się zrównał z resztą ziemi... Leży ich tam chyba z czterdziestu... Kości, których nie powinno się według ich religii ruszać...

Kochałem się z Larysą tego wieczoru w nadziei, że gdy wypełnię swoje posłannictwo o wszystkim jej opowiem. Nie chciałem, żeby wiedziała, co sobie zaplanowałem, bałem się uprzedzać fakty. Kiedy usnęła, cicho wykradłem się z domu, zabierając ze sobą stradivariusa. Wiedziałem już co mnie tu przywiodło. Postanowiłem udać się na kirkut i oddać hołd tragicznie zmarłej dziewczynie, której duch zaklęty był w moich skrzypcach. Nie wiedziałem jak się to odbędzie ale miałem pewność, że sobie poradzę. I z psami, które biegały po polu i z wilkami i z dybukiem, gdyby jakiś tam, wśród drzew się skrywał.

Bez problemu odnalazłem stary cmentarz. W poświacie księżyca wydawał się szmaragdowo – brunatny, cienie drzew były długie i poszarpane jak pazury kostuchy. Nad wszystkim unosiła się lekka mgła. Stałem pośród drzew i czekałem. Kiedy czas zaczął mi się dłużyć i porządnie zmarzłem, otwarłem futerał i wyjąłem instrument a potem, roztarłszy wcześniej zgrabiałe palce zacząłem grać. „Serenadę melancholijną” opus dwudzieste szóste, Czajkowskiego. Był to, w moim przekonaniu, utwór najbardziej adekwatny do sytuacji. Miałem w głowie fragmenty partii orkiestrowych, ale nie potrzebowałem akompaniamentu

ani towarzystwa. Rozgrzałem się grą i o dziwo palce już nie były tak zziębnięte, przez to rzewność tonu w ósmej minucie i trzydziestej sekundzie była wyrazista i wyjątkowo klarowna. Niestety... kiedy skończyłem grać, zauważyłem, że wciąż jestem sam, żaden dźwięk czy ruch nie zakłócił mojej interpretacji, wydawało mi się, że cisza była przejrzysta i prawie doskonała. Nie zastanawiając się zbyt długo rozpocząłem „Zigeunerweisen” Pablo Sarasate, jako że był to mój absolutnie popisowy numer, a nie przyszło mi do głowy żadne skojarzenie z żydostwem w muzyce, jedynie z cyganami. I nie minęło wiele czasu, a spostrzegłem, że nie jestem już sam. Kiedy przed upływem szóstej minuty i trzydziestej sekundy zaczynałem część dynamiczno-taneczną utworu... między drzewami zajaśniała postać w podartej sukience, z ciekawskim wyrazem twarzy i długim złotorudym warkoczem. Zauważyła, że na jej widok chciałem przerwać, ale dała znak ręką, bym spokojnie dograł do finału. Nie byłem skoncentrowany i końcówka wypadła blado i nieefektownie, co zaraz zauważyła i właściwie oceniła. Jednak to co najistotniejsze, dokonało się. Wizje się wreszcie skończą, bo dowiem się o co chodzi tej biednej dziewczynie.

– Końcowe frazy były za szybkie – oceniła.

– Bo mnie rozproszyłaś... Jesteś Sara, tak?

Nie odpowiedziała, spoglądała płonącymi oczami na stradivarius, wydawała się urzeczona.

– Masz moje skrzypce. Kto ci je dał?

– Kupiłem na aukcji od pewnego Holendra, chciał pozostać anonimowy. Muszę ci powiedzieć, że przez tyle lat mogły należeć do wielu osób.

– Należały.

– To dlaczego akurat ja tu trafiłem?

– Bo nikt wcześniej nie grał na nich równie biegle!

Poczułem się mile połączony. W końcu ona też uchodziła za wyjątkowo zdolną. Stała w odległości dwóch kroków ode mnie. Była smukła, miała na sobie poszarpaną, brudną sukienkę. Spomiędzy rozerwanych haftek wyglądały jej dziewczęce, drobne piersi. Twarz dziewczyny była kremowa i wcale mnie nie przerażała, nie nasuwała skojarzeń z trupem czy upiorem. Jej włosy miały niesamowity kolor, lśniły w nikłym świetle księżyca. Nie interesowała się moją osobą, jej uwaga skoncentrowała się na mojej opuszczonej dłoni, trzymającej gryf skrzypiec.

– Wciąż nie wyjaśniłaś dlaczego tu jestem... – powiedziałem nieśmiało, jakby bojąc się,

że spłoszę jej obraz.

– Daj mi je! – powiedziała wyciągając dłoń o szczupłych palcach.

Zawahałem się, bo przecież nie była materialna, mimo całego swojego niewinnego uroku, mogła je upuścić i zniszczyć. Zauważyła to i jakby postanowiła się ze mną oswoić, uśmiechnęła się nieśmiało i zaproponowała bym jeszcze coś zagrał, bo dawno nie słuchała takiej dobrej interpretacji. Nie dałem się długo prosić, byłem szczęśliwy, że mogę coś dla niej zrobić. Bez wątpienia oboje umiłowaliśmy ten sam instrument. Wybrałem „Clair de lune” Debussy’ego z nadzieją, że sprawię jej przyjemność. Rozległy się delikatne tony, melancholijne i mroczne zarazem, wobec groteskowej, surrealistycznej widowni złożonej z drzew, krzewów, i pochylonych ku ziemi macew z pordzewiałymi inskrypcjami. Słuchała mnie uważnie, jej oczy płonęły w mroku zimnym ogniem. Udało mi się wywołać na jej bladych ustach cień nieziemskiego uśmiechu. W tej scenerii wydała mi się urzekająco piękna, liryczna i bezbronna.

Był to bodaj najszlachetniejszy z moich występów; porwany melodią i niezwykle okolicznościami gotów byłem dać tu cały koncert, nie zważając na to, że dźwięki muzyki skrzypcowej, dobiegające ze starego, zaniedbanego kirkutu mogły kogoś zaniepokoić i sprowadzić.

Przymknąłem oczy i na moment całkowicie odpłynąłem. W tym czasie ona podeszła do jednego z kiepsko zachowanych nagrobków, pokrytego mchem i zarośniętego suchymi chwastami. Kiedy skończyłem grać, gestem poprosiła bym do niej podszedł. Wówczas spostrzegłem, że ma liczne zadrapania na rekach, siną od śladów duszenia szyję a sukienka przypomina całun i pełno na niej plam od wilgotnej ziemi. Poczułem zapach stęchlizny i przeszedł mnie dreszcz.

– Teraz roztrzaskaj je o ten kamień – rozkazała, a wiatr rozwiał jej włosy i zobaczyłem, że ma kościste dłonie i wystający z dekoltu sukienki obojczyk.

– Nie – przeraziłem się – tego nie uczynię! Jak możesz tego ode mnie żądać! Wiem co się stało i jest mi przykro, ale to przecież stradivarius.

– Wiesz, jak zginęłam?! – jej twarz wykrzywiła się i zrobiła podobna do płachty unoszonej powiewami wiatru, włosy uniosły się do góry, a postać nienaturalnie wydłużyła – Masz je natychmiast roztrzaskać!

Przerażony postąpiłem kilka kroków do leżącego na ziemi, otwartego futerału i nim zdążyła mnie powstrzymać, zatrzęsnałem skrzypce w bezpiecznym sejfie, uruchamianym

przez cyfrową kombinację, którą tylko ja znałem. Został mi w rękę smyczek, do obrony ale co tam smyczek, nawet tej klasy, do ponownego zdobycia!

Dziewczyna zasyczała i rzuciła się ku mnie, ale było za późno, instrument stał się dla niej niedostępny. Jej subtelna twarz zmieniła się w mgnieniu oka, poszarzała i wyblakła jak stary foliał, włosy przerzedziły się a dłonie straciły złudną cielesność i nagle ujrzałem przed sobą wysoką postać, jak z koszmarnego snu, odzianą w cuchnące strzępy, spod których prześwitywały jasne kości. Zachwiałem się, poruszony trupią wonią jej oddechu. W tym momencie posłyszałem strzały. Ktoś polował o tej porze? Jedna z kul ugodziła mnie pod żebra, potem następna... upadając pomyślałem tylko o egzekucji, która miała miejsce tu, przed laty... Wszystko stało się tak szybko. Tam, gdzie trafiłem nie było żadnych skrzypiec...

Rano jeden z pracowników tartaku poszedł się wysikać w krzaki i znalazł ciało w lesie. Powiadomił sołtysa. Mieszkańcy Strzyżewa przybiegli w te pędy na wieść o nieboszczyku. Okazało się, że wilki wyły tej nocy zajadle i gospodarujący najbliżej kirkutu myśliwy Radoszewski postanowił je odpędzić. Skąd miał wiedzieć, nieborak i pocziwiec, że na cmentarzu, w środku nocy znajduje się człowiek? Widział w ciemnościach parę błyskających ślepi, to strzelił kilka razy bez zastanowienia. Wszyscy uznali, że jest niewinny i wobec powyższego nie należy nikogo powiadamiać, zwłaszcza, że ofiarą był człowiek nikomu nieznan, przejezdny i przecież zginąć mógł wszędzie, niekoniecznie w Strzyżewie.

– A co po nim zostało?

– Samochód, niczegowaty. Trochę nim pojeżdżę... – zaoferował się sołtys – A ubrania miał jakieś kałmuckie. Może te... koszuli... nadadzą się na szmaty, takie jakieś poprzecierane, pewnie szybko podrą się, jak amen w pacierzu.

– Skrzypce zostały... – wstrząśnięta tym zdarzeniem Larysa podała im futerał – nie idzie otworzyć. Trzeba chyba...

– Zamek jakiś bez dziurki, jak te baby w piekle i klucza nie widać. Szukała?

– Nie miał klucza...

– Sezam jakiś?

– Klucze tylko od samochodu.

– Dziwne. Trza będzie tasakiem podważyć. To puści. A te skrzypce ładne chociaż? Widziała?

– Stare.

– E, do miasta podwieziem, oddam do lombardu staremu Grocholewskiemu.

– Może kto kupi?

– Stare? Kupi? – popukał się w czoło sołtys. – Jak kto dzieciaka na nauki oddaje, to mu nowe oporządza, nie stare.

– Ale to muzyk był! – zaprotestowała Larysa, wciąż nie mogąc pojąć co jej lokator robił nocą na cmentarzu.

– Musi w tutejszej, miastowej fisharmonii grywał.

– Nie. Powiadał, że solo.

– Znaczy, artysta? Czereśniaki powiadali, że wyglądał jak artysta. Czegós głupowaty musiał być, jak stare skrzypce woził. Może to jaka pamiątka rodzinna? Słyszała chociaż jak grał?

– Oj... pięknie grał... – powachlowała rzęsami Larysa. Słyszała przez zamknięte drzwi kiedy po kilka godzin ćwiczył, nawet ją raz zaprosił, by weszła, przed kolacją.

– E, ty durna! Tobie każdy chłop ładnie gra, jak ma więcej wzrostu od kozy, to i pasuje jak ulał.

– I przystojny był... Grać umiał!

– Ano, na babskich podwiązках! Hy hy hy.... Teraz mu we wsi pochówek trza zorganizować jakiś. Kajetan od Marków zbije trumnę z desek tartakowych. Wiedziała choć jak się nazywał?

– Jakoś tak... dziwnie. Nie zapamiętałam. Na... łopatce mi się podpisał takim niezmywalnym flamastrem – odwróciła się, podciągnęła bluzkę do góry.

– E, bazgroły jakieś... Flamastrem się podpisał, powiadasz? Może i czym innym, ty dobrze uważaj, żeby z tego pisania jakiegoś bajstruka nie było! A imię chociaż ponjała? Trza będzie coś musowo na krzyżu wystrugać, dla spokojności.

– Imię? Tak, imię zapamiętałam. Od lasu.

– Że jak?

– Daniel mu było.

– Hy hy hy! Głupia? Daniel? To tylko Olbrychski jeden jest do zniesienia. Reszta danieli rogi w lesie nosiwszy!

– Szkoda go, tak jakoś głupio zginął... – rozpamiętywała Larysa – wam tylko telewizja w głowie i stare filmy. Trzeba iść z postępem. Laptop należy do mnie. Założę sobie konto

na fejsbuku!

Prostacki chichot sołtysa długo jeszcze wybrzmiewał ponad chaszcami.

Rachunek nie do spłacenia

Tomasz Krzywik

Do lektury usiądź wieczorem. Pogaś światła, zostaw sobie tylko jedną, jedyną lampkę, która pomoże Ci czytać. Wsłuchaj się w otaczającą Cię ciszę. Potem powtarzaj razem ze mną: Jestem normalny, jestem normalny, jestem normalny.

I zastanów się – czy w tym opowiadaniu wszystko jest na miejscu?

Czy w miejscu, gdzie wszystko jest nienormalne, normalność pozostaje normą?

I czy na pewno widzisz słowa między słowami?

„Nie było żadnego menu. Był obrazek krzyczącego drewnianego chłopczyka, oglądającego się przez ramię na drewnianego wilka, który połknął jego nogę aż po kolano. Wilk miał położone po sobie uszy i wyglądał jak terier z ulubioną zabawką”

Stephen King, 1408

„It’s not a lake. It’s an ocean”

– cytata z Alan Wake

„(...)Dzisiaj, trzydziestego pierwszego października mija trzecia już rocznica zaginięcia Aleksandra Gronka, jednego z najwybitniejszych twórców współczesnego horroru. Pisarz, który wyjechał na południe kraju w poszukiwaniu weny pewnie już nigdy... (...)”

– informacja z wieczornego wydania wiadomości

Zawsze lubiłem jeździć nocą.

Nawet nie do końca wiem czemu. Po prostu było coś urokliwego w tej pustce na drodze,

w tym całym wrażeniu, że jest się jedyną istotą ludzką na świecie. Nie istniała obawa, że jakiś średnio rozgarnięty bałwan zmieni nagle pas, zajedzie mi drogę i doprowadzi do wypadku. Nie musiałem uważać przy manewrowaniu na innych kierowców, bo znakomita większość z nich o tej porze już dawno spała w swoich łóżkach. Piesi? Teraz o pieszych było równie łatwo jak o coca colę w sklepie w czasach PRL. Krótko mówiąc – tylko ja i droga. Bez bogów, królów, podatków i tego całego burdelu towarzyszącego życiu codziennemu.

Jedyne, co mi przeszkadzało, to mgła. Jechałem przez las, więc widoczność już i tak miałem mocno ograniczoną; niebo zakrywały chmury, dlatego też nie mogłem liczyć nawet na światło gwiazd czy księżyca. Leniwy opar, który wypełził spomiędzy drzew na ulicę niczym jakieś monstrualne, na wpół świadome zwierzę, stawiał mnie w nieciekawym położeniu. Na wszelki wypadek nie przekraczałem osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Na drogach takich jak ta nigdy nic nie wiadomo.

Jechałem już prawie pięć godzin. Wyruszyłem przed dwudziestą trzecią, więc do świtu jeszcze trochę mi zostało. Przysypiałem. Wpatrywanie się w paski namalowane na drodze może zameczyć nawet najtwardszych kierowców.

W pewnym momencie światła mojego samochodu padły na stojący przy drodze znak informujący o znajdującej się w pobliżu stacji benzynowej. Przetarłem zmęczone oczy i zerknąłem na wskaźnik paliwa. Strzałka znajdował się blisko literki „E”, co oznaczało, że trzeba zatankować. To nawet dobrze, przy okazji będę mógł zrobić sobie przerwę.

Niedługo potem drzewa po prawej stronie rozstały się, ukazując mi parking i samą stację. Zjechałem więc z drogi i podjechałem do dystrybutorów. Kiedy tankowałem, z nadzieją spojrzałem w kierunku budynku. Przez oszklony front starałem się dojrzeć, co tu serwują, jeśli w ogóle coś serwowano w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Miałem fart – przy kasie stała tablica, na której prawdopodobnie wypisane było menu.

Kiedy skończyłem tankować, zaparkowałem samochód koło budynku i wszedłem do środka. Wnętrze było raczej ubogie; stało tu parę lichych stolików, trochę krzeseł oraz stojak z prasą. Wystarczył mi jeden rzut oka żeby stwierdzić, iż większość numerów jest nieaktualna. Ba, część wydań tygodników opinii pochodziła sprzed grubo ponad miesiąca. Na rynku prasy orientowałem się nieźle, w końcu byłem dziennikarzem i to nawet dość znanym. Chociaż fakt faktem, że większy rozgłos przyniosły mi książki, szczególnie wydana ostatnio „Zima”, która z miejsca wskoczyła do czołówki bestsellerów.

Stojąca przy kasie dziewczyna musiała mnie rozpoznać, bo najpierw zmarszczyła czoło,

a chwilę potem uśmiechnęła się pogodnie. Mimo wypisanego na twarzy zmęczenia była ładna, wyglądała na jakieś dwadzieścia lat, może nieco więcej. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem dla niej za stary (miałem trzydzieści trzy lata), ale mimo wszystko zrobiło mi się cholernie miło. Niech sobie gadają ci wszyscy krytycy, że jestem egoistą, ale jestem też facetem i mam prawo do drobnych radości.

– Dobry wieczór! – powiedziała, zanim jeszcze automatyczne drzwi zdążyły się za mną zasunąć. – Przepraszam, niech pan mi pozwoli... Adam Grodlewski, prawda?

– Prawda, prawda – odparłem ze słabym uśmiechem. Podszedłem do niej. Obecnie byliśmy jedynymi żywymi duszami na stacji benzynowej. – Ma więc pani nade mną przewagę...

– Anna, Anna Kusak – musiała się podekscytować, bo mówiła strasznie szybko. – Znam pana z telewizji i książek, zwłaszcza książek! Czytałem je wszystkie, są świetne, ma pan naprawdę duży dar... Mam gdzieś krytyków mówiących, że wydaje pan swoje książki w tempie fabrycznym...

Niech to szlag, od razu ją polubiłem.

– ... Bo przecież tak naprawdę każda z nich jest inna! „Nauczyciel” to świetna, psychodeliczna ballada o paranoi i obłądnie, „Kawka” znakomicie spisuje się jako horror psychologiczny, a „Zima”... Eee, przepraszam, nakręciłam się – zaśmiała się cicho. – Pan na pewno jest głodny i zmęczony, a tu jakaś fanka panu wyskakuje i gada o książkach, a przecież musi pan to znosić na co dzień....

– Jest pani najładniejszą i najsympatyczniejszą fanką jaką spotkałem – powiedziałem i przez chwilę cieszyłem się efektem swoich słów. Dziewczyna promieniała ze szczęścia. – Ale faktycznie, jestem głodny, a mam przed sobą jeszcze trochę drogi. Zjadłbym coś. Ma pani coś godnego polecenia?

– Niech mi pan mówi Aniu. Będzie mi bardzo miło.

– Dobrze – przybrałem mój najlepszy, gwiazdorski uśmiech. – A więc Aniu, masz coś dobrego? Wyjechałem parę ładnych godzin temu i jestem wściekle głodny.

– Szczerze mówiąc, polecałabym tortillę. Wprawdzie jest droga, ale, mówiąc między nami, jeśli miałabym coś tu jeść, to chyba właśnie tortillę.

– Niech będzie – wyciągnąłem portfel. – I może jeszcze puszkę coli. Chociaż nie, lepiej napiję się kawy. Przyda mi się na rozbudzenie.

– A dokąd pan jedzie? – spytała, uruchamiając automat. – Oczywiście, jeśli to nie jest

żadna ta...

– Nie, nie, nie, to żadna tajemnica, spokojnie. Piszę teraz książkę, której akcja dzieje się w opuszczonym mieście, więc potrzebuję po prostu „nałapać” trochę klimatu. Początkowo miałem jechać do Prypeci, ale potem stwierdziłem, że równie dobrze mogę wpaść do starego Złotego lasu.

Stary Złoty las był największym miastem widmem w Polsce i jednym z największych w Europie. Okoliczności jego wyludnienia do dziś stanowiły zagadkę. Samo miasto straszyło na południu kraju, niedaleko Tatr i podobno leżało w wyjątkowo malowniczej okolicy.

– No tak, pana zawsze ciągnie na odludzie – dziewczyna pokręciła głową. Podała mi kawę i tortillę. – Cóż, nie pozostaje mi nic innego jak życzyć panu powodzenia. I szczęścia.

– Szczęścia?

– Ano tak – uśmiechnęła się krzywo. – jakiś czas temu przez okolicę przeszła potężna burza. Niech pan uważa na drzewa, może być tak, że jakieś się przewróciło i...

– Rozumiem.

Zapłaciłem za benzynę, jedzenie i kawę, potem porozmawiałem jeszcze przez chwilę z moją nową znajomą. Bardziej z grzeczności, bo myślami uciekałem już za kierownicę i do trasy, którą miałem jeszcze pokonać.

2

- Kurwa mać!

Wdepnąłem z całej siły hamulec, autem zaczęło rzucać na boki. Wielki, leżący w poprzek drogi dąb zbliżał się nieubłaganie. Zaciśnąłem powieki oczekując potężnego wstrząsu, ale nic takiego się nie stało.

Samochód jakimś cudem zatrzymał się mniej więcej metr od powalonej przeszkody. Serce waliło mi jak szalone. Boże, tak niewiele brakowało...

Odczekałem chwilę, musiałem się uspokoić. Puściłem kierownicę, położyłem dłonie na kolanach. Zamknąłem oczy.

Kiedy już opanowałem dreszcze wywołane stresem, wysiadłem z samochodu i zbliżyłem się do drzewa. Było zbyt duże, żeby usunąć je z drogi bez pomocy specjalistycznego sprzętu, a rowy melioracyjne uniemożliwiały objazd. Skwitowałem sytuację jednym, bardzo dosadnym słowem. Rozejrzałem się.

Las otaczał mnie z obu stron. Mgła wijąca się między drzewami nadawała im wygląd cieni, sam opar zaś coraz bardziej przypominał drapieżne zwierzę, które zaczyna

podchodzić swoją ofiarę. Droga była słabo oświetlona, więc prawie nic nie widziałem. Pokręciłem głową i wróciłem do auta. Wyciągnąłem telefon z zamiarem zgłoszenia zaistniałego problemu, lecz okazało się, że znajduję się poza zasięgiem.

– Pięknie, po prostu pięknie – mruknąłem pod nosem. Wyciągnąłem mapę i zacząłem rozglądać się za alternatywną drogą. Do Złotego lasu miałem już w sumie niedaleko, wystarczyło tylko...

(Umrzeć)

Podniosłem głowę do góry. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Nie wiem czemu, ale wydawało mi się że ktoś coś powiedział, nie, że ktoś coś ciągle powtarza. Zacząłem się rozglądać, choć miałem cholerną nadzieję, że nikogo nie zobaczę.

Rzeczywiście, w pobliżu nie było żywej duszy, ale zauważyłem coś, co wcześniej najwyraźniej umknęło mojej uwadze. Przy drodze stała zielona, nieco przerdzewiała tabliczka z nazwą miejscowości.

„Strzyżewo”

Zmarszczyłem czoło. Cholera, przysięgłbym, że tej tabliczki jeszcze przed chwilą tutaj nie było... A już na pewno nie było tej leśnej drogi, która zaczynała się tuż za nią, a która biegła w głąb lasu. Dróżka wyglądała niczym wejście do jaskini albo do paszczy Czegoś Wielkiego Niedobrego. Nie wiem czemu, ale na widok tego wszystkiego robiło mi się niedobrze. Gdyby nie to, że siedziałem w samochodzie, to przewróciłbym się i zwymiotował jak...

(wilk)

...kurwa, jaki wilk, jak kot, zwymiotowałbym jak kot. Spojrzałem znowu na mapę i zacząłem szukać na niej Strzyżewa. Teoretycznie ta miejscowość, wieś jak podejrzewałem, powinna leżeć gdzieś w pobliżu starego Złotego lasu, jednak nie mogłem jej za nic znaleźć. Jedyne Strzyganów, ale raz, że było to całkiem spore miasteczko, dwa, że leżało za daleko. Może źle odczytałem nazwę na tabliczce?

Ponownie uniosłem głowę, chcąc zerknąć na tablicę, ale napotkałem pewien problem. Nie było żadnej tablicy.

Po prostu wyglądało to tak, jakby rozmyła się w powietrzu. Owszem, dróżka nadal prowadziła w objęcia Czegoś Wielkiego Niedobrego, ale żadna tabliczka tutaj nie stała.

– Co jest, kurwa? – szepnąłem. Nie bałem się, lecz czułem niepokój. Wiedziałem, że jestem zmęczony. Wiedziałem, że mam za sobą sporo podobnych zjazdów, a także

wiedziałem, że jestem osobą normalną i myślącą logicznie.

– Spokojnie – zacząłem uspokajać sam siebie. – Stary, spokojnie, po prostu za długo jedziesz.

Bardzo długo myślałem nad kierunkiem, który powinienem był obrać. Istniały dwie możliwości. Pierwsza zakładała powrót na stację benzynową, spędzenie tam reszty nocy, a następnie dalszą podróż, tym razem inną trasą. Zająłoby mi to jednak sporo czasu, dlatego zdecydowałem się na drugą opcję.

Jazda przez las w poszukiwaniu objazdu.

Nie wiem czemu, ale myśl o przedzieraniu się moim autem (Toyota RAV4) wywołała u mnie mdłości. Las budził we mnie niepokój, co ja mówię, on mnie przerażał. Chociaż...

– Chociaż może się nieźle wpisać w początek powieści – powiedziałem do siebie głośno.
– Bohater dojeżdża do opuszczonego miasta przez upiorny las. Demony przeszłości zaczynają go dopadać jeszcze zanim trafi do piekła na ziemi.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Może i byłem dziwny, ale za to miałem bardzo żywą wyobraźnię.

Cofnąłem samochód, a następnie zjechałem z jezdni na leśną ścieżkę.

Kiedy minąłem granicę lasu, mgła zamknęła się za mną, na swój sposób odcinając mnie od cywilizacji.

Odcinając mi drogę ucieczki.

3

Jechałem przez las.

Drzewa, które wpadały w światła reflektorów mojego auta, pochylały się nad drogą, szczyrzyły się upiornie dziuplami, wyciągały przed siebie bezlistne szpony. Mgła była bardzo gęsta, czułem się niemal tak, jakbym płynął. Auto podskakiwało na nierównościach. Jechałem szybko, może nieco za szybko, ale to wszystko przez strach. Zacząłem się bać jeszcze zanim na dobre zagłębiłem się w las.

„Strzyżewo”

To była zła nazwa, nie zauważyłem tego wcześniej, ale teraz czułem to aż za bardzo. I to dziwne uczucie, wywołane świadomością tego, iż okoliczne lasy wręcz roją się od wilków.

Wilki...

Każdy z nas czegoś się boi. Pająków, samotności w wielkim domu, zdrady, bandytów,

śmierci. Ja akurat bałem się wilków. Nie umiałem tego jakoś racjonalnie uzasadnić, po prostu myśl o spotkaniu z takim właśnie wielkim, dzikim basiosem napawała mnie strachem.

– Kurwa, spokój – wyszeptałem do siebie. – Adaś, wyluzuj, nakręcasz się.

Niezależnie od naszych „strachów” każdy z nas boi się tego, czego nie widzi. Tego, co tylko zdradza swoją obecność, tego co tylko możemy wyczuć. Wiemy, że coś siedzi w mroku, gapi się na nas, a my, nieświadomie gapimy się na TO. Boże, o czym ja myślałem wilk to nie normalne, spokojnie, dam radę, mojego brata nie zjadły (wilk) wilki zimą na autostradzie do Connecticut.

Nagle na drogę wybiegła jakaś postać.

Wcisnąłem klakson, wdepnąłem hamulec. Nie wyrobiłem się. Rozległo się głuche łupnięcie, gdy człowiek uderzył w maskę auta. Cisnęło nim do tyłu, przekręcił się i upadł w kałużę. Nawet nie krzyknął.

Auto stanęło.

Zaniemówiłem. Czułem się tak, jakby mój mózg zaczął się wykrwawiać. Boże, jechałem szybko, ale przecież wybiegł na drogę tak nagle... Chryste, przecież ja go zabiłem BożeBożeBożeBoże.

Otworzyłem schowek i wyciągnąłem z niego latarkę. Sprawdziłem telefon, ale nadal znajdowałem się poza zasięgiem, nie miałem więc jak wezwać pomocy.

Wyskoczyłem z samochodu i podbiegłem do leżącej na drodze postaci. Ubrana była podobnie jak ja, miała na sobie skórzaną kurtkę narzuconą na bluzę z kapturem, dzinsy i adidasy. Nie ruszała się, Boże, nie ruszała się.

Człowiek, którego potrąciłem przewrócił się tak, że nie mogłem zobaczyć jego twarzy. Przyklęknąłem przy nim, zamierzałem go odwrócić, ale w tym momencie koszmar zaczął mieszać się z rzeczywistością.

Stojący za mną samochód zgasł.

Dosłownie. Światła przestały się świecić, silnik umilkł, a ja znalazłem się w absolutnym mroku. Poczułem się tak, jak gdyby coś zaczęło sięgać w moim kierunku. Zapaliłem latarkę i spojrzałem na auto. Odwzajemniło spojrzenie wyłączonymi halogenami. Nie wiem czemu, ale odniosłem wrażenie, że samochód umarł, że coś w nim bezpowrotnie zgasło.

Ponownie skierowałem strumień światła na leżącą postać, a gdy uświadomiłem sobie, co widzę, zerwałem się z krzykiem.

Nie było żadnej postaci.

Tylko leśna droga, trochę kałuż i kamieni. Ale nigdzie nie widziałem osoby, którą dopiero co wziąłem na maskę. Zimne kleszcze strachu i paranoi zaczęły się zaciskać na moim mózgu wilk. Co się ze mną działo? Przecież jeszcze przed chwilą ktoś tutaj leżał! A może nie? Nie no, przecież dlatego się zatrzymałem... Chociaż...

Wstałem i wsiadłem do samochodu, czując w głowie jeden wielki mętlik. Nie miałem bladego pojęcia co się ze mną dzieje. Zachowywałem się irracjonalnie!

Przekręciłem kluczyk w stacyjce, ale Toyota ani drgnęła. Poświeciłem na deskę rozdzielczą. Wyglądało na to, że bak jest pusty, chociaż dopiero co tankowałem. Zresztą to nie mogła być wina braku paliwa, przecież...

– Kurwa, spokój! – krzyknąłem. – Spokój, spokój, spokój!

Ukryłem twarz w dłoniach.

Znajdowałem się na prostej drodze do Strzyżewa. Teraz, kiedy o tym pomyślałem, doszedłem do wniosku, że jednak jakiś znak musiał stać przy tamtym cholernym zjeździe, bo inaczej skąd bym wiedział, że w ogóle taka miejscowość istnieje? Może po prostu coś umknęło mojej uwadze i tyle. Wychodziło też na to, że jednak nikogo nie potrąciłem. W końcu byłem zmęczony, mogło mi się zdawać, a że miałem bujną wyobraźnię (tak żywą!), na chwilę straciłem kontakt z rzeczywistością. To by wiele wyjaśniało.

Pomyślałem, że najlepszym wyjściem z obecnej sytuacji będzie zostawienie samochodu (w końcu i tak nie było tutaj żadnego ruchu...) i spróbowanie poszukania pomocy w tamtej wsi, czy czym też to Strzyżewo było. Toyoty i tak by nikt nie ukradł, gdyż auto, z nieznannej mi przyczyny, zdechło.

Tak,

(tak trzeba)

tak należało postąpić.

Upewniłem się, że zamknąłem samochód i ,uzbrojony w latarkę, ruszyłem w górę ścieżki.

Mniej więcej po kwadransie wędrówki zaczęło świtać.

Robiło się coraz jaśniej, ciemność ustępowała pola światłu. Mgła traciła jakby na sile, już nie była tym drapieżnikiem, z którym miałem do czynienia przy drodze i na początku mojej podróży przez las. Niepokoiła mnie tylko cisza, która towarzyszyła mi od dłuższego

czasu. Nie słyszałem żadnego ptactwa, żadnego szumu wiatru, nic. Jediną rzeczą, która mąciła tę ciszę były moje kroki oraz, od czasu do czasu, mlaskanie błota jeśli akurat się zagapiłem i wdepnąłem w kałużę.

W pewnym momencie ujrzałem stojący przy leśnej drodze dom. Wyglądał na opuszczony. Drewniany płotek odgradzający budynek od dróżki porastał mech, brakowało też części sztachet. Ogród porósł chwastami i dziką trawą, na werandzie leżały połamane szczątki bujanego fotelu. Schody pod wpływem wilgoci ściemniały i przegniły, podobnie zresztą jak inne elementy domu wykonane z drewna. Okna pokrywała gruba warstwa kurzu, w paru z nich brakowało szyb.

– Taa... – mruknąłem do siebie. – Witamy w Strzyżewie.

W ciągu całej swojej kariery pisarza widziałem wiele opuszczonych miejsc, dlatego też ten dom ominąłem bez poświęcania mu zbędnej uwagi. Pewnie jeszcze z godzinę temu bałbym się nawet koło niego przejść, jednak teraz minął już czas irracjonalnego lęku; choć wciąż było ciemno, zbliżający się świt przegnał demony mroku.

Kiedy oddaliłem się od napotkanego budynku, wydawało mi się, że dalej już będzie z górki.

Jednocześnie nie mogłem się pozbyć wrażenia, że ktoś zaczął mnie obserwować.

5

Do samej wsi dotarłem niedługo potem. Nie była duża, na zabudowę składało się parę domów, gospoda i kościółek. Choć miejscowość wyglądała na typową biedną wioskę z południa, to jednak okolica naprawdę przypadła mi do gustu – nawet o tej porze widziałem majaczące na horyzoncie góry, otaczający Strzyżewo las czy jezioro, po którego drugiej stronie znajdował się wspomniany kościół. Zabudowania koncentrowały się wokół jednej, jedynej drogi jaka przechodziła przez wieś, choć tutaj słowo „droga” było eufemizmem.

Nie wiem czemu, ale nagle cała sytuacja zapachniała mi Kingiem. Oczywiście nie porównywałem się do amerykańskiego pisarza, ale moja obecna sytuacja wyglądała niemal dokładnie tak jak w jego powieściach. Pisarz szukający weny kontra odcięte od reszty świata miasteczko ze swoją zamkniętą społecznością... No, może raczej kontra „wieś”.

Uśmiechnąłem się do siebie. Ta wioska działała mi na wyobraźnię jak mało co. Niektórzy artyści porównują wene do jakiegoś olśnienia czy czegoś w tym stylu. Ze mną było inaczej. Ja czułem natchnienie niczym dym. W jednych miejscach występował

w dużych ilościach, w innych – w mniejszych. Dlatego też tak często chodziłem na spacer. „Żeby łapać klimat”.

Strzyżewo śmierdziało dobrą książką.

Zapuściłem się w głąb wsi. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz zauważyłem, że część z budynków była niemal na pewno opuszczona. Domostwa straszyły wybitymi szybami, wyłamanymi drzwiami i dziurami w dachach. Jeśli ktoś je zamieszkiwał, to tylko

(przeszłość)

bezdomni.

Ze stojących wzdłuż drogi latarni spływało upiorne pomarańczowe światło, które w połączeniu z pochylonymi nad ziemią domami i pełzającą między nimi mgłą tworzyło jakiś niepokojący, oniryczny klimat.

W końcu dotarłem do czegoś, co uznałem za centrum wioski – placu ze stojącą pośrodku ogromną figurą Światowida. Otaczały ją krzaki akacji, dość dobrze trzymające się jak na końcówkę października. Na skraju placu stała gospoda „Serce Puszczy”, będąca dość niedużym budynkiem z werandą i kilkoma oknami z widokiem na wieś i okolicę. W jednym z nich paliło się światło. Odżyła w mnie nadzieja. Może jednak uda mi się znaleźć jakąś żywą duszę?

Nie robiłem sobie zbyt wielkich nadziei, kiedy zapukałem do drzwi. Nawet jeśli ktoś tu mieszkał, to z pewnością spał.

– Kto tam?

Gdy usłyszałem damski głos, niemal krzyknąłem z zaskoczenia.

– Proszę pani – odpowiedziałem po chwili. – Nazywam się Adam Grodlewski, jestem dziennikarzem i miałem wypadek niedaleko stąd. Potrzebuję pomocy, nie byłem w stanie się dodzwonić do nikogo, bo moja komórka straciła zasięg i jeśli to możliwe, to chciałbym tutaj poczekać do rana, a potem coś wykombinować.

– Grodlewski? Ten pisarz?

– Tak, jestem też pisarzem. Przejeżdżałem niedaleko stąd i...

Rozległ się dźwięk otwieranego zamka i po chwili drzwi otworzyły się, wypuszczając z wnętrza budynku jasne, ciepłe światło. Moim oczom ukazała się niska, przygarbiona kobieta, około sześćdziesiątki. Gapiła się na mnie podejrzliwie.

– Pan wchodzi, nie ma co teraz przebywać na zewnątrz. – powiedziała z ociąganiem. Gestem zaprosiła mnie do środka. – Zimno jest i zbliża się koniec października. W takim

czasie lepiej siedzieć w domu i się nie ruszać. Proszę, zapraszam panie Grodlewski.

Skinąłem jej i wszedłem do środka. Wnętrze nie powalało – ot recepcja i sala jadalna w jednym pomieszczeniu. Stały tu dwa długie, dębowe stoły. Musiały być od dawna nie używane, bo pokrywała je gruba warstwa kurzu. Rozstawienie krzeseł wyglądało na losowe, tak jakby ktoś porozrzucił je po całej sali w przypływie złości. W zwisającym z sufitu żyrandolu brakowało żarówek.

– Pan wybaczy, nie mamy ostatnio wielu przyjezdnych – powiedziała kobieta widząc jak przyglądam się sali. – Szczerze mówiąc, nie mamy ostatnio żadnych przyjezdnych. Wie pan, młodzi wyjechali za pracą do miast, a klientów ukradł nam Strzyganów. To takie miasteczko niedaleko stąd.

– Aha

– No i dlatego też to wszystko tak wygląda... Tylko pan Gronek wynajmuje pokój. Reszta pokoi jest... Troszkę zaniedbana.

Gronek? Skąd ja kojarzyłem to nazwisko?

– Rozumiem – odparłem. Udało mi się wreszcie oderwać wzrok od stojącej na jednym ze stołów figurki światowida. Wychodziło na to, że jest to swego rodzaju symbol tej zapomnianej przez Boga i ludzi wioski. – Proszę pani, chodzi mi tylko o to, żeby tutaj się przespać i móc rano zadzwonić. Nie jestem wymagającym klientem, naprawdę. Tylko niech mi pani poda cenę, to ja zapłacę i nie będę wybrzydzać. Obiecuję.

– No cóż, skoro tak pan stawia sprawę – nie wiem czemu, ale w jej tonie usłyszałem rezygnację. – Dam panu pokoik obok pana Gronka. Jest mały, zmieściło się tam tylko łóżko i szafka nocna, ale lepsze to...

– ...Niż nic – dokończyłem i wziąłem od niej kluczyk.

6

Wszedłem po schodach na piętro. Znajdował się tutaj wąski korytarzyk na którego końcu wisało stare lustro. Nie wiem czemu, ale kiedy je zobaczyłem zrobiło mi się niedobrze i z jakiegoś powodu przypomniałem sobie stojącą na dole figurkę światowida. Wzdrygnąłem się z obrzydzeniem. Owszem, widywałem różne dziwne rzeczy, ale kurwa, jaka ta figurka była brzydka! Cholera, mogłem wziąć ten badziew i gdzieś wywalić, nikt by nawet nie zauważył. Z kolei gdy spojrzałem w swoje odbicie, wrażenie bycia obserwowanym nasiliło się. Obejrzałem się przez ramię, ale nikt za mną nie stał.

Pokręciłem głową. Zachowywałem się tak, jakby mi zaczynało odbijać.

Zaśmiałem się głośno i szybko sobie przyłożyłem dłoń do ust.

Co ja najlepszego robiłem? To pewnie przez zmęczenie, tak, to na pewno właśnie dlatego. Sięgnąłem w kierunku drzwi do mojego pokoju, ale zamarłem z ręką wyciągniętą przed siebie.

Drzwi były przekrzywione w lewo.

Nie za bardzo, ale jednak. Przypomniały mu się horrory, które oglądałem i uświadomiłem sobie, że w ten sposób reżyserowie zazwyczaj sugerowali bajzel w głowie bohatera. Ale nie taki zwykły bajzel, skarbie, taki prawdziwy wilkowaty pierdolnik we łbie, że mucha nie siada! Taka jazda po bandzie, prawdziwy surrealistyczny bełkobajzel ze łbem na ścianie i ręką w nodze

Drzwi były przekrzywione w prawo.

Nie pamiętałem chwili w której przewróciłem się i oparłem plecami o ścianę. Natomiast uświadomiłem sobie, że teraz te pieprzone drzwi przechyliły się w prawo.

„Strzyżewo to złe miejsce” przeleciało mi przez głowę „O tak, to bardzo złe miejsce. Co ja tutaj jeszcze robię?”

– Ryje banię, co nie? – usłyszałem nagle głos zza moich pleców. Z krzykiem zerwałem się z podłogi i odwróciłem. Okazało się, że miałem za sobą nie ścianę, a drzwi prowadzące do innego pokoju. I to właśnie zza nich dobiegał głos. – Ale spokojnie, też tak miałem za pierwszym razem... A potem się przyzwyczailem. No, powiedzmy, że się przyzwyczailem. Tak właściwie to nauczyłem się z tym żyć. Bo do pewnych rzeczy nie można się tak po prostu przyzwyczaić, co Adam?

Gość nie dość, że miał głos cholernie podobny do mojego, to jeszcze znał moje imię.

– Pan wybaczy – powiedziałem po chwili. – Ale chyba przegapiłem moment w którym się panu przedstawiłem...

– Daj spokój, Adam, o jakim przedstawieniu mówisz? Ja znam twoje imię, a ty znasz moje.

– Nie znam pańskiego imienia, nie wiem nawet...

– ...Ile ma pan lat, czym się zajmuje, co ogląda, a co pije po pracy – Głos wyraźnie się zniecierpliwił. – No dalej, przecież mnie znasz, przecież wiesz...

„Oczywiście, że wiem” pomyślałem „Ten gość to Aleksander Gronek, pisarz który zaginął wiele lat temu. Boże, skąd ja to wiem? Ta babka na dole...”

– ...Na pewno o mnie wspominała, bo wynajmuję ten pokój od cholernych kilku lat –

podjął po chwili Głos. – Bo wiesz Adam, jak tak sobie pomyślę, to tutaj wcale nie jest tak źle. W nocy sobie śpię smacznie z głową pod poduchą i udaję, że wszystko jest w porządku, w ciągu dnia tyle co zejść na dół, zabiorę żarcie i znowu się zmyję do siebie. Adam...

Po drugiej stronie rozległy się kroki. Ten ktoś, ten cały Gronek najprawdopodobniej przysunął się do drzwi. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos zdawał się przepływać przez dziurkę od klucza, wylewać na podłogę i zalewać wszystko co tutaj się znajdowało, niszcząc ułudną zasłonę rzeczywistości.

– Kiedy matka opowiadała ci te wszystkie przerażające historie o wilkach – powiedział moim głosem. – to w jednym miała rację. One przychodzą w nocy, Adam.

– Skąd to wiesz? Skąd ty to, kurwa, wszystko wiesz?!

Serce waliło mi jak oszalałe. Chciałem stąd uciec, dać nogę z tej cholernej wioski póki jeszcze nie było za późno. Ale jednocześnie coś silniejszego ode mnie nakazywało mi stać tutaj i słuchać tego mojego – czyjegoś głosu. Głosu strasznego, bluźnierczego, odpychającego – ale jednak mojego.

– Skąd ja to wiem? Adam, proszę cię, listości! Pamiętasz, jak twoja matka umierała? Jak wszyscy wkoło płakali i łamali ręce, a ty w głębi duszy cieszyłeś jak cholera? Że to będzie nowe doświadczenie, że z tego może być fajne opowiadanie, że teraz będziesz biedny jak cholerni bohaterowie z filmów i książek i może spotka cię coś fajnego, coś niezwykłego. Ale nie, skurwysynu, zapomnij o tym. Chciałeś być pisarzem?

Cofnąłem się wilk to nie działa się naprawdę, to przecież było czyste szaleństwo. Skąd on o tym wszystkim wiedział?

– ...I zostałeś pisarzem, po znajomości, nic nie wygrałeś, jesteś nikim – nikim! Zdechniesz jak postaci z twoich nędznych – słabych wypocin i wtedy będzie dopiero dramat! Pik i kier, akacja i drewno, nikt w noc halloween nie przyjeżdża tutaj bez powodu! Rozdziobią cię kruki, wilki, Adam! Masz rachunek sumienia, rachunek nie do spłacenia!

– Moja matka była złą kobietą! – zawylem. – Złą, słyszysz mnie, Gronek?! Zasłużyła na to! Słyszysz?! Straszyla mnie wilkami! Że przyjdą w nocy i mnie zjedzą! Byłem mały, nie zasłużyłem na takie koszmary!

– Jesteś złym człowiekiem, ty nędzna podróbko pisarza! Pik i kier, główkę sześć nie ma co jeść, akacja i światowid!

Obudziłem się zlany potem. W pokoju panowały mrok i duchota, czułem pidżamę

przylepioną do mojego ciała. Podniosłem się powoli i rozejrzałem. Nie pamiętałem, jak się tu znalazłem, ostatnim wspomnieniem była rozmowa na korytarzu z... Nie wiem z kim. Samą konwersację również pamiętałem jak przez mgłę, choć przecież miała miejsce niedawno. Chyba.

Pokoik nie należał do największych, rodzinę mebli reprezentowały tutaj łóżko i szafka nocna. Generalnie – bieda. Z ciekawością spojrzałem na telefon. Zegarek na wyświetlaczu wskazywał godzinę za pięć trzecią w nocy. To oznaczało, że gdzieś zgubiłem parę ostatnich godzin... Choć mógł to być efekt snu... Zaraz, zaraz. Jaką znowu, do ciężkiej anielki, za pięć trzecią?! To się nie trzymało kupy, musiałbym tutaj spędzić cały dzień plus kawałek nocy!

„Pik i kier, akacja i drewno, nikt w noc halloween nie przyjeżdża tutaj bez powodu!”

Zwinąłem się w kłębek i zacząłem drzeć. Noc duchów. Zabita dechami wioska na południu Polski pełna opuszczonych domów. Nie macie tutaj wielu przyjezdnych? Nic dziwnego, wasi przyjezdni to trupy.

Na zewnątrz rozległo się bicie dzwonów. Pewnie bili w kościele za jeziorem. Ale po co? O tej porze?

Wstałem z łóżka i wilk podszedłem do okna. Wyjrzałem przez nie, ale nic nie zobaczyłem, na zewnątrz było po prostu za ciemno. Jediną rzeczą, którą widziałem była figura Światowida. Patrzyłem na nią, nawet nie wiem po co. Coś przyciągało mój wzrok.

Nagle uświadomiłem sobie, że jest na odwrót.

To figura patrzyła się na mnie.

Odsunąłem się od okna i w tym momencie na korytarzu rozległ się głośny trzask, a chwilę potem usłyszałem krzyk Głosu, z którym niedawno rozmawiałem... Chyba.

– Nie! Nie, nie, nie! To nie ja! Nie ja! On jest obok, jak Boga kocham, on jest...

Potem Głos nagle ucichł, a mnie zrobiło się niedobrze. Coś w głowie podpowiedziało mi, że odgłos, który pojawił się po kwestii „on jest...” brzmiał tak, jakby mojego niedawnego rozmówcę coś rozerwało. Na strzępy.

Stałem przy łóżku, milczałem, za wszelką cenę chciałem siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Coś, co zabiło (tak, właśnie tak, na pewno zabiło) Gronka wyszło na korytarz. Słyszałem ciężkie kroki, skrzypienie desek i oddech. Dobry Bożewilku, to zbliżało się do mojego pokoju!

Rozejrzałem się po pomieszczeniu i stwierdziłem, że nie ma tutaj kryjówki. Moją jedyną szansą było stanąć za drzwiami i modlić się, żeby to Coś, kiedy tu wejdzie, nie wpadło na

to, że mogłem się tak debilnie ukryć.

Ukryłem się „na debila”.

Serce waliło mi jak oszalałe.

Kroki zbliżały się.

Łup, łup.

BożeoBożetocośstoitużzaścianąBożeBoże

Łup, łup

ŁUP!

Ojczenaszktóryśjestwilkiem

ŁUP!

Drzwi otworzył się z hukiem, omal nie przygniatając mnie do ściany i przy okazji zasłaniając mnie, tak jak zaplanowałem.

I cisza.

Starałem się uspokoić, chociaż mój pęcherz nie wytrzymał napięcia. Położyłem dłoń na ustach, żeby nie krzyknąć. Słyszałem oddech tego czegoś, czułem to coś, co stało po drugiej stronie drzwi. Oczami wyobraźni widziałem to, co widziało moje nemesis – pomięta pościel, niedawno używane łóżko, szafka nocna i okna. Jeśli Coś by tu zajrzało, ujrzałoby dodatkowo pisarza z rosnącą plamą w kroku.

Zdusiłem śmiech.

Żeby tylko, żeby tylko, żeby tylko tutaj nie zajrzał!

Po chwili, trwającej dla mnie wieki, Coś wycofało się z pokoju. Ciężkie kroki oddalały się, by w końcu całkowicie ucichnąć.

Usiadłem na podłodze i zacząłem szlochać. Płakałem nad moim losem, nad uratowanym (czy na pewno?)

życiem i przede wszystkim ze strachu. Nie wiedziałem, co czaiło się po drugiej stronie drzwi, czy na pewno to istniało i przede wszystkim czego ode mnie chciało. Zawsze bałem się tego, czego nie widziałem, co mogłem dostrzec tylko oczami wyobraźni.

Kiedy się uspokoiłem, postanowiłem opuścić pokój. Nie było czasu do stracenia, Coś mogło wrócić i tym razem nie dać się nawilkbrać na sztuczkę z drzwiami. Pozostawała tylko jedna kwestia – co z Głosem?

Wyszedłem na korytarz. Panowały tutaj egipskie ciemności, musiałem świecić sobie fleszem wmontowanym w komórkę. Jedną dłoń przyłożyłem do ściany – potrzebowałem

tęgo, żeby łatwiej orientować się w przestrzeni.

Drzwi do pokoju Głosu leżały na podłodze. Mimowolnie podniosłem spojrzenie z desek i zająrzałem do pomieszczenia.

Gdy dotarło do mnie, co widzę, zacząłem wrzeszczeć.

Łóżko zamieniło się w chmarę pierza, sprężyn i kawałków drewna, z kolei szafce nocnej ktoś pewnie pomógł przypikować przez okno, bo było ono wybite, a samego mebla nigdzie nie widziałem. Jednak mój wzrok przyciągała postać powieszona po środku pokoju. Przedtem myślałem, że rozmawiałem z tym zaginionym pisarzem, Gronkiem. Może z kimś innym, z kimś, kto ma głos podobny do mnie. Ale myliłem się. Rozmawiałem z samym sobą.

Wisielec był mną.

Nawet ubranie miał takie same, z tą różnicą, że na piersi dyndała mu kartka z napisem „*Egoista – Narcyz*”.

Ttonie wilkajebłany supsens(a) horrosp(la)ehn(m)iony i wiaćkryć zwad wilkawilkwil

Puściłem się biegiem w kierunku schodów. Potknąłem się, przewróciłem. Na przemian śmiejąc się i szlochając zbiegłem na dół. Na jednym ze stołów leżała staruszka, która mnie przyjęła, ale suka była teraz kolejnym mną. Zmieniła się we mnie. Gdy ją mijałem, podniosła się gwałtownie i krzyknęła za mną:

– Aleks uniósł gwałtownie głowę, potoczył wokół zaleknionym spojrzeniem!

„Ona mnie cytuję” pomyślałem „Ona mnie cytuję... To idiotyzm!”

– To była słaba książka! – wrzasnęła, gdy mocowałem się z drzwiami. Cholerstwo nie chciało się otworzyć. – Bardzo słaba, taka słaba, bardzo, bardzo słaba!

Zaczęła... JA zacząłem iść w swoim kierunku. Jeden Adam próbował się wydostać, drugi chciał go zabić. To dopiero

Ha

Ha

Ha

Ha

Ha

Ubaw!

– Kurwa! – cofnąłem się i wyważyłem drzwi. Poleciałem za nimi, uderzyłem się o deski werandy, przed oczyma mi pociemniało.

– Adam Grodlewski pisze tak jak zawsze – wrzasnąłem, idąc nadal za mną. – Fajny

klimat, ale dużo braków. Braków, niewyjaśnień!

– Pieprzyć krytyków! – wrzasnąłem przez łyzy i zerwałem się na nogi. – Pieprzyć krytyków i pieprz się! Zostaw mnie!

Staruszka, która teraz przyjęła moje ciało szła w moim kierunku, uśmiechając się upiornie. W dłoni trzymała „Zimę”, jedną z lepszych moich książek. Nie wiem skąd ją wytrzasnęła, ale to nie było teraz moim największym problemem.

Puściłem się biegiem w kierunku lasu. Samochód, musiałem dotrzeć jak najszybciej do samochodu!

Posąg Światowida ożył, a wraz z nim ożyły otaczające go akacje. Kolczaste gałęzie zaczęły rozchodzić się we wszystkie strony, pełzły niczym węże. Usta figury otworzyły się i zaczęły wypowiadać moje imię. Adam, Adam, Adam, wilk, Adam.

Budynki starzały się w przyspieszonym tempie, na moich oczach obracały się w ruinę, a następnie zapadały w siebie i znikwały.

„Strzyżewo to zła nazwa” przeleciało mi przez głowę „I nie zapuszcza się tutaj w nocy duchów”.

Z ruin wybiegały różne moje kopie, wszystkie rzucały cytatami z książek, które napisałem. Szybko łapały je akacyjne węże, oplatały i rozrywały.

I wilki. Gonіło mnie całe stado wilków, słyszałem ich wycie. W końcu mnie dopadły, nie miałem tutaj kołdry, żeby się przed nimi schować!

Śmiałem się głośno.

Byłem prawdziwym Adamem? Czy jedynie kopią, która zaraz zginie? Kolejnym pisarzem, ofiarą krytyków i bezrozumnego motłochu, który czytał moje wypociny? Odbiło, ale numer!

Wycie wilków. Wycie ze śmiechu.

Obłąd,

Obłąd,

Obłąd

A przecież zawsze uważałem się za kogoś lepszego, za artystę, za jednostkę wybitną i niepowtarzalną. A tu tyle mnie naraz!

Biegłem przez las. Minąłem opuszczony dom, który obserwował mnie od samego początku tego bajzłobubla, a który zamieszkiwał sam Światowid.

Lało.

Przedzierałem się przez chaszcze, wilki były coraz bliżej.

Wypadłem na leśną drogę, prosto pod nadjeżdżający samochód. Rozległ się klakson, odgłos hamowania. Spojrzałem na pędzącą w moim kierunku Toyotę RAV4 i przez przednią szybę ujrzałem przerażoną twarz kierowcy.

Swoją twarz.

W ostatnim przeblysku świadomości wszystko do mnie dotarło.

8

„... Noc trzydziestego pierwszego października jest wyjątkowo nieszczęśliwym czasem dla pisarzy. Trzy lata temu w noc Halloween zaginął Aleksander Gronek, o którym mogli państwo posłuchać w naszym niedawnym materiale. Wczoraj zaś jedna z mieszkanek Strzyganowa w czasie drogi powrotnej z urlopu natknęła się na Toyotę RAV4 należącą do niejakiego Adama Grodlewskiego – znanego pisarza i dziennikarza. Auto było dosłownie wbite w drzewo, które wcześniej musiała przewrócić jedna z ostatnich burz. Ślady wskazują na to, że pisarz próbował hamować, jednak zaczął działać zbyt późno i w efekcie uderzył w przeszkodę. Zginął na miejscu...”

Anna Kusak wyłączyła radio i zaczęła płakać.

Kanie, 29.06.2012

O jedną noc za dużo

Piter Murphy

Zgarbiona kobieta stała przy oknie, wpatrując się w ciemność. Nikłe światło księżyca wpadające przez przybrudzoną szybę rzucało cień na środek izdebki. Stała nieruchomo, jakby czekając na nieoczekiwanego gościa. Zegar dawno wybił już północ, a Strzyżewo zapadło w głęboki sen. W oddali było tylko słyszeć wycie wilków. W chacie również wszyscy dawno spali. Nagle staruszka usłyszała szmer za oknem. Przeżegnała się i delikatnie otworzyła okiennice. Przywitała ją smolista ciemność, przez którą próbowała przebić swój słaby wzrok. Mrużyła zachodzące mgłą oczy, aż pojawiły się pierwsze łzy.

– Jesteś w końcu. Dlaczego tak długo? – zapytała kogoś, kto był po stronie ciemności.

Kiwała głową na znak zrozumienia, patrząc w jeden, sobie znany punkt. Oddychała ciężko, strojąc się na odbiór. Już wiedziała co ma robić.

– Rozumiem – rzekła podnosząc się powoli z klęczek. Czuła, jak napływają do niej nowe siły. Znała swoje zadanie i przeznaczenie, nie mogła go w żaden sposób cofnąć.

Otworzyła powoli i szeroko drzwi wyjściowe. Tak jak chciał pan, dusze miały szybko opuszczać to miejsce. Śmierć przychodziła szybko. Nawet bawiło ją spojrzenie tych ludzi, którzy mienili się być członkami jej rodziny i ja kochali. Podrzynanie gardła nie było niczym trudnym. Cieszyła się, że wpadła na pomysł, aby jej syn naostrzył noże. Nie pytał o powód. Widocznie sądził, że chodziło o krojenie chleba. Nie myślała o tym co robi. Ich ofiara była potrzebna, aby uratować Strzyżewo przed zapomnieniem. Wiedziała, że nie może zabić wszystkich, zabiła tych, których tak kochała. Zrobiła im przysługę, zrywając nić łączącą ich z pospolitym gniciem w tej wiosce. Uwolniła na nowo ich dusze.

Gdy skończyła, wtedy stanęła nad zwłokami odczuwając zmęczenie. Krew znajdowała się wszędzie. Na podłodze, na ścianach. Dochodziła trzecia. Pamiętała doskonale, co ma być

dalej. Dokładnie o trzeciej zabrała z kuchni wcześniej przygotowaną misę, po czym zebrała z kolejnych ciał trochę krwi. Dokładnie ją wymieszała i patrząc na księżyc szeptała rytualne modły. Czuła spokój. On był w niej. Czuła go cała sobą. Obiecał wolność, miłość i życie przez wieki. Obiecał coś jeszcze – Strzyżewo przetrwa. Odetchnęła z ulgą rysując umaczanym w krwi patykiem na środku pokoju dwa przecinające się trójkąty. Gdy skończyła...

– Rany boskie... możesz pukać jak wchodzić – trzy dziewczyny mrużyły oczy spoglądając w kierunku drzwi.

– Czy wam odbija? Świece, półmrok. Wywołujecie duchy? – zachichotała stojąca dziewczyna o rudych włosach, zamykając za sobą drzwi.

– Kontakt jest z lewej? Już zapomniała? – Anna zapytała pozostałe dziewczyny.

– À propos duchów... słyszałaś o Strzyżewie? – tym razem pałeczkę przejęła Renata.

– Dziewczyny. Duchów nie ma, rozumiecie? Powtarzam... NIE MA!!! Ale macie dobre chipsy – powiedziała Jolka pakując kilka zwiniętych chipsów do ust.

– A ty niby skąd wiesz?

– Skąd wiem? Gdyby istniały, dawno by mnie straszyły. Jestem taka... grzeczna – zachichotała.

– Raczej grzeszna... – odezwała się Marta, która do tej pory wykazywała najmniejsze zainteresowanie wejściem koleżanki.

– A może by tak...? – rozmarzyła się Renata.

– Chyba ktoś ma jakiś pomysł, z pewnością bombowy – uśmiechnęła się Anna.

– Anka, ty się nie czepiaj, lepiej rusz się i pogaście te świece. Same wyglądacie przerażająco. Sylwia, dobrze się czujesz? Jesteś dziwnie blada?

– O Boże!!! – krzyknęła trzecia, najmłodsza o imieniu Sylwia.

Wszystkie popatrzyły na nią przerażone.

– Co się stało? – pierwsza zapytała Marysia – dziewczyna która weszła do ich pokoju w akademiku.

– Właśnie pomyślałam że ...

Dziewczyny patrzyły na nią, ale żadna nie odezwała się pierwsza.

– Ta wioska naprawdę istnieje. Pamiętam...o Jezu...- Sylwia zakryła usta.

– Co pamiętasz? – zainteresowały się dziewczyny.

– Ja pochodzę z Podkarpacia, a Strzyżewo leży jakieś 80 kilometrów od miejsca gdzie mieszkałam. No, może trochę mniej. Pamiętam, kiedy rodzice opowiadali tę historię, a potem nauczyciel historii. Niedługo potem zaginał.

– Dziwne. Słuchajcie, za niedługo wakacje, może się wybierzemy? – zapytała Renata?

– Jestem za – odezwała się Anka – planów nie mam, więc...

– Ja tam nie wiem – wahała się Jola.

– Mamy jechać same, bez chłopaków? – zapytała Sylwia.

– Mam pomysł – ożywiła się Jolka. Może porozmawiamy o tym z twoim nauczycielem historii?

– Może być trudno? Facet zaginał. Nigdy nie odnaleziono zwłok.

– Więc jak dziewczyny? Babski wypad?

– A ja będę tego żałowała, ale jadę z wami – dorzuciła Jolka

– Ale nikomu ani mru mru...- odpowiedziała Sylwia.

– Ja tam idiotki z siebie nie pozwolę zrobić – zakończyła Anka.

Podróż na Podkarpacie minęła w miarę szybko. Większość podróży odbyły autobusem nocą. Dwadzieścia po ósmej wysiadły w na dworcu Tarnowie. Był to osobliwy widok. Cztery dziewczyny z wielkimi plecakami, rozłożoną mapą , kłócące się głośno na dworcu PKP.

– Sprawdzalam dokładnie. Strzyżewo leży tutaj, to nie jest tak daleko – kiwała nerwowo głową Sylwia

– W takim razie dlaczego nie ma jej na mapie? – pytanie Jolki było jak najbardziej zasadne

– Skąd ja mam to wiedzieć? Sprawdzalam w necie – próbowała się bronić najmłodsza uczestniczka wyprawy.

Milcząca do tej pory Renata wstała i poprosiła o ciszę.

– Spokojnie. Ja chyba wiem gdzie to jest. Idziemy na autobus.

Dziewczyny bez słowa sprzeciwu i z pewną ulgą przyjęły słowa liderki.

Godzinę potem obrażone na siebie z nosami przylepionymi do brudnej szyby podążali na południe. Wysiedli na ostatnim przystanku, masując obolałe nogi. Autobus nosił wszelakie ślady niewygody. Twarde siedzenia, zbyt bliskie odległości między fotelami

i ogólnie panujący odór ludzkich ciał w przeładowanym autobusie.

– Strzyżewo jest 5 kilometrów za tą wioską. Ale... nie możemy mówić nikomu, dokąd się udajemy. No wiecie... – mówiła Jolka.

– Nie, nie wiemy, może dosyć tych tajemnic? Jestem taka zmęczona – mówiła druga.

– Ludzie tutaj są bardzo przesądni. Jeżeli powiemy, że idziemy do Strzyżewa po prostu nam odradzą. A może nawet nas powstrzymają?

– Nonsens.

– Idziemy, czy nie. Głodna jestem. Zrobimy jakieś zakupy, póki jesteśmy w cywilizacji.

– To ma być ta osławiona wioska przeklętych? Robi wrażenie ten... las – zarechotała głośno Anka.

– A skąd ja mam wiedzieć? Przestań się mnie czepiać – odpaliła Renata – Idziemy – zakomenderowała. Pewnie coś znajdziemy, rozbijemy namiot i zobaczymy co się wydarzy.

– Ale się nie zgubimy?

– A po co mamy kompas?

– A mamy?

Renata kiwnęła głową że się poddaje i z blondynką nie ma sensu rozmawiać.

Dziewczyny odnalazły ledwo widoczną ścieżkę i jednogłośnie stwierdziły, że podążą wzdłuż niej.

– Ja już nie mogę – Sylwia przysiadła na mchu.

– Ja również – wysapała Anka.

– Zaraz zrobimy przerwę. Poszukamy jakąś polanę – zakomenderowała Jolka.

– Dziewczyny, ale na pewno nie powiedzieliście dokąd jedziemy? – ciche pytanie Sylwii było na miejscu

Kolejne potwierdziły, że podały zupełnie inne miejsca wyjazdowe.

– Przecież będziemy tutaj maksymalnie cztery dni. Jakoś wytrzymam bez cywilizacji. Zobacz Renata – tutaj nawet zasięgu nie ma – skapitulowała Sylwia.

– Jest – wykrzyknęła Renata. A nie mówiłam...

– Co nie mówiłaś? Chatka Baby Jagi w lesie?

Wszystkie zobaczyły dach domku pokryty słomą. Wyglądał jakby czas się tutaj zatrzymał.

– Może to skansen? – wyszeptała Sylwia.

Podchodziły powoli bliżej, starając się zachowywać ciszę. Zapomniały nawet o ciężarze plecaków. Prawie jednocześnie pisnęły, kiedy zza rogu chaty wyłoniła się tajemnicza postać. Był to wysoki mężczyzna o blond włosach i atletycznej budowie. Pozbawiony górnej części ubrania, w dłoni trzymał siekiere. Przerazone dostrzegły, że z ostrza kapie krew.

Mężczyzna je zobaczył i podchodzi powoli, bez słowa w ich kierunku. One same stały jak w transie. Żadna nie była w stanie się poruszyć. Gdy był w odległości metra z chatki wychyliła się kolejna postać. Stara kobieta o wysuszonej skórze wyszła przed drzwi i zawołała:

– Janek. Nie strasz gości. Przepraszam panie. Mój syn nie mówi. Czy coś się stało? – zapytała.

Dziewczyny stały niczym zakłute patrząc na trzonek siekiery.

– A to??? To krew – powiedziała jakby nie wiedziała – to znaczy krew kur. Akurat jesteśmy w trakcie ich ubijania. Przepraszam, nie chcieliśmy pań przestraszyć. Proszę, zapraszam na herbatkę – wskazała drzwi wejściowe.

Dziewczyny weszły w milczeniu. Wszystkie miały wrażenie, że powietrze stało się ciężkie, podobnie ich myślenie. Jakby ktoś wszedł w ich głowy i dysponował ich myślami.

– Pewnie szukają panie spoczynku? Dobrze trafiłyście. Strzyżewo to opustoszała wioska. Wicie, jak to jest.. Od niedawna zostałam sama z synem. Młodzi uciekli do miasta. W czasie wojny Hitler prowadził tutaj eksperymenty na ludziach. Ale nie ma czego się bać.

– Czy ktoś tutaj mieszka? –zapytała rzeczowo Renata.

– Nie, tylko my, Ja już jestem stara i nie wiem, co się stanie z synem po mojej śmierci. Jest niepełnosprawny. Ale to dobry chłopak. Zostaniecie tutaj na kilka dni? Studentki, tak? Szkoda że ludzie tutaj boją się przyjeżdżać. To takie miłe miejsce – przez jej twarz przebiegł uśmiech.

– Ale jestem senna – przerwała Jola.

– I ja – dodała Anka.

– Wierzę. Tutaj powietrze jest inne, a czas płynie szybciej. Mamy tutaj domek dla gości. Jest tam czystko i schludnie. Wypoczniecie. A teraz jedzcie. Mam nadzieję, że lubicie leniwe kluski.

Godzinę później weszły do domku podobnego do tego, w którym mieszkała staruszka z synem. Był dokładnie taki sam. W środku stół, cztery krzesła, piec i coś, co z pewnością ma służyć za szafę.

– Ja nie wiem, ale moja intuicja mi mówi aby uciekać – zaczęła Sylwia.

– Daj spokój, co ci może zrobić ta staruszka – zapytała Anna.

– Ona może nic, ale jej syn...przeraża mnie. Widziałas te oczy? – Renata dodała oliwy do ognia.

– Tak widziałam – odpowiedziała Sylwia. Ale synek... niczego sobie...

– Jaka decyzja? Mnie boli głowa i się stąd nie ruszam. Są dwa łóżka, jakoś się zmieścimy – zarządziła Jolka.

– Macie ochotę na jakiś spacer? – zapytała Anka.

– A niby gdzie? Tutaj wszystko jest takie same. Drzewa i drzewa – dodała Sylwia.

– Ja poczytam – poinformowała Anna.

– Dziwnie się czuję – Renata skrzyżowała ręce – Jezu... co to jest? – Patrzyła na podłogę.

– Pewnie coś tutaj stało i jest odbite – Anka zachowała zimną krew – To musiało być coś dużego. Fragmenty tego okręgu wskazują na to – wskazała na białe ledwo widoczne odbicie.

– Przestań fiksować. Nikt tutaj nikogo nie zabił. Ale te białe miejsca nie dają mi spokoju – w głosie Renaty można było wyczuć pierwsze objawy paniki.

– Mnie też to się wydaje dziwne – Sylwia wychyliła głowę.

– Jezu co to było? – Zaraz padnę na zawał, a wtedy naprawdę będzie źle – Renata wychwyciła kolejne dźwięki.

– Zamknij się w końcu. Wszystkie się zamknijcie. Dajcie mi czytać – żadna nie miała ochoty dyskutować z Anką.

Kilka godzin po kolacji wyłowionej z własnych zapasów każda dziewczyna siedziała

w innym kącie. Były znudzone i każda w skrytości ducha żałowała tego, że się tutaj znalazła, ale żadna nie chciała się do tego przyznać przed pozostałymi.

Renata gapiła się w sufit, nucąc cicho melodię piosenki płynącej z głośników na uszach, Anka usiłowała czytać najnowszą powieść Chmielewskiej śmiejąc się nerwowo co stronę. Jolka gapiła się w okno, a Sylwia malowała paznokcie. Atmosfera była wyjątkowo ciężka.

– Nie, ja zwariuję. Co ja tutaj robię? – odezwała się Sylwia.

– Zabrakło ci paznokci do malowania? – odezwała się Jolka.

– Tutaj jest coś, co mi mówi abyśmy uciekały. Póki nie jest za późno – tym razem Jolka nie dawała za wygraną.

– Ja też nie czuje się komfortowo – przyznała Renata – ale co możemy zrobić. Zaraz noc. I proszę – nie panikujcie, nie piszczcie jak nastolatki. Jesteśmy w lesie. Wy mieszcuchy tego nie ogarniacie, ale nocą pod domek mogą podejść zwierzęta. Ale bez obaw. Zatarasujemy drzwi, a okna szczelnie zamkniemy.

– Ja się tutaj duszę. Dziwne to powietrze. Nie zamykaj okna, bo naprawdę zginiemy od własnego smrodu – prosiła Anka.

– Mnie zainteresowała to, co powiedziała kobieta. Tutaj urzędował Hitler i prowadził eksperymenty na ludziach – pamiętacie? – Renata obgryzała paznokcie.

– Nawet nie przypominaj. Tutaj pewnie roi się od duchów – pisnęła Sylwia.

– Dlaczego wy się nakręacie? Nic się nie dzieje, ale kiedy...

Nagły huk przerwał dyskusję. Dziewczyny znieruchomiały. Renata podeszła do drzwi, ale żadne inne dźwięki nie wydobywały się z zewnątrz.

– Może jakiś myśliwy poluje. Nie panikujmy. Spokojnie. Słuchajcie. Jutro stąd wychodzimy. Damy radę – uśmiechnęła się Renia.

– O ile do jutra przeżyjemy – wyszeptała Sylwia.

– Ta uwaga była zbędna – Jolka podniosła głowę – Jestem zmęczona, więc rozmawiajcie ciszej.

– Ja proponuję się położyć. Może zaśniemy. Tylko dziewczyny... żadnych rozmów o duchach, rozumiano? – prosiła Renata, na co dziewczyny ochoczo przytaknęły na zgodę. Były zbyt zmęczone, aby długo rozmawiać.

Renata otworzyła oczy, przypominając sobie gdzie jest i kto śpi obok niej. Rzeczywistość dochodziła do niej falami. Nagła potrzeba fizjologiczna sprawiła, że musiała zejść z łóżka. Ostrożnie odsunęła skobel, patrząc w nieprzeniknioną ciemność. Drzwi skrzypnęły złowrogo, ale dźwięk nikogo nie obudził. Powoli wkroczyła w czarną masę, przy czym się wzdrygnęła. Przycupnęła kilka metrów dalej. Wtedy w głowie, a może obok siebie usłyszała szept:

– Wszystkie muszą zginać. Zabij je, zabij je...

Głos w jej głowie rósł. Nie bała się. Po raz pierwszy w życiu poczuła spokój.

Nie bała się. Już nie. Czuła moc, jakiej wcześniej nie знаła. Doskonale wiedziała co ma zrobić. Weszła do chatki, nie dbając o ciszę. Oczy miała otwarte, ale jakby martwe. Podeszła do stołu i sięgnęła po nóż, który był na wyposażeniu chatki. Podeszła do Anki, która leżała skulona w kłębek i oddychała płytko. Uśmiechnęła się i przyłożyła nóż do jej gardła. Jednym wprawnym ruchem przeciągnęła po skórze. Zobaczyła puste oczy Anny, w których zobaczyła pytanie – dlaczego ja? Wydała z siebie krótkie rzenie i zamknęła oczy.

Poruszenie na drugim łóżku sprawiły, że przebudziła się Renata. Otworzyła oczy i próbowała przeniknąć ciemność. Zobaczyła zarys Renaty. Zarys jej białej skóry słabo kontrastował z ciemnością.

– Co robisz? – zapytała cicho.

– Nic specjalnego, ale przyjdź tutaj. Musisz mi pomóc – wyszeptała.

– Nic z tego. Ja się boję – ale szybko zmieniła zdanie, nie chcąc zrobić ze siebie paranoiczki.

– Zabij ją – w głowie Renaty pojawił się znowu nie znoszący sprzeciwu głos, któremu nie potrafiła się przeciwstawić.

– Ja nikogo nie zabiję – próbowała się bronić, zaciskając pięści.

– Co mówisz? – szepnęła Jolanta?

– Nic nie mówię... Jolka, wyjedziesz ze mną? Dlaczego w tej chacie nie ma prądu i toalety. XXI wiek cholera jasna...

– Wyjdę, ale chodźmy już. Już czas – powiedziała Renata zmienionym głosem.

– Tak, tak. Chodźmy. Ja nie wiem co mi oduło że tu przyjechałam. Śniło mi się, że mam was zabić. – szeptała Jolka wyciągając ręce przed siebie.

– I zabijesz?

- Co z tobą. Zwariowałaś?
- Uważaj, tutaj jest stół. Podaj mi rękę.

Wyszły przed domek. Obie czuły się nieswojo.

- Dziwnie pachniesz. Jakby... sama nie wiem, z czym to można porównać. Dlaczego tutaj jest tak ciemno? Jesteś mokra?
- Zamknij się w końcu – syknęła Renata.
- Dobrze, ale się nie oddalaj. Ja tam podejść. Stój tutaj.

Nie wiedziała, dlaczego ktoś ją pozbawia życia. Renata nie była nawet pewna czy wie, że tą osobą jest właśnie ona – jej przyjaciółka. Przecież jej ufała. Klęczała, dotykając ciepłego ciała, które ciągle wydawało z siebie ostatnie konwulsje.

- Przepraszam... – Tak panie – wyprostowała się i schyliła głowę, słuchając głosu w głowie.

Sylwia nie spała. Słyszała tajemnicze dźwięki i leżała nieruchomo. Wiedziała, że jolka wyszła. Nie miała pojęcia kiedy i dokąd. W każdym milimetrze ciała czuła strach, który prawie bolał fizycznie. Czuła przeciąg. Więc są otwarte drzwi i okna – myślała resztkami rozsądku. Wyteńczyła słuch. Powolne, ledwo słyszalne szuranie na podłodze. Ciężkie kroki. Mężczyzna? Pomyślała o Janie – synu starej kobiety. Poczuła nad sobą nieświeży i świszczący oddech. Zaciśnęła mocno powieki. Instynkt podpowiadał, aby uciekała. Natychmiast. Strach spotęgował jej siłę. Odepchnęła to coś od siebie natrafiając na materię i wrzeszcząc wybiegła w ciemność. Wiedziała jedno – musi biec. Przed domem potknęła się o coś ciepłego i śliskiego. Doskonale wiedziała, że to może być ciało jednej z dziewczyn. To jej jedyna szansa na przetrwanie. Biegła przed siebie potykając się o drzewa i głośno łkając. Czuła, że wydarzyło się coś potwornego. Trzęsa się z zimna, mimo że temperatura wynosiła ponad 15 stopni. Serce prawie jej wyskoczyło zza mostka. Nagle poczuła mocne ściśnięcie. Zgięła się przez połówę i nieoczekiwanie zwymiotowała. Wyczerpana upadła do tyłu. Oddychała szybko i płytko, próbując wtłoczyć w wąskie płuca więcej tlenu. Wtedy to się stało. Leżąc bezbrinnie bez możliwości poruszania się zobaczyła nagich ludzi biegnących w różne strony. Było ich dziesiątki. To dzieci i dorośli. Wyglądali dziwnie i słowo ludzie nie było na miejscu. Przypominali fluorescencyjne figurki świecące w nocy, z tą różnicą że te

były ruchome. Nie miała pojęcia kim byli. Biegali, nie zauważając jej. Kątem oka zobaczyła dziecko, które biegło wprost na nią. Chciała się odsunąć, ale nie zdążyła. Dziecko przeszło przez nią z lekkością.

– Ratunku – zakryła dłońmi głowę – ratuuunnnkuuu!!! – powtórzyła. Nikt nie zareagował. Udało jej się powstać i od razu i zakreśliło jej się w głowie. Wtedy go zobaczyła. Syn staruszki przyglądał jej się z bliska. Również świecił. W ręce trzymał siekierę. Wiedziała, że to koniec. Nie chciała już żyć. Nie miała siły na ucieczkę. Wtedy uświadomiła sobie coś ważnego. Tej nocy nie świecił księżyc. Śmierć nadeszła szybko.

Wiadomości godzina 19.30 21 listopada 2012-08-31

Mimo zakrojonych na krajową skalę poszukiwań nie udało się ustalić miejsca pobytu czterech kobiet, studentek AGH w Krakowie. Prosimy obejrzeć te zdjęcia. Może ktoś je przypadkowo zobaczył? Przypominamy, że po raz ostatni były widziane razem w Tarnowie na dworcu PKS. Od tamtego czasu nikt ich nie widział. Po raz kolejny zwracamy się do państwa prosząc o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu. Za pomoc w odnalezieniu lub wskazaniu miejsca pobytu czeka nagroda. Informacje prosimy udzielać pod numerem 112 lub kontaktując się z najbliższym oddziałem policji.

Pielgrzymka

Ewa Bauer

Jeśli Bóg da, to w tym roku nareszcie będzie mi dane pójść na pieszą pielgrzymkę do Łagiewnik. Od kiedy zostałem wikariuszem w parafii Bożego Miłosierdzia, na pielgrzymkę poszedłem tylko raz. W zeszłym roku, na dzień przed podróżą poślizgnąłem się na posadzce przed kościołem i złamałem nogę, dwa lata wcześniej wezwano mnie do umierającego ojca, oczywistym było, że pojechałem do niego. Zbiórka tegorocznych pielgrzymów odbywa się w kościele św. Józefa na Kole z samego rana, to tam do Częstochowy zjeżdżają ludzie z całej okolicy. Najpierw jest msza święta, a potem wymarsz w kierunku malowniczego Olsztyna. Nie będę uczestniczył w mszy, bo w tym czasie odprawiam nabożeństwo we własnej parafii. Planuję dotrzeć na godzinę wymarszu i dalej modlić się już wspólnie z pielgrzymami.

– Jak to już wyszli? Kiedy? – Nie mogłem uwierzyć w swojego pecha. Pielgrzymka wyruszyła pół godziny wcześniej, albo to ja się spóźniłem. Zapomniałem zegarka, nawet nie mogłem sprawdzić która jest godzina.

– No właśnie, my też się spóźniliśmy. Mieliśmy objazd na drodze z Warszawy, choć wyjechaliśmy jeszcze z zapasem – kiedy rozmawiałem z zakonnicą sprzątającą kościół podszedł do mnie mężczyzna w średnim wieku. W pewnej odległości stała czarnowłosa kobieta, pilnując dwóch turystycznych plecaków. Kiedy tak rozmawialiśmy o nieszczęściu jakie nas spotkało, nadeszło kilka innych osób:

– Proszę księdza, przepraszamy za spóźnienie. Jesteśmy gotowi do drogi – około dwudziestoletnia dziewczyna wskazała na siebie i swoją koleżankę. – A co nas tak mało? Myślałam, że to będzie kilkudziesięcioosobowa pielgrzymka.

– Proszę państwa, obawiam się, że wszyscy spóźniliśmy się. Niestety pielgrzymi już wyruszyli, wracajcie do domów.

– Jak to wracajcie? Jesteśmy gotowi, ksiądz też, jeśli teraz wyruszymy to na pewno ich dogonimy. To co idziemy? – Młoda dziewczyna była pełna zapału. – Ilu nas jest?

Nim się obejrzałem, wokół mnie zebrała się mała grupka. Zastanowiłem się chwilę, ale

widząc wyczekujące spojrzenia ludzi, postanowiłem, że zrealizuję ich życzenie. W końcu dogonimy grupę. Trasę mniej więcej znałem.

– Nazywam się Adam, jestem wikariuszem w parafii Bożego Miłosierdzia, miałem być uczestnikiem pielgrzymki ale, podobnie jak państwo, spóźniłem się. Myślę, że możemy wyruszyć w drogę razem i dogonić grupę. Wieczorem powinniśmy dotrzeć do Żarków, tam mają nocleg. Proponuję, żebyśmy się przedstawili skoro mamy być współtowarzyszami podróży. Za chwilę ruszymy, pomodlimy się wspólnie i porozmawiamy ze sobą – wczułem się w rolę przewodnika. Pierwsza głos zabrała czarnowłosa kobieta:

– Ja się nazywam Klara, a to jest mój mąż Wiesław. Jesteśmy z Warszawy.

– Zenon z Nowej Wsi – odpowiedział mężczyzna, który nie wiadomo kiedy podszedł do grupy.

– Jadzia i Kasia, jesteśmy siostrami – ten fakt nie ulegał wątpliwości, były podobne jak dwie krople wody, a mimo to dziewczyna dodała – bliźniaczkami. Z Częstochowy.

– A czy my nie będziemy przeszkadzać? Planowaliśmy udać się w pielgrzymkę w intencji mojego zmarłego męża, ale Piotrusiowi zachciało się do toalety. Jak wyszliśmy, grupy już nie było. A... ja mam na imię Zosia, a to są moje dzieci: Piotruś i Izunia.

Zastanowiłem się, czy na oko ośmio i dziesięcioletnie dzieci nie będą nas opóźniać w wędrówce, zwłaszcza że mamy sporo czasu do nadrobienia, jednak ich matka zapewniła mnie, że to już trzecia pielgrzymka w ich życiu i że doskonale sobie poradzą. Zgodziłem się.

Pozostała jeszcze dwójka młodych ludzi, byli nieśmiali, siedzieli z boku, na murku i przysłuchiwali się naszym rozmowom.

– Państwo idą z nami? – zapytała Klara.

– Taak... jeśli można. Jestem Ania, a to mój narzeczony Waldek. A to bezpiecznie iść w tak małej grupie? – zapytała nie bez wahania.

– Bóg będzie nam towarzyszył. Nie przedłużajmy, ruszajmy. – I tak stałem się przewodnikiem dziesięcioosobowej grupy. Szkoda, że nie było z nami żadnej zakonnicy, obawiałem się, że mój głos nie zachęci ludzi do śpiewania pieśni. A przecież piesza pielgrzymka to modlitwa i pieśni. Nie takie wyzwania jednak stawiał przede mną Bóg, po krótkiej medytacji w kościele, ruszyliśmy wreszcie w drogę.

Mieliśmy już około dwóch godzin opóźnienia, szanse że dotrzemy do Żarków przed nocą były niewielkie, trzeba będzie zorganizować sobie inny nocleg. Przez kilka godzin szliśmy modląc się i śpiewając. Jeśli chodzi o pieśni to prym wiodły bliźniaczki, które okazały się

wieloletnimi uczestniczkami oazy, nie tylko znały cały repertuar, ale jakże miło było słuchać ich delikatnych i czystych głosów. Widać było wysiłek na twarzach wszystkich, byli nierozgrzani, nie nawykli do wielogodzinnych wędrówek. Tym bardziej, że upał był niemiłosierny i pot lał się z nas strumieniami. Schowałem sutannę do plecaka, zwykła koszula z krótkim rękawem wystarczająco mnie grzała.

Najmłodsza z dziewczynek zaczęła płakać, że obtarł ją bucik, jednak brat wciąż pofukiwał na nią, że jest beksa i musi wziąć się w garść. W końcu Zenon zaproponował, że weźmie dziecko na barana, na co matka, po chwili wahania wyraziła zgodę. Widziałem jej determinację, bardzo chciała odbyć tę pielgrzymkę, czułem, że jej motywacja jest silniejsza niż reszty towarzystwa. Zrobiliśmy przerwę obiadową. Zjedliśmy kanapki, pomimo upału wypiliśmy herbatę. Dziś nie było czasu na gorący posiłek, każdy z nas miał zapasy jedzenia, odpoczynek z konieczności był krótki. Dochodziła godzina dwudziesta, grupa milcząco powłóczyła nogami, do celu mieliśmy jeszcze około pięciu kilometrów.

– Nie dam już rady. – Kasia usiadła na poboczu drogi, a zaraz za nią jej siostra. – Proszę księdza, a nie można by zrobić noclegu gdzieś bliżej? Wchodzimy do jakiejś wsi, może moglibyśmy się tu zatrzymać?

Co było robić. Nie dogoniliśmy dziś grupy, jeszcze możemy zrobić to jutro. Poszedłem do kościoła w pobliskiej wsi i poprosiłem o nocleg dla mojej małej trzódki. Udostępniono nam stodołę i kilka koców. Noc była ciepła, jeszcze możliwość skorzystania ze studni i byliśmy zadowoleni. Zmówiliśmy wspólnie wieczorny pacierz, a potem, nie wiadomo kiedy, wszyscy padliśmy jak muchy.

Nazajutrz, wyruszyliśmy z samego rana, znów przyświecał nam cel dogonienia pielgrzymki. Tym razem jednak towarzystwo było dziwnie milczące, próbowałem intonować pieśni i modlić się, jednak każdy tylko mruczał pod nosem. Około południa humory trochę się poprawiły, wędrowcy zaczęli nawiązywać ze sobą bliższy kontakt. Podeszła do mnie Zosia i zagadnęła:

– Mam nadzieję, że nie gniewa się ksiądz na mnie, że idziemy razem. Widzi ksiądz, dzieci już się mają lepiej, wczorajszy kryzys został zażegnany. Zależało mi bo... od trzech lat, kiedy zginął mój mąż, chodzimy na piesze pielgrzymki, ale tę trasę robimy po raz pierwszy. Zawsze modlimy się w intencji Tadeusza, bardzo nam go brakuje.

– A jak zginął pani mąż, jeśli wolno zapytać?

– Tadeusz... popełnił samobójstwo. Któregoś dnia przyszedł z pracy i powiesił się

w łazience na sznurze. Nie zostawił listu, nigdy nie dowiedziałam się dlaczego to zrobił. Ale to był dobry człowiek i modłę się za jego duszę. Modłę się też za dzieci, żeby miały siłę żyć, żeby nigdy nie wybrały tej drogi co ich tata.

– Musiała to pani bardzo przeżyć. Pewnie ciężko samej wychowywać dwójkę dzieci?

– Dzieci są wspaniałe, to żaden kłopot. Ale brakuje mi Tadeusza, bardzo go kochałam, byliśmy zgodnym małżeństwem, nie mieliśmy żadnych problemów.

– Wieczorem odprawimy Mszę Świętą, gdzieś na świeżym powietrzu, zbierzemy intencje od wszystkich i zawierzymy je Bogu. Będziemy modlić się również za Tadeusza.

– Dziękuję. – Zosia odeszła, by chwycić za ręce swoje dzieci i wraz z nimi zaintonować pieśń. Zastanawiałem się, co też może motywować pozostałych współtowarzyszy podróży i ogłosiłem krótki postój.

– Moi drodzy! Prawdopodobnie znów nie dogonimy pielgrzymów z Częstochowy, będziemy szli swoim tempem, żeby dotrzeć do Sanktuarium w Łagiewnikach, na czas czy nie, to bez znaczenia, ważne byśmy nie zrezygnowali gdzieś po drodze. Wieczorem, w miejscu naszego noclegu, odprawimy Mszę Świętą. Chciałbym żeby każdy z was zastanowił się nad intencją. Tymczasem odpocznijmy chwilę i zajdźmy do gospody na ciepły posiłek.

Zadowoleni, wypoczęci i najedzeni ruszyliśmy w dalszą wędrówkę. Słońce jeszcze było wysoko. Według mapy, do najbliższej miejscowości, gdzie moglibyśmy szukać noclegu było siedem kilometrów. Teren mocno zalesiony, ale droga wyglądała na uczęszczaną, dlatego podjęliśmy decyzję, by nią pójść. Trasa ta różniła się od trasy pielgrzymkowej, bo poprzedniego dnia, dla skrócenia drogi wybraliśmy inną, w efekcie całkowicie zmienił się nasz szlak. Las wzdłuż którego szliśmy był przyjemny, sosnowy z miękkim poszyciem z mchu i igliwia. Słońce przebijało się przez drzewa, dając przyjemne ciepło, jednak nie na tyle by było ono uciążliwe.

– Księżu Adamie, a długo ksiądz jest wikariuszem?

– Od sześciu lat, Zenonie. A ty? Masz rodzinę?

– Nie. Jestem kawalerem, już starym – mężczyzna zaśmiał się. – Tak się złożyło, że nie znalazłem żony. Długo mieszkalem z rodzicami, opiekowałem się chorą matką, nie miałem czasu na kobiety. Skoro Bóg tak chciał, zostałem sam. Rodzice już nie żyją. Miałem jedną narzeczoną, ale zostawiła mnie, bo nie miałem dla niej czasu.

– To przykre, ale widać nie była kobietą dla pana.

– Pewnie tak, tylko widzi ksiądz, ja od zawsze chciałem mieć dzieci. Córeczki.

– Widziałem jak troskliwie opiekował się pan Izunią, byłby z pana dobry ojciec. – Moja uwaga sprawiła mu radość, ale za chwilę na jego twarzy pojawił się smutek.

– Izunia jest wspaniała, śliczna i taka mądra. Słyszał ksiądz jak opowiadała o miejscach świętych? Ma dużą wiedzę i widać, że to dziecko chowane jest w dobrej katolickiej rodzinie. Piotruś też jest bardzo grzeczny. Tak, takie dzieci chciałbym mieć.

– Może jeszcze będzie panu dane. Trzeba się modlić. Jeszcze może pan spotkać kobietę, która urodzi panu dzieci.

Szliśmy dalej w milczeniu, obserwowaliśmy dzieci Zofii, które goniły latające przy drodze motyle. Biła z nich taka dziecięca łagodność i szczerłość. Podziwiałem Zosię, że potrafiła ich tak mądrze wychować, pomimo nieszczęścia jakie ich spotkało.

– Musimy zrobić postój – podbiegł do nas Waldek. – Ania źle się czuje.

Dziewczyna pochyliła się nad zaroślami i zwymiotowała. Pewnie zaszkodziło jej coś na obiedzie. Może mięso było nieświeże. Ja na szczęście jadłem tylko żurek i pierogi ruskie. Zatrzymaliśmy się na chwilę, aż Ania poczuje się lepiej. Napiła się wody i po chwili odpoczynku, postanowiła, że dalej będzie podróżować.

– Jesteśmy w środku lasu, musimy dotrzeć do wsi przed zmrokiem. – Wstała z trawy i na chwiejnych nogach ruszyła naprzód.

– To prawda, że jeszcze kawał drogi przed nami, ale jeśli się źle czujesz to może wezwiemy pomoc? – Waldek sięgnął po komórkę. – O kurczę, nie mam zasięgu. Czy ktoś ma telefon?

Odruchowo pomacałem się po kieszeniach, czyżbym i tego zapomniał? Od dziecka byłem zapominalski, ale wybierając się w pieszą wędrowkę, a tym bardziej biorąc odpowiedzialność za grupę powinienem mieć telefon przy sobie.

Kilka osób, które dysponowało komórkami również nie miało zasięgu.

– Tym bardziej musimy iść naprzód – skwitowała blada jak ściana Ania i ruszyliśmy przed siebie. Słońce chowało się za drzewami, szliśmy bardzo wolno, Ania słabła, dlatego próbowałem odwrócić trochę jej uwagę od stanu zdrowia.

– Długo jesteście narzeczeństwem? Kiedy planujecie ślub?

– Znamy się od pięciu lat, ale Waldek oświadczył mi się miesiąc temu. Wcześniej byliśmy tylko kumplami. Ślub chcemy wziąć na Boże Narodzenie.

– Mieszkacie razem? – zadałem podchwytliwe pytanie, by dowiedzieć się z jakimi ludźmi

mam do czynienia.

– No co ksiądz sobie wyobraża. Zamieszkamy razem dopiero po ślubie. Dla nas to ważne, żeby zachować czystość. – Ania znów zbłądła i odbiegła w kierunku pobliskich krzaków.

Mieliśmy problem. Dzieci marudziły, Ania była bardzo słaba, a pozostali pielgrzymi sprawiali wrażenie naburmuszonych. Zaczynało zmierzchać, a my nie dotarliśmy jeszcze do żadnej wsi, chciałem przecież odprawić jeszcze mszę. Nie mogliśmy zostać w lesie, nie znaliśmy terenu, mogło być niebezpiecznie, zimno, leśna zwierzyna, brak wody. Trzeba było iść przed siebie, bez względu na wszystko. I znów silny Zenon okazał się pomocny. Wziął Anię na ręce i niósł, oddając swój plecak Waldkowi, który, widać było, załamał się stanem zdrowia narzeczonej.

– Chyba widzę coś! Tam! – Jadzia wskazała ręką kierunek. – Widzicie, jakby wieża jakaś... Może to kościół?

Pomimo ogromnego zmęczenia przyśpieszyliśmy kroku. Tak, to chyba była wieża kościoła. Raz pojawiała się, raz znikwała za drzewami. Zaraz będzie całkiem ciemno, jeśli stracimy ją z oczu, możemy zablądzić. Wieża wskazywała kierunek prostopadły do drogi, należało całkiem odbić w las. Postanowiliśmy to zrobić.

– Tylko trzymajcie się w kupie, bo jak ktoś się oddali i zostanie, nie będzie łatwo go odnaleźć – ostrzegłem.

– Mamusiu, boję się. – Izunia przytuliła się do matki, z drugiej strony trzymał ją też Piotruś.

– Ktoś idzie z naprzeciwka, wiedzę cień. – Przez chwilę nie rozpoznałem czyj to był głos, ale w pewnym momencie dotarło do mnie, że to Klara. Wyteżyłem wzrok. Nie widziałem nic. Co gorsze, nie widziałem też wieży i nie byłem pewien, czy idziemy w dobrym kierunku. Z oddali dało się słyszeć wycie jakiegoś zwierzęcia. Dzieci zaczęły płakać.

– Aniele Boży, Strózu mój... – zaintonowałem na głos, by dodać im otuchy. Wszyscy, jak jeden mąż powtarzali za mną słowa modlitwy.

– Ten ktoś tu idzie, ale nie przybliża się. Mam wrażenie, jakbyśmy to my się cofali. Wciąż mijam te same pnie, co przed chwilą – głos Klary wyrażał panikę. Nadal nic nie widziałem, co gorsze przestawałem widzieć towarzyszy.

– Jest strasznie ciemno, nie widzę was. Odzywajcie się po kolei, żebym wiedział, że jesteście wszyscy.

– Klara, Wiesław, Zosia, Iza, Piotrek, Ania, Zenek, Jadzia, Kasia – słysząc było z różnych stron imiona. Uspokoilem się, byli wszyscy. Las stawał się coraz gęstszy.

– Widzę światło – krzyknęła Jadzia – jesteśmy blisko.

Ja nadal nic nie widziałem, przetarłem oczy, żadnej poprawy. Brnąłem przed siebie wyczuwając drzewa rękoma, czułem się tak, jakby ktoś przewiązał mi oczy chustą. Wycie wilków nie ustawało.

– Jest droga! – ktoś zawołał – I znak: Witajcie w Strzyżewie. Hurra! Nie zjedzą nas wilki!

Poczułem twardy grunt pod nogami, a nie jak dotychczas mech i igliwie.

– Gdzie jesteście? Noc jest tak czarna, że nic nie widzę. Gdzie ten znak?

– Księżulku, co się stało? Przecież księżyc świeci, tu widać całkiem dobrze.

– Widzicie siebie? I mnie? I drogę?

– Oczywiście, jest noc, ale po wyjściu z lasu, całkiem wszystko widać. Jesteśmy wszyscy. Zaraz... a gdzie ten młody chłopak? – do moich uszu dobiegł głos Zenona.

– Waldek? – Ania zawołała słabym głosem – Gdzie jest Waldek?

– Kiedy go ostatni raz widzieliśmy?

– Był z nami w lesie. Trzeba go szukać. O rany! – Pielgrzymi zaczęli panikować.

– Ja tam do lasu już nie wejść, idę prosto do wsi, dzieci są przerażone – stanowczo oznajmiła Zosia.

– Musimy się rozdzielić, ktoś tu zostaje, ktoś idzie do wsi po pomoc. Telefony dalej nie działają.

Bliźniaczki oznajmiły, że się boją i nie odejdą ode mnie. Nadal nic nie widziałem, jakaś czarna chmura przysłoniła mój wzrok. Pewnie to ze zmęczenia. Tylko co teraz miałem robić? Czułem się odpowiedzialny za Waldka, nie mogłem zostawić go samego w lesie, ale bez wzroku nie mogłem też go szukać.

Podjęliśmy decyzję, że ja z kobietami i dziećmi pójdę do wsi, a Zenon i Wiesław wrócą do lasu szukać Waldka. Niestety nikt z nas nie wziął ze sobą latarki, jedynie wyświetlacz telefonu dawał jakiś blask.

– Tylko nie rozdzielajcie się, bo i wy się pogubicie. Za godzinę wróćcie do wsi, my spróbujemy zorganizować jakąś pomoc – powiedziałem do mężczyzn, a następnie poprosiłem Klarę, żeby chwyciła mnie pod rękę, bo nadal byłem ślepy jak kret. – Opowiadaj, co widzisz po drodze.

Z tego co relacjonowała mi kobieta, szliśmy piaszczystą drogą na skraju lasu, po drugiej jej stronie rozpościerała się polana. Księżyc świecił dość mocno, widoczność była dobra. Przynajmniej dla nich. Na horyzoncie widniały kontury zabudowań, znów pojawiła się wieża kościoła. Uważałem to za dobry znak, skoro we wsi jest kościół, z pewnością znajdziemy schronienie. Nagle usłyszeliśmy dźwięk bezwładnie upadającego ciała i wrzask przestraszonych dzieci. Okazało się, że to Ania straciła przytomność. Bliźniaczki usiłowały ją cucić, dzieci płakały, a ja modliłem się, bo tylko taką pomoc mogłem zaoferować. Wtem tuż za plecami usłyszałem szorstki głos:

– Kim jesteście?

Odwrociłem się, by spojrzeć na przybysza, ale szybko zrozumiałem, że wciąż nie mogę tego zrobić. Kobiety milczały, musiałem przejąć inicjatywę. Komplikacji dodawał fakt, że nie wiedziałem ani gdzie znajduje się owa osoba, ani jakiej jest płci.

– Szczęść Boże. Jesteśmy pielgrzymami, zbłądziliśmy w lesie. Szukamy noclegu i pomocy. Część z nas źle się czuje, jeden towarzysz zaginął w lesie.

– Skoro tu jesteście to znaczy, że to miejsce dla was. Dostaniecie nocleg. Za mną! – Kiedy postać odezwała się, poczułem przenikliwy chłód na ciele. Głos pochodził chyba od kobiety, ale nie byłem tego pewien, brzmiał nienaturalnie i przerażająco. Klara, która wciąż trzymała mnie pod rękę drżała, palce zacisnęła na moim łokciu.

– Boję się – szepnęła mi do ucha. Pomimo tragicznej sytuacji w jakiej się znaleźliśmy, poczułem, że i ja zadrżałem. Nie z zimna czy strachu. Z podniecenia. Wiedziałem, że stoi przy mnie Klara, ale jej szept i dotyk sprawił, że wyobraziłem sobie Zuzannę. Zuzannę, o której usilnie starałem się zapomnieć.

Szliśmy jeszcze przez chwilę drogą, Klara opowiadała szeptem, że prowadzi nas stara kobieta w łachmanach, słyszałem jej ciężki posuwisty krok i dyszenie. Stanęliśmy przed budynkiem, jak się okazało, gospodą. Nieznajoma wskazała drzwi i powiedziała, że tu możemy zanoćować. Nie wiedzieć czemu, kiedy odzywała się czułem niewyobrażalny chłód, za chwilę natomiast dotyk Klary palił moją rękę jak ogień. Nie rozumiałem co się ze mną dzieje.

– Ulokujmy się tu, dzieci i Anna położą się spać, a my spotkamy się na modlitwie. Jest nam teraz bardzo potrzebna. Wszystkim – głos mi drżał kiedy to mówiłem, miałem wrażenie, że one wiedzą co dzieje się w moim umyśle.

Weszliśmy do gospody, w progu przywitał nas ktoś inny:

– Witam państwa. Ile pokoi przygotować? Czy posilą się państwo najpierw? – usłyszałem kobiecy głos, który sprawił, że znów zrobiło mi się słabo. Miałem omamy, to nie możliwe żeby Zuzanna była w tej wsi.

– Witamy pana – to Zosia zabrała głos – chcielibyśmy położyć dzieci, są bardzo zmęczone. I prosimy o pomoc. Zaginął jeden z pielgrzymów, pozostali dwaj szukają go w lesie. Proszę nam pomóc – błagała.

Już miałem włączyć się do rozmowy, gdy uświadomiłem sobie, że Zosia powiedziała *Witamy pana*. Ja może jestem ślepy, ale tak pięknego kobiecego głosu nie można było pomylić z męskim.

– Oczywiście, zaraz się tym zajmiemy. Proszę z dziećmi na górę, pewnie chcą panie skorzystać z łazienki. A ksiądz może zostanie i napije się ze mną herbaty? – ten głos był jak pieśń dla mych uszu.

– Skąd pan wie, że to ksiądz? – zapytał nagle Piotruś – przecież nie ma sutanny.

Czy oni powariowali? Znowu pan?

– Jesteśmy sami. Nareszcie. Adasiu, tęskniłam za tobą...

Stałem jak oniemiały. To musiała być Zuzanna, ale co ona robiła w tej wsi? A co gorsze, dlaczego tak do mnie mówiła? Nigdy nie powiedziałem jej jak na mnie działa. Czyżby i ona czuła to samo? Nagle poczułem dotyk w okolicy ucha, coś miękkiego, trochę wilgotnego gładziło mój policzek. Czułem narastające podniecenie. Czyżby to był język? Jej język? Nie to nie dzieje się naprawdę. Pragnąłem jej całym sobą, a nade wszystko chciałem na nią patrzeć. Nie, teraz chciałem jej dotykać, patrzyłem na nią przez rok, kiedy stała na chórze i dumnie wypinała pierś. Do dnia, gdy wyjechała. Tęskniłem za jej widokiem, spojrzeniem, nieśmiałym uśmiechem. Zuzanna była moją muzą, ucieleśnieniem piękna i dobroci. Nie sądziłem, by zdawała sobie sprawę jak wiele dla mnie znaczy, a tu spotkała mnie taka niespodzianka. Dlaczego straciłem wzrok, teraz kiedy miałem ją przy sobie i chciałem patrzeć, mieć, dotykać i czuć. Jej oddech był coraz szybszy, delikatne dłonie oplatały mój kark, moje ręce na oślep szukały jej jędrnego ciała...

– Proszę księdza, nigdzie go nie ma – wtem otworzyły się drzwi gospody i wpadli zziębnięci Zenon i Wiesław – znaleźliśmy tylko plecak Zenona, w miejscu w którym wziął Anię na ręce. O... dobry wieczór panu, czy coś grozi Waldkowi w tych lasach? Noc ciepła, stanie mu się coś gdyby do rana został w lesie? – Zenon wdał się w rozmowę z moją Zuzanną, a ja słuchałem jej melodyjnego głosu i wciąż czułem na sobie jej dotyk. Dlaczego

Zenek rozmawiał z nią jak z mężczyzną, nie rozumiałem. Cała sytuacja wydała mi się nieprawdziwa, ale czułem się zbyt dobrze, by jej zaprzeczyć.

Mężczyźni gdzieś wyszli, a ja... znów poczułem narastającą falę podniecenia.

– Proszę księdza, proszę się ocknąć. Proszę księdza... – Ktoś szarpał mnie za ramię. Chciałem, żeby zostawili mnie w spokoju, jednak najwidoczniej byłem im do czegoś potrzebny. – Mieliliśmy się pomodlić, już późno.

Otworzyłem oczy. Przede mną klęczała Zosia, a za nią stały wystraszone dzieci. Uświadomiłem sobie dwa fakty. Po pierwsze widziałem, a po drugie był dzień. Znajdowałem się w obcym łóżku, całkiem nagi, na szczęście przykryty kołdrą, a w pokoju znajdowała się obca kobieta. Od pięciu lat w swojej sypialni nie widziałem nikogo odmiennej płci, nie mówiąc już o dzieciach. Powoli wracała mi pamięć. Szliśmy przez las, dotarliśmy do wsi, do gospody, spotkałem Zuzannę... o Boże, bądź miłosiw mnie grzesznemu... co się potem działo? Jak znalazłem się w tym pokoju? Miałem więcej pytań niż odpowiedzi.

– Dobrze, że ksiądz już się obudził, bo zaczynaliśmy się martwić. Gospodarz zrobił jajecznicę, wszyscy już są w jadalni.

Obiecałem, że zaraz tam przyjdę, ogarnę się tylko i zmówię poranny pacierz. Kiedy zszedłem po schodach, ujrzałem w sali jadalnej moich towarzyszy, radosnych jakby nic się nie stało.

– Szczęść Boże pielgrzymom, czy Waldek do nas powrócił? – zapytałem.

– Jaki Waldek? – zdziwił się Wiesław.

– Jak to jaki? Narzeczony Ani. – Popatrzyłem na dziewczynę, ale ta tylko zmierzyła mnie wzrokiem.

– Mój narzeczony? Skąd ksiądz wie, że on ma na imię Waldek? A może mówiłam... Ale przecież nie było go z nami, został w Częstochowie, odprowadził mnie pod kościół i poszedł.

Reszta kiwała potwierdzająco głowami. Usiadłem przy stole. Wcale nie miałem ochoty jeść. Działo się coś dziwnego. Czyżbym popadał w obłęd? Postanowiłem zadać jeszcze parę pytań.

– A ty Aniu jak się czujesz? – Dziewczyna tryskała energią, widać, że po wczorajszym omdleniu całkiem doszła do siebie.

– Ja świetnie, jak zwykle.

– Co robiliście wczoraj wieczorem? – Pytanie skierowałem do wszystkich.

– Jak ksiądz uciął sobie rozmowę z gospodarzem, to ja z dziećmi położyłam się spać.

Jadzia, Kasia i Ania poszły na spacer, a Klara i Wiesław chyba pozostali w gospodzie.

– Tak, rozmawialiśmy z przemiłym panem. Tedem. Powiedział, że jest pisarzem i mieszka tu w gospodzie.

– O! Mówił coś o tym miejscu? Może dowiedzieliście się czegoś o wsi?

– Trochę opowiadał. To dziwne ale podobno bardzo sympatyczne miejsce... O, właśnie schodzi na śniadanie. Poznacie go sami. – Klara wskazała ręką w kierunku schodów. Głowy wszystkich podążyły za jej wzrokiem.

– Och! – Z piersi Zosi wydobyło się jedynie krótkie westchnienie i osunęła się bezwładnie na podłogę. Dzieci zaczęły krzyczeć, Wiesław poderwał się, by podnieść kobietę, która najwyraźniej straciła przytomność. Tymczasem, mężczyzna nazwany przez Klarę Tedem uklonił się nam nisko, podziękował za śniadanie i opuścił gospodę. Chwilę później świadomość wróciła do Zofii.

– Co się stało? – dopytywali się wszyscy. – Zemdląłeś. Już ci lepiej?

– To... to był... gdzie on jest?

– Pytasz pewnie o pisarza? Śpieszył się gdzieś, niestety nie udało nam się z nim porozmawiać.

Zosia podbiegła do okna, wyjrzała a następnie jakby z przerażeniem odsunęła się, patrząc po siedzących w jadalni osobach błędnym wzrokiem.

– Proszę księdza, czy mógłby ksiądz się ze mną pomodlić? Teraz? Na górze.

Zgodziłem się, choć trochę obawiałem się tej kobiety, zachowywała się co najmniej dziwnie. Jeżeli jednak ktoś prosi mnie o modlitwę, nigdy nie odmawiam. Udaliśmy się do jej pokoju, zamknęła na klucz drzwi i podeszła do mnie:

– Proszę księdza, może ksiądz to potraktować jak spowiedź, albo jak wyznania wariatki, ale ja muszę coś księdzu powiedzieć. Tylko niech to zostanie między nami. Ten pisarz... ten mężczyzna wyglądał... jak mój mąż.

– Tadeusz? Ale przecież on...

– No właśnie. Nie żyje. Popełnił samobójstwo. Ale on był identyczny jak dwie krople wody. Nie przewidywało mi się. Kiedy wyjrzałam przez okno, stał nieopodal gospody, jakby czekał na to, że na niego spojrzę. Uśmiechnął się i wykonał taki gest, jakby podrzynał gardło. Jestem przerażona. Widziałam go jak dyndał na sznurze w łazience, potem zabrali

go do kostnicy. Był pogrzeb. To niemożliwe żeby on żył, ale wiem, co widziałam. Czy ksiądz mi wierzy?

– No cóż... – Co mogłem jej powiedzieć? Mało prawdopodobne wydawało mi się, by to mąż Zofii mieszkał w gospodzie. Musiała pomylić go z kimś bardzo podobnym. Albo miała nierówno pod sufitem. – Zosiu, nie sędzę, by to był twój mąż. Nie wiem dlaczego ten człowiek wykonał taki gest, ale nie martw się, dziś wyruszamy w dalszą wędrówkę. Pamiętaj, jesteśmy na pielgrzymce. Musisz opiekować się dziećmi, być silna i zrównowazona. Pomódlmy się teraz o spokój duszy Tadeusza i Twoją siłę.

– Ale... Ja muszę coś wyznać. Jeszcze nigdy nikomu tego nie powiedziałam. Dzień przed śmiercią Tadeusza pokłóciliśmy się, nie pamiętam już nawet o co, ale byłem na niego bardzo zła. Krzyczałam, żeby dał mi spokój na zawsze, odszedł od nas, że go nie kocham i inne okropne rzeczy. Gdy nazajutrz wróciłam z pracy, znalazłam go w łazience, sznur zwisał z kołka mocującego suszarkę na bieliznę, ciało wisiało bezwładnie, nie miało oparcia, gdyż taboret na który wszedł przewrócił się. Stałam tak przez chwilę i patrzyłam na niego. Nie bałam się, nie przerażał mnie ten widok. Myślałam, że wreszcie mnie posłuchał i zostawił nas w spokoju. Nagle zobaczyłam, że podnosi rękę i próbuje sięgnąć w kierunku szyi, ale jest zbyt słaby, ręka szybko opadła, oczy otworzyły się i spojrzał na mnie tak jakby wiedział, że nic nie zrobię. Nic nie zrobiłam. Poczekalam jeszcze pół godziny i wezwałam karetkę. Potem dotarło do mnie co się stało. Rozpaczałam, do tej pory nie mogę sobie darować, że nic nie zrobiłam. Mógł żyć, gdybym tylko spróbowała mu pomóc. Był dobrym człowiekiem. To ja jestem zła.

Zamyśliłem się. Zosia właśnie wyznała mi, że przyczyniła się do śmierci męża. Nie udzieliła mu pomocy, kiedy tego potrzebował, a więc zabiła go. Powinienem to zgłosić. Łączyła nas jednak tajemnica spowiedzi. Nad tym problemem zamierzałem zastanowić się później, teraz bardziej niepokoiło mnie co innego. Kobieta zdawała się być na skraju załamania nerwowego, miała omamy, potrzebowała lekarza, a my wciąż tkwiliśmy w tej wsi odciętej od świata. Sam nie czułem się najlepiej, wczorajsze przeżycia z Zuzanną... no właśnie, czyżbym i ja uległ halucynacji? Czy Zuzanna tu była, czy tylko ją wymyśliłem? A co z Waldkiem? Dałbym sobie rękę uciąć, że szedł z nami od Częstochowy, a dziś cała grupa twierdzi, że nikogo takiego z nami nie było.

Uklęknąłem. Modliłem się za nas wszystkich. Po chwili znów zeszliśmy na dół, jednak zastaliśmy tam jedynie Jadzię.

– A gdzie reszta? – zapytałem. Przecież powinniśmy się przygotowywać do drogi.

– Dzieci bawią się na podwórku, a moja siostra poszła z Anią do sklepu. Podobno dalej we wsi jest jakaś buda.

Wyszedłem przed gospodę. Izunia i Piotruś gonili się na około studni. Nagle dziewczynka stanęła, pisnęła, po czym uciekła w moją stronę, wołając po drodze brata. Gdy zobaczyłem przyczynę jej nagłego zwrotu, uśmiechnąłem się do dzieci i spokojnym głosem powiedziałem:

– Nie bójcie się, to tylko piesek. Choć psiaku... – wyciągnąłem rękę w kierunku średniej wielkości kundelka, który gonił Izę. Pies podszedł i obwąchał mnie, machnął ogonem na znak, że ma do mnie zaufanie. Jednak kiedy odwrócił łeb w kierunku dzieci, chowających się za moimi plecami, obnażył kły.

– Hej, piesku. To tylko dzieci. Daj spokój. A wy nie okazujcie mu strachu, to nic wam nie robi. – Całe dzieciństwo byłem chowany z psami, wiedziałem jak z nimi postępować. Ten jednak zachowywał się dosyć dziwnie, co paradoksalnie specjalnie mnie już nie dziwiło. Od wczoraj wydarzyło się tyle zaskakujących sytuacji, że jeden warczący pies nie robił różnicy. Zauważyłem, że ma opuchnięte jedno oko i kuleje na prawą łapę. Podszedłem do psiaka i poczochałem jego sierść. Była brudna, polepiona jakąś mazią, która pobrudziła mi rękę. To była krew. Ktoś chyba potraktował to zwierzę bardzo źle. Być może jakieś dzieci, skoro tak reagował na Izę i Piotrka.

Chciałem zwrócić uwagę gospodarza na biednego psa, a przy okazji zaprowadzić dzieci do matki, wszedłem więc do gospody i zawołałem właściciela. Chwilę później, z kuchni wyszedł gospodarz, starszy mężczyzna, którego nie wiedzieć czemu wczoraj brałem za kobietę mych marzeń. Pokazałem mu psa, a sam dosiadłem się do Zosi, która z rozpaczą w głosie tłumaczyła coś dzieciom.

– Musiał być podobny, na pewno to nie ten sam. Nie bójcie się, nie robi wam krzywdy. – A potem skierowała do mnie wyjaśnienie: – Dwa lata temu dzieci zrobiły coś karygodnego, wrzuciły bezpańskiego psa do nieczynnego kanału, a potem rzucały w niego kamieniami. Nie wiem kto wymyślił tę idiotyczną zabawę, ale kiedy dowiedziałam się o tym, dostały srogą karę. Tamten piesek zdechł od obrażeń. Iza twierdzi, że ten pies na podwórku jest identyczny i że wrócił po nich zemścić się. Tłumaczę... – Zosia zaczęła płakać, położyłem jej rękę na ramieniu.

– Zbierzmy wszystkich i ruszajmy jak najszybciej w drogę. Tak będzie najlepiej. Gdzie

jest Zenon? Nie widziałem go na śniadaniu.

– Jak to? Przecież siedział koło księdza cały czas. Między księdzem a Wieśkiem.

Próbowałem w myślach odtworzyć poranny posiłek. Po prawej stronie siedziała Ania, po lewej było puste miejsce, a dalej siedział Wiesław i Klara. Ani przez chwilę nie pojawił się Zenon, na stole nie było też dodatkowego talerza. Wzrok znów miałem dobry, jak mógłbym nie zauważyć dorosłego mężczyzny obok?

– Pakujemy się. Wyruszamy za godzinę. Mam nadzieję, że do tego czasu reszta wróci.

Byliśmy w Strzyżewie od piętnastu godzin, w tym czasie spotkałem tylko trzech mieszkańców wsi i psa, każda z tych postaci zdawała się być kimś innym niż była, część z nas miała halucynacje, widzieliśmy to czego nie chcieliśmy widzieć, odkrywaliśmy swoje najskrytsze tajemnice, błędy i pokusy. Nie rozumiałem tego, co się tu dzieje, wiedziałem natomiast jedno: musimy jak najszybciej opuścić tę wieś.

Spakowałem szybko plecak, poprosiłem gospodarza o herbatę do termosu i kanapki dla wszystkich na drogę, a że nikt z pozostałych towarzyszy jeszcze nie wrócił, postanowiłem odwiedzić tutejszy kościół. Dowiedziałem się przy okazji od gospodarza, że od kilkunastu miesięcy nie ma we wsi księdza, kościół praktycznie jest nie używany, jego stan techniczny pozostawia wiele do życzenia, jednak jest otwarty i mogę go odwiedzić. Najpierw obszedłem niewielką budowlę z zewnątrz, był to drewniany, prosty budynek z wąską wieżą, w której najprawdopodobniej była dzwonnica. Ostrożnie rozwarłem wrota kościoła, nie był zamknięty, co szczególnie mnie nie zdziwiło. Nikt o niego nie dbał, zdziwiłbym się gdyby w środku pozostało coś cennego. Nie pomyliłem się, moim oczom ukazały się najpierw poprzewracane ławki, a potem ołtarz, a właściwie to, co po nim pozostało. W nawie głównej stał drewniany stół, niczym nie przykryty, tuż za nim ogromny krzyż, na którym widać było ślady po znajdującej się wcześniej figurce Chrystusa. Ktoś musiał Go odkręcić, tylko po co, nie mogłem sobie wyobrazić. Poza tym w pomieszczeniu nie było nic, co wskazywałoby, że to kościół. Rzeczywiście mieszkańcy wsi nie troszczyli się o ten przybytek boży. Wspiąłem się na schody prowadzące na wieżę, trochę zbutwiałe jednak spróbowałem dotrzeć do dzwonnicy. I rzeczywiście ujrzałem piękny mosiężny dzwon, a wzdłuż niego sznur. Przypomniałem sobie piękne czasy, gdy w rodzinnej wsi wuj, który był kościelnym, pozwalał mi patrzeć jak pociągając za sznur uderza w dzwon. Zawsze chciałem to zrobić, niestety teraz w mojej parafii automat zastąpił człowieka. Nikt nie wychodzi już na dzwonnice, chyba tylko serwisant. Poczułem nieodpartą chęć, by pociągnąć za sznur.

A niech to, zrobię to! Ten kościół powinien żyć, to miejsce święte i tak powinni je traktować. Pociągnąłem z razu delikatnie, potem mocniej i mocniej i po chwili dzwon wybijał niebiańską melodię, która niosła się dużo dalej niż po wsi. Nareszcie spełniłem marzenie z dzieciństwa, byłem z siebie bardzo zadowolony. W pewnym momencie jednak zawstydziłem się szaleństwa i pokornie zacząłem schodzić w dół. Wtem usłyszałem jakieś dźwięki dochodzące od strony ołtarza. Oniemiałem spojrzawszy w tamtą stronę. Przy stole liturgicznym stała Klara, trzymała w rękach zawiniątko. Czyżby to było dziecko? – przeleciało mi przez myśl. Kobieta była jak w transie, bujała się do przodu i do tyłu. Naprzeciw niej stał Wiesław z nożem w ręce. Chciałem krzyknąć, jednak żaden głos nie wydobył się z mojej krtani. Ruszyłem w ich kierunku, nie mogłem dopuścić do nieszczęścia, które niewątpliwie miało się dokonać. Za plecami poczułem ruch, kątem oka dostrzegłem, że zbliża się do mnie grupa ludzi. Najpierw poczułem chłód, a potem usłyszałem skrzekliwy, znany mi już głos:

– Nic ksiądz tu nie pomoże. To dziecko już jest martwe.

Stała obok mnie starsza kobieta, choć widziałem ją po raz pierwszy, wiedziałem, że to ona spotkała nas poprzedniego dnia na skraju lasu. Trzymała za rękę około dziesięcioletnią dziewczynkę w białej koronkowej sukience. Mała była brudna, rozczochrana, a w jej włosach znajdowały się kawałki liści.

– Idź dziecko, twoja kolej. – Staruszka popchnęła dziewczynkę w stronę ołtarza. W tej chwili Klara upuściła na ziemię zawiniątko, a Wiesław wytarł nóż z krwi o obrus liturgiczny. Chciałem coś zrobić, ale nogi nie mogły oderwać się od ziemi. Byłem widzem, który nie ma wpływu na okropieństwa, których sprawcami są moi podopieczni.

Tymczasem dziewczynka podeszła do ołtarza, położyła się na ziemi, a nad nią nachylił się Zenon. Wiedziałem, co za chwilę się stanie, nie mogłem patrzeć na gwałt odbywający się w tym świętym miejscu. Krzyczałem ile sił w płucach, choć z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Oszalałem – pomyślałem jeszcze i zapadłem w czeluść.

– Proszę księdza, wszystko w porządku? – Głos dochodził z daleka. – Mam nadzieję, że nic sobie ksiądz nie połamał. Upadek był z dosyć dużej wysokości. Boli coś?

Poruszałem wszystkimi kończynami. Potem głową. Próbowałem wstać. Nic mi nie było. Ale co się stało? Pamięć wracała powoli. Jadzia i Ania próbowały mnie podnieść.

– Wracałyśmy ze sklepu i usłyszałyśmy dzwony kościoła. Postanowiłyśmy zajrzeć. Myślałam, że może ksiądz woła na mszę. Wchodzimy, a tu ksiądz leży bez życia u podnóża

schodów. Widzę, że jeden ze stopni nie wytrzymał ciężaru, pewnie stracił ksiądz równowagę.

– Widziałyście co się stało na ołtarzu? – zapytałem niepewnym głosem.

– Tak, to okropne. Po co komu figurka Chrystusa. Jakby nie można było krzyża zostawić w spokoju.

– Nie, pytam o to, co działo się przy stole liturgicznym.

– Nie wygląda, żeby działo się tam cokolwiek.

Spojrzałem w tamtym kierunku, choć bardzo nie chciałem przeżywać tego widoku jeszcze raz. Ku memu zdziwieniu, wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy spojrzałem po raz pierwszy. Stary opuszczony kościół.

– Gdzie jest Klara, Wiesław i Zenon?

– Czekają przed gospodą, niecierpliwią się, bo ksiądz podobno zarządził natychmiastowe wyjście w trasę. Ale teraz to nie wiem, czy ksiądz da radę. Wstajemy na trzy-cztery i idziemy do gospody, tak? Trzy... cztery. – Wstałem. Poszedłem. Jednak nie nadawałem się do wędrówki. Popadałem w obłęd, nie mogłem prowadzić ze sobą ludzi. Poprosiłem gospodarza, by naciągnął mi wiadro wody ze studni. Wylałem je sobie na głowę. Musiałem zebrać myśli i zmyć te halucynacje, które zdarzały mi się ostatnio coraz częściej.

– Aż tak gorąco to chyba nie jest? – Zenon śmiał się ze mnie. – Wygląda ksiądz jak zmokła kura. To co ruszamy?

– Tak, pójdę po swoje rzeczy do gospody i w drogę.

Chwilę potem ruszyliśmy. Choć zbliżała się już pora obiadowa, nie chciałem dłużej zostawać w tej przeklętej wsi. Nawet jeśli to co widziałem było jedynie wytworem mojej wyobraźni, to ta wieść pobudziła mój umysł do takich szaleństw. Wolałem być głodny, byle z dala od tego miejsca. Weszliśmy w las, choć był dzień, posłyszeliśmy wycie wilków. To nie mogły być psy, zresztą w Strzyżewie widzieliśmy tylko jednego małego kundelka, poza tym żadnego zwierzęcia.

– Trochę to przerażające, te odgłosy... – Klara przysunęła się bliżej mnie. – Ksiądz jest bliżej Boga, to ja przy księdzu czuję się bezpieczniej.

– Oj, Klaro droga, żebyś ty wiedziała jakie miałem przywidzenie tam w kościele... Sam nie wiem czy i gdzie ja czuję się bezpiecznie.

Kobieta wyraziła wielkie zainteresowanie moją wizją. Uznałem, że majaki były

wynikiem upadku na głowę, dlatego opowiedziałem towarzyszom to wspomnienie. By w ogóle słowa przeszły przez moje usta, przyjąłem ton lekko kpiący, tłumacząc przywidzenie, ukrytym problemom psychicznym ich księdza przewodnika. Upewniłem się tylko, że Zosia z dziećmi jest w znacznej odległości, by nie słyszeć treści dla nich nie wskazanych. Kiedy doszedłem do momentu, w którym Wiesław zabija dziecko trzymane przez Klarę, kobieta zacisnęła palce na moim nadgarstku.

– Co się stało? Przecież to głupoty. Wystąpiliście w tych halucynacjach, bo jesteście mi teraz bliscy i mój umysł uczynił was bohaterami tych chorych wizji. A potem – kontynuowałem opowieść – pojawił się Zenon i kopulował z tą małą dziewczynką... No, dobra. Nie powinienem był wam tego opowiadać.

Klara, Wiesław i Zenon wybałuszyli oczy, a następnie jeden po drugim uklękli przede mną.

– Hej, co wy robicie? Wstawajcie, pomodlimy się maszerując. – Zarówno ja jak i pozostałe kobiety byliśmy zaskoczeni zachowaniem tej trójki.

– Ja muszę wam coś wyznać – powoli powiedział Zenon. – Wiele lat temu, miałem narzeczoną. Miała małą siostrzyczkę, Julcię. Poprosiła mnie kiedyś żebym zabrał dziecko na wycieczkę po lesie, bo sama musiała zawieźć ojca do lekarza. Poszedłem z Julią do lasu, była piękna pogoda, a ona jak mały elf w koronkowej sukience skakała przez gałązki. Nagle upadła, rozbiła kolanko. Pochyliłem się nad nią, podciągnąłem sukienkę i... wtedy wstąpiło we mnie coś złego. Zgwałciłem to dziecko. Przyznałem się do winy, siedziałem kilka lat w więzieniu, zanim nie zwolnili mnie za dobre sprawowanie. Tam poznałem Boga, wypowiadałem się. Do końca moich dni będę żałował tego czynu. Jestem innym człowiekiem, ale to fakt popełniłem ten grzech. A teraz... ksiądz to wszystko zobaczył.

– Hmm... – Wiesław chrząknął jakby chciał coś powiedzieć – ja... to znaczy my... zabiliśmy nasze dziecko. Klara była w ciąży, studiowaliśmy, chcieliśmy podróżować. Dziecko skomplikowałoby sprawę. Poszliśmy razem do kliniki, usunęliśmy ciążę. Bóg nas ukarał, bo nigdy więcej Klara nie będzie mogła mieć dzieci. Ja też nie, rok później zachorowałem na raka jąder i usunięto mi je. Nie mogę sobie wybaczyć, że zachowaliśmy się tak egoistycznie.

Po tych wyznaniach milczeliśmy. Czy zwariowałem, czy otrzymałem dar widzenia? Dlaczego to ja zobaczyłem grzechy innych, grzechy, o których sami chcieli zapomnieć? Co stało się tam, we wsi, której nazwy nie było na mapie, że każdy z nas stanął oko w oko

z własnymi występami? Przeszłość ścigała nas, nie pozwalała o sobie zapomnieć, bez względu na to jak żyliśmy teraz.

Wyszliśmy z lasu. Zofia z dziećmi, Zenon, Klara i Wiesław, Ania, Jadzia i ja. Z pierwszej miejscowości rozjechaliśmy się do domów. W milczeniu, przeżywając swoje własne tragedie. Jechałem autobusem z dziewczynami. Przez działający już telefon, Ania dowiedziała się, że dzień wcześniej jej chłopak Waldek zginął w wypadku samochodowym, Jadzia natomiast opowiedziała mi, że jej siostra bliźniaczka utopiła się w jeziorze, jako małe dziecko. Nie chciałem nawet zastanawiać się dlaczego Zuzanna opuściła naszą parafię...

Transparentni

Arkadiusz Siedlecki

Świt spływał wolno na Strzyżewo, niewielką wioskę znajdującą się na południu Polski. Sikorka ukryta w konarach drzew radośnie zatrzepotała skrzydłami. Później wzbiła się w niebo, zupełnie jakby należało tylko do niej. Słońce z trudem przeciskało się przez sosnową zielen. Zapach iglaków błdził po okolicy. Cudowny błękit firmamentu rozlewał się nad pasmem górskim, i nielicznym turystom zapierało dech w piersi. Strzyżewo zachwycało. Pod każdym względem. Było swoistym azylem od miejskiego zgiełku, od spalinowego smrodu i gonitwy za pieniądzem. Wśród śpiewu ptaków żyło się łatwiej, a kolorowe pola nastrajały pozytywną energią. Gdyby nie mroczna legenda, szeptem przekazywana z ojca na syna, można by pomyśleć, że miejsce to jest rajem – zapomnianym przez ludzkość boskim ogrodem – Edenem.

Tak było jednakże tylko za dnia.

Strzyżewo, do którego prowadziła jedyna, wąska i niewybrukowana droga posiadało niewielką kaplicę, wójta, sklep spożywczy i jezioro. I tajemnicę.

Ale o tym za chwilę...

Jezioro Czarne oddalone było od domu wójta o 666 metrów. Ni mniej, ni więcej. Dokładnie tyle. Zmierzyli tą, zdawałoby się przypadkową, odległość geodeci. Od tamtej pory mieszkańcy Strzyżewa zaczęli omijać dom wójta szerokim łukiem, uznając jego włości za nawiedzone, a jego samego za wcielenie szatana. Odległość ta jednak miała swoje plusy. Było wystarczająco blisko, by w letnie upały korzystać z dobrodziejstwa naturalnego zbiornika. Z drugiej zaś strony, dostatecznie daleko by zimą, nie martwić się, czy Oleńka, najmłodsza córka wójta, stąpając po cienkiej tafli lodu, rozkruszy jego strukturę. Na takie wypadki dziewczynka była stanowczo za młoda.

Okoliczne lasy, a było ich co niemiara, skutecznie zatrzymywały promienie słoneczne i właśnie późną jesienią oraz wczesną zimą czuło się lekką grozę Strzyżewa. Nie żeby nie dało się jej odczuć latem, lub wiosną. Na przełomie jesieni i zimy, kiedy biały puch nie zdążył pokryć jeszcze połaci zmrożonych pól, a liście już dawno opadły z drzew, czarne

ptaki krążyły nad Czarnym jeziorem. Niczym sępy nad dogorywającą ofiarą. Miejscowi jak ognia unikali zatem wszystkiego, co w jakimkolwiek stopniu wiązało się z lasem, Czarnym jeziorem, duchami i mrokiem.

Kiedy zapadał mrok tylko najodważniejsi, najgłupszy albo najbardziej zdesperowani opuszczali bezpieczne cztery kąty i wychodzili w głąb złego. Bo tak właśnie o tym mówiono. Że noc jest złem, a zło czarne jest jak noc.

Zmierzchało. Wyruszyliśmy z plecakami w głąb ciemnego lasu. Oprócz kanapek z tuńczykiem i czerwoną cebulą na samym spodzie plecaka znajdowała się jeszcze butelka kukułczanki, misternie szykowanej przez teścia od dwóch tygodni. Nie zapomnieliśmy oczywiście o latarce, szwajcarskim scyzoryku i kompasie. Bóg jeden wie, co może wydarzyć się nocą w środku lasu.

Plan był prosty jak linijka – dotrzeć w głąb zagajnika, później żółtym szlakiem przedostać się na Kozią Górę i rozbić obóz (do teraz nie wiem, dlaczego wyruszyliśmy o zmierzchu) i przekonać się na własnej skórze, co w trawie piszczy. Albo inaczej – co w Strzyżewie straszy.

W razie konieczności, receptory strachu zostaną znieczulone likierem domowej roboty. Słodysz rozleje się w przełyku i leniwie powędruje do żołądka, przekazując mózgowi informację, żeby się nie bać. Ot, takie męskie tuszowanie strachu.

– To co, po maluchu? Nie ma, na co czekać Krzysiu. – oznajmił teść, najwyraźniej wystraszony samą świadomością znalezienia się w gęstwinie drzew.

– Jeśli tylko tato chce... nie oponuję. – uśmiechnąłem się. Szacunek do teścia miałem. Boi się, trudno, trzeba ten strach okiełznać.

Zatrzymaliśmy się przy białawym konarze. W świetle latarki kora drzewa przybierała żółtawy odcień. Pomimo tego, że stuprocentowy ze mnie mieszczuch domyśliłem się, że drzewo jest brzozą. Odkrycie banalne, jednak uświadomiło mi pewną – wydawałoby się – prozaiczną rzecz. Nie jestem na swoim terenie. Tu nie ma posterunku policji, grona przyjaciół, którzy w każdej chwili gotowi są pójść za mną w ogień, a na dodatek nasze komórki straciły zasięg. Przełknąłem ślinę.

Tata wyłowił z dna plecaka butelkę kukułczanki i dwa jednorazowe kubeczki, które szybko napełnił.

– No to chlup! – powiedział i szybko przechylił kubek.

Uśmiechnąłem się i wypilem swoją porcję. Alkohol był słodki, ale nieprzesadnie.

– Od razu lepiej! – odetchnął z wyraźną ulgą. – To co, jeszcze po jednym?

Teść nie lubił tracić czasu, więc po kilku kolejnych kubeczkach ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Dokąd my właściwie idziemy? – zapytałem.

– Wójt wspominał, że na końcu żółtego szlaku będzie zagajnik, a później, już w środku lasu, tuż przy leśnej szkółce, czekać na nas będzie starzec o twarzy dziecka, który poprowadzi nas dalej.

– To wszystko przyprawia mnie o gęsią skórę. Po co my tu przyjechaliśmy? – spojrzałem na teścia wymownie.

– Przecież chciałeś przeżyć przygodę życia, prawda? To są twoje słowa.

– Tak, ale nie spodziewałem się nocnej przechadzki przez gęsty las. Poza tym, tajemnica Strzyżewa, o której nie wolno głośno mówić, a teraz jeszcze ten starzec o twarzy dziecka...

– Daj spokój, młody jesteś, będziesz miał, co wnukom opowiadać. Takie historie na lata zapadają w pamięć.

– A co z tą mroczną tajemnicą? – drążyłem dalej – Kiedy pytałem o nią we wsi, ludzie zatrząskiwali mi drzwiami przed nosem. Cholernie gościnna ta wioska, nie ma co!

– Nie obwiniaj ich. Boją się. To normalne. Poza tym, nie ufają obcym. Wójt, za to jest w porządku. Nawet bardzo.

– Skąd go znasz? – zapytałem.

– Stare czasy. Studiowaliśmy na jednym roku, potem nie widzieliśmy się przez całe wieki, aż wreszcie zeszłego lata zadzwonił do mnie i zaprosił do siebie, na lato. Pojechałem.

– To byłeś tu już wcześniej?

– Tak. Wójt to stary pocziwiec. Dbą o wioskę i dlatego poprosił mnie o pomoc w rozwiązaniu zagadki.

– Sugerujesz, że on nie wierzy w te wszystkie tajemnice, duchy, i inne stwory. Jeżeli takowe, w ogóle istnieją...

– On sam nie wie, co o tym wszystkim myśleć. Rozważa oczywiście wielką mistyfikację, ale z tego, co wspominał, to wszystko zaczęło się bardzo dawno temu. Jeszcze, gdy był dzieckiem, babka ostrzegała go przed „złym”, które czai się w lesie.

Ostatnie zdanie teść prawie wyszeptał. Przeszedł mnie dziwny dreszcz, a w miejscu za uchem ścierpła skóra. Kiedyś usłyszałem, że jeśli przechodzi cię dreszcz, to śmierć łaskocze

cię piórkiem niepokoju, próbując o sobie przypomnieć. Nie znosiłem tego uczucia.

Zaczynałem się bać.

– A co wzięło wójta, że tak nagle postanowił rozprawić się z tajemnicą Strzyżewa? – zapytałem drżącym głosem.

– To przez Oleńkę. Jego córkę. – wyjaśnił teść.

– Co z nią? – spojrzałem na niego.

Rozejrzał się nerwowo. Nikt nas nie śledził, ale przecież nie mogliśmy być tego w stu procentach pewni.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – zapytał tak cicho, że prawie nie usłyszałem.

– Tato przecież, dlatego tu przyjechaliśmy, prawda? Niech tato opowie mi o wszystkim, o czym wie. Tu każdy szczegół może okazać się istotny.

– Posłuchaj Krzysiu, ja znam tylko mały fragment tajemnicy tego miejsca. Mnie też, do końca nikt nie zaufał, nawet wójt. Wszyscy, którzy wtykają nos w tę sprawę, giną w dziwnych okolicznościach.

Zamarłem ze strachu, a moje nogi odmówiły posłuszeństwa. W jednej chwili zrobiły się miękkie jak z waty. Przystanąłem i aby niespodziewanie nie zemdleć, oparłem się o najbliższe drzewo.

– Jak to? – zdołałem tylko wyjęknąć.

– To są legendy tylko, podania takie. Spokojnie, bo widzę, że zbladłeś. A czy to, o czym mówią to prawda, czy nie... Musimy się przekonać na własnej skórze.

– Dobrze, niech tato mówi dalej. Co z tymi tajemniczymi zniknięciami?

– W zeszłym roku, kiedy Oleńka zniknęła na dwie doby, wójt już pierwszej nocy z nerwów wyrwał sobie z głowy większość włosów. Później, kiedy już troszkę ochłonał, wykonał kilka telefonów. Po niespełna dwóch godzinach policjanci z Cieszyna przeszukiwali już las. A widzisz, jaki on wielki? Rozciąga się hen, hen, aż pod samą czeską granicę.

– I co znaleźli ją, tak?

– No widziałeś ją dzisiaj rano, na śniadaniu przecież. Dziewczynka żyje, ale od tamtej pory nie odezwała się ani słowem. Zamknęło się dziecko w sobie do tego stopnia, że nikt nie potrafi do niej dotrzeć. Ani ojciec, ani matka, już o księdzu nie wspomnę. Ten ostatni ma do tej całej sprawy zaginięcia wójtówny stosunek ambiwalentny.

– To znaczy? – zapytałem i zacząłem szukać w plecaku butelki. Musiałem się znowu

napić.

– Ona jakoś tak się zmieniała. Nie od razu oczywiście, raczej z dnia na dzień. Zmienia się właściwie bezustannie. Dlatego wójt prosił mnie o pomoc. Wie, że byłem najlepszym detektywem na roku. Już kiedyś lubiłem wyzwania i rozwiązywanie zagadek.

– No dobrze tato, ale Oleńka...

– Tak, tak... No właśnie, bo ona... błędnie. Zanim zniknęła miała śliczne blond włosy, istny aniołek, mówię ci. Wiem, bo wójt pokazywał mi zdjęcia sprzed tego incydentu. Kiedy wróciła, a właściwie, kiedy ją znaleźli...

– A, gdzie ją znaleźli? – przerwałem teściowi.

– Siedziała nad jeziorem. Moczyła stópki w zimnej wodzie i śpiewała kołysankę:

*„wszystkie dzieci nawet złe pogrążone są we śnie,
a ty jedna tylko nie.”*

Poczułem się dziwnie, nagle zaczęło mi się kręcić w głowie. Chyba ze strachu, chociaż przecież nic właściwie jeszcze się nie wydarzyło. Czułem jednak, że ciśnienie rośnie, a my niepotrzebnie wchodzimy w sam środek złego.

– Myślisz, że jest na coś chora? – zapytałem, a drżącymi dłońmi starałem się wyjąć zapalniczkę z kieszeni, by zapalić papierosa.

– Nie pal! Przecież jesteśmy w lesie! – błyskawicznie zwrócił mi uwagę teść. – Chcesz, żebyśmy spłonęli?

– Przepraszam, to z nerwów. Mów co się stało...

– Nie wiadomo do końca. Przeprowadzili jej szereg badań, ale właściwie wykluczono jakąkolwiek chorobę. Zresztą, miejscowy lekarz jest trochę dziwny, sprzęt w Strzyżewie jest delikatnie mówiąc przestarzały, a wójt za nic w świecie nie chciał zgodzić się, aby córkę wywieziono do wojewódzkiego szpitala.

– Dlaczego?

– Zielonego pojęcia nie mam. O! Dochodzimy już do miejsca, w którym powinien znajdować się nasz przewodnik.

Kiedy rozglądaliśmy się dookoła, wydawało mi się, a wręcz czułem, że jesteśmy obserwowani. Być może była to tylko taka autosugestia umysłu pod wpływem tej dziwnej historii. W każdym bądź razie, czułem się nieswojo i choć nie chciałem mówić tego głośno, aby nie popsuć teściowi wyjazdu, miałem ochotę wracać do domu.

– Czy mi się wydaje, czy kory tych drzew przypominają ludzkie twarze? – zapytał teść

wyciągając rękę w kierunku jednej z nich.

Rozejrzałem się dookoła. Niestety ja również odnosiłem takie wrażenie.

– Niech lepiej tato, tego nie rusza. Nie wiadomo, co to jest!

– Masz rację Krzysiu. – powiedział i szybko cofnął dłoń.

– Zabić, nie zabije! Ale dłoń odgryźć może. A przecież zdrową masz dłoń widzę, przyda się jeszcze, prawdaż? – głos zza jednego z drzew był niezwykle chropowaty. Nasiąknięty magią, i mądrością życiową. To się czuło.

W końcu niewysoki, ubrany w szare, poszarpane łachy mężczyzna, wyszedł zza drzewa. Miał długą siwą brodę, a jego łysa głowa przyozdobiona była wianuszkiem polnych kwiatów. Ten prehistoryczny hipis nie mógł liczyć sobie mniej niż siedemdziesiąt wiosen. Twarz mężczyzny zdawała się zupełnie nie pasować do reszty ciała. Gdyby „wyciąć” ją z kadru nie dałbym twarzy więcej niż jedenaście lat. Ale twarz znajdowała się na swoim miejscu.

– To pan jest tym przewodnikiem? – zapytałem.

– W rzeczy samej, mój drogi, w rzeczy samej... Zaprowadzę was do miejsca, z którego nie ma odwrotu. Czy jesteście gotowi pójść za mną?

Spojrzeliliśmy z teściem na siebie.

Ja chciałem wracać, mimo że starzec robił na mnie dobre wrażenie. Drzewa przyprawiały mnie jednak o gęsią skórę, a samo przebywanie w gęstwinie nie napawało jakoś specjalnie poczuciem bezpieczeństwa. Teść miał jednak w oczach pasję. Pasię, która kazała mu podążać za nieznanym.

Zerwał się wiatr, i ruszyliśmy w drogę. Staruszek prowadził. Podpierając się drewnianą laską przypominającą węża, lekko kuśtykał. Jego dłoń, stara i pomarszczona, z paletą przebarwień na wierzchniej stronie spoczywała na łbie węża. Mężczyzna, co jakiś czas uderzał laską o korę drzewa i z ich korony, w powietrze, wzbijały się gromady czarnych ptaków. Czy były to kruki czy wrony, nie wiedziałem. Głośno krakały, by po chwili ponownie wrócić na swoją gałąź.

– Czy pan wie, co się stało z młodą wójtówną? – postanowił przerwać milczenie teść.

Starzec zatrzymał się, oparł cały ciężar o laskę, i ciągle stojąc do nas plecami spojrzał gdzieś w górę. Ciężko westchnął.

– Wiem. – powiedział.

– Powie nam pan?

– Nie, nie powiem. Pokażę wam.

Przeszliśmy przez małą kładkę, pod która przepływał strumyk. Potem skręciliśmy wydeptaną ścieżką na wschód, a kiedy minęliśmy stos poukładanych równo drewnianych bali, mężczyzna odwrócił się w naszą stronę, i powiedział:

– Dalej pójdziecie już sami. Idźcie tą drogą cały czas prosto, a kiedy usłyszycie pohukiwanie sowy zatrzymajcie się i rozejrzyjcie.

Podziękowaliśmy staruszkowi, a ten lekko się uśmiechnął, po czym zniknął za najbliższym drzewem.

Szliśmy przed siebie dobre pięć minut, aż wreszcie teść coś usłyszał. Zatrzymał się.

– To chyba sowa. Słyszałeś?

– Czekaj – nasłuchiwalismy – Faktycznie, jest. To tu. Co teraz? Czego mamy wypatrywać?

– Nie wiem, po prostu miej oczy szeroko otwarte. Czekaj przyświecę latarką, bo już całkiem ciemno się zrobiło.

Teść przyświecał, a ja w międzyczasie walczyłem z pokusą, żeby nie zapalić papierosa.

– Mam! – krzyknął.

Szybko podszedłem do niego. Teść w milczeniu wyciągnął rękę przed siebie i palcem wskazał na niewielki betonowy pomnik.

– Czekaj tato, tam jest coś napisane. Widzisz?

– Tak, ale to chyba łacina jest: „tota vita discendum est mori”.

– Ale tam jest jeszcze jeden napis przykryty liśćmi.

– Faktycznie, jest! Czekaj, odsłonie go...

– „Tu pochowana jest Oleńka Kowalska, lat siedem, spoczywaj w pokoju.”

Czułem, że zapada się pode mną ziemia. To było chore. Przecież dziewczynka żyła, miała się dobrze, widzieliśmy ją dziś rano. A może...

– Myślisz o tym co ja? – spojrzałem na teścia.

– Ona jest martwa. Jest duchem.

– Dlatego jest taka blada, ona blednie, staje się przeźroczysta, transparentna. Jak to duch.

– Tak, i wkrótce całkiem zniknie...

– Brawo! Brawo, brawo! – rozlega się głos zza pleców. – Rozwiązaliście zagadkę Strzyżewa. Ale to tylko jedna z wielu.

Stał przed nami wójt, już nie taki smutny i stonowany, ale raczej radosny. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że i on jest blady, że pewnie już od dawna nie żyje.

– Czy pan... czy wy... jesteście duchami? – zapytałem przerażony.

I wtedy do wójta dołączają pozostali. Jest ich naprawdę sporo. Są kobiety, i są mężczyźni, dzieci, i starcy. Jedni trzymają w rękach pochodnie, inni grabie, kosy i drewniane sztachety.

– Spójrzcie tam, na prawo od nagrobku Oli. – odzywa się kobieta w zawiązanej na głowie kwiecistej chuście.

Spoglądam w bok. A tam, choć wcześniej ich nie widziałem, dwa doły. Głębokie na dwa lub trzy metry. Obok nich kopce świeżo wykopanej ziemi i tabliczki z wygrawerowanymi napisami:

Krzysztof Cieślik, lat dwadzieścia siedem, zginął śmiercią tragiczną.

Apoloniusz Krosny, lat pięćdziesiąt osiem, zginął śmiercią tragiczną.

Świt spływał wolno na Strzyżewo, niewielką wioskę znajdującą się na południu Polski. Sikorka ukryta w konarach drzew radośnie zatrzepotała skrzydłami. Później wzbiła się w niebo, zupełnie jakby należało tylko do niej. Słońce z trudem przeciskało się przez sosnową zieleń. Zapach iglaków błdził po okolicy. Cudowny błękit firmamentu rozlewał się nad pasmem górskim, i nielicznym turystom zapierało dech w piersi. Strzyżewo zachwycało. Pod każdym względem. Było swoistym azylem od miejskiego zgiełku, od spalinowego smrodu i gonitwy za pieniądzem. Wśród śpiewu ptaków żyło się łatwiej, a kolorowe pola nastrajały pozytywną energią. Gdyby nie mroczna legenda, szeptem przekazywana z ojca na syna, można by pomyśleć, że miejsce to jest rajem. Zapomnianym przez ludzkość boskim ogrodem – Edenem.

Tak było jednakże tylko za dnia...

Korepetytorka

Karolina Wilczyńska

– Niech to diabli! – Kierowca z hukiem zatrzęsął metalową klapę. – Dalej nie pojedziemy. Kiedyś musiał się rozkraczyć, mówiłem szefowi ze sto razy.

– Jak to: nie pojedziemy? Niech pan coś zrobi! – Zuzanna nie przyjmowała do wiadomości słów mężczyzny. Miała pod opieką prawie dwudziestkę szóstoklasistów i musiała ich dowieźć do domów przed wieczorem.

– A co ja mogę? – Kierowca nie wydawał się poruszony. – Zadzwońię do szefa, niech przyśle drugi bus i lawetę. Tyle mogę. Ale i tak wcześniej niż jutro na to zadupie nie dojadą.

– Mariusz, czy ty słyszysz?

Kolega, wuefista, wydawał się podzielać spokój kierowcy.

– Słyszę, ale przecież nic nie poradzę. Jak pan mówi, że się nie da, to się nie da. Lepiej zastanówmy się, co z nimi zrobimy – wskazał głową na zaciekawione uczniowskie twarze, przyklejone do szyby busa. – Przecież nie będą spały w rowie przy drodze, bo rodzice nas rozszarpia.

Zuzanna musiała przyznać mu rację. Rozejrzała się bezradnie – byli na jakiejś gminnej drodze, która miała być skrótem i pozwolić na uniknięcie korków. Wrześniowa wyprawa na finał ogólnopolskiego konkursu zakończyła się klapą. Nie zdobyli znaczącego miejsca, a teraz jeszcze to. Wokół las, odkąd stanęli nie przejechał żaden pojazd, nawet ptaków tu chyba nie było, bo oprócz szelestu gałęzi poruszanych wiatrem nie słyszała żadnych dźwięków. Koniec świata – pomyślała.

Ruszyła poboczem z nikłą nadzieją, że za zakrętem zobaczy jakiś bardziej cywilizowany świat. I rzeczywiście, po przejściu kilkudziesięciu metrów dostrzegła wśród gałęzi niewyraźną tabliczkę z napisem „Strzyżewo 2 km”. Nie wyglądała najlepiej, była przerdzewiała, farba odchodziła z niej płatami, ale dawała przynajmniej szansę na dotarcie do ludzkich siedzib.

– Dzieci, zabierajcie bagaże! W dwuszeręgu zbiórka! – krzyknęła podbiegnąwszy do busa. – Tam jest jakaś wieś. Mam nadzieję, że znajdzie się nocleg dla dzieciaków.

A przynajmniej jakieś ciepłe miejsce – zwróciła się do Mariusza.

– Idę z tobą. – Zdecydował. – Ulokuję was gdzieś i wrócę do kierowcy. A jutro po was przyjdę.

Po chwili roześmiany korowód ruszył leśną ścieżką. Dzieciaki były podekscytowane nieoczekiwaną przygodą, wymieniały głośno komentarze dotyczące ich sytuacji, telefonowały do rodziców i znajomych.

Początkowo las wydawał się dosyć przyjazny ale z każdym metrem stawał się gęściejszy i bardziej mroczny. Wiekowe drzewa z powykęcianymi konarami zdawały się pochyłać ku wędrującym, żeby pochwycić ich w zdrewniałe ramiona, kolczaste krzewy wyrastały na ścieżkę czepiając się ubrań i bagaży, jakby chciały zniechęcić grupę do dalszego zagłębiania się w ich świat. Gęste listowie prawie nie przepuszczało światła, w powietrzu czuć było wilgoć i zapach zgniłego drewna. Uczniowie ucichli, w końcu zupełnie zamilkli. Grupa prawie bezgłośnie posuwała się naprzód.

Zuzanna szła na czele. Jej także udzielił się niepokój i dziwna atmosfera lasu. Ścieżka była coraz węższa. Kolczaste gałązki krzaków wczepiały się w sukienkę wyrywając kawałki materiału. Zerwała rozciągniętą między drzewami pajęczynę i musiała przystanąć, żeby zetrzeć z twarzy lepkie nitki. Nerwowo ocierała czoło i policzki, starając się złapać więcej powietrza. Uspokoila nieco oddech i to samo próbowała zrobić z myślami. Musimy jakoś się stąd wydostać, dotrzeć do tego cholernego Strzyżewa – tłumaczyła sobie.

Wygładziła sukienkę, co niewiele dało, ale pozwoliło odzyskać spokój. Zaczęła zastanawiać się, gdzie są, gdy nagle z zarośli wyszedł wprost na nią mężczyzna potężnej postury z wielkim workiem przerzuconym przez ramię i siekierą za pasem. Z worka wydobywało się coś w rodzaju charczenia czy rżenia. Tego było już za wiele dla jej skołatanych nerwów. Krzyknęła. Zawtórowało jej kilka dziewczynek.

– Czego się drą? – burknął basem nieznajomy, kiedy umilkł przedłużony echem krzyk. – I co tutaj robią? Śmierci szukają?

Zuzanna gwałtownie pokręciła głową zaprzeczając jego teorii.

– Bus nam się popsuł. Idziemy do Strzyżewa, zapytać o nocleg – odpowiedziała piskliwie, bo strach zaciskał jej pętlę na gardle. – Pan wie, gdzie to jest? Chyba się zgubiliśmy...

Mężczyzna zmierzył ją od stóp do głów z pogardliwym wyrazem twarzy.

– Do Strzyżewa trafia ten, komu to pisane. Jak się nie da, to lepiej do domu wracać.

– Ale my musimy!

Wzruszył ramionami.

– Jak się upiera, to niech idzie. Tam – wskazał kierunek – dojdzie do drogi, a potem na lewo i cały czas prosto.

Podziękowała, skinęła na grupę i starając się nie potykać poszła we wskazaną stronę. Usłyszała, że mężczyzna splunął w ich kierunku i zaburczał coś, co zabrzmiało jak:

– Znowu kogoś diabli nadali!

– Daleko jeszcze, proszę pani?

– Możemy odpocząć?

– Tutaj nie ma zasięgu, a ja muszę zadzwonić...

Rozdrażniona, uciniała krótko uczniowskie narzekania. Słyszała, że Mariusz idący na końcu reaguje podobnie, starając się przy okazji, żeby grupa nie rozwlekła się zbyt długo, bo większość dzieci coraz częściej przystawało i marudziło.

Do wsi dowlekli się ostatkiem sił. Zuzanna była pewna, że przeszli dużo więcej niż dwa kilometry.

Obtarły ją buty, na piętach miała krwawiące rany i każdy krok sprawiał jej niewypowiedziany ból. Marzyła o prysznicu i łóżku. I o czymś do picia. Najchętniej wróciłaby do swojej kawalerki. Na razie jednak musiała znaleźć miejsce na nocleg dla dzieciaków.

Nie liczyła, że w tej zapadłej dziurze będzie hotel, musiała znaleźć życzliwego gospodarza, który ich ugości. Rozejrzała się, oceniając domy ustawione po obu stronach drogi. Żadna rewelacja – pomyślała. – Zapomniana przez Boga wiocha w środku lasu.

Uwagę Zuzanny przykuł nieco porządniej wyglądający domek. Świeżo otynkowany, wyróżniał się bielą i drewnianymi okiennicami. W ogródku kwitły malwy i słoneczniki, a także mnóstwo innych kolorowych kwiatów, których nazw nie знаła. Taka sielsko-wiejska chałupka. Przynajmniej miała czyste szyby w oknach i wszystkie deski w płocie. Postanowiła zaryzykować. Nakazała grupie pozostać na drodze, a sama weszła na podwórko.

Zapukała do drzwi i usłyszała powoli zbliżające się kroki. Chrzęst zamka, drewniane skrzydło uchyliło się i na Zuzannę wyskoczyło z przeraźliwym piszczeniem jakieś niezidentyfikowane stworzenie. Poczowała ból na policzku, zamierzyła się, żeby podjąć walkę

z nieznanym napastnikiem ale zwierzę błyskawicznie zeskoczyło z jej ramienia i znikło za rogiem domu. Dyszała ciężko, kolana odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się po białej ścianie na betonowe schodki.

– Dziecko, nic ci się nie stało? – usłyszała nad głową miły głos zabarwiony teraz nutką troski.

Otworzyła oczy i spojrzała w górę. Nad nią stała staruszka wyglądająca niczym dobra babcia z bajek dla dzieci. Siwe włosy upięte w koczek, okrągłe okulary, siateczka zmarszczek na twarzy. I ten miły, dobrotliwy uśmiech. Zuzanna poczuła, że nareszcie odpocznie.

– Jestem nauczycielką. Wracam z klasą z wycieczki i zepsuł nam się bus. Musimy gdzieś przetrwać noc. Czy mogłaby nam pani pomóc? Zapłacę... – poprosiła i pomyślała, że jeśli staruszka odmówi, nie uda jej się powstrzymać łez.

– Wejść, dziecko, wejść. Zaraz coś wymyślimy.

– To Strzyżewo? Dobrze trafiłam?

– Strzyżewo, Strzyżewo...

Przeszły do kuchni urządzonej skromnie, ale czystej i Teresa od razu poczuła się lepiej. Gospodyni, mimo że nie należała do szczupłych, sprawnie poruszała się między kaflowym piecem a stołem i już po chwili kobieta miała przed sobą kubek z gorącą herbatą i talerz z ciasteczkami.

Staruszka usiadała po przeciwnej stronie stołu i zaczęła głośno się zastanawiać:

– Może w stodole was ułożę, na sianie? Tylko czy te miastowe dzieci nie będą narzekać?

– Nie mają wyboru.

– No to weź tu, dziecko, kilku chłopaczków poproś. Dam im koce i co tam znajdę, niech się układają.

– Bardzo dziękuję, już wołam – Zuzanna odzyskała energię i chęć do działania.

Wybiegła przed dom i machnęła przywołująco ręką.

– Jacek, Krzysiu, Tomek! Proszę do mnie!

Gdy chłopcy podeszli wyjaśniła krótko, czym mają się zająć. Pozostałe dzieci odesłała do stodoły. Mariusz, widząc, że sytuacja jest opanowana, zdecydował, że może wrócić do kierowcy.

– To ja spadam – oznajmił. – Jutro po was przyjdę, gdy tylko pojawi się bus i laweta. Chyba że powinienem zostać? – zawahał się i spojrzał pytająco na koleżankę.

– Nie ma potrzeby. Są tak zmęczeni, że padną w ciągu godziny. Bardziej przydasz się kierowcy, lepiej niech nie siedzi sam na tej drodze.

Patrzyła jak Mariusz znika w lesie. Las zamknął go w swoich objęciach. Wydawało jej się, że drzewa pochyliły się ku niemu i zagarnęły go do wnętrza zgniłozielonej czeluści, skąd nie ma powrotu. Na plecach poczuła zimny powiew, a po kręgosłupie przeszedł jej dziwny dreszcz. Poczuła nieokreślony ale silny lęk.

– Chodź, dziecko, bo wieczory już chłodne. – Wzdrygnęła się, bo głos staruszki zabrzmiał nieoczekiwanie tuż za nią. – Jeszcze się przeziębisz. Masz tu chustkę i polecisz do rzeźnika, bo dzieciakom trzeba przecież rano coś do zjedzenia dać. Ja chleb upiekę, ale na niego jeszcze coś położyć trzeba, prawda? – Roześmiała się i strach Zuzanny uleciał w jednej chwili. Dobrotliwa twarz gospodyni natychmiast odeгнаła wszystkie lęki. – Trzeci dom po lewej stronie. Powiedz, że jesteś ode mnie i że to dla przyjezdnych ma być, nie dla naszych. Wtedy lepsze da. – Staruszka porozumiewawczo mrugnęła okiem.

Kiedy Zuzanna po półgodzinie wróciła z koszykiem pełnym wędlin, stwierdziła z ulgą i radością, że wszyscy uczniowie spokojnie leżą na swoich prowizorycznych posłaniach z koców, kurtek i plecaków.

– Dałam im ziółek na spokojność – wyjaśniła gospodyni. – Będą spały jak zabite. Chodź, dziecko, do kuchni, to i tobie zaparzę.

Spędziły kilka godzin na miłej pogawędce. Gospodyni wypytywała o miasto, szkołę, życie Zuzanny. Ta, sama nie wiedząc kiedy, opowiedziała jej nawet o rzeczach, o których nikomu dotąd nie mówiła. W końcu poczuła senność. To chyba te zioła – pomyślała.

– Pójdę już do dzieci. Dziękuję za wszystko, za rozmowę i w ogóle... – czuła, że język jej się płacze. Zmęczenie dawało o sobie znać, ledwie mogła utrzymać otwarte powieki.

– Dobranoc.

Na podwórku przysiadła na chwilę na ławeczce pod ścianą. Nocny chłód nieco ją orzeźwił. Rozejrzała się dookoła. Nie dostrzegła żadnego domu, widocznie wszyscy gospodarze poszli już spać. Kompletna ciemność i cisza w połączeniu z ledwie widoczną na tle nocnego nieba ścianą lasu sprawiały, że domek staruszki wydawał się być jedynym zamieszkałym miejscem w bezkresnym mroku. Panowała cisza, przerywana jedynie pohukiwaniem sowy. Nieoczekiwanie tuż przed jej nogami przebiegł kot. Cofnęła stopy i odruchowo zasłoniła twarz, ale tym razem zwierzę nie było nią zainteresowane. Bezszelestnie podbiegło do drzwi i cichym miauknięciem zasygnalizowało swój powrót.

Drzwi pozostawały jednak zamknięte.

Zuzanna już chciała opuścić niezbyt wygodne siedzisko, gdy nagle zobaczyła dwie pochylone postacie skradające się przez podwórko. Znieruchomiała. Strach ścisnął jej gardło. Obserwowała długie cienie na ścianie domu i z przerażeniem zauważyła, że jedna z osób trzyma coś w reku. Podłużny przedmiot, coś jakby nóż albo szpikulec. Złodzieje? Mordercy? Chcą zabić staruszkę? Paraliżujący lęk unieruchomił ją zupełnie.

Tymczasem napastnicy podeszli już do drzwi, otworzyli je wypuszczając na podwórko pasmo światła i bez problemu weszli do środka. Między ich nogami wykorzystał swoją szansę także kot. Drewniane skrzydło zamknęło się z cichym skrzypnięciem i na podwórku na powrót zapanowała ciemność.

Zuzanna próbowała wrócić do równowagi. Wiedziała, że powinna coś zrobić. Nie może pozwolić, żeby życzliwej staruszce stała się jakaś krzywda. Musi działać. Wstała i na drżących nogach ruszyła w stronę domu. Szukała wzrokiem czegoś, co mogłoby posłużyć do obrony przed złoczyńcami, ale nie dostrzegła niczego. Musiała stawić im czoła z gołymi rękami. Próbowała zebrać myśli. Co robić? Najwyżej będę krzyczeć – pomyślała. – Może ich wystraszę.

Starając się nie robić hałasu wślizgnęła się do sieni. Z ulgą usłyszała, że staruszka nuci coś krzątając się po kuchni. Była bezpieczna. W tej samej chwili zauważyła uchylone drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Przez szparę dostrzegła wątłe światelko. A więc tam byli! Pewnie plądrowali pokój oświetlając go zapalniczką. Zebrała całą odwagę, stanowczym ruchem otworzyła drzwi i zapaliła światło.

– Co wy tutaj robicie! – Chciała, żeby jej głos zabrzmiał groźnie, ale zdawała sobie sprawę, że wyszedł raczej niepewny i pełen przerażenia pisk.

– Przepraszamy, proszę pani, bardzo przepraszamy... – usłyszała.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że na środku pokoju, oślepieni nieoczekiwaną jasnością, stoją dwaj uczniowie.

– Chcieliśmy zadzwonić do domu, a tu nigdzie nie ma zasięgu. Pomyśleliśmy, że może w domu – tłumaczył się Kuba pokazując trzymany w dłoni telefon. – No i tu jest, więc ja tylko na chwilę...

Zuzanna poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Musiała natychmiast usiąść.

– Proszę natychmiast wracać do stodoły. Porozmawiamy jutro.

Chłopcy posłusznie pokiwali głowami i wyszli zamykając za sobą drzwi. Zuzanna

opadła na najbliższe krzesło. Usłyszała, że gospodyni wyszła do sieni, najwyraźniej usłyszawszy, że coś się dzieje. Chłopcy tłumaczyli się i przepraszali. Chyba udało im się udobruchać staruszkę, bo zza drzwi dobiegł jej ciepły głos:

– Dobrze już, dobrze, chłopcy, nic się nie stało. Wejdźcie do kuchni, mam tu trochę słodczy, dostaniecie po cukierku. Domowa robota, żadnej chemii, sąsiadka robi dla specjalnych gości...

Zuzanna nie słuchała dalej, bo jej uwagę przykuł naprzeciwległy kąt pokoju. Początkowo wydawało jej się, że to co widzi nie może być prawdą, że to zmęczenie i stres mieszają jej w głowie. Przetarła oczy i wstała, żeby z bliska przyjrzeć się tej dziwnej wystawce.

Z każdym krokiem widziała wyraźniej, mogła więcej odczytać i z każdym krokiem czuła coraz większe przerażenie. Miała przed sobą coś w rodzaju ściany trofeów. Na drewnianej tablicy wisiały zdjęcia młodych chłopców – wszyscy przystojni, uśmiechnięci, pełni życia. Te radosne wizerunki umocowane były równiutko jeden pod drugim, a obok każdej fotografii przyklejono wycinek z gazety. Duże, krzyczące nagłówki na każdym z nich informowały o samobójstwach nastolatków – nieoczekiwanych, niezrozumiałych i nagłych. Niektóre artykuły opatrzone były zdjęciami samobójców, na których mimo czarnych pasków na oczach, Zuzanna bez trudu rozpoznawała te same twarze, co w rzędzie obok.

Powoli zaczynała do niej docierać makabryczna prawda. Skierowała wzrok na przykryty haftowaną serwetką stolik poniżej tablicy, na którym leżały równo poukładane i przewiązane czerwonymi wstążkami paczuszki listów, kartki z wierszami i nieporadne portrety gospodyni z czasów jej młodości. Nie miała wątpliwości. Była w pokoju seryjnej morderczyni. Ta kobieta przyczyniła się do śmierci kilkunastu młodych chłopców, a teraz czerpała radość wspominając swoje krwawe czyny.

A ja odkryłam jej tajemnicę – uświadomiła sobie Zuzanna. Strach ścisnął jej żołądek i zwymiotowała na wyszorowane do białości deski podłogi. Później zakręciło jej się w głowie i osunęła się na podłogę.

Gdzie ja jestem? – ułamek sekundy wystarczył, żeby przypomniała sobie wszystko, co zobaczyła zanim zemdląła. – Muszę uciekać!

Chciała poderwać się z podłogi, ale ledwie starczyło jej sił na ukłęknięcie. Przytrzymała się stołu i uniosła. Krzyknęła, bo tuż przed swoją twarzą zobaczyła oblicze gospodyni

siedzącej po przeciwległej stronie blatu. I chociaż z pozoru nic nie zmieniło się w wizerunku miłej staruszki, to Zuzanna odniosła wrażenie, że widzi w oczach skrytych za okrągłymi szklami staromodnych okularów jakiś złowieszczy błysk.

– Nie krzycz, dziecko, bo tu i tak nikt cię nie usłyszy. Myślisz, że wiesz, co zobaczyłaś, a tymczasem bardzo się mylisz.

Dziewczyna podjęła kolejną próbę podniesienia się, ale nadal miała zbyt mało siły.

– Gdzie ty chcesz uciekać, dziecko? Zastanów się, tu tylko głusza dokoła, sama wiesz. Lepiej posłuchaj, co ci mam do powiedzenia. Oni sami odebrali sobie życie. Sami wybrali. To musiało się stać, bo zdrada musi być ukarana. Takie jest odwieczne prawo. A wszystko zaczęło się dawno temu, kiedy jeszcze byłam młodą i piękna dziewczyną.

Zuzanna nie miała wyboru. Słuchała opowieści o dziewczynie zakochanej bez pamięci w rówieśniku, synu zaprzyjaźnionej z rodzicami pary z sąsiedztwa. O marzeniach, w których był biały welon, szczęśliwy dom, miłość i zaufanie. I o nauczycielce, którą wybrał, bo imponowała mu dojrzałością i doświadczeniem.

– Złamane serce łatwo się nie zblizni. Zdrada przecina je niczym nóż. Potrzeba eliksiru zemsty, który swoją słodyczą pozwoli ranie zasklepić się. Dużo eliksiru. Jak myślisz, ile dziewcząt cierpi z tego samego powodu, z którego ja cierpiałam? A ile z nich ma w sobie dość siły, żeby doprowadzić do odpowiedniego zadośćuczynienia? Stałam się ich przedstawicielką, odszukiwałam tych, którzy gotowi byli zdradzić, tych niewiernych i płochych, przedkładających cielesne żądze ponad czystą miłość. Zostałam nauczycielką i udzielałam korepetycji. Od razu rozpoznawałam niewiernych, widziałam jak na mnie patrzyli. Sprawdzałam ich, a kiedy przypuszczenia okazywały się prawdą, kiedy słyszałam jak pęka kolejne dziewczęce serce, podczas gdy ukochany drwi sobie z tego w moich ramionach, doprowadzałam go do stanu, w którym opętany pożądaniem nie mógł już beze mnie żyć. I odchodziłam. Zostawali sami i dokonywali wyboru. Sprawiedliwości stawało się zadość. Nie zasługiwali na nic lepszego.

– To chore... – wyszeptała Zuzanna. – Przecież to pani nakłaniała ich do zdrady...

– I tak by zdradzili – głos staruszki był twardy i zdecydowany. – To nic nie warte zwierzęta, którym tylko jedno w głowie. Za nic mają miłość. Sama coś o tym wiesz, prawda? Nikt nie trafia do Strzyżewa bez powodu...

Przez głowę Zuzanny przelatywały strzępki wspomnień. Liceum, klasa maturalna, Sebastian – przystojny, zdolny, piszący dla niej wiersze. Przez ułamek sekundy poczuła

słodki smak pierwszej miłości. I zaraz po nim ostra gorycz zdrady, rozstania. Odszedł do... do niej! Niezachwiana pewność wypełniła jej serce. To ona, korepetytorka, która miała przygotować go do matury. Nigdy jej tego nie powiedział, chociaż za wszelką cenę chciała dowiedzieć się kim była jej rywalka. Chciała się zemścić. A teraz nadszedł na to czas. Rzeczywiście, nie trafiła przypadkiem na to zadupie. Los chciał, żeby mogła dokonać tego, o czym marzyła prawie dwadzieścia lat. Słodki eliksir zemsty, zadośćuczynienie – słowa i obrazy wirowały jej w głowie w jakimś szaleńczym tańcu. Korepetytorka, zdrada, zemsta...

Staruszka nieporuszona obserwowała emocje malujące się na twarzy kobiety. Spokojnie czekała na rozwój sytuacji. Los musi się dopełnić, wiedźma miała rację.

Zuzanna widziała już tylko czerwone plamy. Poczowała przypływ niesamowitej siły. Wstała, a gwałtownie odsunięte krzesło z hukiem upadło na podłogę. Jednym skokiem dopadła do gospodyni i zacisnęła ręce na jej pulchnej szyi. Zdrada, zadośćuczynienie, przedkładali cielesne żądze nad prawdziwą miłość. Opętani pożądaniem, zemsta... Musi się dopełnić...

– Zuzanna! Dzieciaki! Zbierać się, bus gotowy do drogi! Wracamy do domu!

Mariusz zebrał uczniów, przeliczył, czy żadnego nie brakuje i skierował się w stronę domu. Na progu przywitała go uśmiechnięta Zuzanna.

– Świetnie wyglądasz, wiejskie powietrze chyba ci służy – komplement był zupełnie szczery, nigdy wcześniej nie widział, żeby koleżanka tak promieniała. – Nasze diabełki też wyglądają na zadowolone. Gotowa jesteś?

– Nie pojadę z wami – oświadczyła Zuzanna i widząc zdziwione spojrzenie kolegi, wyjaśniła:

– Nasi chłopcy wystraszyli w nocy staruszkę i przez te emocje źle się poczuła. Chyba serce... Sołtys, pamiętasz, spotkaliśmy go wczoraj w lesie, pojechał po lekarza, bo tu nie da się inaczej, wiesz, nie ma zasięgu. Obiecałam, że zostanę, dopilnuje jej. Nie wypada inaczej.

– A jak potem wrócisz? – zaniepokoił się Mariusz.

– Sołtys odwiezie mnie na najbliższy przystanek. Dam sobie radę, jedźcie.

Stała na schodkach machając uczniom, dopóki nie znikli w gęstwinie gałęzi. Weszła do środka i skierowała się do pokoju. Na stole stał już włączony laptop z uruchomionym modemem. Chłopcy mieli rację, jedynie tutaj był zasięg. Zuzanna otworzyła przeglądarkę

i odszukała odpowiednią stronę.

W dziale ogłoszenia wpisała: „Korepetycje online. Tanio i solidnie.”

– Trzeba korzystać z możliwości jakie daje nowoczesna technologia – powiedziała.

– To ja pójde i ziółek nam naparzę. Posiedzimy, pogadamy, poczekamy...

Wymieniły uśmiechy i staruszka podreptała do kuchni. Po chwili Zuzanna usłyszała odgłosy gospodarskiej krzątania. Nikt nie trafia do Strzyżewa bez powodu – pomyślała.



Noc

Anna Klejzerowicz

Zawsze, gdy zbliża się Halloween, przypomina mi się pewna tajemnicza przygoda, którą przeżyłem swego czasu z kumplami, i z powodu której w moim krótkim jeszcze wówczas życiu nastąpiło dość istotne przewartościowanie. Wydarzyło się to już dawno temu, mniej więcej przed dwudziestu laty, gdy moda na to święto dopiero u nas raczkowała i nie miała jeszcze zbyt wielu zwolenników. Jednak nam, trzynastolatkom, zafascynowanym wszystkim, co pochodziło z owej wyśnionej, mitycznej Ameryki, pomysł z chodzeniem od domu do domu w przebraniu duchów szalenie się spodobał. Nawet nie tyle z powodu tego, co mogliśmy przy tej okazji uzyskać w sensie materialnym – choć pochodziliśmy z biednych rodzin, więc te symboliczne cukierki także się dla nas liczyły – ale jeszcze bardziej ze względu na dobrą zabawę oraz dreszczyk emocji. W końcu byliśmy tylko dziećmi.

Sporządziliśmy więc z prześcieradeł proste przebrania, ze szczerzącej się i podświetlonej za pomocą latarki dyni zrobiliśmy skarbonkę, i ruszyliśmy w obchód po okolicznych wioskach i osiedlach. Jak wspomniałem, ludzie nie znali jeszcze dobrze tego obyczaju, a więc reagowali różnie. Niektórzy nas przeganiali, trafiały się nawet wyzwiska i groźby. Ale inni byli całkiem mili: dawali cukierki, ciastka, czekoladki, a nawet drobniaki na słodczyce, chwalili nasze stroje.

Po kilku godzinach wędrówki po domach czuliśmy się już nieźle zmęczeni. Tymczasem zapadł późny wieczór. Doszliśmy właśnie do maleńkiej wioski pod lasem, której nie znaliśmy. Postanowiliśmy ją jeszcze „zaliczyć”, skoro już tu jesteśmy. Zaraz potem mieliśmy zamiar podzielić się łupem i wracać do swoich domów.

STRZYŻEWO – przeczytaliśmy na przydrożnej tablicy. Napis był słabo czytelny, częściowo zatarty, a sama tablica przerdzewiała i przekrzywiona, skrzypiąca w podmuchach jesiennego wiatru.

– Hej, ktoś zna tę wiochę? – zapytałam.

Wszyscy tylko wzruszyli ramionami.

– Nawet nie miałem pojęcia, że taka tu w ogóle istnieje – zauważył jeden z kolegów.

Osada różniła się od pozostałych. Przede wszystkim była ciemna, cicha, nieoświetlona, a domy wyglądały na opuszczone. Na pierwszy rzut oka wioska sprawiała wrażenie zupełnie wymarłej. Ogarnął nas dziwny lęk, odruchowo zaczęliśmy szeptać. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się w oknach niektórych domostw dostrzegliśmy nikły pomarańczowy odbłask.

Tak jakby w środku paliły się tylko świece.

– Może wyłączyli prąd? – zastanawialiśmy się.

Nikt nie reagował na nasze pukanie, nikt nie otwierał drzwi, choć w mroku dostrzegliśmy przemykające gdzieś sylwetki. Ktoś wyszedł do ogrodu i, stojąc w cieniu drzewa, przyglądał nam się w milczeniu. Zawołaliśmy, ale nie odpowiedział.

SOŁTYS – przeczytaliśmy wreszcie kolejny napis na jednej z furtek.

Tu też tabliczka wyglądała na obłuzowaną i starą, mimo że sama posesja wyglądała okazałej niż poprzednie. Był nawet dzwonek, więc zadzwoniliśmy i po długiej chwili zaskrzypiała otwierana okiennica:

– A wy tu czego? – usłyszeliśmy burkliwy, zachrypnięty głos.

– Cukierek albo psikus...

– Zmiatać stąd, ale migiem!

Okno zatrzęsnęło się z hukiem.

Mimo to czuliśmy się... obserwowani. Tak jakby setki oczu śledziły nas z ukrycia, a tylko my nikogo nie mogliśmy zobaczyć.

– Chodźmy stąd... – zaproponowałem niepewnie.

– A co, strach cię obleciał? – zadrwił jeden z chłopaków. – Została nam tylko jedna chałupa, o tam, na końcu. Zajrzymy do niej i wracamy. Dziwaczne miejsce... Tutaj chyba sami wariaci mieszkają?

Oczywiście żaden z nas ani myślał się przyznać, że go strach obleciał, ruszyliśmy więc dalej.

Ostatni dom był mały, ale w miarę zadbany.

– Cukierek albo psikus! – zawołaliśmy gromko przy bramie, kiedy jakiś pan podszedł wreszcie sprawdzić, kto wydzwania o tej porze.

Pan wyglądał na artystę, może na jakiegoś pisarza albo szalonego naukowca. Był nieogolony, roztargniony, jakby nieobecny, lecz przynajmniej sympatyczny. Dostaliśmy koszyk jabłek i już mieliśmy zbierać się w stronę przystanku autobusowego, gdy w oddali,

pod samym lasem, zauważyliśmy jeszcze jeden dom...

Przysięgłbym, że jeszcze przed chwilą go tam nie było.

Ten był rzęsiście oświetlony, wyglądał na dom kogoś bogatego. Zupełnie nie pasował do tej ponurej wsi.

– Zajdziemy tam? – zapytał jeden z nas, nie pamiętam już który, może Jacek albo Krzysiek. Bo było nas czterech, sami kumple z jednej klasy.

– Eeee... – skrzywiłem się, ponieważ padałem już z nóg, nad lasem wisiała mgła, w dodatku zaczęło siąpić. Zrobiło się naprawdę ciemno, zimno i nieprzyjemnie. – Wracajmy. To za daleko.

– Daleko? Jakie tam daleko? – oburzył się Marek, mój kolega z ławki. – Rzut beretem! Nie marudź, idziemy. Mieliśmy obejść wszystkie domy. Jak wszystkie, to wszystkie!

No to poszliśmy.

Z bliska dom wydawał się chyba jeszcze większy niż nam się wcześniej wydawało. Z wysokich okien sączyło się ciepłe światło, padające na szeroki podjazd, wyścielony kolorowymi liśćmi. Wyglądało to pięknie, tajemniczo, w dodatku mgła zgęstniała i wszystko zdawało nam się jakieś takie... nieprawdziwe.

Niczym widmowa dekoracja teatralna.

Ogrodzenia tutaj żadnego nie było, podeszliśmy więc nieśmiało wprost do dużego, ganku, podtrzymywanego białymi klasycystycznymi kolumnkami.

Zamiast dzwonka była tylko stylizowana kołatka w kształcie lwiej głowy. Zastukaliśmy nieśmiało, spodziewając się, że i tak zaraz nas ktoś przepędzi. Któryś z chłopaków nerwowo zachichotał, ja sam miałem ochotę dać stąd nogę natychmiast. Ten dom prawie na odludziu, pod samym lasem, i w ogóle diabli wiedzą, kto tu może mieszkać, a nuż jakiś... wampir? Albo groźny gangster? Lub inny bandyta? Psem nas poszczuje, zbije, skopie, nigdy przecież nie wiadomo, na kogo się trafi w obcym miejscu...

Rodzice przestrzegali, i zapewne mieli rację.

Jednak, po dłuższej chwili czekania, gdy już mieliśmy zamiar zrezygnować – wszyscy chyba czuliśmy się dziwnie nieswojo – drzwi otworzyły się nagle i stanęła w nich życzliwie uśmiechnięta staruszka w śmiesznym białym czepku na głowie.

Miała chyba ze sto lat!

– Cukierek albo życie! – wypalił Jacek.

– Życie, mówisz, synku... – kobiecina zachichotała. – Sympatyczne z was duszki. No

dobrze, czekałam na was. Mamy przecież święto. Wejdźcie. Dostaniecie mnóstwo cukierków.

– Mamy wejść? – nastroszyłem się.

Marek dał mi kuksańca w bok.

– A co, nie macie na to ochoty? – staruszka wyglądała na rozczarowaną. – To nie chcecie cukierków? Moje nogi już nie takie, nie będę przecież latać w tę i nazad.

– No o to chodzi, ale... późno już i w ogóle. Powinniśmy już wracać do domu. Rodzice będą się martwić.

– Dobra, wchodzimy! – zdecydował w końcu za nas wszystkich Krzysiek. – Ale tylko na chwilę.

Starsza pani wprowadziła nas do ogromnego, jasno oświetlonego pokoju, w którym płonął kominek, a na środku stał wielki stół, zastawiony najróżniejszymi smakołykami. Czego tam nie było! Stosy kolorowych cukierków, czekoladek, owoców – a znalazły się i banany, i pomarańcze, i orzechy, i mnóstwo innych egzotycznych owoców – do tego całe piramidy smakowitych ciastek z kremem, bitą śmietaną, torty, oranżady... Cuda! Aż nam się oczy do tego wszystkiego śmiały. Dopiero teraz przypomniał nam się, że nie jedliśmy kolacji, a te jabłka i cukierki, które udało nam się zebrać, to żaden rarytas w porównaniu z tym, co tu ujrzeliśmy przed sobą.

– Siadajcie, rozgośćcie się, częstujcie, to wszystko jest dla was – oznajmiła staruszka, zapalając świece w srebrnych kandelabrach, ustawionych na stole pośród tej masy przysmaków. – Bez skrupowania. Ja muszę na chwilę wyjść, ale wy tu sobie jedźcie i pijcie, moje duszki...

Jak dzikusy rzuciliśmy się na słodczyce, podczas gdy kobieta wyszła. Wszystko było niesamowicie pyszne, obżeraliśmy się jak prosiaki. Naprawdę świetnie się bawiliśmy, przerzucając dowcipami, również na temat naszej gospodyni. Siedzieliśmy tam nie wiem jak długo; zupełnie straciliśmy rachubę czasu. Z pewnością upłynęły godziny. Zapomnieliśmy i o rodzicach, i własnych domach. Było nam tak dobrze...

Lecz w pewnym momencie wszystkie te smakołyki straciły jakby smak. Zaczęły też dziwnie pachnieć. Nawet wyglądały teraz jakoś... nie bardzo.

– Ej, słuchajcie, te cukierki dziwnie jada! – zauważył na głos Jacek.

– Capią trupem – dodał Krzysiek.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Puknijcie się – usiłowałem załagodzić sytuację. – Po prostu przeżarliśmy się! A poza tym tu jest bardzo gorąco od tego ognia, może się zepsuły?...

– A gdzie ta baba w ogóle jest? Miała chyba wrócić za chwilę, co nie? – zaniepokoił się Marek.

– Może zasnęła? Nie boi się zostawiać nas tu samych? Przecież moglibyśmy ją okraść i uciec!...

– Nie moglibyśmy, bo nie jesteśmy złodziejami – pouczyłem go. – Ale fakt, to trochę dziwaczne, że tak sobie wyszła i zostawiła obcych samych w domu... Musimy w końcu wracać, ale głupio tak wyjść bez słowa. Czekaście, wyjrzę i zobaczę, czy jej tam przypadkiem gdzieś nie ma.

Otworzyłem drzwi i wychyliłem ostrożnie głowę. Wszędzie było ciemno, panowała też głucha cisza.

– Halo, proszę pani! – zawołałem.

Nikt mi nie odpowiedział. Zawróciłem, zabrałem jedną świecę ze stołu i zapytałem kolegów:

– Ktoś idzie ze mną?

Jednak wszyscy pokręcili odmownie głową. Miałem wrażenie, jakby nagle stracili humor. Zresztą byliśmy już naprawdę porządnie zmęczeni.

– Proszę pani! Jest pani tam?! – zawołałem ponownie i znów bez odzewu. Wędrowałem pustymi pokojami i korytarzami, wszędzie było ciemno i pusto. Dom był wymarły, całkiem opustoszały. Ani śladu gospodyni, zresztą w ogóle nikogo.

Dopiero na samym końcu wijącego się, nienaturalnie długiego przedpokoju dojrzałem nareszcie słabą poświatę oraz usłyszałem gwar przyciszonych głosów, dobiegających poprzez uchylone lekko drzwi. Podeszedłem tam na palcach, ponieważ znów obleciał mnie strach.

– To co z nimi zrobimy? – ktoś zapytał.

– Ty tu jesteś sołtysem, wymyśl coś.

– A nauczycielka?...

– Zajęta gdzie indziej.

– Od czego mamy wiedźmę? Sama coś zrób. Przecież nie możemy tak tego zostawić...

– Ja? Jak brudna robota, to zawsze dla mnie? Mowy nie ma, to tylko dzieci! Kto tu jest pisarzem, może ja? Ty to piszesz...

– Ale w mojej historii nie było żadnych przeklętych dzieci! Przeklęta wioska owszem, ale bez dzieci! Nie mam pojęcia, skąd one się tutaj wzięły. Sam już nic z tego nie rozumiem!

– Nie było? No to już są...

Poczułem ciarki na plecach i – ogarnięty coraz bardziej panicznym lękiem – zawróciłem szybko, na palcach, do „naszego” pokoju. Na szczęście drzwi zostawiłem uchylone, trafiłem tam więc po poświacie ognia z kominka. Zostałem kolegów śpiących z głowami na stole. W pierwszej chwili zdawało mi się, że oni wszyscy nie żyją, lecz zanim strach na dobre podszedł mi go gardła, któryś zachrapał.

– Hej, chłopaki! – krzyknąłem do nich. – Zbudźcie się! Kurczę, musimy stąd spadać! Tu się coś dziwnego dzieje! Ludzie, wygląda na to, że znaleźliśmy się w samym środku jakiejś... no... jakiejś cholernej książki...

Jacek wymruczał coś tylko i poprawił się na krześle, reszta nawet nie zareagowała.

Nie wiedziałem, co robić: sam przecież sobie nie pójdę i nie zostawię ich tutaj... W dodatku również poczułem ogarniającą mnie senność, nad którą nie mogłem już zapanować. Pomyślałem sobie, że tamta rozmowa pewnie tylko mi się przyśniła. Opadłem na fotel, a gdy oczy same mi się już zamykały, przez głowę przemknęła mi ostatnia świadoma myśl:

– Co, do jasnej ciasnej, było w tych słodyczach?!...

Ocknęliśmy się pod gołym niebem, zasnutym sinymi chmurami.

Świtało. Siąpił na nas deszcz. Leżeliśmy na wilgotnej ziemi, zasłanej zwiędłymi liśćmi. Nasze ubrania przemokły, trzęśliśmy się z zimna i bolały nas wszystkie gnaty.

Podnieśliśmy się zdezorientowani, usiłując przypomnieć sobie, gdzie jesteśmy. A byliśmy ciągle w tym samym miejscu. Czyli na skraju ugoru pod lasem. Rozejrzałem się wokół zdumiony. Coś tu się jednak nie zgadzało. W oddali nie zobaczyłem zabudowań wioski, tylko jak okiem sięgnąć puste, dzikie łąki.

A tutaj nie stał żaden dom...

W ogóle NIC w zasięgu wzroku nie stało...

Zniknął nawet ów koszyk z jabłkami, który dostaliśmy od tamtego pana, co wyglądał na pisarza – albo innego artystę.

– Kurna, co jest grane? – wysyczał Jacek. – Wywaliła nas, czy co? Nafaszerowała czymś i wyniosła na plecach?...

Pokręciłem głową:

– Tutaj nie ma żadnego domu. Popatrz, nic tu nie ma.

– Więc co? Przyśniło nam się?

– Cholera wie – wzruszyłem ramionami, martwiąc się już tylko o to, co powiemy naszym staruszkom, jak wytłumaczymy się z tego, że nie wróciliśmy na noc do domu. – Lepiej wracajmy...

Po drodze wypatrywałem tablicy z napisem: STRZYŻEWO.

Nie było jej nigdzie.

Później okazało się, że wioski o takiej nazwie nie ma na żadnej mapie. Nikt też nigdy o niej nie słyszał, przynajmniej w naszej okolicy. Próbowaliśmy wielokrotnie odnaleźć potem to miejsce, jednak... za każdym razem gubiliśmy drogę.

Do dziś nie wiem, co właściwie przydarzyło nam się tamtej nocy. Z pewnością nie był sen. Musielibyśmy wszyscy śnić dokładnie to samo, a takie cuda się przecież nie zdarzają...

A może ktoś z Was natknął się gdzieś, w jakiejś księgarni – albo może w bibliotece – na książkę o wsi zwanej Strzyżewo?

Wesołego Halloween!

A co, jeśli zło wygląda jak ja?

Sylvia Skorstad

Na wakacje do Strzyżewa pojechałam za karę. Przynajmniej tak to widzieli rozczarowani mną rodzice. Wcześniej planowaliśmy podróż kamperem po Francji. Chcieliśmy na żywo oglądać zakończenia jednego z etapów Tour de France – ten wyjazd miał być nagrodą za celująco zdaną maturę. O tym, że tak się stanie, wszyscy byli przekonani dużo wcześniej, inaczej ojciec już w lutym nie rezerwowałby luksusowego domku na czterech kółkach. A jednak pod koniec czerwca rodzice pojechali do Francji sami, a ja wylądowałam u dziadka w Strzyżewie.

Podjezwacie, że oblałam egzamin, prawda? Nie, matura poszła mi dobrze, miałam takie świadectwo, że nie musiałam się obawiać, czy zostanę przyjęta na wymarzone nauki polityczne. Zresztą moi zawsze kochani rodzice nie zniżyliby się do tego, by mi czegoś odmówić za obłany egzamin. Lubili podkreślać, że nauka to moja sprawa, choć pewnie zmieniliby zdanie, gdybym była głąbem. A do Strzyżewa wysłali mnie za tę idiotyczną historię z marihuaną. Przed karą za posiadanie narkotyków uratowała mnie dobra opinia i brak wcześniejszych konfliktów z prawem. Adwokat wynajęty przez rodziców złożył wniosek o warunkowe umorzenie postępowania, a sąd się do niego przychylił. Uznano mnie za winną, lecz nie wymierzono kary, dzięki temu mam czystą kartotekę. Za półtora roku nawet informacje o postępowaniu zostaną wymazane z akt. Żałowałam, że nie można było zrobić tego samego z pamięcią moich rodziców, którzy zachowują się tak, jakbym co najmniej miała za chwilę urodzić nieślubne dziecko.

Czy wybuchniecie ironicznym śmiechem, gdy powiem, że marihuana wcale nie była moja? Mówię prawdę, nie mam powodu oszukiwać. Bardzo rzadko kłamię, ale w tej sprawie policjantom nie powiedziałam prawdy.

Z narkotykami to było tak: razem ze znajomymi pojechałam na weekend po maturze nad jezioro. W sobotni wieczór zachciało się nam wyskoczyć rowerami do sklepu. Kiedy wyruszaliśmy w drogę powrotną na camping, byliśmy wszyscy w super humorach. Kolegom ucieczka przed próbującym nas zatrzymać policjantami wydała się fenomenalnym

pomysłem. Patrol był pieszy, mieliśmy zatem spore szanse. Pech chciał, że za zakrętem droga prowadzi ostro pod górkę. Po kilkunastu metrach brawurowa ucieczka została gwałtownie zakończona. Dopadł nas policjant wściekły jak locha, której zginęły małe. Przez naszą brawurę ucierpiał jego prestiż, więc postanowił go odzyskać, traktując nas z pełną surowością. Wszyscy zostaliśmy przeszukani. Gdy ciężko sapiący i czerwony na twarzy od długiego biegu, stróż prawa znalazł w kieszeni mojej koszuli torebkę z marihuaną oraz firkę, wyglądał jak locha, która odszukała małe i to na polanie pełnej dorodnych żółędzi. Noc spędziłam w areszcie, rano odebrali mnie rodzice w towarzystwie adwokata.

Nikomui nie powiedziałam, że to nie była moja koszula. Należała do jednego z chłopaków. Wyglądał jak Edward Norton. Gdyby miał aparycję Nicka Nolte, nic złego by się nie zdarzyło. Byłabym dzisiaj kimś innym, może szczęśliwą studentką. Ale wyglądał jak Norton i to wystarczyło. Koszulę pożyczyłam od niego w drodze do sklepu, bo wiatr mroził mi rozpalone słońcem ramiona.

Pewnie intryguje was dlaczego wzięłam na siebie jego winę? Chciałam, by mnie zobaczył. Mnie, tą prawdziwą. Nie kujonkę, nie dziwaczkę, nie gospodynię klasy, nie „tę dziewczynę przy kości”. Mnie. Ach, żeby tak któryś z chłopaków umiał wejrzeć poza osiem dodatkowych kilogramów! Uważacie, że osiem to nie problem? Przyznam, że czasem, gdy oglądałam filmy kryminalne, zazdroszczę ofiarom porwań. I tak na końcu ktoś je ratuje, a przynajmniej sobie trochę schudną.

Wiecie, co „Norton” powiedział, gdy kilkanaście dni po zatrzymaniu oddałam mu koszulę? „Dzięki”. „Dzięki”! Jakby chodziło o pożyczoną książkę!

Jadąc autobusem do Strzyżewa czułam się doświadczona przez los i mądra ponad wiek. W rzeczywistości byłam tylko przemądrzałą gówniarą. Nie uprzedzajmy jednak faktów.

Cieszyłam się na spotkanie z dziadkiem i na Strzyżewo. Dziadek był w porządku. Traktował mnie jak równą sobie, nawet, gdy byłam kilkulatką. Gdy zostawialiśmy we dwójkę, nie kontrolował mnie, ani nie pouczał, najwyżej radził. Mówił na przykład:

– Gdybym był tobą, to nie skakałbym z dachu komórki. To niebezpieczne.

Oczywiście takie stawianie sprawy czyniło skakanie z dachu komórki bardziej ekscytującym. Wiedziałam o tym ja, wiedział i dziadek, co czyniło nas strażnikami wspólnego sekretu.

Kiedy byłam mała, nie zdawałam sobie sprawy, że Strzyżewo to wioska freaków.

Wydawało mi się, że w każda dziura zabita dechami ma swój zawiązany konopnym sznurkiem worek pełen dziwnych opowieści. Podobno syn sołtysa wcale nie był jego; podobno stary Stankiewicz od 40 lat nie rozmawia z bratem, bo tamten, wychodząc z założenia, że siódma dziewczynka przyda się jak świni organy, chciał własną córkę sprzedać gospodarzom z innej wsi; podobno kiedyś w lesie zakłuto panicza widłami, bo był wrzodem na dupie – każdy badacz wiejskiego folkloru zna ze sto takich opowieści. W Strzyżewie z jakiegoś nieznanego mi powodu każda z nich miała cięższy kaliber. Podobno ktoś widział syna sołtysa, jak szedł główną drogą kilka dni po swojej śmierci. Podobno stary Stankiewicz od 40 lat nie wypowiedział do nikogo ani słowa przez to, co stało się w noc jego wyprawy z bratem do lasu. Jeden wrócił z niej siwy, a drugi niemy. Podobno w miejscu, gdzie kiedyś zakłuto widłami panicza, znaleziono martwą krowę całkowicie pozbawioną krwi.

Nie bałam się Strzyżewa i jego mieszkańców, dla mnie to była po prostu wioska, w której mieszkał dziadek. Ten zabierał mnie nie raz do sklepu, jakby się chciał mną pochwalić. To wystarczyło, by wszyscy wioskowi dziwacy traktowali mnie jak swoją. Nie musiałam się obawiać ani kobiety zwanej przez wszystkich Czarownicą, ani starej nauczycielki z zaciśniętymi ustami, ani mamroczącego coś wiecznie do siebie garbusa. I dlatego, choć jako nastolatka zdawałam już sobie sprawę, że w Strzyżewie nie wszystko jest jak gdzie indziej, nie miałam nic przeciwko temu, by tam spędzić wakacje. Tak, cieszyłam się!. Jakże byłam wtedy głupia!

Po pierwszym wspólnym śniadaniu dziadek oznajmił:

– Jeśli to ci nie sprawi kłopotu, to chciałbym, żebyś raz na dwa dni robiła zakupy. Możliwe, że w drodze do sklepu zaczepi cię człowiek w pomarańczowym kombinezonie. Cokolwiek by mówił, nie odpowiadaj. Mogłabyś też wziąć na siebie karmienie królików i pranie. Ja będę robił obiady. Mamy nowego listonosza, uważaj, żeby nie zawrócił ci w głowie, bo to pies na młode dziewczęta, tak słyszałem. Twoja dawna koleżanka Kasia wyjechała do miasta, więc obawiam się, że nie będziesz miała interesującego towarzystwa...

– Dziadku! – zachnęłam się. – Ty mi wystarczysz.

– Wobec tego twoi rodzice słusznie się o ciebie martwią – zaśmiał się. – Jeśli możesz, nie zadawaj się za dużo z pisarzem z gospody. I..., Daria, ale teraz mnie posłuchaj, dziecko,

naprawdę mnie posłuchaj, dobrze? – zapytał mnie z taką mocą, że aż poczułam się nieswojo.

– Jasne, cały czas słucham – zapewniłam.

– Znasz ten dom przy bzowej górze? Ten, w którym kiedyś mieszkali Majewscy? – dopytywał.

– Ten, do którego latem przyjeżdżała kobieta z psem? – upewniłam się.

– Ten sam. Nie chodź tam, Daria, pod żadnym pozorem – powiedział dziadek biorąc mnie za rękę i patrząc mi w oczy. – W domu zamieszkała znajoma tej z psem, Wenka. Ona nie może widywać żadnych nastolatków. To poważna sprawa, nie jakieś żarty. Obiecuj mi, że do niej nie pójdziesz, nawet nie będziesz się kręcić w pobliżu!

– OK, obiecuję – powiedziałam trochę urażonym tonem, bo ścisnął mi rękę naprawdę mocno. – A co jest nie tak z tą Weronką?

– Wenką – poprawił mnie dziadek. – Wszystko jest z nią nie tak.

– Jak to? – zdziwiłam się.

Dziadek przez chwilę nie odpowiadał, a potem odezwał głosem tak smutnym, że można by nim zamrażać kamienie.

– Ona żyje już tylko za karę. Trzymaj się od niej z daleka.

Wytrzymałam dwa dni, zanim pierwszy raz poszłam zobaczyć dom obok bzowej górki. Wyglądał jak zawsze, tylko ogród był bardziej zachwaszczony niż zwykle. Schowałam się w krzaku bzu i jedząc gruszkę obserwowałam dwa widoczne z tej pozycji okna. Byłam ciekawa, jak może wyglądać kobieta, której nie zostało w życiu nic oprócz pokuty. Czy jest stara i pomarszczona? Czy cierpienie zmienia coś w twarzy człowieka?

Nic nie poruszyło się za firankami. Wyplułam ogonek gruszki i poszłam nad rzekę.

– Czy ona czasem wychodzi? – zapytałam dziadka, kiedy wieczorem oglądaliśmy film.

– Kto? – zapytał wpatrzony w telewizor.

– Ta Wenka.

Dziadek zachłysnął się kompotem i zakaszał. Gdy atak kaszlu minął, spojrzał na mnie surowo.

– A czemu się dopytujesz?

– Bo chcę wiedzieć, od kogo mam się trzymać z daleka – wyjaśniłam niewinnie. – Wiesz, w razie gdybym ją spotkała w drodze do sklepu, czy coś.

– Nie spotkasz – zapewnił. – Ona nie chodzi do sklepu, zakupy robi jej... kto inny.

– A do kościoła? Albo nad rzekę? Do biblioteki? Też nie? – nie dawałam za wygraną.

– Nie chodzi. Słuchaj, widzę, że to cię intryguje.... Wenka to głęboko nieszczęśliwa kobieta. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić. Jeszcze się nie zdarzyło, by nieszczęśliwi ludzie potrafili uszczęśliwić innych i już samo to mogłoby być dobrym powodem, by jej unikać.

– Ale powodów jest więcej, tak? – domyśliłam się.

– Tak. Ona nie powinna mieć kontaktu z nikim, żadnych gości, żadnych wiadomości. Nawet we wsi mało kto zna więcej, niż jej imię. Ludzie myślą, że odpoczywa tu po długiej chorobie, no wiesz, u czubków. Nie jest Polką, nie sędzę, by po naszymu cokolwiek umiała. Po tym wszystkim... eh... uciekła najdalej, jak mogła. Nie wolno do niej dopuszczać żadnych dzieci, żadnej młodzieży. I broń Boże dziennikarzy! Dzieciaki we wsi o tym wiedzą i nie chodzą w tamtą stronę. Zauważ, że obok domu Wenki nawet łobuziaki się nie bawią, a jakby który poszedł, to by zaraz od ojca tak dostał w skórę, że by przez tydzień na dupie nie usiadł. Czy tyle informacji cię zadowala?

– Nie – odparłam, ale zanim zdążyłam rozwinąć wątek, dziadek uciął rozmowę krótkim:

– Niestety tyle musi ci wystarczyć.

Z tego, co powiedział dziadek, wywnioskowałam, że Wenka musiała stracić dziecko albo dzieci. Pewnie nastoletnie. Może ktoś je zabił i teraz ona szaleje z rozpaczą za każdym razem, gdy widzi cudze dziecko? Im dłużej o niej myślałam, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że dziadek i inni nie mają racji, trzymając ją w odosobnieniu. Jeszcze nikomu nie zrobiło się lepiej od tego, że unikał konfrontacji ze wspomnieniami! Choćby cała wioska udawała, że wszyscy wychodzimy z łona matek w wieku lat osiemnastu, to nie uczyni cierpienia nieszczęśnicy mniejszym, a tylko go pogłębi. – Tworzenie iluzji wokół osoby chorej wzmacnia jej chorobę – miałam ochotę powiedzieć wtedy dziadkowi, ale z góry wiedziałam, że taka dyskusja nie ma sensu.

Mój dziadek jest dobrym, łagodnym człowiekiem, ale ze wstydem muszę wyznać, że gdy chce coś powiedzieć o Republice Czeskiej, to używa terminu „Czechosłowacja”. Za każdym razem, gdy odwozi mnie traktorem na przystanek, modlę się, kiedy wyjeżdżamy na pełnym gazie na drogę z pierwszeństwem. Dziadek nauczył się jazdy sam i nigdy nie poznał znaków, w polu nie były potrzebne... Krótko mówiąc, choć jest wiekowy, to nie wszystko wie najlepiej, a z psychologii to już w ogóle tyle, ile się nauczył oglądając kiedyś „Randkę

w ciemno”. Tak właśnie o nim myślałam, gdy po raz pierwszy szłam odwiedzić Wenkę.

Muszę przyznać, że gdy zapukałam do drzwi, to pęcherz ścisnął mi się tak, jakbym natychmiast musiała do toalety. Mimo to dzielnie zapukałam drugi raz. Za drzwiami coś się cicho poruszyło.

– O rany, przecież mnie nie zje! – powiedziałam sobie w duchu i zastukałam energicznie po raz trzeci.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich kobieta zwana Wenką.

Ludzie mówią, że oczy zawsze zdradzają, co się dzieje w duszy, ale ja się z nimi nie zgadzam. Oczami można grać tak samo, jak uśmiechem. Mimo wszystko spodziewałam się zobaczyć w jej oczach coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej. Nie zobaczyłam. Były bardzo przekrwione, to tyle. Jakby za dużo spała, za dużo piła, za wiele płakała, albo wszystko na raz.

Przede mną stała staruszka, choć nie potrafiłam określić jej wieku choćby w przybliżeniu. Niewysoka i zaniedbana – sukienka, którą kiedyś mogła być w kwiatki, a teraz była w plamy, na nogach jedna skarpetka i o kilka numerów za duże drewniaki. Włosy w strasznym stanie. Wenka musiała cierpieć na łysienie plackowate, bo w niektórych miejscach na głowie nie miała włosów w ogóle, a w innych zwisały jej siwe strąki. Najgorsze, że dręczyła ją jakaś okropna choroba skóry. Na żółtawym czole kobieta miała rany, niektóre zaczerwienione i podropiałe, a także świeże i stare blizny. Zrobiło mi się jej bardzo żal. Przyciągnęła mnie do niej ciekawość, a zatrzymała litość.

Na mój widok nie okazała ani wielkiego zdziwienia, ani strachu, jak się spodziewałam. W pierwszym momencie cofnęła się o krok i jęknęła słowo, które dla mnie zabrzmiało jak „Herman”. Potem już tylko patrzyła na mnie bez ruchu.

– Dzień dobry, mam na imię Daria, jestem wnuczką pana Żabkowskiego – przedstawiłam się uprzejmie, ale Wenka nawet nie mrugnęła na to okiem. Zaprezentowałam się więc po francusku, a potem po angielsku. Przy angielskiej prezentacji kobieta wydała z siebie nieartykułowany dźwięk, więc uznałam, że mnie zrozumiała.

– I know that you live here alone, so I am here to ask do you need something – wyrecytowałam, zdając sobie sprawę, że koniecznie muszę odkurzyć ten koślawy angielski.

Wenka wpatrywała się we mnie wzrokiem bez wyrazu. Wyjaśniłam, że mogę jej zrobić zakupy, pomóc w gotowaniu albo posprzątać, ale i to nie wywołało żadnej reakcji. Stałyśmy tak i wpatrywałyśmy w siebie i kiedy już byłam gotowa odejść, ona przesunęła się

na bok i wpuściła mnie do środka.

Przychodziłam do niej codziennie. Czasem na pół godziny, czasem na dwie. Dziadkowi mówiłam tylko, że idę na spacer. Wence opowiadałam o wszystkim. O koszuli, rodzicach, walce z nadwagą, moich planach, ulubionych książkach, pasjach i marzeniach. Wierzyłam, że najlepszym sposobem na namówienie człowieka do zwierzeń jest otwarcie się na niego. Wenka tak samo reagowała na moje wynurzenia o chłopakach, jak na informacje o najnowszej powieści Christophera Grange, czyli nijak. W ogóle nie dawała po sobie poznać, że ją cokolwiek moje wizyty obchodzą. Udawała, że traktuje je jak dopust boży. Przynajmniej miałam nadzieję, że udaje...

Z czasem zorientowałam się, że to, co początkowo uznałam za resztki czerwonego lakieru przy krawędziach jej paznokci, to w istocie krew. Kobieta musiała chorobliwie obgryzać paznokcie, na opuszkach widać jej było odsłonięte, czerwone mięso.

Przy każdej wizycie starałam się choć trochę sprzątnąć w domu. Zmywałam naczynia, umyłam okno w pokoju, zamiotłam podłogę, przyniosłam tataraku do dzbana. Czułam się trochę dumna, choć Wenka oczywiście zbywała moje starania milczeniem. Podczas porządków rozglądałam się uważnie po domu w nadziei, że natrafię na cokolwiek, co pozwoli mi poznać sekret przeszłości lokatorki. Nie znalazłam niczego.

Raz przyniosłam Wence małego kotka wziętego od naszej sąsiadki. Pomyślałam, że zwierzak umili jej czas, gdy mnie nie ma. Nigdy już go później nie widziałam. Pewnie uciekł, biedak.

Z czasem zaczęłam mówić Wence o tym, jak to musi być straszne stracić dziecko. Starałam się być ekstremalnie delikatna. Wiedziałam, że to trudny temat, ale uznałam, iż tchórzostwem byłoby go nie poruszyć. Mówiłam i mówiłam. Że wielu rodziców straciło dzieci, że niektórzy przeżyli to bardzo ciężko i nigdy nie pogodzili ze stratą, jednak z czasem ich ból zmalał na tyle, by mogli w miarę normalnie egzystować. Że tłumienie żałoby tylko pogarsza sprawę, najlepiej jest porozmawiać z kimś o utraconym dziecku. I że to okej gniewać się na Boga albo los, bo faktycznie utrata dziecka jest nie fair. Można się wściekać, płakać i wrzeszczeć, to zupełnie normalne.

Te wszystkie rady wzięłam z Internetu. Wieczorami czytałam sporo o etapach żałoby, zaburzeniach psychicznych i psychoterapii. Lokatorka domu przy bzowej górze powoli stawała się moją obsesją. Tak bardzo chciałam ją uleczyć, tak bardzo czekałam na naszą

pierwszą, prawdziwą interakcję! Jednak on zwykle patrzyła w okno lub ścianę, gdy poruszałam „dziecięce” tematy.

Kiedy mój strumień pocieszających słów wysechł, zaczęłam przynosić ze sobą wyczytane przez dziadka gazety codzienne. Czasem czytałam Wence same nagłówki, czasem całe artykuły. Tym samym odrdzewiałam swój angielski, bo oczywiście wszystko starałam się tłumaczyć. Nieraz zerkałam na Wenkę, sprawdzając, czy wiadomości budzą w niej reakcję, ale niczego nie zauważyłam. Wydaje mi się, że przyzwyczaiła się do moich wizyt. Zastanawiałam się wtedy, czy na nie czekała. Do dziś nie wiem.

Dokładnie 15 lipca, wiem, bo to była gazeta z 14-tego, Wenka po raz pokazała, że dostrzega moją obecność. Siedziałyśmy przy stole, czytałam jej nagłówki na czwartej stronie. Nagle kobieta wzięła zamach głową i z całej siły walnęła nią w stół. Kiedy podniosła twarz ku mnie, ze świeżej rany na czole wolno wypływała jej krew. Zdawała się tego nie zauważać.

– Tilimej – powiedziała, a potem znowu z całej siły gruchnęła głową w blat.

Kiedy zamachnęła się do trzeciego uderzenia, byłam już w stanie poruszać kończynami, więc wstałam i podeszłam do niej, chcąc ją powstrzymać. Dziwnie mechanicznym ruchem przekręciła głowę w moją stronę i rzekła głucho:

– Go. Away.

Szukałam potem w internecie słowa, które Wenka wypowiedziała po pierwszym uderzeniu i choć wpisywałam różne warianty, niczego nie znalazłam. Powtórna lektura nagłówków w gazecie też niczego mi nie dała. Tego dnia czytałam jej o powodzi w Rosji, rosnących cenach owoców, sytuacji w Syrii, imporcie łososia... Tajemnica nadal pozostawała nietknięta, a ja zaczęłam zdawać sobie sprawę, że igram z ogniem, być może piekielnym.

Postanowiłam że nie będę tchórzem i kolejnego dnia poszłam do Wenki jak zwykle. Wpuściła mnie do domu bez słowa, jakby nic się wczoraj nie stało. Jej czoło było fioletowo-czerwoną panoramą cierpienia. Usiadłyśmy przy stole i przez długie minuty nic się nie działo. Mucha bzyczała przy szybie.

– Tell me, what is bothering you, please – poprosiłam w końcu. – If some bad fucker have killed your baby, I want to cry with you. Let me!

Wenka spojrzała na mnie. Widziała mnie! Wreszcie miałyśmy prawdziwy kontakt!

– Too many Batman movies – wychrypiała zakurzonym głosem.

Mało z krzesła nie spadłam.

– What you just said? – zapytałam cicho, bojąc się, że Wenka znowu zamilknie na wieki.

– You have seen too many Batman movies, girl – wyjaśniła kobieta patrząc na mnie jasno. – Do you believe in devil with horns? Do you believe evil wears masks? Oh, you are so wrong, baby! Tell me, and what if devil looks like you? Or me?

Patrzyła na mnie przenikliwie, a potem oparła głowę na dłoniach zaciśniętych w pięści. Złapała się za włosy i powolnym ruchem wyrwała po pęczku z każdej strony. Zrozumiałam, że nigdy nie cierpiała na łysienie plackowate. Uciekłam.

Przez kilka kolejnych dni nie chodziłam do domu przy bżowej górcie. Zamiast tego włóczyłam się po lesie i rozmyślałam. Zrozumiałam, że popełniłam okrutny błąd. Prawda wgryzła mi się w duszę jak robak w jabłko. Wence nie zabito dzieci, to ona je zabiła! A ja jej gadałam o tym, jak strasznie jest stracić dziecko! Kretynka, no bez dwóch zdań! Dziadek miał rację ostrzegając mnie przed tą znajomością. Tego dnia, kiedy wróciłam z lasu, znowu poruszył temat Wenki.

– Jutro po śniadaniu zostaniesz w domu sama – oznajmił. – Nie będzie mnie aż do nocy.

– OK – zgodziłam się ochoczo. – A gdzie idziesz?

– Do Wenki – odparł niechętnie.

Cała krew odpłynęła mi w okolice żołądka. Coś się stało, na pewno! Może tym razem Wenka uderzyła się w głowę tak mocno, że trzeba ją zawieźć do lekarza?

– Cze..czemu?

– Bo jutro jest dwudziesty drugi lipca – stwierdził takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Eee, no i?

– ...no i ona nie może być tego dnia sama. Pójdę, spróbuje ją namówić, by pograła ze mną w karty. Pomilczymy razem, może zamienimy dwa słowa.

Strach rozlał mi się aż do pięt. Wenka mu powie o mnie, da jakoś znać, że tam byłam! Wystarczy, że powie moje imię, by wszystko się wydało. Cholera, cholera! Postanowiłam być dorosła.

– Dziadku, muszę ci coś powiedzieć – rozpoczęłam. – Nie posłuchałam cię. Poszłam do

niej.

Tym razem to dziadek zbladł, ale ciągnęłam swoje: – Byłam tam kilka razy. Ale nie, nie martw się, naprawdę! Ona nic mi nie zrobiła!

Dziadek patrzył na mnie tak, jakby mnie zobaczył po raz pierwszy. Tylko raz widziałam go tak zezłoszczonego. Wtedy, jak złamałam rękę, skacząc z dachu komórki.

– Durna dziewczucho, coś ty narobiła! – krzyknął.

Łzy stanęły mi w oczach. Nigdy wcześniej dziadek na mnie nie krzyczał.

– Nie ro-zu-miem – wyjąkałam.

– Zabroniłem ci do niej chodzić, bo to o nią się martwiłem, nie o ciebie! – powiedział dziadek. On też miał szkliste oczy.

Ani tego, ani następnego dnia nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa.

Jakoś pod koniec lipca listonosz przyniósł mi kartkę pocztową od rodziców. Prowansja na obrazku jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak piękna i kusząca. Tak odległa.

Rozmawiając z listonoszem wpadłam niespodziewanie na pewien pomysł.

– A czy ta kobieta mieszkająca przy bzowej górze dostaje jakieś listy? – zapytałam niby od niechcienia.

– Dziwne, że o to pytasz – odparł listonosz. – Właśnie wiozę do niej list, pierwszy, odkąd się tu zjawiała.

– Czy mogę go zobaczyć? – poprosiłam. – Tylko kopertę, nie, że w środku. Proooooszę.

Listonosz zastanawiał się przez chwilę.

– Pod warunkiem, że dostanę całusa!

A fuj! Urodą nie grzeszył, a do tego był spocony. Jednak czy poznanie tajemnicy nie było warte takiego poświęcenia?

Chciałam go pocałować w policzek, ale to on pierwszy pocałował mnie obleśnie w usta. Z największym trudem powstrzymałam się przed otarciem warg rękawem bluzki. Listonosz, w jego pojęciu pewnie figlarnym, w moim dzieciennym, gestem pomachał mi kopertą przed nosem. Wymusiłam uśmiech i chwyciłam za list.

Nadawcą był Tingrett Oslo, ulica C.J. Hambros Plass 4, 0164 Oslo, Norge. Adresatem Wenche Behring. Behring, Behring... Skojarzenie tego nazwiska zabrało mi kilka chwil. Nawet kiedy wreszcie umieściłam je we właściwym kontekście, nie potrafiło do mnie dotrzeć. Jakby w całym systemie nie istniała właściwa szufladka, by je umieścić. Behring.

Jak w „Anders Behring Breivik”.

Kwestia smaku

Daniel Koziarski

Ekipa telewizyjna ze stolicy w Strzyżewie! Tego jeszcze nie było – nie licząc niechlubnego epizodu z TCN, która kręciła tutaj jeden z odcinków „Archiwów X” poświęcony historii strzyżewskiej czarownicy. Ale się wówczas panowie z Warszawy objedli ze smakiem i zarazem niezmiernie zdziwili, że właściwie nikt nie ma nic do powiedzenia na ten niebezpieczny temat. I jeszcze zdrowo się nairytowali, próbując przerwać znowę milczenia wokół wypadków, którymi niegdyś żyła podobno cała wieś.

Ale teraz, to jednak coś zupełnie innego. Nikt nie zamierzał już natrętnie grzebać w historii Strzyżewa ani niepokoić jego mieszkańców wścibskimi pytaniami. To stary kawaler Karolak, znany w całej wsi kucharz, bez którego wypieków nie wyobrażano sobie żadnej większej uroczystości – od chrztu przez komunię po pogrzeb, z głupia frant zgłosił się do udziału w programie „W poszukiwaniu dobrych smaków”. I zupełnie niespodziewanie, jego zgłoszenie zostało pozytywnie rozpatrzone.

– Zwariowałeś na stare lata! Po co ci to, Tadek? – Pukali się w czoło znajomi, ale on, zbywając ich, tylko wzruszał ramionami. Chciał zaimponować całej tej warszawce, pokazać, że smaki prowincji mogą spokojnie konkurować z nieskromnymi stołecznymi celebrytami, którzy mając pod dostatkiem produktów z Polski i świata, często tracą poczucie proporcji.

Ideą programu „W poszukiwaniu dobrych smaków” była wyprawa czworga złowrogich jurorów, znanych kulinarnych krytyków, do różnych polskich miast, miścin i wsi, w poszukiwaniu domorosłych kucharskich talentów. Przyjeżdżali na zaproszenie uczestnika do jego domu, w którym ten podejmował ich dwudaniowym obiadem i deserem a potem, w oparciu o swoje subiektywne przeświadczenia, wystawiali mu noty (najczęściej surowe i oczywiście zdaniem uczestników – niekoniecznie sprawiedliwe). Najlepsza ósemka – spośród wszystkich biorących udział – miała przejść do wielkiego warszawskiego finału, w którym to mieli gotować dla krytyków i ich specjalnie zaproszonych na tę okazję celebryckich gości.

Marcin Asperski, był redaktorem naczelnym „Twojej Kuchni”, magazynu kulinarnego, który rokrocznie prezentował listę stu najznakomitszych polskich restauracji. Wszyscy wręcz bili się, żeby się na tej liście znaleźć, ale nikt nie mógł liczyć na pobłażliwość czy specjalne względy. Kiedy w progach lokali pojawiała się jowialna postać Asperskiego, restauratorzy najpierw zamierali w bezruchu, a potem wydawali chaotyczne polecenia podwładnym, by w trzeciej kolejności biec do szacownego gościa z gracją łyżwiarki figurowej robiącej piruety i podwójne tulupy na wazelinowym lodowisku. Ale on znał swoją pozycję i nie był wcale łasy na pochwały, a już szczególnie na te tanie i mało wysublimowane; podobno był też nieprzekupny i twardo trzymał się swoich zasad. Zależało mu tak naprawdę tylko na tym – jak sam podkreślał – żeby dobrze zjeść. A trudno mu było dogodzić, o czym przekonywały się kolejne zastępy restauratorów i szefów kuchni. Nawet najbardziej doświadczeni kucharze musieli liczyć się z tym, że ich wysiłki i finezja pójdą na marne, kiedy zostaną skonfrontowane z gustami i wymaganiami Asperskiego. A ten potrafił się czepiać – w końcu był zawodowym malkontentem. A to drażnił go sposób podania, a to proporcje składników, a to wybór przypraw, a to deser nieprzystający jego zdaniem do dania głównego. Jak to ktoś określił – nawet, kiedy wszystko było zapięte na ostatni guzik, jego zdaniem widać było tylko brzydki dekolt. Nie sposób było sprostać tak subiektywnym, trudno uchwytnym oczekiwaniom. Właściwie wszyscy mieli go tak naprawdę dość, ale siła oddziaływania rankingu jego pisma i pozycja, którą dzierżył w środowisku – skutecznie wspomagana czarną legendą, ostatecznie zamykały krytykom usta.

Joanna Protaziuk była z kolei znaną z ciętego języka warszawską restauratorką, która dbała o to, żeby stale podtrzymywać swój celebrycki status, pojawiając się przy różnych, niekoniecznie kulinarnych okazjach, w telewizji i kolorowych pismach.

Marcel Grzebalski był szefem kuchni w jednym z najbardziej znanych warszawskich hoteli. Miał również swój program kulinarny, w którym ciągle powtarzał, że i deser może być dziełem kulinarnej sztuki, przywołując przy tym swojego idola Buddy’ego Valastro.

Viola była piosenkarką. Z branżą kulinarną nie miała wiele wspólnego poza tym, że uważała się za wytrawnego smakosza. Gadatliwa, drapieżna, szorstka w sposobie bycia gwiazda rocka, której równie obce jak kompleksy były granice przyzwoitości. Jej pewność siebie imponowała wielu młodym ludziom i to na przyciągnięcie ich do telewizorów obliczona była najwyraźniej jej obecność w programie.

– Panie, gdzie ja was wszystkich pomieszczę. – Tadek głowił się gorączkowo, obserwując na przemian to nietęgę minę jurorów rozglądających się badawczo, z pewną estetyczną dezaprobatą po jego domu, to szukającego dobrego ustawienia podstarzałego kamerzystę i młodego, zniewieściałego asystenta, to panią od dekoracji i makijażu, która bez jego pozwolenia przestawiała rzeczy, na nowo aranżując wnętrza.

Po chwili dziwacznej krzątanimy kazał im usiąść przy małym stole, po dwie osoby po każdej jego stronie.

– Zmieścimy się tu? – zapytała Viola, rozlewając na miękkim obiciu krzesła swój tyłek. – Matko, jaki tu zaduch. Nie da się otworzyć okna?

Protaziuk spojrzała porozumiewawczo na Asperskiego, dając mu do zrozumienia, żeby usiadł obok piosenkarki. A przecież on jej nie znosił, czemu wielokrotnie dał wyraz – po prostu nie odpowiadała mu jej krzykliwa osobowość i mało wyrafinowane maniery. Ona zresztą też za nim nie przepadała, widząc w nim przede wszystkim „buca z establishmentu”. Ale taka antychemia podobała się za to twórcom programu, którzy liczyli nie tylko na spięcia na linii jurorzy – uczestnicy, ale również na konflikty wśród samych sędziów, dodatkowo tylko podgrzewające atmosferę.

Po drugiej stronie Protaziuk i Grzebalski rozmawiali tymczasem o swoich planach urlopowych, przerzucając się naprędce wymyślanymi żarcikami o strzyżewskiej agroturystyce.

– Nie, tak nie może być – wzdychała pani od dekoracji przypatrując się z politowaniem replice „Bitwy pod Płowcami”. – Znowu ta martyrologia. Mogę to zdjąć?

I nie czekając na odpowiedź gospodarza, poleciła asystentowi technicznemu ściągnięcie obrazu i zasłonięcie krzywego gwoźdźca doniczką.

Kamerzysta polecił szerzej odsłonić zasłony, żeby wpuścić do salonu więcej światła. Kazał też przestawić kanapę, żeby ta nie blokowała mu przejścia, kiedy będzie chciał kręcić zbliżenia.

Karolak przyglądał się całemu temu zamieszaniu z coraz mniejszym pobłażaniem. Zaczynał się irytować na wszędobylstwo i nachalność przybyszów z metropolii, którzy w jego mniemaniu wchodzili buciorami w rolę gospodarza, która w jego odczuciu była zarezerwowana tylko dla niego.

– Co pan tu jeszcze robi? – rzucił mu w twarz Grzebalski. – Czy nie powinien pan już być w kuchni? Niedługo przecież startujemy.

Karolak spojrział na niego spode łba, ale posłusznie wycofał się w kierunku kuchni. Najchętniej wyrzuciłby ich wszystkich na zbity pysk – do tego stopnia miał dość tej szarogęszącej się w jego włosciach warszawki. Ale powstrzymywała go nie tyle niestosowność takiego zachowania, co rosnąca chęć zaimponowania im. Ta sama, która wcześniej kazała mu zgłosić się do programu mimo towarzyszącej od początku instynktownej myśli, że to zły pomysł, z którego wynikną później same kłopoty.

Czas, start! Kamera, akcja! Półtorej godziny na danie główne i deser – krytycy nie biorą zakładników, ale walą prawdę w twarz prosto z mostu. I usłyszą ją oprócz Karolaka jakieś trzy miliony widzów oglądających regularnie ten program.

Karolak poczuł, że jego dłonie trzęsą się, ulatuje gdzieś pewność siebie. Był zagubiony jak jakiś nowicjusz, któremu obca jest rutyna.

– Dasz radę – powtarzał sobie gorączkowo, dodając sobie otuchy.

Półtorej godziny później okazała faszerowana kaczka leżała już na stole przed krytykami.

– Kaczka po strzyżewsku? – zagadnęła go Protaziuk. – Czy aby na pewno ją dobiłeś? Słyszałam strzały dochodzące z kuchni.

Zaczęła śmiać się z własnego żartu; wtórowała jej tylko Viola. Zdezorientowany Karolak nie odpowiedział, rzucając im tylko skonfundowane spojrzenie.

Asperski przekroił wprawnym ruchem zarumienione z wierzchu mięso.

– Powiedziałeś, że zamierzasz dodać do kaczki jabłka i żurawiny. W jakiej proporcji?

– Słucham?

– Jaka jest masa jabłek a jaka żurawiny? – dążył Asperski.

– Trzy małe jabłka i jakieś pół kilo żurawiny.

– Żurawina jest zdrowa, lubię ją, ale bez przesady – wtrąciła się Protaziuk.

– Chciałem, pani, podkreślić smaki.

– Co za wieśniak – powiedziała pod nosem Viola, śmiejąc się do siebie.

Asperski objął ją niechętnym spojrzeniem. Żenowała go jej obecność, ale rozumiał intencje twórców programu – w końcu każdy walczył teraz desperacko o oglądalność i trzeba było iść na rozmaite kompromisy z niewyszukanymi gustami widowni. Tylko czy koniecznie aż tak dalece?

– Czosnku też dodałeś pół kilka? – skrzywił się Grzebalski i demonstracyjnie odsunął od siebie talerz.

– Tylko ząbek...

– Taką kaczkę powinno się przyrządzać koło dwóch godzin, może stu minut. Ty zmieściłeś się w dziewięćdziesięciu. Zechcesz nam to wytłumaczyć? – spytał poważnym tonem Asperski nakładając mięso na widelec.

– Podwyższyłem temperaturę. Jest dobrze upieczona.

– Z zewnątrz jest odpowiednio zarumieniona, ale ten smak... – odrzekł nieprzekonany Asperski.

– Mnie tam smakuje – wtrąciła się Viola. – Nie jest to może podane tak, jak w restauracji, w ogóle śmiesznie to się prezentuje na tym obrusiku pamiętającym pewnie czasy trzydziestolecia wojennego, ale nie czepiajmy się za bardzo, ok.?

– Doprawiałeś ten sos? – spytała Protaziuk.

– Co zrobiłem?

– Czy coś do niego dodałeś? – zaakcentowała każde słowo z osobna.

– Tak, odrobinę pieprzu i majeranku.

– Ale po co? Sos własny by wystarczył – skrzywiła się.

Karolak czuł, że się w nim gotuje. Cała kaczką zmarnowana na kilka kęsów i parę niewybrednych komentarzy. Nikt się nigdy wcześniej nie skarżył, wszyscy do tej pory rozpływali się w komplementach, dopóki nie pojawiła się tutaj ta zbieranina z metropolii. Znalazły się wytrawne jebane stołeczne podniebienia. I jeszcze jak to pójdzie w telewizji, będzie tylko wstyd na całą wieś. Miał nadzieję, że opinia o deserze będzie bardziej przyjazna, bo inaczej nie odpowiada za siebie! Jeszcze ten gejomaty techniczny łącząc z drugą kamerą, ciągle się o niego ocierał, jakby się do niego przystawiał.

Okropieństwo!

– Nie lubię babki czekoladowej. Zabijcie mnie, ale nie lubię. – Viola oddychała ciężko.

– Spróbuj chociaż – zachęcała ją Protaziuk – wygląda wcale nieźle.

– Wiem, ale się nie przemogę. Po prostu mam taką traumę z dzieciństwa, że babcia nas terroryzowała babką co niedzielę po kościele. Podwójna trauma, rozumiesz? Najpierw posłusznie do kościoła do bozi a potem posłusznie do babci na babkę.

– Jest niezła – ocenił tymczasem Grzebalski. – Ale trochę brakuje jej do doskonałości.

Przynajmniej w mojej definicji.

– Nie rozumiem... – Karolak bezradnie rozłożył ręce.

– Widzisz, kiedy kroję ciasto, całe rozlatuje się. To znaczy, że jakiegoś składnika zabrakło albo coś źle wymierzyłeś – ilościowo lub czasowo.

– Wszystko dobrze zrobiłem – bąknął niepocieszony Karolak.

– Poza tym ta polewa czekoladowa na wierzchu tworzy zbyt grubą warstwę – dorzuciła

Protaziuk.

– Deser wyszedł ci zdecydowanie lepiej niż danie główne, ale nie ustrzegłeś się błędów – stwierdził zasadniczym tonem Asperski. – Weźmy choćby tę dekorację wiśniową na wierzchu polewy... Wiśnia zbyt mocno kontrastuje ze smakiem czekolady. Nie eksponuje go, ale odbiera mu wyraz.

Karolak uderzył mocno pięścią w stół. Najpierw zapanowała cisza a potem konsternacja.

– Dosyć. Wynoście się z mojego domu! – wrzasnął histerycznie.

– Kręcisz? Kręcisz? – Ożywiony kamerzysta zwrócił się tymczasem do asystenta.

– Wy też – rzucił w ich kierunku gospodarz. – Wszyscy się wynoście. No już! Sio!

– No co robisz, Jędrzek? Kręć go! – Kiedy asystent nieporadnie skierował kamerę ku podłodze, poczuł szturchnięcie głównego operatora.

Krytycy patrzyli na siebie, jakby nie wiedzieli, czy w tej bezprecedensowej sytuacji powinni wstać od stołu i odejść, czy też czekać na dalszy rozwój wydarzeń i uspokojenie sytuacji.

– Nie rozumiecie po polskiemu? – Karolak wściekał się coraz bardziej. – Wynocha!

Najpierw podniósł się Asperski, za nim Grzebalski. Protaziuk jakby wrosła w krzesło. A niezdecydowana Viola przenosiła wzrok na wszystkich po kolei, mruczając do siebie dwa słowa, których zresztą stale nadużywała: Ja jebię.

Widząc, że obiektyw przysuwa się w jego kierunku, Karolak wyrwał gwałtownym ruchem kamerę i cisnął nią o podłogę. Dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła i trzask łamanych części.

– Ty stary debilu, zapłacisz za to – syknął kamerzysta i machinalnie pochylił się w kierunku zniszczonego sprzętu.

Karolak kopnął go ze złością – mierzył w plecy, ale trafił w głowę. Z rozbitego nosa

bryznąła krew a z ust wydobył się krzyk bólu pomieszanego z przekleństwami. Kamerzysta szybko się jednak podniósł.

– Ty skurwysynu! – krzyknął, rzucając się z pięściami na gospodarza, ale tamten odskoczył. Kolejny kontratak rozsierzonego mężczyzny powstrzymał ciężki mosiężny świecznik, którego uderzenie spadło mu na głowę, rozbijając ją. Grube ciało padło jak kłoda, znacząc podłogę krwią. Karolak stał ze świecznikiem, jakby jeszcze do niego nie docierało, co przed chwilą zrobił.

Teraz wszyscy krytycy wydawali się jeszcze bardziej zahipnotyzowani i przerażeni jednocześnie. Z całego zamieszania potrafiła skorzystać jedynie dekoratorka i młody pomocnik, którzy w międzyczasie zdołali się wyślizgnąć z domu. Karolak wyrżał przez okno, dostrzegając, jak co dwoje rozmawiają gorączkowo na zewnątrz. Ona trzymała w dłoni komórkę, ale najwyraźniej z uwagi na brak zasięgu nie mogła się z nikim połączyć.

– Jak tu wróce, ma być wszystko zjedzone. Z szacunku dla gospodarza. Zrozumiano? – rzucił wrogo w kierunku jurorów, a potem wybiegł na podwórko, żeby dopaść tamtych dwoje.

Widząc Karolaka biegnącego w ich kierunku, dekoratorka wrzasnęła, coraz bardziej gorączkowo wciskając cyfry 112. Próżny był to jednak wysiłek. Karolak zaśmiał się, widząc jak młody salwuje się ucieczką w kierunku opuszczonego zabudowania gospodarczego, machając przy tym w dziwaczny sposób tyłkiem.

– Pedał, no pedał – powiedział do siebie, teraz już przekonany co do trafności swoich spostrzeżeń. Zbliżał się do dekoratorki.

– Co pan robi, no co pan robi? – kobieta zasłaniała się rękoma, nie próbując już nawet uciekać.

– Tu nie ma zasięgu. Do kogo pani dzwoni? Do męża? Do narzeczonego? Do taty, brata? Myśli pani, że ktoś panią uratuje?

– Pan zwariował! Kompletnie panu odbiło. Odpowie pan za Zbyszka. Mam nadzieję, że zgnije pan w więzieniu.

– W dupie mam Zbyszka i ciebie, suko. – Uderzył ją w twarz tak silnie, że zachwiała się i upadła.

Spojrzał na nią pożądliwie. Uwolnione pod nieskromną bluzką piersi kusiły go swoją jędrnością, a długie nogi aż prosiły się, żeby położyć na nich silne męskie dłonie i je rozchylić. Nie miał teraz jednak czasu na jakieś perwersyjne zabawy. Przygniótł ją

kolanami, uniemożliwiając ucieczkę i zacisnął dłonie wokół szyi. Wierzgała się i krzyczała, ale była zbyt słaba, żeby mu dać radę, a nikt nie przychodził jej z pomocą. Wreszcie krzyk zaczął słabnąć, przechodząc w charkot, a unoszące się bezmyślnie nogi i ręce za chwilę przestały się chaotycznie ruszać. Przerażone oczy zastygły w śmiertelnym bezruchu. Odrzucił bezwładne ciało.

– Taka młoda, trochę szkoda dla robaków – powiedział do siebie, ale tak naprawdę nie było w nim współczucia, ale nienawistna furia.

Wszedł do budynku gospodarskiego, zakładając, że zastanie tam tego niewydarzonego lalusia. Ledwie przestąpił próg, zobaczył, że ktoś prze w jego kierunku. Uchylił się instynktownie – młody zamiast w niego, trafił widłami w drewniane obicie. Szczeniak nie miał już siły a może odwagi wyjąć tych wideł. Cofnął się zapobiegliwie, jakby w tej chwili nie był w stanie zdecydować się na żadne konkretne działanie. Karolak tymczasem gwałtownym szarpnięciem wyciągnął widły i skierował ich ostrze w stronę chłopaka, kontrolując sytuację. Ten oddychał ciężko, uświadamiając sobie, jak w ciągu kilku sekund jego położenie gruntownie się pogorszyło. Za chwilę zwilgotniały mu spodnie a przez nogawkę spłynęła żółta stróżka.

– Zsikaleś się, pedziu. – Zarechotał Karolak, widząc to.

– Błagam, niech pan nie robi mi krzywdy – tamtemu wyrwało się płaczliwie z gardła. A potem padł na kolana przed swoim oprawcą, usiłując wzbudzić w nim ludzkie odruchy.

Zamiast jednak doświadczyć litości, poczuł potworny ból spowodowany czterema kolcami zanurzającymi się w jego brzuchu i dziurawiącymi mu wnętrzności.

Karolak myślał, żeby go dobić, skracając jego męki, ale w domu czekało go jeszcze dużo pracy. Rozejrzał się i dostrzegł kątem oka topór wbity w pień zakrwawiony od ostatniego uboju kurczaków.

– Spokojnie, ty tu się wykrwawiaj, a ja se pójde ściąć parę głów – rzucił, rechocząc.

Jego oczy błysnęły złowrogą radością.

Miał nadzieję, że krytycy zjedli już do ostatniego okruszka to, co dla nich przygotował i tym razem nie będą zgłaszali żadnych zastrzeżeń. W przeciwnym razie będzie musiał ich bardzo surowo ukarać za niedocenienie jego starań.

Ich los był już co prawda przesądzony, ale jeśli będą mieli czelność go jeszcze raz obrazić, sprawi, że będą umierać bardzo powoli. Jeszcze wolniej niż ten żałosny chłoptaş, który charczał i pluł krwią, próbując coś do niego jeszcze mówić.

Kiedy w domu Karolaka pojawili się policjanci, ten nie próbował nawet uciekać. Zachowywał się właściwie tak, jakby na nich czekał. Przygaszony bardziej niż cyniczny, względnie opanowany, odpowiadał na pytania z pewnym trudem, ale szczerze. Kiedy padły te najważniejsze – wyznał całą prawdę, odtwarzając dość szczegółowo przebieg zdarzeń, który doprowadził do śmierci siedmiu osób – od momentu, kiedy wpadł na pomysł, że zgłosi się do programu, po ostatni śmiertelny cios, jaki zadał Asperskiemu, którym zakończył tę krwawą łaźnię. Dopiero spytany o to, co zrobił z ciałami, nabrał nagle wody w usta, zamykając się w sobie.

– Rozkawałkowałeś je i zakopałeś w lesie albo wrzuciłeś do jakiegoś stawu. No dalej, powiedz prawdę, sobie już nie pomożesz, ale nam owszem – naciskał komisarz Gawron. Nawet bawiło go przerażenie, jakie malowało się na twarzy młodszych funkcjonariuszy, którzy mu dzisiaj towarzyszyli. On sam, mimo że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział i zdawał sobie sprawę, że ta sprawa przejdzie do historii, naoglądał się w swoim życiu już wystarczająco dużo, żeby teraz dać się ponieść emocjom. Poza tym ten facet sam podsunął mu się na talerzu, a Gawron lubił media i zamierzał znowu zrobić z nich użytek promując siebie. Częścią tego wizerunku był spokój, z jakim podchodził do wszystkich, nawet najtrudniejszych spraw – i tego musiał się teraz trzymać.

W trakcie kolejnego wyczerpującego eksperymentu procesowego, Karolak powiedział, że krótko po zabiciu ekipy programu, wałęsał się po pobliskim lesie.

– Czego tam szukałeś, no czego? – dopytywał Gawron. – Miejsca gdzie zakopiesz ciała?

– Nie, chciałem się powiesić. Ale nie mogłem... – wyznał Karolak drżącym, łkającym głosem. – Jak wiązałem pętlę, coś mnie zatrzymało...

– Poruszające. A potem wróciłeś do domu, przebrałeś się i co? Patrzyłeś na to, co zrobiłeś? Przyglądałeś się trupom i zrozumiałeś, że musisz się ich pozbyć, tak? Że przecież wkrótce ktoś tu przyjdzie i zobaczy, co się tu stało...

– Tak – przytaknął Karolak.

– Sam dałeś radę zwlec je do piwnicy? – spytał Gawron.

Karolak znowu nabrał wody w usta.

– Zwlokłeś ciała do piwnicy. Wiemy to po śladach krwi i kawałkowania. Sam to zrobiłeś?

– Tak. A kto niby miał mi pomagać?

– Nie wiem, to ty mi powiedz.

– Sam to zrobiłem. Wszystko sam... I sam też pociąłem ciała. Całe życie jestem sam i sobie sam radzę.

– Wszystkie pociąłeś?

– Tylko dwa. Dwa wystarczyły.

– Na co wystarczyły?

– Nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego nie możesz?

– Bo nie mogę...

– Aleś ty uparty. I tak to z ciebie wyciągniemy albo sami znajdziemy. Nie szkoda ci twojego i naszego czasu?

Gawronowi odpowiedziało milczenie.

– No dobra? A powiesz chociaż, co zrobiłeś z tymi niepociętymi?

Znowu milczenie.

– Aha, samochody ekipy znaleźliśmy na łąkach. Zabezpieczyliśmy ślady. Tylko nie ma kamery i sprzętu. Co z nim zrobiłeś?

– Pewnie ktoś zabrał... – mruknął niechętnie Karolak.

– Ta, zabrał... A te samochody sam przestawiłeś?

– Panie, ja nie umiem jeździć.

– Czyli jednak ktoś ci pomagał, tak?

– Nikt mi nie pomagał... Mówiłem już.

– To same się przestawiły? Ech ty... No dalej, powiedz wszystko, i tak sami dojdziemy do prawdy.

Zaległa między nimi kilkuminutowa cisza, którą przerwał dźwięk telefonu komórkowego Gawrona.

– Panie komisarzu, chyba coś mamy – powiedział młody aspirant.

– Ktoś wreszcie zaczął mówić? – ucieszył się Gawron.

– Nie, nic z tego. Normalnie jakaś zmowa milczenia. Ale znaleźliśmy zakrwawioną furmankę u jednego z sąsiadów. Zaklinał się, że to nie jego. A potem stwierdził, że pies mu zdechł, więc wywiózł go do lasu zakopać. Ale śladów krwi tyle, że to musiałyby być co najmniej kilka psów. Mówi, że nie pamięta już gdzie go zakopał.

– Dobra robota. Weźcie go przemaglujcie. Przecież nie będziemy reszty dnia po

okolicznych lasach chodzić. Wydobędziemy to z nich w końcu.

– Tak jest.

Gawron rozłączył się.

– Czyli jednak ktoś ci pomagał – zwrócił się triumfalnie do Karolaka. – Co to za wieś.

Jak z jakiegoś horroru.

– Nie, nikt nie pomagał.

– No jak nikt? Znaleźliśmy twojego współnika z furmanką. Gdzie te ciała wywieźliście?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Jak cię weźmiemy do aresztu, przypomnisz sobie.

– Nie wiem... Przysięgam!

– No dobra. A te dwa trupy, o których wspomniałeś, że były ci do czegoś potrzebne?

Znowu milczenie.

– No kurwa mać, stary, prokurator będzie z tobą inaczej rozmawiał! Lepiej grzecznie wszystko opowiedz już teraz, żeby go nie zirytować przeciąganiem śledztwa.

– Zima idzie... – bąknął nagle Karolak.

– Co mnie obchodzi jakaś zima? – Wzruszył ramionami Gawron.

– No zima idzie – powtórzył Karolak, a potem dorzucił mechanicznie: – Trzeba zapasy robić.

– Tam, gdzie trafisz, nie będziesz musiał się martwić o zapasy. Podatnik ci je zasponsoruje.

– Nie chcę do więzienia. Nie będę mógł tam gotować...

– To fakt. A szkoda, bo pewnie współwięźniowie byliby mniej wybredni niż ta czwórka krytyków i ta głupia piosenkareczka. Denerwujące towarzystwo, ale żeby ich zaraz zabijać?

W tym momencie rozległ się krzyk z piwnicy a zaraz potem jakiś dziwny odgłos przypominający świński kwik. Gawron zerwał się na nogi.

– Pilnujcie go – polecił parze policjantów, wskazując na skutego Karolaka, a sam zbiegł schodami w dół. Przed pomieszczeniem, które było spiżarnią, zastał zzieleniałego podkomisarza Majewskiego, który pochylony – wymiotował, ledwo trzymując się na nogach.

– Krzysiu, co ci jest? – spytał przejęty, zanim kolejna fala wymiocin kolegi nie chlusnęła o podłogę.

Gdy podszedł trochę bliżej, poczuł jakiś dziwny swąd (odróżniający się od fetoru

wymiocin). Potem dostrzegł jego prawdopodobne źródło – otwarty słoik z marynowanym mięsem.

Na półce było tego znacznie więcej. Wszystko zrozumiał.

W końcu idzie zima.

Długa noc w Strzyżewie

Tymoteusz Raffinetti

„Czasem noce są zbyt ciemne, by je ujrzeć”

Stanisław Jerzy Lec

Niebo nad Strzyżewem było tego wieczoru wyjątkowo ponure. Otaczające wieś masywne drzewa wyłaniały się niepokojąco z gęstej mgły. Uwiązane na łańcuchach psy wyły jak oszalałe, a z drewnianych dachów dobiegało nerwowe krakanie wron.

Główną ulicą toczył się powoli czarny sedan. Z uchylonych okien dobiegały słowa piosenki: „*It ain't easy, living free, season ticket on a one-way ride. Asking nothing, leave be me – taking everything in my stride*” [1].

Sebastian kłął siarczyście rozglądając się co chwila na boki. Od dłuższego czasu lampka rezerwy paliła się na czerwono, a wszystkie dystrybutory, które mijał były nieczynne. Żałował teraz, że nie zatankował w Poznaniu licząc na tańsze paliwo w dalszej części trasy. Był w niezłych tarapatach. Nazajutrz miał się spotkać w Berlinie z bogatą wdówką. Uparcie twierdziła, że jej dom opanowały demony seksu zachęcające ją do grzesznych czynności z młodymi mężczyznami, a wynagrodzenie jakie oferowała pozwoliłoby Carterowi pokryć czynsz za biuro na rok z góry... Nic więc dziwnego, że pragnął znaleźć się tam jak najszybciej. Tymczasem, zamiast w wygodnym, niemieckim łóżu, detektyw siedział w przerdzewiałym Oplu szukając stacji benzynowej pośrodku jakiegoś zadupia.

Kiedy po raz kolejny przeklinał swój pech, zza mgły niespodziewanie wyłoniła się tablica z napisem *Orlen – 150 m*. Z wyraźną ulgą przyspieszył. Zgodnie ze znakiem drogowym skręcił w lewo na małym rondzie. Minął skromny kościółek i w końcu, kilkanaście metrów dalej, dojechał do upragnionego celu. Kiedy wysiadał, w nozdrza uderzył go intensywny zapach stęchlizny. Pomimo tego, że stał na otwartym powietrzu, śmierdziało jak w starej, zagrzybionej piwnicy. Powolnym krokiem ruszył w kierunku stacji. Wyglądała na zamkniętą – neony jak i światła wewnątrz budynku były powylączane.

Potwierdził to napis widniejący na przyklejonej krzywo do drzwi wejściowych kartce: *DZIŚ W NOC NIE OBSŁUGÓJEMY.*

Sebastian westchnął głęboko. Był zły, głodny i wyczerpany. Marzyła mu się filiżanka mocnego espresso i wygodny, miękki fotel. Pogodził się już z tym, że nie zdąży na czas do Fräulein Germer. Teraz pragnął jedynie wyjechać jak najszybciej z tej dziury i odpocząć w najbliższym motelu.

Wpakował się z powrotem do auta licząc na to, że zapali. Pech jednak go nie opuszczał. Po kilku nieudanych próbach opadł bezwładnie na fotel. Westchnął głęboko, po czym wyciągnął ze schowka portfel i wysłużoną Berettę. Zapowiadało się, że tę noc spędzi w Strzyżewie.

Przy wyjściu ze stacji Carter minął wyblakłą tabliczkę z ledwo czytelnym napisem *Słoneczna*. Ulica, podobnie jak cała wieś, zdawała się być całkowicie opustoszała. Oprócz ciągłego ujadania psów nie słychać było praktycznie żadnych innych odgłosów. Nienaturalny spokój tego miejsca i brak żywej duszy w zasięgu wzroku nie napawał detektywa optymizmem. Do tego jeszcze ten smród...

Zmierzając w stronę ronda, przyjrzał się uważnie kościołowi, obok którego przejeżdżał kilka minut wcześniej. Ze zdziwieniem zauważył, że na jego szczycie brakowało krzyża. Jego uwagę w większym stopniu przykuło jednak coś innego. Po obu stronach masywnych drzwi wejściowych wydrążona była sporych rozmiarów pięcioramienna gwiazda. W jej środku widniał przedziwny, przypominający błyskawicę symbol. Nie miał pojęcia co oznaczał, lecz zdecydowanie nie pasował do chrześcijańskiej świątyni.

Podszedł bliżej żeby się mu przyjrzeć. Dopiero teraz dostrzegł, że dookoła gwiazdy znajdował się drobny napis: ZARIATNATMIX, JANNA, ETITNAMUS... Usiłował czytać dalej lecz większość liter była zbyt mało wyraźna. Detektyw poczuł na plecach znajomy dreszczyk. Ten sam, który pojawiał się za każdym razem kiedy stawał w obliczu nowej tajemnicy. Zdawał sobie sprawę, że nie był to może najlepszy pomysł, ale zawodowa ciekawość nakazała mu nacisnąć na mosiężną klamkę. Drzwi jednak ani drgnęły.

Choć przez głowę przebiegła mu myśl o okrążeniu budynku, postanowił na razie sobie odpuścić. Był środek nocy, nie miał przy sobie latarki, a wyświetlacz iPhone'a nie dawał dużo światła. Na razie musiał znaleźć nocleg, ale wiedział, że rano na pewno tu wróci.

Wrócił na główną ulicę. Już po kilkunastu metrach zauważył w oddali sporych

rozmiarów szyld. Natychmiast przyspieszył. Wkrótce był w stanie przeczytać znajdujący się na nim napis: HOTEL DONAT. Trochę go to zaskoczyło – spodziewał się prędzej pokoi gościnnych, a w najlepszym wypadku pensjonatu. Cóż, hotel czy pensjonat, co za różnica. Był skonany.

Z kieszeni płaszcza wyciągnął paczkę zielonych Marlboro. Po chwili w nozdrza uderzył go intensywny zapach benzyny uwalniający się z metalowej zapalniczki, a dym wypełnił jego spragnione nikotyny ciało uczuciem ulgi. Kochał smak tytoniu oraz charakterystyczne, delikatne drapanie w gardle towarzyszące każdemu zaciągnięciu.

Niebawem znalazł się naprzeciw hotelu. Z zewnątrz budynek wyglądał nieźle. Widać było wprawdzie, że czasy świetności miał dawno za sobą, lecz właściciel wyraźnie włożył sporo pracy, aby zamaskować najbardziej rzucające się w oczy niedoskonałości.

Sebastian przytrzymał przez kilka sekund przycisk znajdujący się przy drzwiach wejściowych. Po chwili stanął przed nim wysoki mężczyzna. Ubrany był w zabrudzoną białą koszulę i przykrótkie spodnie od garnituru. Twarz miał bladą i pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Pomimo niezbyt reprezentatywnego wyglądu, jego widok ucieszył Cartera – w końcu był pierwszą osobą jaką spotkał w tej cholernej wiosce.

– Dobry wieczór – zaczął Sebastian – Szukam pokoju... Na jedną noc...

Rozmówca spojrzał detektywowi głęboko w oczy. Zdecydowanie nie było to przyjacielskie powitanie. Carter zanurkował ręką w kieszeń płaszcza. Gdy wymacał rękojeść pistoletu poczuł się odrobinę spokojniejszy.

– Pięćdziesiąt złotych – rzucił po chwili gospodarz. Przez moment stał tak jeszcze przyglądając się Sebastianowi, po czym niespodziewanie odwrócił się i ruszył w głąb hotelu.

Po chwili zastanowienia Sebastian wszedł do środka i podążył za nim.

Ze snu wybudził go dziwny odgłos. Carter przysiadł na krawędzi łóżka próbując złapać kontakt z rzeczywistością. Okropnie bolała go głowa, dał o sobie również znać głód – odkąd przyjechał do Krzeszyc jego jedynym pokarmem była nikotyna. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał, lecz dźwięk nie powtórzył się. Był potwornie zmęczony, uznał więc, że albo wyobraźnia spłatała mu figła, albo dźwięk musiał dobiegać jeszcze ze świata snów. Na taborecie przy łóżku stał brązowy kubek. Wypił z niego resztkę wody, po czym wciągnął jeansy i zarzucił na siebie koszulę.

Pokój był skromny, ale dosyć wygodny. Twardy materac hotelowego łóżka szczególnie

mu nie przeszkadzał, przyzwyczajony był w końcu do nocowania na biurowej kanapie. Meble pamiętały niewątpliwie czasy PRLu, ale uroku pomieszczeniu dodawał duży, ceramiczny piec kaflowy. Przypominał Sebastianowi wiejski domek jego babci, w którym spędzał w dzieciństwie wakacje.

Po przeszukaniu kieszeni leżącego na krześle płaszcza, Carter wygrzebał papierosa i wyszedł na balkon. Widok nieszczególnie go zaskoczył: ulica z tej perspektywy była tak samo szara i brudna. Po drugiej stronie znajdowała się biblioteka. Mieszkańcy raczej nie cenili sobie kultury zbyt wysoko, gdyż drzwi do budynku były zabite deskami.

Znowu ten odgłos. Detektyw natychmiast obrócił się w stronę pomieszczenia. Dźwięk powtarzał się rytmicznie, przypominał tarcie kredy o tablicę. Zdawał się dochodzić z rogu pokoju, tam gdzie stał kaflowy piec. Nie spuszczając go z oczu Sebastian podbiegł do krzesła i szybkim ruchem zgarnął z niego płaszcza. A potem zeszytywniał jakby ktoś oblał go gorącym woskiem.

Przenikliwemu zgrzytowi towarzyszył widok nieznacznie poruszającej się kratki od pieca. Coś znajdowało się w środku i przygotowywało się do wyjścia na zewnątrz.

Carter przykleił się plecami do ściany. Z trudem wymacał włącznik światła.

W tej samej chwili, gdy światło rozbłysło, z pieca wypadła długa, mlecznobiała istota dosłownie rozrywając metalową kratkę na strzępy. Stworzenie było wielkości małego psa. Jego pozbawione owłosienia ciało pokrywał bezbarwny, galaretowaty śluz. Poruszało się na czterech, zakończonych ostrymi pazurami kończynach, a zamiast twarzy, wystawały mu z szyi dwie zakrwawione macki.

Sebastian wyciągnął z kieszeni płaszcza pistolet i bez namysłu oddał strzał. Nie trafił. Kula przebiła ścianę kilka metrów od istoty, która obróciła swoje macki w stronę detektywa. Carter zaczął powoli okrążyć łóżko, kierując się w stronę wyjścia. Skąd się wzięło to paskudztwo i... co to właściwie było? Nieustannie celował w stronę kreatury, dłonie drżały mu jednak coraz mocniej. Ogarniał go coraz większy strach. Nie wiedział co go czeka. Zdawał sobie jednak sprawę, że aby przeżyć musi zachować zimną krew. W końcu ponownie pociągnął za spust. Jednak zamiast wystrzału rozległo się tylko ciche cyknięcie.

Skołowany i przestraszony przypomniał sobie przygotowywania do wyjazdu, podczas których uznał, że w taką trasę nie ma sensu uzupełniać naboji.

Monstrum tkwiło dłuższy czas w miejscu, wykonując przedziwne ruchy. Kołysało się na boki, a jego ciało intensywnie pulsowało. Na oślizgłej skórze zaczęły pojawiać się drobne

wypustki, tak jakby coś od środka usilnie starało się wydostać.

Carter dopadł do drzwi i gwałtownie chwycił za klamkę. Nie ustąpiły.

Co do cholery?

Szarpał raz za razem, ale skrzydło pozostawało nieruchome.

Przez plecy przeszła mu fala zimnych dreszczy. Musiał się stąd wydostać. Myśl o balkonie natychmiast odrzucił. Nawet gdyby udało mu się tam z powrotem przedostać, to mógłby nie przeżyć upadku – znajdował się na najwyższym, czwartym piętrze hotelu, a na dole czekał go bliski kontakt z betonem. Nie miał drogi ucieczki.

Tymczasem plecy stwora zaczęły gwałtownie pęcznieć, a nieprzyjemny dla uszu dźwięk przybrał na sile. Niespodziewanie istota wbiła w swoje ciało obydwie macki. Ciało bestii momentalnie rozerwało się na pół, a na ściany bryznęła żółta maź. Kreatura, wydając z siebie dziwaczne świszczanie, znieruchomiała. To było jak cisza przed burzą.

Carter nigdy wcześniej nie czuł się taki bezradny. Sparaliżowany strachem stał podparty o ścianę przypatrując się temu potwornemu widowisku.

Po chwili z cielska stwora zaczęły wypełzać niewielkie larwopodobne istoty. Sunąc powoli w stronę Cartera, zostawiały na ziemi spalone ślady, a ich drobne paszcze zwieńczone były dwoma rzędami ostrych zębów. Co najgorsze małych potworów stale przybywało, tak jakby ciało monstrum było studnią bez dna.

Sebastian musiał działać szybko. Zaczął nerwowo rozglądać się po pomieszczeniu, szukając czegoś, co pomogłoby mu się wydostać. W końcu zatrzymał wzrok na metalowym stojaku na ubrania. Przy odrobinie szczęścia, mógłby spróbować przy jego pomocy wyważyć drzwi. Problem tkwił w tym, że aby do niego dotrzeć musiał jakoś ominąć wylęgarnię robali...

Nagle wpadł mu do głowy pomysł. Przypomniwał sobie o małym, benzynowym refillu do Zippo, który zazwyczaj nosił w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Nie zastanawiając się podbiegł do łóżka. Wyciągnął aluminiowe opakowanie i zaczął rozlewać jego zawartość na prześcieradło. Z uśmiechem spojrzał na wygrawerowany na zapalniczce napis „FIAT LUX” [2], który z każdą jego przygodą nabierał nowego znaczenia. Po chwili, trzymając za jedyną suchą końcówkę podpalił resztę materiału.

Larwy wydały z siebie przenikliwy pisk, tak jakby przeczuwały co ich czeka. Carter szybko zarzucił na nie płonące prześcieradło, a odgłosy zamieniły się w wysokie, przerażający ryk bólu.

Nie miał chwili do stracenia. Chwycił ciężki stojak i przeskakując przez łóżko znalazł się pod drewnianymi drzwiami. W pomieszczeniu zaczęło robić się gorąco. Ogień, podjudzany powietrzem z otwartego balkonu zaczął przenosić się na meble.

Sebastian wziął zamach i z całych sił grzmotnął metalowym przedmiotem w zamek. Pokój powoli wypełniał się gęstym dymem. Detektyw konsekwentnie uderzał w swój cel. Jeśli nie chciał spłonąć w towarzystwie zabójczych glizd, nie mógł się poddawać. W końcu, po wielu próbach coś gruchnęło, a drzwi stanęły otworem.

Wybiegł bez namysłu z zadymionego pokoju i rzucił się na schody. Zbiegając obmyślał plan ucieczki. Nie mógł liczyć na samochód – brakowało w nim paliwa. Jedyne co mu zostało to próba pieszej przeprawy przez wieś, w której przecież mogło na niego czyhać jeszcze więcej pełzającego świństwa. Przypomniawszy sobie o dziwnych symbolach na kościele – musiały mieć jakiś związek z tym wszystkim.

Kiedy dotarł na świeże powietrze odwrócił się i spojrzał w stronę najwyższego piętra budynku. Jego pokój stał w ogniu, a z wnętrza wydobywały się potworne odgłosy.

– Smażcie się w piekle – rzucił z wyraźną satysfakcją, wbiegając na ulicę Słoneczną.

Kiedy dobiegał do skrzyżowania usłyszał głosy. Przezornie schował się za budynkiem piekarni i wychylając się uważnie zza rogu zerknął w prawo.

W jego stronę zbliżał się pochód. Środkiem drogi maszerowało kilkadziesiąt osób. Poruszali się jednostajnym krokiem, recytując głośno słowa w nieznanym Carterowi języku. Ich twarze były blade, bez wyrazu. Oczy zdawały się wpatrywać w nicość, tak jakby ich umysły znajdowały się daleko poza otaczającą ich rzeczywistością. Przewodził im szczupły starzec podpierający się masywnym, drewnianym kijem.

Z tłumu wyłoniło się czterech krępych osiłków dźwigających metalową, zdobioną fantazyjnymi ornamentami skrzynię. Detektyw starał się wyteńczyć wzrok, aby się jej przyjrzeć. Nagle zdał sobie sprawę, że jest obserwowany. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Cartera stała kilkuletnia dziewczynka wpatrującą się w niego z otwartymi ustami. Zanim zdołał zareagować, dziecko podniosło okropny wrzask:

– INTRUZ!!! TAM STOI!!!!

Sebastian spojrzał w stronę pochodu. W jego kierunku biegło już co najmniej kilkunastu mężczyzn. Natychmiast rzucił się do ucieczki.

Biegł jak oszalały modląc się do wszystkich wymyślonych przez siebie bogów o jakąś boczną uliczkę. I kiedy ta pojawiła się niespodziewanie po lewej stronie, okazało się, że

bogowie nie byli zbyt łaskawi. Carter znalazł się w ślepych zaułku. Z jednej strony znajdowała się stara studnia, drugą zdążyli zagrozić już wieśniacy.

Sebastian nie miał złudzeń. To definitywnie był koniec. Nie miał drogi ucieczki. Napastnicy przesuwali się coraz bliżej, a jemu kończyło się miejsce do wycofywania. Wyglądało na to, że Sebastian Carter, detektyw grozy, skończy swój żywot jako worek treningowy lub pokarm dla krwiożerczych robali.

Ze stresu i strachu przed czekającym go losem zapomniał o znajdującej się za nim studni. Ostatnie, co pamiętał to widok przekraczającego się o 180 stopni świata. Potem była już tylko ciemność.

– E, Warszawiak, obudź no się!

Sebastian natychmiast zerwał się na nogi. Przysłaniając oczy przed promieniami porannego słońca rozejrzał się dookoła. Znajdował się pośrodku pola, a przed nim stał niski, brodaty staruszek, przyglądający mu się z wyraźnym rozbawieniem.

– Kim Pan jest?! – rzucił w stronę nieznajomego – Gdzie się podziali ci ludzie? Gdzie... ja jestem?

Rolnik wybuchnął gromkim śmiechem, klepiąc się przy tym po wydatnym brzuchu. Detektyw wpatrywał się w niego z osłupieniem.

– Panie... Pan oszalał? Przyjechał mi pan w nocy, zaparkował przy oborze swoją limuzyną i przez całą noc kręcił się po polu drąc mordę w niebogłósy. Z żoną myśleliśmy, że to już nasz koniec, że kostucha przyszła zabrać co swoje! Drzwi zaryglowaliśmy i siedzimy całą noc jak te myszy pod miotłą. Wychodzimy z rana a tu nie czort ino wariat na stołecznych rejestracjach! – wyrzucił z siebie dziadek rechocząc przy tym i wskazując co chwila wymownie palcem na Cartera.

Detektywa замуrowało. Wiele w życiu przeżył, ale nigdy wcześniej nie czuł się tak dezorientowany. Wspomnienia z ostatnich przeżyć powoli wracały do niego układając się w spójną całość. Czy naprawdę to był tylko sen? Nie miał pojęcia czy padł ofiarą podłego żartu czy może ktoś w Poznaniu wsypał mu do whisky jakieś świństwo. Może po prostu zwariował? Tak, zdecydowanie to wszystko było jednym wielkim szaleństwem.

Skupił wzrok na dużym kształcie znajdującym się przy niewielkiej oborze. Minęła chwila gdy zamglone oczy rozpoznały w nim czarnego Opla. Sebastian złapał się za głowę. Cała sytuacja go przerastała. Miał chwilowo dość wychodzących z pieca potworów, pożarów

i chorych fanatyków. Cokolwiek się wydarzyło tej nocy w Strzyżewie, miał to teraz głęboko gdzieś. To miał być spokojny, odpężający wyjazd – odpoczynek od brutalnej, szarej codzienności. W dodatku trafiła mu się tak hojna klientka... Carter przymknął oczy, próbując sobie wyobrazić ubraną w koronkowe stringi pannę Germer, rozpinającą powoli jego rozporek. Kiedy chwilę później oprzytomniał, zamiast zmysłowej arystokratki ujrzał jedynie w oddali rolnika, który wciąż stał w tym samym miejscu skracając się ze śmiechu. Detektyw z furią wsiadł do samochodu, trzasnął drzwiczkami i ruszył z piskiem opon.

Po kilku minutach, Cartera w Krzeszycach już nie było. Pędził jak szalony w kierunku Kostrzyna, starając się o niczym nie myśleć.

Tymczasem niebo nad wsią nabrało szarego odcienia, a ptaki gwałtownie zerwały się z pola odlatując w siną dal. Rolnikowi momentalnie zbladła mina, a wzrok wypełniła obojętność. Powolnym krokiem ruszył w stronę obory.

– Pani! – głos staruszka zmienił się, przypominając teraz żabi skrzek – Obcego już nie ma wśród nas...

Głos, który dobiegał z wnętrza budynku był niski, potężny i przerażający:

– WSPANIAŁE... TEN CZŁOWIEK BYŁ NIEBEZPIECZNY – ZABIŁ JEDNO Z MOICH DZIECI. ALE MUSIELIŚMY POZWOLIĆ MU ODJECHAĆ – JEGO ŚMIERĆ PRZYCIĄGNĘŁABY TU NASTĘPNYCH. NAKAŻ LUDZIOM PRZYGOTOWAĆ OŁTARZ. WKRÓTCE BĘDĘ NA TYŁE SILNA, ABY WYJŚĆ NA POWIERZCHNIĘ, A KIEDY DOKONA SIĘ RYTUAŁ... ZALEJĘ TĘ ZIEMIĘ ZNACZNIE LICZNIEJSZYM POTOMSTWEM.

[1] Fragment utworu „Highway to hell” zespołu AC/DC

[2] Z łaciny „niech się stanie światłość”.



Łaknienie

Kornelia Romanowska

Strzyżewo. Kurewskie zadupie, w którym miałem wątpliwą przyjemność się wychować i spędzić kilka trudnych, nie tylko fizycznie, lat balansowania między zachowaniem równowagi i przetrwaniem tylko po to, by jak najszybciej się ulotnić i rozpocząć normalne życie. Strzyżewo. Groza rozłożyła swoje obleśne macki w momencie, w którym musiałem podjąć tę pieprzoną decyzję i wrócić na przysłowiowe stare śmieci. Na nowo odkryć dlaczego chciałem stąd wyjechać. Zrozumieć, że los zawsze znajdzie drogę, by znowu skopać ci tyłek. I oto jestem. Trzydziestoletni facet, którego jedynym marzeniem było opuścić to miejsce i nigdy nie wracać, a jednak stoję przed wejściem do mojego starego domu i czuję, jak włosy na rękach zaczynają żyć własnym życiem.

Próbowałem pozbierać myśli, choć biorąc pod uwagę okoliczności, okazało się to dość trudne. Rzuciłem na ziemię torbę i tępym wzrokiem wpatrywałem się w zaniebane domostwo. Byłem niemal pewny, że matka zajęła się swym ukochanym „gniazdkiem szczęścia”, jak lubiła mawiać, gdy siedzieliśmy przy stole, wsłuchując się we własne oddechy. Rozglądałem się wtedy na boki, czując na sobie gniewny wzrok ojca i rzucane co rusz współczujące spojrzenie brata. Wiedziałem, że ten wieczór na pewno będzie taki sam, jak każdy. Ojciec złapie to, co będzie miał pod ręką i zaciągnie mnie do pokoju, by w spokoju dokonać swojego dzieła zniszczenia. Poniewieranie ciała było tylko rozkoszną zabawą pełną wyrafinowanego piękna, którą dawkował sobie powolutku, czekając, aż zacznę błagać o litościwą karę. Fizyczne piekło było niczym w porównaniu z tym, które tworzył w mojej głowie od kiedy sięgam pamięcią.

W końcu, pełen obaw, zdołałem zmusić się do wejścia do środka. Nic się nie zmieniło. Oczywiście, oprócz braku domowników. Nie miałem pojęcia, co stało się z ojcem. Nie interesowało mnie to. Od kiedy wyprowadziłem się z domu, nie utrzymywałem z nim kontaktu, próbując zapomnieć o tym, że w ogóle istnieje. Jedyna więź, jaka łączyła mnie z rodziną, to ta, którą dzieliłem z bratem. Ale i jego już zabrakło. Zniknął. Rozpłynął się w odorze powietrza unoszącym się nad Strzyżewem i nigdy nie wrócił. Próbowałem sobie

wmówić, że pewnie uciekł z daleka od szaleństwa, które powoli opanowywało każdą cząstkę tych, którzy zostają w tej wiosce. Miałem nadzieję, że mu się udało. Do czasu, gdy matka rzeczowo, bez cienia emocji, poinformowała mnie, że znaleziono jego ciało. Sponiewierane i oszepeczone, porzucone w pobliskim lesie i zbezczeszczone przez żyjące w nim zwierzęta. Moja chora wyobraźnia podsuwała mi miliony obrazów. Jego czarne włosy splątane w kałuży krwi. Pusty wzrok utkwiony gdzieś ponad konarami drzew. Porozrzucane ręce, okaleczony brzuch, z którego wilki zaczęły wyjadać co lepsze kąski. Smród. I cierpienie, którego z pewnością zaznał, nim udał się tam, gdzie w końcu nastąpiła błoga ciemność.

Usiadłem na zakurczonym fotelu i wyjąłem z torby list, który matka wysłała mi tuż przed swoją śmiercią. Do tej pory nie wiem, dlaczego przyjechałem osobiście. Równie dobrze mogłem zlecić papierkową robotę komuś, kto się na tym znał i mógł załatwić wszystkie formalności. Czułem jednak, że muszę się sam uporać z moimi koszmarami i stawić czoło przeszłości, która od dawna nie daje mi spokoju.

Synku,

Wiem, że nie układało się między nami zbyt dobrze, ale zostałeś mi tylko ty. I tylko ty możesz zająć się domem. Dobrze wiesz, jak bardzo go kochałam. Całą sobą. Może nawet za bardzo. Tak samo jak twojego ojca. Chciałabym się dowiedzieć, gdzie jest i dlaczego mnie zostawił. To zagadka. Tak samo jak śmierć twojego brata. Wszystko tutaj jest zagadką. Całe nasze życie. Tajemnica rozprzestrzenia się tutaj szybciej niż wirus. Musisz odnaleźć odpowiedzi. Jak nie ty, to kto? Zostawiam ci więc dom i wszystko, co w nim jest. Gdy będziesz to czytać, mnie już nie będzie, wiedz jednak, że cokolwiek zrobiłam lub też nie, kochałam cię.

Mama

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Po uprzątnięciu z grubsza ogromnej warstwy kurzu i brudu, które załęgły się na meblach, pozwoliłem sobie na krótką drzemkę.

– Cześć – powiedziała urocza blondynka, kiedy w końcu doczłapałem się do drzwi i uchyliłem je, by zerknąć, kto to. – Pewnie mnie nie pamiętasz, w końcu tyle czasu minęło – paplała, uśmiechając się przy tym promiennie. Mój wzrok przeniósł się z jej dość obfitego biustu, na małe zawiniątko, które kurczowo trzymała w długich, szczupłych palcach.

– Więc nazywasz się? – spytałem uprzejmie, czując zaciekawienie.

– Klara. Mieszkam za rogiem. Chodziliśmy razem do szkoły, ale ty zawsze trzymałeś się na uboczu – odparła kokieteryjnie, intensywnie wpatrując się w moje oczy. Klara. Pamiętałem. Wtedy jednak była szarą myszką, skurczoną, pełną strachu i niepokoju. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Musiałem przyznać, że teraz chyba żaden facet nie mógł przejść obok niej obojętnie.

– Wyrośłaś – chrząknąłem, ganiąc się w myślach za głupie teksty.

– Ty też. To dla ciebie. – Podsunęła mi pod nos zawiniątko. Do moich nozdrzy doszedł słodki zapach jabłek. – Wiedziałam, że w końcu do nas wrócisz – szepnęła, po czym uniosła się na palcach i pocałowała mnie w policzek. Przez krótką chwilę czułem, jak jej perfumy owijają się wokół mnie jak macki. Ona jednak szybko się odsunęła i powoli odeszła, a odwracając się po raz ostatni, uniosła swoją dłoń i pomachała mi.

Tej nocy śniła mi się Klara. Czułem pod palcami miękkość jej ciała. Ułożona na poduszkach, ze zmysłowym uśmiechem błakającym się na pełnych ustach. Widziałem, jak bezgłośnie woła mnie po imieniu, wskazując dłonią miejsce obok siebie. Nachyliłem się nad nią, całkowicie zniewolony cudownym ciałem, które przede mną otwierała. Gdy ją pocałowałem, świat stanął w miejscu. Zamknąłem oczy, napawając się tą chwilą, ale gdy je otworzyłem, oczy Klary stały się całkowicie czarne, a zamiast rękami, obejmowała mnie szponiastą, włochatą łapą. Nogami oplótła mój tułów, przyciągając bliżej siebie.

– Teraz jesteś mój – szepnęła mi do ucha, ale to nie był jej głos. Próbowałem się wyrwać, ale bezskutecznie. Zaśmiała się mocnym, gardłowym głosem, a jej usta rozerwały mi szyję. Obudziłem się zlany potem, dziękując Bogu, że to tylko sen. Nie gorszy od poprzednich, które miewałem na przestrzeni lat, ale bardziej intensywny. Podniosłem się z łóżka i poszedłem do łazienki, marząc o zimnej wodzie otulającej rozgrzaną twarz. Przejechałem dłonią po szyi, czując lepłą ciecz. Lustro powiedziało mi prawdę. Krew.

Dni mijały mi na bezskutecznej próbie omijania ludzi, nie przyjmowania kolejnych gości, którzy chcieli złożyć mi kondolencje i na ogarnianiu bajzlu, pozostawionym przez matkę. A mimo wszystko wokół mnie było bardziej popierdolone niż zazwyczaj. Na pogrzeb przyszli chyba wszyscy mieszkańcy. W ponurych nastrojach, przestępując z nogi na nogę, stali w czerni, wpatrując się w księdza, który prowadził mszę. Widziałem jak niektórzy z nich uronili kilka łez, inni szeptali między sobą, jeszcze inni pogrążeni w głębokiej ciszy

kontemplowali to, co właśnie się działo. Każdy z nich coś czuł, oprócz mnie. Z każdej strony ogarniała mnie pustka, coraz mocniej wchłaniając mnie w swoje zimne ramiona. Powinienem odczuć cokolwiek – złość, że nie potrafiła zachować się jak matka, gdy było to potrzebne. Albo smutek, że opuściła ten ziemski padół cierpienia. Albo ulgę, że w końcu zostałem sam, bez żadnych więzów krwi, bez żadnych zobowiązań względem Strzyżewa. Wolność jaśniała na horyzoncie coraz mocniejszymi barwami.

Ale mimo chęci – nie poczułem nic.

Do momentu, gdy po skończonym nabożeństwie podeszła do mnie Klara. Wyglądała cudownie w prostej czarnej sukni za kolano i z upiętymi w koński kucyk włosami. Dopiero teraz zauważyłem, że musiała je farbować. W niczym nie przypominały mysiego koloru, który zapamiętałem z lat dzieciństwa. Teraz lśniły blondem przeplatany z ciemniejszymi pasemkami.

– Przykro mi, że to się tak kończy – powiedziała, stając obok mnie. Wszyscy żałobnicy już się rozeszli.

– Najwidoczniej tak musiało być.

Klara spoglądała pochmurnie w stronę świeżego grobu.

– Pamiętam, że zawsze okazywała mi dobroć. Twoja mama to była wspaniała kobieta.

Siłą woli powstrzymywałem się przed wybuchem śmiechu. Wspaniała kobieta ratowała by swoje dzieci. Wspaniała kobieta stwarza ciepły, rodzinny dom, a nie pełen terroru. Wspaniała kobieta...

– Dobrze, że masz o niej dobre wspomnienia – odparłem, chcąc zakończyć temat.

– A ty nie? – zdziwiła się.

– To nie ma teraz znaczenia.

Gdy ręka Klary złapała moją, mimowolnie się wzdrygnąłem. Zauważyłem, że próbowała ukryć pełen urazy wzrok, ale nie umknęło to mojej uwadze.

– Przepraszam – wybąkałem skruszony. – Wpadniesz wieczorem na piwo?

Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem, ale uśmiech, jaki wykwitł na jej twarzy sprawił, że nie pożałowałem.

– Jasne, przynieść coś?

– Siebie.

I tak się stało. Umówiliśmy się na dwudziestą. W pędzie ogarnąłem bałagan, którzy

zrobiłem wokół siebie, szykując się do pogrzebu. Porozrzucane kartki wrzuciłem do kominka. Na nic się już nie przydadzą. Ciuchy spakowałem do walizki, a kubki i talerze szybko umyłem. Gdy rozległo się pukanie, byłem gotowy.

Noc była nieprzyzwoicie ciepła jak na październik. Powietrze gęstniało z minuty na minutę, powodując występujące na ciele minimalne krople potu. Klara siedziała z podwiniętymi pod brodę nogami i trzymała w ręku kufel z piwem. Wpatrywałem się w nią, czując dziwnie rozlewające się we mnie uczucie nieodpartego pożądania. Moje kontakty z kobietami nigdy nie układały się znakomicie. Każda z nich szybko uciekała, nie mogąc sobie poradzić z moimi popapranymi nawykami, albo zwyczajnie szukała czegoś, czego nie mogłem im dać. W pewnym momencie przestałem ich wypatrywać, poświęcając swoje witalne siły na jednonocne przygody. To całkowicie mi wystarczało. Teraz jednak, gdy widziałem promienne błyski w zielonkawych oczach Klary, coś we mnie drgnęło.

– Wróciłeś na stałe? – spytała, przerywając ciszę swoim melodyjnym, niskim głosem.

Upiłek solidny łyk piwa, nim odpowiedziałem.

– Nie. Chcę tylko uporządkować wszystkie sprawy i ruszyć w drogę.

– I co dalej? Odetniesz się od tego, co znałeś?

– To, co znałem, już dawno przestało mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Wróciłem, bo musiałem.

Kiwnęła lekko głową i wlepiła wzrok w swój kufel.

– Myślałam, że podejmiesz inną decyzję – oświadczyła w końcu.

A ja, jak głupi młokos wiedziony pradawnym instynktem, chciałem cofnąć swoje słowa tylko po to, by nie robić jej przykrości. Mimowolnie podszedłem do jej skulonej postaci i odgarnąłem kosmyk włosów, który uwolnił się z kucyka.

– Nic mnie tutaj nie trzyma.

Klara uniosła wzrok i zajrzała w moje oczy. Odłożyła kufel i dłonią przejechała po moim szorstkim policzku. Nie potrzebowaliśmy słów. Jej usta znalazły się na moich, by rozpocząć odwieczny taniec życia i śmierci. W pośpiechu pozbywaliśmy się ciuchów, rzucając je gdzie popadnie. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni. Skóra Klary była delikatna niczym aksamit. Gdy opadliśmy na łóżko, czułem jedynie jak mocno jej pragnę. Pozbyłem się biustonosza, który zagraadzał mi drogę do jej piersi, po czym zamknąłem je w dłoni, napawając się ich miękkością.

– Marzyłam o tym od dawna – szepnęła wprost do mojego ucha, wyginając ciało w łuk. Jej słowa były jak melodia, która wypełniała mnie po same brzegi. Nie myślałem, działałem instynktownie podniecając ją i zostawiając na samym skraju, by błagała o więcej. Czerpałem z tego sadystyczną przyjemność. Klara jęczała i wiała się pod moim dotykiem, prosząc o spełnienie, które tylko ja mogłem jej ofiarować. Jej kruche ciało pod moim zdawało się składać z siebie ofiarę. Ona była piękną księżniczką, którą pochłaniała bestia. Ja. Wchłaniałem jej zapach i smak każdym skrawkiem swojego ciała. Wypełniałem się po cebulki włosów jej słodką uległością, do czasu, gdy to ja nie wypełniłem jej.

Później leżeliśmy wtuleni w siebie, pogrążeni w ciszy, aż zasnęliśmy spełnieni.

Gdy się obudziłem, Klara stała przy łóżku. Ubrana, z uśmiechem zadowolenia na kształtnych ustach.

– Czemu nie śpisz? – spytałem sennie, chcąc zapalić lampkę, ale zorientowałem się, że moje ręce i nogi są związane.

– Chciałeś odejść – powiedziała z wyrzutem. – Nie mogę ci na to pozwolić.

W mojej głowie zapaliła się czerwona lampka. Czyżby Klara była niespełna rozumu?

– Wypuść mnie, to o tym porozmawiamy.

– Dobrze wiesz, że nie mogę. Potrzebujemy cię tutaj.

– Jacy my?

Klara jedynie posłała mi jeden ze swoich promiennych uśmiechów i nachyliła się nad moją twarzą.

– Wiesz. Zawsze wiedziałeś, ale nie chciałeś się do tego przyznać. Wszyscy jesteśmy jednym ekosystemem, a ty należysz do jednego z najważniejszych, kochanie.

– O czym ty pierdolisz? – wyrzuciłem z siebie, tracąc panowanie. Szamotałem się, by wyzwolić dłonie, ale więzy były mocne.

– Już na zawsze zostaniesz z nami.

Nim się zorientowałem, wgryzła się w skórę na moich łydkach, odgryzając spory płat. Krzyknąłem, czując jak ból rozchodzi się po całym ciele. Przez chwilę nie mogłem oddychać. Klara w tym czasie zabrała się do spożywania mojego mięsa z drugiej nogi, co rusz wpatrując się w moje zamglone bólem oczy.

Jeśli cierpienie uszlachetnia, powinienem trafić do nieba. W trakcie sekund przez głowę przeleciało mi całe życie. Przekonałem się, że prawdziwe stwierdzenia, które zazwyczaj od siebie odpychamy, są realne. Gdy Klara pałaszowała mnie, pojękując z zachwyty, ja

wyłączyłem swój mózg i wędrowałem przez swoje smutne i tragiczne dzieciństwo, aż do teraźniejszości. Niczego godnego w życiu nie osiągnąłem. Nie pozostawię po sobie nic, co może mieć jakąkolwiek wartość. Zostanę zapomniany. Zjedzony i wyrzuty. Przechwytywany przez jej ciało i wydany. Zostanę dosłownym gównem, spływającym do ścieków.

– Proszę – wyjęczałem. Klara oderwała się od mojej nogi. Usiadła na mnie okrakiem i pocałowała mocno w usta. Czułem w ustach smak swojego własnego ciała, ociekającego krwią.

– Zostaniesz z nami. Jak twój brat, jak ojciec. Dlatego się urodziście.

Wgryzła się w policzek, wyszarpując mięso. Gdy myślałem, że to już koniec, że za chwilę muszę umrzeć, zauważyłem, że jej dłonie – piękne, szczupłe palce – wydłużają się i zakończone są mocnymi szponami. Wbiła je w mój brzuch, patrosząc go jak rybę. I choć chciałem ją błagać o litość, nie mogłem. Z moich ust wydobyło się jedynie gulgocie pełne śliny i krwi, która spływała po szyi.

Klara zatopiła twarz w moim brzuchu, mlaskając i ciągnąc wnętrzności.

– Za...bi...j m...ni...e – wyjęczałem ostatkiem sił. Boże! Skończ to. Pałający ból przeszywał mnie na wskroś, a widok jej zakrwawionej twarzy pełnej mojego ciała, zwisających jelit między jej zębami, tylko potęgowała strach i uczucie cholernej bezsilności. Czemu nie mogłem umrzeć?!

– Skarbie, jeszcze tyle jest nas do wykarmienia.

Gdy skończyła mówić, kątem oka zauważyłem ruch. Przez drzwi weszło dwóch mężczyzn i trójka dzieci.

– Kolacja podana – oświadczyła Klara, po czym odsunęła się na bok, robiąc miejsce dla nowych.

Ich kły wyszczerzyły się w świetle wpadającego przez okno księżyca. Dobrali się do mnie, złaknieni świeżego mięsa. A ja? Ja tylko mogłem czekać na koniec. Zatopione we mnie zęby szarpały i wrywały mnie na wszystkie strony, przeżuwając duże kęsy i mrucząc pod nosem z zadowolenia. Aż w końcu osunąłem się w ciemność, pozbawiony godności, ze zwisającymi kawałkami ciała na obgryzionych kościach.

Krypta

Thomas Percy i Marcin Janiszewski

Stary człowiek nas ocalił.

Na swym strychu dał schronienie.

Potem nadszedł wróg.

I starzec zmarł bez jęku.

Lidka prowadziła auto przez puszcze, słuchając muzyki Zembatego. Były Zaduszki. Nic dziwnego, że naszło ją na taki repertuar... zresztą... każdy repertuar był dobry, byle tylko urozmaicić sobie codzienne podróże przez ciągnącą się w nieskończoność knieje Podkarpacia. Codziennie tymi samymi drogami. Codziennie po sto kilometrów z wojewódzkiej stacji krwiodawstwa do kilkunastu laboratoriów w małych miasteczkach. I z powrotem. Wiecznie przez las. I nigdy żywego ducha.

Lidka była od półtorej roku kierowcą karetki z krwią, jak szumnie nazwano nieoznakowaną żółtą Pandę. Nie miała wyboru. Po zniknięciu narzeczonego, który wyszedł z porodówki w nieznanym kierunku i nie wrócił, musiała samodzielnie utrzymać Igorka. Schowała do szuflady dyplom archeologii i wzięła jedyną pracę jaką dali „tej kurwie” w miejscowości „o stopie bezrobocia strukturalnego 31,3 punkta procentowego”, jak wyraził się o jej miasteczku minister.

Minęła przerdzewiały zielony drogowskaz „Strzyżewo” i wtedy to zobaczyła.

Na poboczu stał złoty lamborghini Diabło. Ten sam, którego minęła, jadąc rano, z wojewódzkiej stacji krwiodawstwa. Pięknie prezentował się z drzwiami otwartymi do góry. I wciąż był pusty w środku. Już wtedy ją zaintrygował, ale uznała, że to zabłąkany turysta, który zatrzymał się za potrzebą. Teraz jednak, po dwóch godzinach, zrozumiała, że

coś musiało się stać.

Zaparkowała Pandę na poboczu naprzeciw sportowego wozu, nałożyła swoją ulubioną, dopasowaną kolorem do kozaczków, czerwoną kurtkę, schowała kluczyk do kieszeni zbyt ciasnych po ciąży jeansów i ostrożnie wysiadła.

– Halo?! Jest to kto? – zawołała, obchodząc auto. Odpowiedział jej tylko szum wiecznie płynącego wiatru.

Zajrzała do środka. Pusto. Wyjęła komórkę. Wyświetlacz ogłosił: „Brak zasięgu”.

– Najwięcej masztów w Polsce! – z ironią zacytowała reklamę operatora, ale w myślach dodała: „W sumie nie ma się co dziwić. Wart milion samochodów stoi tu otwarty od 2 godzin i nikt nawet się nie zainteresował. Chyba od świtu nikt oprócz mnie tędy nie przejeżdżał”.

Obeszła oba auta, wypatrując kresek na wyświetlaczu. Nic. Zawołała jeszcze kilka razy, a wobec braku odzewu, nieśmiało zajrzała do lamborghini. Miała wrażenie, że znalazła się w kabinie F-16. Po dobrej minucie namysłu udało jej się otworzyć schowek. Znalazła portfel. Rozejrzawszy się, czy nikt nie patrzy, otworzyła go. Kilkadziesiąt dolarów i amerykańskie prawo jazdy na nazwisko Steven Paul Jobs, born February 24, 1955, San Francisco, California, USA.

– Przecież facet nie żyje! – powiedziała na głos i dalej już w myślach kontynuowała: „Widziałam w księgarni jego pośmiertną biografię” – potarła skroń – „Ale to przecież niemożliwe. Nie. Nie... musiałam się pomylić. Widocznie umarł ten od Windowsa. Ale co w takim razie amerykański milioner robi w Polsce? I jeszcze w tej głuszy?” – rozmyślała: „Może gdybym mu pomogła, jakoś by się odwzajemnił? Idą Święta”.

Zajrzała na tylne siedzenie i do bagażnika Diablo, ale nic ciekawego tam nie znalazła. Kręcąc się wokół lamborghini, zauważyła jednak, że w rowie, od strony kierowcy, na piasku widoczne są ślady prowadzące do lasu i niknące na niewyraźnej ścieżce pomiędzy leszczyną. Podeszła kawałek. Zatrzymała się. Zawahała. Kobieca intuicja podpowiadała: „Za dużo tu zagadek. Milionera mogła porwać mafia i co zrobisz, jak cię zobaczą? Wróć, Lidka, zamknij lamborghini i jedź na policję”. Głos wyuczonej samodzielności szeptał jednak: „Jeśli nic nie zrobię, nagrodę zgarnie policja, a ja dostanę uścisk dłoni aspiranta”.

Podświadomość podpowiedziała jej idiotyczne zdanie: „Dziś Dziady, a los podsunął okazję, abyśmy przestali żyć jak dziady”. To zdecydowało. Szepnęła:

– Mama daje radę sama! – podniosła jakiś kij i ruszyła.

Odwagi starczyło jej na 50 metrów. Najpierw za plecami zniknęła z widoku szosa. Potem trzasnęła gdzieś łamana gałąź i nie wiedzieć kiedy, dziewczyna znalazła się znów przy samochodach.

Obok Pandy stał obcy facet.

– Kim pan jest?! – krzyknęła nienaturalnie wysokim głosem.

Z wyglądu przypominał woźnego z podstawówki. Pomimo sześćdziesiątki na karku był okazem zdrowia. Opalona cera, żadnej nadwagi oprócz niewielkiego brzuszka. Od razu widać, że zero nałogów. Do tego pamiętająca Gierka, ale czyściutka koszula. A na niej zielonkawy bezrękawnik z licznym szlufkami i kieszeniami, taki na modę taksówkarzy. Mężczyzna uśmiechnął się i powiedział:

– Niech będzie pochwalony. Szłem tendyk. Bo jestem myśliwym. Zobaczyłem taksówki. Rzuć ten kijek, moja duszku, bo jeszcze coś sobie zrobisz. A tego byśwa nie chciały.

Rzeczywiście, w odruchu obronnym mierzyła w nieznanomego drągiem jak mieczem. Zawstydzila się i opuściła improwizowaną broń. Ale nie wyrzuciła.

– To twoje taksówki, duszku? – spytał wskazując na Diablo i Pandę – Towarzysz w lesie?

– Jestem sama. Dzień dobry – zdecydowała się wreszcie na odpowiedź. Spojrzała w oczy mężczyzny i dostrzegła w nich coś, co przypominało jej dzieciństwo. A dokładnie gimnazjum. Jak wiadomo, woźni zwani wujkami, dzielą się na dwa podgatunki: oblechów, którzy wgapiąją się w tyłki uczennic i tatuśków, którzy traktują wszystkich jak własne dzieci. Wujek stojący obok Pandy kojarzył się Lidce z tą drugą, dobrą kategorią wujków.

– Zobaczyłam lamborghini i zatrzymałam się – wyjaśniła i w kilku zdaniach zrelacjonowała dotychczasowe odkrycia, nie pokazując portfela i nie wyjawiając swoich marzeń o nagrodzie.

– Może ktoś potrzebuje pomocy – zaniepokoił się Wójek.

Bez wstępów myśliwy zajrzał do wnętrza Diablo, przyjrzał się śladom w rowie

i zdecydował:

– Pójdę po tropach. Może cosik znajdę.

– A jak to mafia?

– Mam broń – podniósł, opartą dotąd o Pandę i niewidoczną dla Lidki strzelbę – Podejdę skradką; jak na wilko. Pomożesz mi, duszku?

Zawahała się, ale po pierwszym szoku wywołanym widokiem broni, uświadomiła sobie, że gdyby facet chciał zrobić jej krzywdę, dawno już mógł to uczynić. W oczy wpadła jej apteczka w otwartym bagażniku lamborghini. Podniosła ją i zdecydowała:

– Pójdę z tyłu.

Ruszyli w głąb puszczy. Wujek szedł przodem; śmiało; wcale nie oglądając się na Lidkę. Las był stary, mroczny, ponieważ rozłożyste dęby nie przepuszczały promieni słońca. Po kilkuset metrach marszu, ujrzeni niewielki budynek z czerwonej cegły, przypominający gotycki kościółek. Do jego wnętrza wiódł zadaszony portal z dwuskrzydłowymi drzwiami. Były otwarte na oścież.

– Co to, do jasnej anielki jest? Grobowiec? – szepnęła Lidka.

– Tak – spokojnie odpowiedział Wujek – Pochowane tu są dawne pany Strzyżewa.

– W lesie? Dlaczego nie na cmentarzu?!

– Duszku, dyć to stara historia – zniecierpliwił się Wujek – Mnie zaś frasuje, kto rozwarł kaplicę? Może ten z taksówki to złodziej?

Akurat to, że miliarder z Doliny Krzemowej dorabia sobie jako hiena cmentarna na polskim zadupiu, wydało się Lidce tak głupie (zwłaszcza, że wykluczało jej marzenie o nagrodzie), że przełamując obawy, weszła jako pierwsza do wnętrza.

Wujek ruszył za nią. Rozejrzeli się po pustej, gotycko sklepionej kaplicy. Po ołtarzu i niegdyś wmurowanych w ściany tablicach zostały tylko pełne pajęczyn nisze. Zapewne zaradni tubylcy z owego Strzyżewa znaleźli dla nich bardziej przyziemne zastosowania. Na środku posadzki czerniał otwór, jakby po tkwiącym tu niegdyś i zapewne też ukradzionym sarkofagu. Dziura ziała mrokiem i stęchlizną. Można przez nią było zajrzeć do lochów, do serca krypty. Tam też prowadziły wśród pyłu na posadzce ślady z Diabła. Wujek ostrożnie przechylił się nad przepaścią i zajrzał. Westchnął niezadowolony i spytał Lidkę:

– Nic nie widzę. Ciemno tu, a loch głęboki będzie z pinć metry. Masz latarkę?

Pomyślała i wyjęła komórkę. Przełączyła na tryb kamery i lampka led rozjarzyła się sztucznym blaskiem. Sięgał ledwie kawałek, więc pochyliła się obok Wujka, wyęzając wzrok.

Znienacka męczyzna ją popchnął. Straciła równowagę, poleciała kilka metrów w dół i boleśnie wyrznięła o twardą posadzkę. Telefon trzasnął obok i zgasł.

Gdy pierwsze oszołomienie minęło, spróbowała wstać. Pościerane ręce piekły, ale kości ocalały. Wsparła się. Nogi bolały jak diabli, ale podniosła się. Przez łzy bólu, spojrzała w górę. Sylwetka Wujka ciemniała na tle poblasku z kaplicy.

– Co się stało? – załkała, łudząc się, że wszystko da się wyjaśnić. Odpowiedź rozviała nadzieję:

– Fart – ułożył dłoń w widełki – że diabli cię nadali, bo ten tam ciaptak skapiął mi od ranka od byle złamanej gicoły.

Wskazał coś w mroku obok Lidki, ale dziewczyna nie znalazła dość odwagi, by namacać „ciaptaka”. Wyobraźnia podpowiadała jej, że leży tam trup w kałuży krwi.

– Jeden pożytek z ciaptaka, ta jego taksówka. Dobra na przynętę.

– Czego pan ode mnie chce?! – krzyknęła.

– Ja niczego. Poczekasz sobie tamłuj do północks. Wtedy po ciebie przyjdę.

– Co!? Chce pan mnie tu trzymać do nocy?!

– Wy wszystkie w tym Werwolfie jesteście takie same – z politowaniem pokiwał głową i dokończył parodiując kaleczącego polszczyznę Niemca – „Jestehmy normalhnymy ludzmy”

– Wójek wrócił do własnego akcentu – Normalne ludzie nie kapują do gestapo. I nie mordują dzieciów przy pełnym księżycu.

– Jakie gestapo?! Ja mam dopiero 28 lat!

– Taaaa, jasne – zaśmiał się – A ja jestem woźny ze szkoły w Strzyżewie.

– Wypuść mnie, czubku, bo pożałujesz – wrzasnęła i rzuciła w niego czymś znalezionych na podłodze. Nie chciała wiedzieć czym.

– Nie ciskaj się, duszku. Pół wieku stąd nikt nie uszedł – Odwrócił się i wyszedł z kaplicy. Zamknął za sobą żelazne odrzwia. Zapadła grobowa ciemność.

Wrzeszczała, groziła kolegami z pracy, policją, nawet Werwolfem, lżyła, zapewniała

o swym ubóstwie, błagała, obiecywała okup. Odpowiedział jej tylko pogłos w krypcie. I mrok. Wymacała komórkę, ale ta miała zбитy wyświetlacz. Poczula piwniczne październikowe zimno. Usiadła na zimnej posadzce, objęła rękami kolana i rozpłakała się.

„Nieprawda, że będą jej szukać w stacji krwiodawstwa, bo często zdarzało się jej nie zdawać Pandy po pracy, a jak na złość mieli właśnie duży zapas krwi w stacji. Może, choć to też wątpliwe, koleżanka, opiekująca się Igorkiem, powiadomi policję, ale jutro Święto Zmarłych, więc najszybciej szukać będą pojutrze. A Wujek... Pieprzony Psychol, a nie wujek... mówił, że przyjdą po nią o północy. Ale kto? Po co?”

„O, nie! Musi sama się ratować. Sama. Tak jak z Igorkiem.”:

– Mama daje radę sama! – przytaknęła własnym myślom.

Telefon miał rozbity wyświetlacz, co uniemożliwiało włączenie jakiejkolwiek funkcji, ale sam ekranik, po naciśnięciu fizycznego przycisku, przez 10 sekund świecił. Od biedy mógł posłużyć za latarkę. Użyła go w ten sposób. Odważyła się podejść do „trupca milionera”. Było gorzej niż przewidywała. Zasłoniła usta. Facet był w jej wieku; w czarnym golfie i jeansach; leżał na wznak w kałuży krwawej galarety. Miał otwarte złamanie uda, włosy i twarz w zakrzepłej posoce oraz dwie krwawe dziury na piersi. Chyba rany postrzałowe. Wyobrażenia podpowiadała jej następujący scenariusz: „Amerykanin zatrzymał się za potrzebą; Psychol ogłuszył go ciosem w głowę i zataszczył do kaplicy; zrzucił do krypty; milioner doznał otwartego złamania i wykrwawił się; Psychol zorientował się, że ofiara nie dotrwa do północy, więc dobił ją dwoma strzałami ze strzelby i wziął się za mnie... Może było tak, może inaczej. Dla mnie to już bez znaczenia”. – pomyślała Lidka – „Tylko dlaczego zabity jest taki młody?”

Wyjęła prawo jazdy z Diablo:

– Born February 24, 1955 – przeczytała na głos.

Długo zbierała się na odwagę, aż wreszcie przeszukała milionera. Znalazła portfel i smartfona. Telefon oczywiście nie miał zasięgu. Przejrzała dokumenty. Polak. Maciej Bytnar. Rybnik. 26 lat. Identyczny jak na zdjęciu w prawie jazdy. Uruchomiła smartfona. Odruchowo coś przekreśliła i pojawił się napis „Szukaj”. Wpisała „Lamborghini”. Pojawił się filmik. Denat ze szpakowatym krawaciarzem w salonie samochodowym. Dała głośniej. „Z okazji obrony magisterki, tata daje ci skromny prezent”.

Wpisała „Steve Jobs”. Wyskoczył kalendarz. „Odebrać z drukarni fejkowe prawko Steve Jobs”. Popatrzyła na inne wpisy w kalendarzu. Maciej był szkoleniowcem. Na pojutrze miał umówione „Nieśmiertelne techniki prezentacji Steve’a Jobsa. Tarnowskie Góry. Hotel Podkarpacie”. Wyłączyła. Miała teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Wstała i rozejrzała się po krypcie. Telefon świecił na kilkadziesiąt centymetrów, więc musiała podchodzić do badanych miejsc. Posadzkę na środku pomieszczenia wypełniały kości i czaszki, zbutwiałe resztki ubrań i butów. Trupów było około setki. Widok skojarzył jej się z Auschwitz. Przełamując obezwładniające uczucie makabry, Lidka pochyliła się nad najbliższym szkieletem. Suche kości. Resztki skórzanej kurtki i czapki. Jakby przedwojenne. Przyjrzała się innym trupom. Były wśród nich kobiety i dzieci. Szkielety zgromadzone były wokół znajdujących się na środku resztek trumny; tak jakby jednocześnie umarli uczestnicy pogrzebu. U wezłowia domniemanego katafalku leżał kościotrup w resztkach stroju księdza, może pastora. Zachowała się księga z napisem „Gott mit uns”, która niestety rozpadła się po dotknięciu. Nie wszystkie zwłoki pochodziły z tego samego okresu. Kilka było świeższych; tak obrzydliwych, że Lidka wymiotowała. Kilka wyglądało jak zombie, u kilku zachowały się tylko chrząstki i stawy. Ci lepiej zachowani mieli stroje pochodzące z lat komuny, a czasem współczesne. I przerażenie odmalowane na przegniłych pergaminowych twarzach.

– Czyżby moi poprzednicy? – przeraziła się.

Dziewczyna zbadała ściany krypty. W każdej mieściły się nisze trumienne, ułożone szeregami, na dwóch piętrach, jak okna w opustoszałym bloku. Wszystkie były opróżnione z nieboszczyków, trumien, a nawet płyt nagrobnych.

Niższy szereg wnęk grobowych znajdował się na wysokości pasa. Lidka zdołała wstawić stopę w otwór i, wpijając dłonie w kant, wspięła się. Znalazła się około metra nad ziemią. Powtórzyła wyczyn, tym razem wstawiając stopę we niszę powyżej. Podciągnęła się.

Oba jej kozaczki stanęły na płaskim podłożu. Kolanami zaklinowała się o wierzch niszy. Miała wolne ręce. Poświeciła telefonem. Nad nią było około metra ceglanej ściany i dopiero powyżej zaczynały się zebra sklepienia. Każde z nich wspierało się na wystającej ze ściany rzeźbie gargulca. Wspornik ten, zwany fachowo konsolą, mógł posłużyć za uchwyt. Zebrała

się na odwagę, włożyła świecący telefon w zęby i wyprostowała nogi. Tułów podniósł się na tyle, że dziewczyna zdołała chwycić oburącz rzeźbę. Stała teraz na kancie drugiej od dołu niszy trumiennej i całym ciałem przywierała do ściany. Gdy oswoiła się z niestabilną pozycją, puściła jedną ręką gargulca i znów zaświeciła.

Nad konsolą zaczynało się zebro sklepienia, które płynnie przechodziło ze ściany w sufit i kończyło na otworze, którym wpadła. Żebra były cztery, oddalone od siebie na tyle, że nie dało się między nimi zaprzeć. Pomiędzy żebrami znajdowały się tak zwane żagle, również umieszczone pod takim kątem względem podłogi, że tylko pająk mógłby po nich się wspiąć.

Jedyną możliwością, jaka widziała Lidka, było: wspiąć się na konsolę i stanąć na niej obunóż. A wówczas od podniesionych rąk do kantu otworu będzie z pół metra. Da się doskoczyć. Trzeba „tylko” wybić się pod kątem w górę, chwycić i podciągnąć. Będzie to skok bez odwrotu. „Jeśli się nie uda, spadnę z ponad trzech metrów i coś sobie złamię” – pomyślała dziewczyna – „Ale jak dostać się na gargulca? Nie podciągnę się”. Jej stopy dzieliło od konsoli półtora metra, potrzebowała więc choć jednego punktu oparcia po drodze. Podlubała pomiędzy cegłami. Zmurszała zaprawę za się skuć i włożyć coś w otwór.

– Muszę znaleźć jakieś narzędzie – zdecydowała półgłosem i zeskoczyła.

Potrzebowała czegoś do rycia zaprawy i wetknięcia między cegły, by mieć oparcie dla stopy. Nie pozostało jej nic innego jak, tłumiąc obrzydzenie, przez kilka godzin metodycznie przeszukiwać wszystkie zwłoki i wpełzać w nisze grobowe. Niestety nie znalazła nic, czym mogłaby ryc, ale pod koniec pracy, w głębi jednej z wnęk grobowych, znalazła tubę na projekty. Otworzyła znalezisko. W środku znajdowała się książeczka w skórzanej oprawie z napisem Agathe Tagebuch. Lidka, pomna doświadczeń z księgą pastora, tym razem ostrożnie obchodziła się z woluminem. Ten jednak okazał się na tyle trwały, że mogła przewracać kartki. Tekst był odręczny, po niemiecku. Nie знаła tego języka. Ale miała smartfona milionera. Znalazła ikonkę „Tłumacz”, która poprzednio mignęła jej przed oczami. Ustawiła język na niemiecki i wpisała tekst ze znalezionej książeczki. Agathe Tagebuch. Wyskoczyło: *Pamiętnik Agaty*. Wklepywała kolejne wpisy, a przed jej oczami ukazały się niezgrabne komputerowe przekłady.

(skrót)

14 Listopad 1939. Wszystkie niemieckie rodziny ze Strzyżewa stały się Die Deutsche Volksliste. Polskie dzieci przestali chodzić do mojej szkoły. Uczy ich Die Hexe (Czarownica).

3 Maj 1943. W Strzyżewa ktoś pomaga partyzantom. Georg doniósł do władz. Gestapo aresztowało dwa Polaków.

9 Maj 1943. Georg został zamordowany. Gestapowcy rozstrzelali 10 Polaków. Strzyżewa zostało jak linia frontu. Ksiądz starali się udobruchać sąsiadów, ale ktoś potajemnie siał nienawidzić.

27 Kwietnia 1945. Rosjanie zajęli Strzyżewa. W przeciwieństwie do moich rad, synowie Georg i innych dołączył do Werwolfu. Role się odwróciły. Teraz Niemcy są partyzanci.

20 Września 1945. Piąte dziecko zginęło podczas pełni. Die Hexe (Czarownica) przekonany, że wszystkich Niemców należą do wilkołakami Werwolfu. Gdyby nie Ksiądz zlinchowany nas.

26 Października 1945. Bandyci zamordowali Joachima. Komunistycznego rządu myje ręce. Jutro pogrzeb. Dla bezpieczeństwa w grobowiec Ravenburgów.

27 Października 1945. Bandyci Sołtysa nas zamknięty w krypcie. Bóg ratuj!

30 Października 1945. Dzieci umarły głodują już. To są moje ostatnie słowa. Ukryję dziennik, tego szalonego świadka Massenmord. Czuję zło, dochodzi do północy. Ten pogański Samhain, Polonisch Dziady. Z góry wciąż słyszeć die Hexe (Czarownica) śpiew.

Z góry dobiegł zaśpiew. Lidka zerwała się na równe nogi. W kaplicy zawodziła, czy raczej inkantowała kobieta. Lidka schowała smartfona do kieszeni. Zgrzytnął o klucz do Pandy. To nasunęło jej myśl, że przecież spadając tu, miała w ręce apteczkę z lamborghini. Ponownie rozejrzała się. Leżała na samym wierzchu. Lidka nie rozumiała, jak mogła ją przeoczyć.

– Nieważne! – gorączkowymi ruchami przetrząsnęła pudełko.

Znalazła nożyczki. Wspięła się wypróbowaną drogą na niszę grobową i zaczęła kuć zaprawę pomiędzy ceglami. Wcale nie szło łatwo ani szybko.

Śpiew Czarownicy nabrał tempa. Minuty kucia ciągnęły się w wieczność. Lidka wybierała skruszone wapno paznokciami, nie zważając, że spływają krwią. Wreszcie zdecydowała, że otwór jest wystarczająco głęboki i wbiła weń nożyczki. Złapała gargulca

i podciągnęła się na nim. Oparła się stopą o nożyczki. Wygięły się, ale wytrzymały. Przeniosła tam cały ciężar ciała i jak najszybciej drugą nogą uwiesiła się na rzeźbie. Po chwili siedziała okrakiem na gargulcu. Zlana była potem. Dalsza ucieczka wydawała się niepodobieństwem.

Do zaśpiewu Czarownicy dołączył dźwięk bębna. To Lidce dodało kurażu. Podciągnęła kolana pod szyję i oparła stopy na gargulcu. Powoli zaczęła wstawać, przywierając plecami do żagla sklepienia i wpijając skrwawione palce w sufit. Nagle straciła równowagę. Nie miała innego wyjścia, niż wybić się obunóż i skoczyć. Przeleciała pół metra i nim zaczęła tracić wysokość, złapała za kant otworu w sklepieniu. Całym ciężarem zawisła na rękach. Ból zapulsował w przegubach. Słabła z każdym ułamkiem sekundy. Ostatnim wysiłkiem podciągnęła się i zarzuciła nogę na prostopadły kant otworu. Przetoczyła się na plecy i leżała w kaplicy, ciężko dysząc.

Czarownica, młoda dziewczyna o pozlepianych kruczych włosach, siedziała ze skrzyżowanymi pod brudno-białą suknią nogami tuż obok. Zdawała się nie dostrzegać Lidki. Oczy przesłonięte miała bielmem. Wciąż inkantowała i niespiesznie uderzała pałeczką z rogatym kozłem na czubku w leżący przed nią bębenek. Lidka przez moment rozważała, czy zrzucić pogrążoną w transie do krypty, ale uznała, że skoro to czarownica, gotowa stamtąd wyfrunąć. Pod wpływem przygód, absurdałne magiczne przypuszczenie wydało jej się oczywiste. Zachnęła się: „Uciekać! Przede wszystkim uciekać!” – zdecydowała i wybiegła z grobowca.

– Stać! Halt! Do mnie! Ludzie! Wilkołak uchodzi! – usłyszała krzyk Wujka.

Była noc. Mżyło. Zaświeciła komórką i pobiegła w kierunku, jak sądziła, szosy. Spojrzała przez ramię. Kilkanaście chybotliwych latarek zbliżało się do niej tyralierą. Nagle huk. I równocześnie świst kuli. Pocisk trafił w drzewo tuż obok, obsypując ją drzazgami. Wyrzuciła komórkę i odbiegła. Kolejny strzał padł w kierunku telefonu. Lidka pędziła przez ciemność, nie zważając na gałęzie, które cięły jej twarz. Kilka razy potknęła się o korzeń. Aż nagle wpadła do jakiegoś wykrotu. Był to rów przy szosie. Obok stała Panda. Rzuciła się ku niej i aż syknęła z bólu, opadając z powrotem w błoto. Skręciła nogę, gdy wpadała do rowu. Ruszyła na czworakach. Światła pościgu wyprysnęły z lasu. Runęła na fotel kierowcy.

Kluczyk jak zwykle zaciął się w stacyjce. Zakapturzona postać chwyciła za klamkę od strony pasażera. Panda odpaliła, Lidka nacisnęła do dechy. Napastnik odpadł. Usłyszała strzały, ale chyba niecelne, bo wóz jechał. W świetle reflektorów mignął nienawistny napis „Strzyżewo”. Odtwarzacz mp3 podjął piosenkę Zembatego w przerwany momencie:

Wicher wieje, wicher wieje.

Nad grobami wicher wieje.

Wolność musi przyjść.

A my wyjdziemy z cienia.



Witaj w domu

Kamil Czepiel

Dziwne miejsce – rozmyślał, obserwując sypiące się drewniane chałupy i podwórka zapuszczone i zarośnięte w tak wielkim stopniu, że trzeba by się przez nie przedzierać z maczetą w dłoni.

– Że też ktoś jeszcze żyje w takiej dziurze – wymamrotał, marszcząc badawczo brwi. – Mówiłem, że znajdę cię choćby na końcu świata, ale nie musiałaś brać tego aż tak dosłownie. – Przetarł dłonią zakurzony, przeżarty rdzą znak, wyrastający z kępy przydrożnej bylicy. – I znalazłem – zachrypiał z zadowoleniem. Na tablicy widniała słabo widoczna nazwa miejscowości: Strzyżewo. Ta sama, którą poznał już blisko tydzień wcześniej, jako miejsce Jej aktualnej kryjówki. Musiał wprawdzie załatwić jeszcze kilka spraw nim wyruszył na poszukiwanie swojej własności, nie zajęło mu to jednak wiele czasu i oto stoi wreszcie niemal u Jej stóp. Odnajdzie Ją skoro świt (zapadający mrok nigdy nie napawał go optymizmem) i najpóźniej jutro wieczorem powrócą razem do cywilizacji. Wspaniałomyślnie wybaczy Jej ucieczkę i znów będą wieść normalne życie. Wzdrygnął się i ruszył dalej, czując chłód nadchodzącego zmierzchu. Powietrze wypełniał ciężki zapach. Jakby stęchlizna, pomyślał, a może nawet padlina. Słońce zachodziło zbyt szybko. *Zdecydowanie zbyt szybko* – zaszemrała ciemność. Poczuł nagle dziwny lęk, zawroty głowy i ciepły oddech na skórze. Ktoś szeptał mu do ucha. Czy to mrok, wiatr, czy sam diabeł – nie wiedział. Głos miał jednak Jej twarz, niepokojąco bladą, wręcz siną i nie milkł, choć pozbawiony był dźwięku.

Gdy w człowieku ziele sina otchłań, czy najszczersze nawet słowo ma jakąkolwiek moc tworzenia? Jak wypełnić drżącą poruszeniem pustkę, jak zasklepić rany otwarte bezlitosnym cięciem losu? Ile próżni pomieści jeszcze pęknięty serca dzban? Tyle, ile tylko sam zechcesz przyjąć od tego świata... – szepce mu do ucha. W końcu mężczyzna zatracą się w mistycznych frazach i przestaje dla niego istnieć wszystko poza ich dwojgiem – Strzygą i jej kochankiem.

W końcu toną w mroku, zupełnie jak Jej przeklęte zaklęcie zanika z każdym kolejnym słowem. Nie widzi Jej, nie słyszy – jednak domyśla się obecności.

– Ty płaczesz?

Płacze, choć wrodzona duma nie pozwala jej tego przyznać.

– Nie płacz. Albo... albo płacz.

Słowa więzną ci, nawet nie w gardle, lecz jeszcze w zamyśle.

– Co się stało? Powiedz, proszę.

To jasne, że nie odpowie. Nic nie powie. Będzie trwać w omdłym krzyku.

– Mogę ci pomóc? Zrobić cokolwiek?

Mógłbyś zacząć milczeć razem z nią. Mógłbyś, ale tego nie czynisz. Cisza sącząca się z jej rany wypełnia z wolna i ciebie.

– Ja...

Tak, ty... Już rozumiesz, kim jesteś, prawda? Zaczynasz się konstytuować takim, jakim być powinienes, jakim chce ciebie świat. Czy jest zaślepiony, że nie widzi jak cierpisz?

– Wiesz...

Owszem wie – nie to, czego nie potrafisz ubrać w słowa, ale wie. Więcej niż ci się wydaje. I więcej niż sama sądzi.

– To przeze mnie?

Przytakuje – w twojej świadomości. W rzeczywistości to tylko spazm żalu. Co przez ciebie? Przyznaj, sam nie wiesz. Skąd w tobie to dławiące poczucie winy, przecież nie może istnieć bez zbrodni. Może to przez pamięć? Może efektem metalicznej woni, którą spływają twoje drżące dłonie?

– Spójrz na mnie. Słyszysz? Powiedz coś.

Niby po co ma patrzeć? Niby co ma ci rzec? Pustka nie zna piękna ni radości. Nie wie, co to słowa, nie kontempluje obrazów. Pustka nie ocenia i nie feruje wyroków. Pustka jest karą, palącym piętnem, które nosimy na duszy i nie ma najmniejszego znaczenia jak zmyślnie będziemy ją maskować – będzie trwać niczym ponury cień. Przeklinać na nowo każdy dzień, który przywitamy o poranku.

Z kim ty w ogóle rozmawiasz? – zapytał eteryczny Głos. Jak to, z kim? – odpierasz atak siłą umysłu, po czym wysilas ten jeszcze bardziej, bo przecież sam nie znasz odpowiedzi na zadane pytanie. Samotność tak czasem działa na ludzi, zwłaszcza, gdy towarzyszy stałemu

gorącemu uczuciu lub tylko przywiązaniu, które, mimo kubłów zimnej wody i ton piasku zapomnienia wciąż uparcie nie chce zagasnąć. Podobny wpływ wywiera też strach. *Więc z kim?* – nalega głos. A co cię to obchodzi? – Starasz się wybronić. Już wiesz, że to co robisz nie mieści się w ramach normalności, mimo to brniesz dalej, bo już zatrzasnąłeś za sobą wrota przeszłości i nie ma dla ciebie powrotu. Spalasze się od wewnątrz, trawi cię nieopisany ból, lęk odbiera dech w piersiach. *Z kim rozmawiasz skoro jesteś sam?* Głos ma rację, to wariactwo. Tylko kim... albo czym jest ów dźwięk starający przywrócić ci trzeźwość umysłu? *Głosem rozsądku?* Na Boga, przecież słyszysz go nie mniej realnie niż wiesz, że nie ma prawa istnieć. To przecież jeszcze większe wariactwo! Nie prowadzisz już nawet dialogu wewnętrznego, a jakąś pieprzoną wewnętrzną dyskusję! Debatę szalonych jaźni, tak zwyrodniałych w swym dziwactwie, że wręcz niebezpiecznie normalnych! Jak świat... *jak ty.*

– Jak ja! – wykrzykujesz na głos, starając się zaszcześcić w sobie tę myśl. Przekonanie jest chwilą, czy jednak nie znamy chwil, które trwają wiecznie? Oczy wypełnia ci krwista poświata. Tak ciepła jak Ona, jeszcze przed chwilą. Tak lepka jak boleść pętająca twe ruchy. Niedawne „na Boga” wciąż jeszcze przebrzmiewa, wywołując skrajną irytację i narastający gniew w twej zbrukanej duszy. Dopiero teraz zwracasz uwagę na własne słowa, choć nawet nie jesteś pewien, czy je w ogóle wypowiedziałeś. Nie pamiętasz, ile z ostatnich godzin było twoim życiem, ile mogłoby być, o ile byś je pamiętał, a ile było jedynie senną marą. Nie rozróżniasz już słonych łez od szkarłatu kapiącej krwi – chyba żadne nie należały do ciebie...

Co to za miejsce? Nadchodzi poranek. *Połyскуje rosą – znów krople, ich upływ odmierza czas.* Jeszcze kilkaset i mgła skryje się pomiędzy źdźbłami. *Zaszydzi ze słońca.* Zwilży ziemię, by ta mogła rodzić.

Po co? Ty ją zwilżyłeś całkiem niedawno. Nie! To nieprawda! *Chciałbyś.* Wiem. *Wiesz, to krew.* To rosa. *Krew.* Gorączka. *Raczej furia.* Choroba, albo sen. *Krew na rękach.* ZAMKNIJ SIĘ W KOŃCU!

Dziwne. Zadziało. Mrugasz kilkakrotnie w oczekiwaniu na Głos. Ten milczy. Oglądasz się ostrożnie przez ramię. Początkowo coś cię niepokoi, po chwili rozpoznajesz własny cień. Nawet się lekko uśmiechasz. Przeszywa cię dreszcz, ale to nie przerażenie, jedynie dotyk chłodnego poranka. Tylko dlaczego zaciska się tak kurczowo na twej krtani?

– Boże! – zawołał mając nadzieję poruszyć Ziemię w posadach, lecz jego usta wydały

tylko żałosny, chrapliwy jęk.

– *Zapomniał o tobie* – mówi Ona z sardonicznym uśmiechem na trupiobladej twarzy, a Jej lodowate palce jeszcze mocniej zakleszczają się na jego gardle. – *Ale nie martw się, kochanie, my pamiętamy.* – Mężczyzna szarpie się w przypływie paniki, jeszcze walczy, mimo przerażenia. Ona jest jednak zbyt silna, Jej moc nie pochodzi z tego świata, jak i nie należy do niego Jej krew przenikająca plugawą ziemię aż do samego stropu otchłani. Pośród strzępów cuchnącej mgły majaczy jakaś postać z piórem w ręku. – *Spójrz, wszyscy przyszli cię powitać.* – Nieco dalej zarysowuje się sylwetka przygarbionej kobiety z miotłą u boku i dziesiątki innych, przyglądających mu się, zastygłych w bezruchu, ciał. Wyciąga dłoń w ich kierunku, lecz nie otrzymuje pomocy. – *To na twoją cześć.* – Wiatr zaczyna wyć w rytm przeraźliwego nokturnu. Konające oczy utrwalają ostatni już obraz spowitego oparem siarki, demonicznego Danse macabre. – *Odnalazłeś mnie, kochanie! Na końcu świata! W naszym nowym domu!* – potęguje się złowieszczy skrzek. – *Witaj w wiosce przeklętych!*

Sekret leśnej sadzawki

Marek Ścieszek

Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów. Pół minuty jazdy. Auto dotoczyło się niespiesznie, osiągając miejsce, gdzie dróżka, wijąca się pośród podmokłych lasów, rozgałęzia się w kształt mocno rozgiętych na boki dwuzębnych wideł. Zakreśliło w jedną z odnóg, u jej zaślepionego krańca zatrzymało się na chwilę, po czym podało tył w drugą. Na koniec wróciło na główną drogę, kanciastym ryjem zwrócone w przeciwnym kierunku, tym z którego przyjechało. Osiągnąwszy cel, zastygło w bezruchu i ucichło, wpatrzone podejrzliwie przed siebie niczym przyczajona bestia. Autem był wysłużony, blisko dwudziestopięcioletni polonez caro.

Już na zewnątrz, Helmut Knipple, sołtys ukrytego gdzieś wśród tutejszych lasów Strzyżewa, przeciągnął się niczym stary zmęczony kocur, ziewnął rozdzierająco i, nie zamykając jeszcze drzwi, czujnie rozejrzał się po okolicy. Baczniejszą uwagę zwrócił na niknący między drzewami kraniec meandrującej drożyny, skąd kilka minut wcześniej się wyłonił. Stojąc, oparty lewym łokciem o otwarte od strony kierowcy drzwi, łowił nikłe głosy lasu, próbując odsiać te, wieszczące zagrożenie, informujące o nieproszonych świadkach. Las w najbliższej okolicy był cichy, niemal całkowicie pozbawiony życia. Nie licząc okazjonalnych trzasków, jedynie z oddali delikatny powiew niósł odgłos pracowitego łupania dzięcioła, niemalże niesłyszalny.

W bagażniku, prócz zestawu kluczy, gaśnicy i trójkąta było coś jeszcze, leżące na popstrzonym brązowymi plamami dywaniku, pod którym, niczym skarb, ukrywało się koło zapasowe. Zwykły, szary wór z juty. Gruby i mocny, solidnie związany sznurkiem. Knipple ujął go w obie dłonie, pociągnął ku sobie, ten w odpowiedzi poruszył się niemrawo i wydał kilka chrząknięć. Mężczyzna mruknął pod nosem, pociągnął silniej. Wór uderzył o krawędź bagażnika, takie obcesowe traktowanie przyniosło spodziewany skutek. Niemrawe ruchy stały się energiczniejsze, chrząknięcia przybrały na sile.

– Mrucz se – rzekł sołtys. – I tak nikt nie usłyszy.

Zapewne ta smutna prawda dotarła również do stworzenia, zamkniętego w worze,

zaprzeszło bowiem chrząknąć. Wyraźnie natomiast nie poniechało prób odzyskania wolności. Wór wyrzussał się bezustannie, jakby wypełniono go setką rozwścieczonych węży.

Knipple szarpnął, skutkiem czego worek z głuchym odgłosem opadł na ziemię, pokreślona bruzdami korzeni niczym arteriami lasu. Odpowiedzią był przenikliwy protest zniewolonego stworzenia. Sołtys zamarł, ze wzrokiem utkwionym w prowadzącą do wyjazdu drogę. Nic. Żadnego odzewu.

Las epatował ciszą, zaś najbliższym ludzkim siedliskiem było Strzyżewo, dalekie i równie tajemnicze jak sam bór. Miejscowość potrafiąca dochować sekretu, nauczona dyskrecji od niepamiętnych czasów, gdy ludzi było zdecydowanie mniej, więcej natomiast bogów i obie te rasy zmuszone były wypracować zasady obopólnych kontaktów. Minęły tysiąclecia, spisane na kamieniu prawidła zmieniły się w pył, który rozwiał wiatr. Bogowie zostali wyparci przez potęgę, której nawet oni nie mogli się oprzeć. Ludzie natomiast są nadal. Ale nie tylko oni. Pozostały również niedobitki tych, którzy stali na straży minionego ładu. Istoty, do których stworzenia nie przyczyniła się Natura. W miejscach takich, jak Strzyżewo, bardziej niż gdziekolwiek indziej czuć było obecność owych istot. Gdyby się wybrać dalej, opuszczając śródleśną wieś w przeciwnym kierunku, po blisko dwóch kwadransach kluczenia krętymi ścieżkami dotarłoby się do niedużej polany, na której krąg siedmiu omszałych, nadgryzionych wodą i wiatrem megalitów otaczał kamienne schody, wiodące ku niebu – to w takich właśnie miejscach ludzie, pilnowani przez drapieżnych strażników, oddawali hołd bogom. Tam krew, nierzadko ludzka, wsiąkała niegdyś w kamień łatwiej niż w sypki piasek.

Sołtys, przygarbiony, pociągnął wór po ziemi, pomiędzy drzewa, żłobiąc w miejscami miękkim runie koleinę. Głos ofiary panicznym kwikiem niósł się w przestrzeń, odbijał się od drzew, rozpraszał i wracał zwielokrotnionym echem. Korzenie i łachy runa ustąpiły niebawem miejsca gruntowi wilgotnemu, grząskiemu, porośniętemu trzcinowiskiem. Knipple zasapał się, w końcu się zatrzymał, zagłębiony w bagno niemal po same krawędzie sięgających łydek gumowców.

Roztaczał się przed nim staw, nieduży, lśniący w słońcu, wciśnięty między drzewa niczym klejnot. Pośród zielonego liszaju rzęsy, upstrzonego żółtymi punktami grążeli, oleście połyskiwała gęsta jak zupa, błotnista woda. Knipple nie bawił się w rozwiązywanie supła, wydobyl z kieszeni prosty scyzoryk i pewnym ruchem przeciął sznurek. Ujawszy wór

za dolne rogi, dwoma wprawnymi szarpnięciami opróżnił go wprost nad błotnistą powierzchnią. Leśny staw przyjął daninę, objął ją czarnymi mackami i nie wypuścił.

Warchlak. Nieduży. Chlupnął w breję niczym kamień, nawet nie zdążył kwiknąć. Wyłonił się chwilę potem. Z zadartym do góry ryjem, ledwie wystającym ponad powierzchnię mógł jedynie łpać na oprawcę bladymi ślepiami.

Z usmolonym workiem w garści Knipple jął się cofać. Posuwisty mlaszczący krok za krokiem. Nie patrzył na warchlaka. Jego uwaga skoncentrowana była na głębszym fragmencie sadzawki. Na toni, która jeszcze pozostawała gładka i nieruchoma, lecz już wkrótce...

W lśniącym niczym kałuża rozlanej ropy lustrze wody odbijały się chmury. Jedynym życiem zdawała się być bagienna roślinność. Nie pojawiło się nad skrajem stawku żadne zwierzę, by zanurzyć pysk w wodzie i ugasić pragnienie, ani jeden żółtobrzezek nie przeciął kilwaterem nieruchomej toni, nie było nawet ropuch czatujących na liściach grążeli, bo i owadów ponad powierzchnią nie uświadczyloby nawet na lekarstwo – meszek, czy choćby tradycyjnych mieszkańców podmokłych terenów, komarów. Martwy spokój ukrytej w samym sercu lasu sadzawki. Nawet ptaki wołały odleglejsze połacie lasu.

Spokój pozorny. Prologiem, uwerturą, pierwszym aktem życia stały się bańki powietrza. Pojawiło się ich kilka. Pękły. Natychmiast wytworzyły się kolejne. Do tej pory płaskie lustro zafalowało. Jedna fala, od środka na zewnątrz, za nią druga, trzecia, kolejne. Knipple drgnął.

Pierwsza wyłoniła się głowa, łysa jeśli nie liczyć kępek bezbarwnych, rozmiękłych włosów porastających bezładnie czaszkę. Obrzydliwie białą skórę pokrywała sieć bruzd i brodawek, równie bladych. Pozbawione warg usta zdawały się być szczeliną, powstałą wskutek brutalnego pociągnięcia brzytwą. Język poruszał się po rzadkich pieńkowatych zębach niczym nabita na wędkarski haczyk dżdżownica. W ślepiach, w których dojrzeć można było równie dużo emocji co u ryby, odbijał się łebek walczącego o utrzymanie się ponad powierzchnią stawnej zupy prosięcia. Białka zajmowały całe gałki oczne, nie pozostawiając miejsca dla tęczówek i źrenic – dwie mleczne grudki zatopione w bezdusznej bryle lodu. Chuda szyja, kościste barki, gruzły kręgów, sterczące wzdłuż linii kręgosłupa na podobieństwo łańcucha wzgórz oraz pozbawione ciała, wychudłe ramiona dopełniały chwilowo wizerunku istoty. Niedużej, rozmiarów niespełna dziesięcioletniego dziecka.

Knipple widział ją już tak często w ciągu minionych trzech lat, mimo to za każdym

razem nie potrafił odwrócić wzroku. Było w widoku pożywiającego się stworzenia coś obrzydliwie prymitywnego i nieludzkiego, a jednak przyciągało uwagę, niemalże hipnotyzując. Również tym razem, stojąc na dającym bezpieczeństwo twardym gruncie, sołtys Strzyżewa obserwował zbliżającą się do prosięcia istotę. Jego wargi poruszały się bezgłośnie. Jeśli się modlił, to z całą pewnością nie do nowego Boga, bo ten nie miał zbyt wiele wspólnego ze stworzeniami takimi, jak to, które dotarłszy właśnie do celu, ujęło w obie dłonie szarpiącego się warchlaka. Trzask pękających kręgów był ledwie słyszalny z tej odległości.

Stworzenie przykucnęło w błocie i również nie spuszczać oczu z sołtysa, wgryzło się w różowe świńskie podgardle. Trysnęła krew. Wieprzek był niewiele mniejszy. Zanurzony po talie w wodzie stworek przywarł doń oburącz niczym tonące dziecko do wielkiej dmuchanej piłki.

W powietrzu wibrowała tajemnica, głęboka, lecz nieodparta. Czuć ją było nad tą leśną sadzawką niczym elektryczność tuż przed burzą.

Knipple powoli jął się wycofywać. Dopiero gdy drzewa zasłoniły stawek razem z trzcinowiskiem, odetchnął głębiej i przyspieszył. Prowadziła go ścieżka, którą w ciągu minionych lat wydeptał. Dotarłszy do samochodu, usiadł na klapie bagażnika, obok położył worek, po czym wydobył z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę. Odpalił i zaciągnął się, mrużąc z lubością oczy. Zasluchany w skrzyp drzew, szelest wiatru w gałęziach, w pojedyncze odległe ptasie pokrzykiwania zagłębił się w niewesołych myślach. Po kilku minutach, nie dopaliwszy papierosa do końca, zgasił go o tylny zderzak auta, wydrążył obcasem otwór w miękkiej ziemi i wrzucił doń stłamszony niedopałek. Przysypał i udeptał dokładnie. Ruszył w kierunku drzwi kierowcy i zamarł. Pokryty zeschlłym błotem worek wypadł mu z dłoni.

Tylne lewe drzwi samochodu były otwarte. Mężczyzna spojrzał w dół, na ziemię. Z ust wyrwał mu się jęk rozpacz. W rozmiękłym gruncie, obok jego śladów, widniały dużo mniejsze odciski stóp. Dziecięce. Nie musiał się długo zastanawiać, gdzie prowadziły. Jak też do kogo należały. Pytanie, jak chłopak zdołał się niepostrzeżenie ukryć – prawdopodobnie pomiędzy siedzeniami – chwilowo nie zdominowało myśli sołtysa Strzyżewa.

Knipple ponownie ruszył nad stawek, tym razem biegiem. Odpychał ramionami próbujące go zatrzymać gałęzie, nie bacząc na to, że drą na nim ubranie i ranią go do krwi.

Spomiędzy jego warg dobywał się zwierzęcy, przepełniony skrajnym przerażeniem warkot, nie do końca bez znaczenia. Uważne uszy dosłyszałyby imię jedyne­go dziecka Knipple’go. Ma-te-usz.

Zaledwie kilkanaście kroków od celu potknął się i wyłożył jak długi. W przedramieniu, którym w ostatniej chwili zasłonił głowę przed kontaktem ze sporym kamieniem, eksplodował ból. Oparłszy się drugą dłonią, spróbował wstać. Dłoń aż po knykcie zagłębiła się w gruncie o konsystencji zaprawy murarskiej, mokrym, przywierającym do palców jak rybi śluz. Otarł ją o umorusane spodnie, drugą dłoń, promieniującą bólem, przycisnął mocno do piersi.

Jego chłopiec stał po kolana w błocie, nie dalej niż piętnaście kroków od niego. Mimo to równie dobrze mógłby przebywać po drugiej, mrocznej stronie księżyca. Dookoła szumiały trzciny, ich długie, niemalże dorównujące chłopcu wysokością, łodygi gięły się ku powierzchni stawu, falowały jakby targał nimi huragan. Rzeczywiście, zerwał się wiatr, mimo iż chwilę wcześniej panowała względna cisza. Zaledwie kilka kroków od Mateusza, Knipple dojrzał nagą bladą istotę, która niegdyś była... Którą niegdyś kochał jak tego głupiego dzieciaka, ojcowską miłością – szorstką, zaborczą lecz niezmąconą. Istota nie zawsze bezimienna.

Michał. Takie imię wyryto trzy lata temu w nagrobnej płycie na strzyżewskim cmentarzyku, tuż ponad pustym grobem. Michał Knipple. Brat bliźniak Mateusza. Chłopiec, który wybrał się z ojcem na ryby i który zanurzywszy się raptownie w gęstej zdradliwej toni, już się z niej nie wynurzył. Przynajmniej nie jako dziecko z krwi i kości, o różowej pełnej życia skórze, piwnych oczach, krzyczące radośnie za każdym razem, gdy spławik znikał pod wodą.

Knipple wstał z trudem. Prawe przedramię zmieniło się w gniazdo kąsających żmij. Wyszedł spomiędzy drzew. Potknął się, ale utrzymał równowagę. Pokryte bielmem oczy zwróciły się w jego kierunku. Wykrzywione oblicze ociekało krwią prosięcia. Posoka, rozcieńczona wodą, pokrywała blady jak twaróg tors stworzenia.

Trzciny pokładały się pod rozwścieczonymi uderzeniami wiatru. Gałęzie otaczających leśny moczar drzew przyginały się ku Knipple’mu, jakby zamierzały go ująć i rozedrzeć. Fale rozproszyły rzęsę, jęły szarpać i potrząsać kłębkami grążeli niczym armadą okrętów, które należy bez litości posłać na dno. Koszula na grzbiecie sołtysa Strzyżewa łopotała wściekle. Sam Knipple ledwie utrzymywał się na nogach. Mimo to, przeciwstawiając się

naporowi mas powietrza, uczynił kilka kroków, wyciągnął zdrową rękę. Zapewne zamierzał błagać potwora, by oddał mu jedyne dziecko, jednak zakrył tylko ramieniem głowę i bez sił ponownie opadł na kolana. Wiatr wył, jakby strzyżewski sołtys obudził gniew starych bogów.

Knipple mógł bezsilnie obserwować jak ramię utopca wznosi się ku jego chłopcu, jak kościste palce muskają zaróżowiony policzek, zagłębiają się we włosach i przeczesują je ze zdumiewającą czułością. Oczy pozostawały jednak bezduszne, a usta nadal stanowiły bezkrwistą bliznę i nie należało się łudzić, iż wydadzą choćby jedno ludzkie słowo. Mimo to poruszyły się bezgłośnie. Ma-te-usz...

Bez dania racji, bez zapowiedzi wiatr ustał. Zapanowała cisza szokująca niemniej niż wcześniejszy żywioł. Biała postać odwróciła się powoli, po czym bez pośpiechu ruszyła w kierunku przejrzystszej tafli wody, stopniowo się zanurzając. Kiedy znikła, z gardła Knipple'go wydarł się szloch. Dotknął czołem mokrej ziemi, jego palce zagarnęły czarny piach.

Wystarczyła dramatycznie krótka chwila, by utracił jedno dziecko. Wydawać się mogło, iż nadprzyrodzone siły trzymające pieczę nad Strzyżewem i okolicą zwróciły je. Podarowano mu jednak lata, które najchętniej wymazałby z pamięci. Koszmar przywiązania. Mroczna strona rodzicielstwa tak silnego i tak niezmaconego, że nawet śmierć oraz coś znacznie gorszego, nie były zdolne go stłumić. Pozostało Knipple'mu jedno dziecko, lecz nigdy nie przestał kochać obu.

Poczuł na ramieniu delikatny dotyk. Drgnął.

– Michał – wyjęczał.

Oczywiście, nie mógł być to jego zmarły syn, nie poza granicą wody. Chłopiec, który stał nad nim, był wprawdzie pobladły, odzienie miał pomięte a włosy potargane, lecz z jego piwnych oczu nie wywierał jeszcze lęk a w żyłach niewątpliwie krążyła zdrowa czerwona krew.

– Jedźmy stąd, tatusiu. Chcę już do domu.

Nowogródek Pomorski, 11 czerwca 2012

Utylizacja

Marek Grzywacz

Las wypłuł granatowe kombi w momencie, gdy kierowca myślał, że już nigdy nie wyjadą spod sufitu drzew. Zaraz zobaczyli wioskę, na mapie oznaczoną jako Strzyżewo, choć ani przy zjeździe z krajowej, ani przed samą miejscowością nie widzieli żadnej tabliczki podpowiadającej gdzie się znaleźli. Rafał zaczął gwizdać pod rytm dobiegającej z radio technorąbanki. Oleg ścisnął mocniej kierownicę. Budynki przed nimi ledwo odcinały się od brązowo-żółtych liści, jakby natura litościwie wchłonęła marnie wyglądające chałupy i domy z burej cegły. Wyróżniała się tylko wieża niewielkiego kościółka na drugim skraju wsi. Za nią znów ciemna ściana sosnowego lasu. Otaczał on Strzyżewo z każdej strony, jakby obejmował je czule ramionami.

– Kurwa, nie mogę się skupić przez ten smród – powiedział Rafał, dłubiąc sobie długim paznokciem w zębach. – Otwórz szerzej okno!

– Zimno jest – odparł Oleg głosem wyzutym z emocji.

– Trzeba było pampersy kupić, czy coś – dodał niezadowolony pasażer.

Kierowca milczał. Zwolnił, gdy wjechali między chaty, które zresztą prezentowały sobą obraz nędzy i rozpacz. Zbutwiałe deski, sypiące się dachy, wyleniałe psy i wychudzone świny błakające się po podwórkach. Jak trzeci świat. Najbardziej ponure wrażenie sprawiał jeden z większych budynków. W połowie spalony; ostały się tylko usmolone ściany.

– Cholera, o konserwację zabytków, bo te chaty chyba starsze niż moja babka, to oni tu zdecydowanie nie dbają – wypłuł z siebie Rafał.

– Sklep – rzucił Oleg, gdy zobaczył małą budę z plackiem rozjechanej trawy obok, służącym zapewne za parking.

– I dobra, zatrzymuj wóz. Cola i chipsy chodzą mi po łbie od godziny.

Gdy wysiedli z auta, obaj natychmiast skierowali wzrok na staruszkę, siedzącą na obowiązkowej, przysklepowej ławeczce. Nie wyglądała na aż tak wiekową, jak sugerowałyby siwe strąki włosów. Prawie bez zmarszczek, za to z blizną na szyi grubości

trzech palców. Uśmiechała się, ukazując żółte, a we fragmentach całkowicie czarne uzębienie, po czym gołnęła porządny łyk z butelki taniego wina.

Gdy Oleg i Rafał się zbliżyli, uniosła rękę i zrobiła dłonią dziwny gest. Tak zwane rogi, które zwykle można zobaczyć tylko na koncercie jakichś długowłosych wydrzymord. Rafał minął ją bez zwracania uwagi, ale Oleg zatrzymał się i skupił spojrzenie na staruszce.

– O co biega, babcia? – spytał.

Kobieta przymknęła oczy i uśmiechnęła się szerzej.

– Ciągną się za wami bandaże – powiedziała, zadowolonym, choć mocno przepitym głosem.

Oleg pokręcił głową, splunął w przeciwnym kierunku i wszedł do sklepu za towarzyszem.

W środku zastali znudzoną, dość młodą ekspedientkę oraz pustawe półki. Rafał wziął colę z chodzącej zdecydowanie zbyt głośno lodówki, po czym stanął przed półeczką zastawioną paczkami chipsów marek nieznanymi. Wybierał smak. Za długo. Oleg nie cierpiał w nim braku profesjonalizmu. Ale cóż miał zrobić? Znudzony, podszedł do żującej gumę i wpatrującej się w przybyszy ekspedientki.

Postanowił zasięgnąć języka.

– Panna, co to za zjarana rudera kawałek dalej? – wykrztusił z siebie o wiele za długie, jak na jego przyzwyczajenia, pytanie.

– He. Tam była Ochotnicza Straż Pożarna – odparła dziewczyna, bardzo ubawiona.

– A wiesz kim jest ta baba, co pierdoli głupoty przed sklepem?

– Nie, nie wiem. Nie znam. To przecie taka aglomeracja...

Olega speszyła odpowiedź dziewczyny. Sarkastyczna wiejska sklepowa? To nie mieściło się w obrazie świata jaki preferował.

– To czarownica. – Ekspedientka zauważyła jego reakcje i pospieszyła z pomocą. – Każde zadupie ma taką, nie? Spokojnie, niegroźna jest. Czasem porwie i zje noworodka, ale poza tym to nikomu nie wadzi. A co, przestraszyła cię, panie kulturysta?

Oleg nie odpowiedział. Zaraz zjawił się Rafał, z trzema różnymi paczkami. Jego zdolności podejmowania decyzji miały widać pewne granice. Oleg nie czekał aż jego towarzysz zapłaci. Sklepowa puściła mu oczko gdy wychodził.

Nie mógł nie zauważyć, że staruszka zniknęła z ławeczki.

Samochód toczył się wolno po wyboistej drodze. Nie bez powodu. Oleg obserwował teren, zastanawiając się, dlaczego właśnie w okolicy tej wsi tamci postanowili wyznaczyć miejsce wymiany. Tak daleko od wszystkiego. Fakt, lasy wypełniały dyskrecję. Ale lasów jest pełno wszędzie, sprawy załatwiało się zresztą zwykle w opuszczonej fabryce pod miastem, a nie na końcu świata.

Ludzie Misiaka coś kombinowali. Oleg czuł to przez cały czas, więc nie pozwalał sobie na chwilę luzu. Z premedytacją utrzymywał się w stanie ciągłego napięcia, czego nie można było powiedzieć o Rafale, głośno szeleszczącym paczką chipsów i narzekającym na ich beznadziejny smak.

Oleg odnotował, że Strzyżewo różniło się od normalnych wiosek, przytulonych do głównej drogi. Budynki były rozproszone, jakby nikt nie chciał mieszkać zbyt blisko drugiej osoby. Do tych dalszych wiodły kamieniste, niemal nie używane dróżki, odbijające co i rusz w bok od asfaltowej szosy. Między domami kępy wyłysiałych krzewów. Oleg zastanawiał się z czego żyją miejscowi. Polana na której rozlokowano Strzyżewo była za mała, by zmieścić się na niej jakiekolwiek pole, a zwierząt hodowlanych widział tyle, co kot napłakał. Podobnie jak ludzi. Opustoszałe podwórza straszyły tylko sękatymi, powykrzywianymi płotami.

Może wszyscy jeździli na roboty?

– Pustka tu jak u naszego bossa w głowie. – Rafał pozwolił sobie na uwagę, za którą można zasłużyć na poprzetrącanie rąk.

Minęli też kościółek, dawno nie remontowany, ale i tak lepiej utrzymany niż większość domów. Zbudowano go z ciemnej cegły, tak, że na tle lasów w jesiennej szarudze mógł się wydać tylko plamą cienia. Zaraz po prawej mały cmentarzyk, a obok niego, tuż przy murze, błotnista droga z gigantycznymi koleinami wyżłobionymi przez opony traktora. Znikała w lesie paręnaście metrów dalej. Oleg bez zastanowienia skręcił w nią i zatrzymał auto przy oświetlonej zniczowymi ognikami kapliczce otoczonej młodymi brzoźami.

– Ej, co jest? – krzyknął Rafał. – Na odwiedzanie grobów ci się zebrało? Pierwszy dopiero jutro.

– Przewietrzmy się – oznajmił enigmatycznie Oleg.

Powietrze było jeszcze chłodniejsze niż wtedy, gdy wyszli do sklepu. Rafał zanurzył buty w gęstym błocku i zaczął przeklinać pod nosem. Oleg zaś ruszył na tył samochodu. Wziął głęboki oddech, po czym otworzył bagażnik.

– Nie wiem, czy to najlepszy pomysł – wtrącił Rafał szeptem. – A nawet kurewsko zły, ziomuś.

– Nikogo nie ma.

Zapach moczu był tak mocny, że zbierało się na mdłości. Oleg przemógł się, podniósł koc zasłaniający wnętrze i przykrycie.

Anka Misiak była cała i zdrowa.

Oddychała szybko. Praktycznie się nie poruszała. Wciąż naćpana, jej oczy spojrzały nieprzytomnie na porywaczy, ale nie rozpoznały ich. Otumaniona i sponiewierana karta przetargowa.

Oleg zasłonił dziewczynę i zamknął bagażnik.

Zapalił papierosa, nie zwracając uwagi na coraz bardziej zaniepokojonego Rafała. Zbliżył się do kapliczki. Wzrok go nie zawiódł. W środku nie było posążka ani obrazku Matki Boskiej, ani nawet krzyża. Znicze, kwiaty i świece otaczały zdjęcie jakiegoś mężczyzny, oprawione w tandetnie pozłacaną ramę. Musiało być stare. Nie był to portret, pokazywało całą sylwetkę wąsatego, chudego człowieka w eleganckim, choć staromodnym garniturze. Oleg zwrócił uwagę na jego prawą nogę. Była zdeformowana, cudacznie powykrzywiana. Wypadek czy wada obecna od urodzenia? Na pewno z chodzeniem miał problemy.

Oleg nie należał do osób wierzących. Nie pociągało go ani prawosławie, w którego duchu wychowywał go pochodzący zza Buga ojciec, ani katolicyzm matki. Ale miał pewność, że w takich kapliczkach zwyczajowo nie umieszczano zdjęć zwykłych ludzi.

– Mogę w czymś pomóc, panowie? – Męski, niski głos przerwał nagle ciszę.

Oleg odwrócił się szybko. Zobaczył postać w sutannie i kapeluszu. Ksiądz miał kilkudniowy zarost i czerwoną twarz, sugerującą, że chętnie oddawał się grzechowi pijaństwa. Jednak szare oczy kapłana zdawały się aż za bystre. Świdrował spojrzeniem nieznanym.

– Zastanawia mnie ta kapliczka, proszę księdza. – Oleg nie stracił zimnej krwi.

– Mianowicie?

– Tu nie powinna być Matka Boska, czy coś takiego. Nie jakiś facio?

– To nie „jakiś facio”. To Jędrzej Bednarczyk – stwierdził ksiądz, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Święty, tak? – Rafał włączył się do rozmowy.

– Nie. Miejscowy dobroczyńca. Po wojnie był dyrektorem szkoły, kiedy jeszcze działała. Teraz dzieci muszą dojeżdżać... W każdym razie, pan Bednarczyk zrobił wiele dla wsi. Niektórzy tutaj mają go za drugiego po Bogu, Boże przebacz, choć zmarł tyle dekad temu.

– Muszą go dobrze wspominać – przyznał Oleg.

Ksiądz pokręcił głową.

– Pan Bednarczyk nie był dobrym człowiekiem. Wręcz przeciwnie. Wielkie winy miał na sumieniu. Ale dał nam nieco oddechu. Trochę mniej martwimy się lasem, rzadziej budzimy się nocą...

Rafał spojrzał porozumiewawczo na Olega. Dając do zrozumienia, że ksiądz jest z pewnością dokumentnie szurnięty.

– A gdzie jest ta stara szkoła? – zapytał Oleg, ignorując jego starania.

Ksiądz uniósł brwi.

– A panom po co ta wiedza, jeśli można? Co panowie tu robią?

Rafał zbliżył się kawałek. W razie, gdyby musiał unieszkodliwić klechę.

– My przejazdem – powiedział Oleg.

– Przejazdem? – Ksiądz wydawał się bardzo zaskoczony.

– Tak. Ale jesteśmy, no, pasjonatami ruin. Zwiedzamy stare budynki i skoro już jesteśmy, chcemy zobaczyć tę szkołę. Podobno ciekawa.

– Prosto – odpowiedział kapłan. – Cały czas prosto, aż zobaczycie w lesie resztki chałup. Odbijecie w ich stronę.

– Dziękujemy – odparł Rafał.

– Szczęść Boże – powiedział ksiądz, po czym zniknął za cmentarnym murem tak prędko, jak się pojawił.

Odczekali chwilę, a potem wsiedli do auta. Rafał złapał Olega za ramię i spojrzał mu prosto w oczy. Widać było, że aż w nim się gotuje.

– Pojechało cię? – wrzasnął. – Zupełnie ci kurwa odbiło?

Oleg milczał.

– Mógł coś zobaczyć, rozumiesz? Skurwysyn mógł coś zobaczyć!

– Rozwaliłoby się – mruknął kierowca, odpychając Rafała ku szybie.

– Odstrzeliłbyś klechę w wiosze, w której nas widzieli? Dureń! Durak! Równie dobrze można zacząć rozwalać przechodniów!

– Odpierdol się – burknął Oleg i przekręcił kluczyk w stacyjce. – Musiałem sprawdzić,

czy ona żyje. Dużo dostała.

– Gównu musiałeś! – Rafał wpadł w prawdziwą furję. – Co, myślisz, że jak jesteś taki wielki, to nie dam rady cię zabić? Niby taki z ciebie kozak, jak z lat dziewięćdziesiątych, tylko dresu ci brakuje, ale jesteś cipa. Jesteś nikt. Nawet prawdziwy Rusek nie jesteś! Nie będę dupy przez ciebie nadstawiał! Pilnuj się, bo następnym razem...

– Spróbuj. – Oleg odpowiedział, przerażająco spokojnie.

Wyjechali z powrotem na główną. Wtedy, po raz pierwszy, natrafili na tablicę. Nazwę wioski ktoś przekreślił grubą krechą jasnożółtej, niemal fluorescencyjnej farby.

Las był coraz bliżej.

Słońce już zachodziło, przez co leśna głusza, skąpana w świetle gasnącego dnia, wydawała się nierealna. Jechali dość długo. Na mapie samochodowej nawigacji droga zdawała się krótsza. Oleg wypatrywał zrujnowanych budynków o których mówił księżulo. Bezskutecznie.

– Niedobrze – zaczął Oleg, zerkając na rzędy grubych pni po lewej i po prawej.

– Cykor obleciał? – spytał Rafał.

– Zasadzka.

Rafał pokręcił głową niedowierzająco.

– Mamy córkę ich szefa. Nie mogą sobie pozwolić na błąd. Będą się bali. Grzecznie oddadzą towar i zwiejemy z tego wypizdowia bez problemu.

– Mają przewagę. Las. Budynek, pewno duży. Jest gdzie się zasadzić – tłumaczył powoli kierowca, obserwując jednak uważnie drogę.

– Myślisz, że mają na tyle jaj? Cipki od Misiaka nawet na coś takiego nie wpadną.

– Będziemy uważać – stwierdził stanowczo Oleg.

Rafał już się nie odzywał. Wyjął z kieszeni kurtki pistolet i zaczął się nim bawić. Oleg nagle wcisnął hamulec. Pomiedzy drzewami dostrzegł zarysy czegoś, co mogło być drewnianą chatą. Obrócił kierownicę.

– To na pewno tu? – Rafał zapytał nerwowo, choć jeszcze chwilę temu podchodził do sprawy lekceważąco.

– Tu – Oleg był pewny.

Kombi zjechało z drogi pomiędzy drzewa. Samochodem trzęsło niesamowicie i Oleg znów zaczął się martwić o stan ładunku.

Miał nadzieję, że będzie to jego jedyne zmartwienie.

Wyglądało na to, że w lesie skryta jest druga wioska. Strzyżewo musiało być albo większe, albo przeniesione kawałek dalej, choć z drugiej strony drzewa były wysokie, wiekowe, a przesieka wąska i nieregularna. Kto stawiałby budynki w samym środku czegoś, co zdawało się być wręcz puszcza? Oleg nie szukał odpowiedzi. Był skupiony na zadaniu. Gdy tylko zobaczył ciemny, zaskakująco wielki gmach, wiedział, że trafili do szkoły.

Zatrzymał auto naprzeciwko budowli, przy przeźartej niemal do fundamentów przez zgniliznę i korniki chałupie. Stwierdził, że miejsce jest osłonięte. Gestem dał znak, by wysiadać.

Ani śladu żywego ducha. Tym bardziej ludzi Misiaka. Samochodów też nie dostrzegli, albo dobrze ukryte, albo zostawili je gdzie indziej.

Rafał rozglądał się, mierząc jednocześnie z pistoletu. Jesienny las był cichy. Owady już dawno nie cykały, ptaków też nie było słychać. Do dopełnienia atmosfery brakowało tylko snującej się mgiełki. Nozdrza atakował smród, wskazujący na bliskość mokradeł.

– Robimy tak. – Oleg starał się mówić szeptem. – Pewno czekają w szkole na nasz ruch. Bierzesz klamkę i idziesz. Ostrożnie.

– Dlaczego ja? – Rafał nie był przesadnie zadowolony.

– Jesteś szybszy. Ja jestem kloc, mi ciężiej zwiać. Dasz sobie radę.

– Ehe.

– Tylko ostrożnie, pamiętaj. Nie wiesz ile ich jest.

– I czy w ogóle są.

Zamilkli. Oleg podszedł do auta i jak najciszej się dało podniósł klapę bagażnika. Sprawdził, czy ma broń pod ręką.

– A ty? – dopytywał się Rafał, nie spuszczając wzroku z pustych okien byłej szkoły.

– Ja czekam – objaśnił Oleg. – Gdy tylko będzie coś nie tak, rób hałas. Wtedy krzyczę, że rozwalę gówniarę. Jak nie przystopują, rozwalam ją – dodał beznamiętnie.

– Niezły plan, ziomek. Tylko czy mnie usłyszysz? Oni ciebie?

– To las. Musi tu być zajebiste echo. Dobra, nie ma kurwa czasu. Leć.

Rafał wyjrzał ostrożnie zza ściany chaty. Brak ruchu. Okna nadal puste. Ruszył powoli, nie opuszczając broni. Nie wyczuwał na sobie niczyjego spojrzenia i zaczynał nabierać pewności, że ludzie Misiaka zrobili z nich idiotów. Mimo to starał się pokazywać, że ma

pistolet w gotowości. Nie prowokował. Ostrzegał.

Przeszedł przez pozbawione drzwi wejście do szkoły. Plecami trzymał się ściany i może przez to nie zauważył kilku mniejszych i większych „iksów” nad swoją głową, namazanych fluorescencyjnie żółtą farbą, która wydałaby mu się znajoma.

Oleg sondował wzrokiem drżącą dziewczynę w bagażniku. Marzył o papierosie.

Rafał nie musiał wyciągać latarki. W szkole było nadspodziewanie jasno, dzięki czemu mógł bez problemu przyjrzeć się pustym, pozbawionym mebli czy resztek pomocy edukacyjnych pomieszczeniom. Nikt nie powiedziałby, że kiedyś uczyły się tu dzieci. Nawet po farbie o przyjaznym oczom kolorze zostały już tylko ślady na niemal całkowicie obdrapanych ścianach.

Starał się nie hałasować niepotrzebnie. Nie bał się co prawda zaalarmować czających się gdzieś bandziorów. Był już stuprocentowo pewny, że nikogo tu nie ma. W tej ciszy dawno usłyszałby coś, co zdradziłoby obecność ludzi. Ale nie chciał narobić rumoru, który Oleg odebrałby jako oznakę niebezpieczeństwa.

Tępy pół-Rusek mówił serio o rozwaleniu dziewczuchy.

Rafał nie chciał, żeby córce Misiaka coś się stało. Nie dlatego, że jej współczuł i nie z powodu innych empatycznych bredni. Była zwyczajnie zbyt smakowita. Gdy trzymali ją w garażu na obrzeżach miasta, faszerując prochami, spróbował zakazanego owocu. Boss wyraźnie zakazał tykać ją w jakikolwiek sposób, ale gdy Rafał zobaczył te rozwijające się jeszcze piersi, te trochę za mało dziewczęce nogi, po prostu musiał. A, że nadarzyła się okazja... Dziwka i tak pewnie nic nie pamiętała, była naćpana jak cała impreza techno. Żal, że tatuś odezwał się tak szybko i przyrzekł oddać to, co ukradł. Rafał chętnie zaliczyłby drugie podejście, najlepiej z nieco ostrzejszym scenariuszem oraz bardziej świadomą aktoreczką.

Nagle zamarł.

Nie przesłyszało mu się. Coś stuknęło na górze. Jakby metal uderzył o gołą podłogę. Natychmiast porzucił myśli o przyjemności i skoncentrował się. Ruszył wolniej, stawiał kroki z delikatnością, o którą by siebie nie podejrzewał.

Wszedł po schodach na piętro, uważając, by nie poślizgnąć się na ptasich odchodach, szyszkach i sosnowych kolkach, których wszędzie było pełno.

Zdawało mu się, że stukot dobiegał z jednej z ostatnich sal, na samym końcu korytarza,

więc skradał się w tamtym kierunku. Nie mógł nie poczuć ostrego, nieprzyjemnego zapachu. Dopiero gdy był bardzo blisko zorientował się, że go zna. Tak pachniała krew.

– Co do kurwy... – bluzgnął, gdy zajrzał do pomieszczenia.

Na podłodze trzy trupy. Trzech prawdziwych bysiorów. Tylko jedna nietknięta twarz – Rafał rozpoznał Druciarza, jednego z ludzi Misiaka. Pozostali dwaj mieli kompletnie porozwalane głowy. Nie pojedynczym uderzeniem, o nie, ktoś walił ich w łby aż do rozwalenia czaszek, których zawartość wypłynęła tu i ówdzie na wierzch jako szaro-ciemnoczerwona breja. Z rysów została krwawa miazga, a Rafał prawie zwymiotował, kiedy zobaczył rozgniecione oko jednego z oprychów leżące gdzieś pod ścianą.

Jak tylko otrząsnął się z szoku, zwrócił uwagę na detale. A dokładniej na fakt, że na ścianie wisiały jakieś obrazki, przyklepione po obu stronach dużego okna. Nie widział z tej odległości co przedstawiają. Chcąc nie chcąc musiał wejść do sali. Myślał nawet, żeby zawołać Olega, ale ciekawość połączona z lękiem zwyciężyła.

Gdy niechcący wdepnął w kałużę krwi, aż nim szarpnęło, mimo, że widział już w życiu większe sieczki. To, co tu się stało, było jakieś inne, choć nie wiedział czemu.

Okazało się, że to nie obrazki.

Fotografie.

Trzy po jednej stronie okna, wyglądające jak wyjęte prosto z policyjnej kartoteki, przedstawiały bez wątpienia ludzi Misiaka. Ale twarze na dwóch pozostałych sprawiły, że Rafał, może pierwszy raz w życiu, poczuł zimny pot zrodzony z czystej grozy sytuacji spływający w dół po plecach.

Jedno zrobiono z ukrycia. Oleg gadał na nim przez swoją bajerancką komórkę. Na drugim był zaś on sam, uśmiechnięty, na rodzinnej imprezie. Taką fotkę nosiła w portfelu jego matka, przekonana, że syn wiedzie szczęśliwy, spokojny żywot z dala od rodzinnego miasteczka.

Pod oknem zobaczył zaś coś w rodzaju ławeczki, na której stały w rzędzie wypalone, białe świece.

Stał tak i gapił się na dziwaczny ołtarzyk, zupełnie nie wiedząc, co ma dalej zrobić.

Kiedy usłyszał za sobą stukot, pierwsze, drugie, trzecie uderzenie metalu o posadzkę, było już za późno. Odwrócił się za wolno, akurat, by zobaczyć czarną sylwetkę oraz trzymany przez nią brązowy kij, obity u dołu w lśniący metal.

Dla Rafała świat zgasł po pierwszym uderzeniu.

Oleg nie wytrzymał. Minęły długie minuty i nic się nie działo. Rafał spędził w szkole naprawdę sporo czasu, ale efektów nie było widać. Oleg nie powiedziałby, że się martwi. Raczej dobijała go niepewność. Zawsze wolał wiedzieć z czym ma się zmierzyć.

W dodatku robiło się coraz ciemniej, a użycie jakiegokolwiek źródła światła równało się zdradzeniu swojej pozycji.

Przykucnął przy bagażniku, nie zważając na cichutkie, ledwo słyszalne lęki, świadczące o tym, że działanie prochów trochę osłabło. Dziewczyna na razie się nie liczyła.

Gdy bacznie obserwował okna szkoły, usłyszał głosy.

Na pewno nie jeden. Co najmniej dwa, trzy. Męskie, nie było wątpliwości. Nie wiedział, co mówili, ale niespecjalnie kryli się ze swoją obecnością. Zdenerwowało to Olega. Jeśli byli na tyle pewni siebie, że hałasowali, to mogło ich być zdecydowanie za dużo.

Znów ktoś się odezwał, grubo, gardłowo. Bliżej. Oleg już wiedział, że zbliżają się od strony drogi.

Musiał szybko podjąć decyzję.

Spojrzał na trupio bladą zakładniczkę. Potem na naładowany pistolet w swojej dłoni. Zerknął jeszcze w stronę budynku i namyślił się.

Zostawił auto i zaczął się skradać, wykorzystując ruiny jako zasłonę.

Poruszanie się cicho nie wychodziło mu. Miał wrażenie, że każdy trzask patyka pod butem i każdy szelest suchych liści niesie się na wiele kilometrów. Starał się regulować oddech, ale pozostawanie w pochylonej pozycji przy jego masie było dość męczące.

Zbliżył się do drogi, prześlizgując się plecami po ścianie chaty, którą ujrzał pierwszą jadąc na miejsce spotkania. Policzył w myślach do trzech. Odważył się wyrzucić.

Nikogo nie było. Drogi zresztą też. Jej fragment wiodący od szpitala urywał się na wysokości resztek domu, zza których się wychylił.

W miejscu ledwo wyjeżdżonej ścieżki, którą tu wjechali, znalazł drzewa. Mnóstwo sosen o grubych pniach, a między nimi bezlistne drzewka o poskręcanych, cienkich gałęziach.

Wyszedł z ukrycia. Przyglądał się nowo powstałej gęstwinie, starając się jak najszybciej zrozumieć fenomen. Nie wierzył w znikające drogi. Ani w lasy wyrastające w czasie poniżej pół godziny. Ale czegoś takiego właśnie był świadkiem. Albo całkowicie stracił orientację przestrzenną i znalazł się w zupełnie innym miejscu niż myślał.

Mrugnął powiekami. „Złudzenie” nie zniknęło. Jeszcze raz. Nic. Przymknął oczy na

chwilę.

Otworzył. Droga powróciła, ale nie ta sama.

Teraz przypominała bardziej tunel. Drzewa rozsunęły się, układając sufit z co bardziej okazałych gałęzi. Rosły tak blisko siebie, że stworzyły niemal jednolite ściany. A przed Olegem, zaledwie kilkanaście metrów, zaczynała się ciemność.

Z niej dochodziły głosy. Tym razem charkliwe dźwięki nie układały się nawet w zdania.

Szukał wyjaśnienia. Zasnął? Niemożliwe. Nawet gdyby był zmęczony, napompowanie adrenaliną nie pozwoliłoby na drzemkę podczas poważnej roboty. Halucynacje? Jeśli tak, to wybrały sobie podejrzanie niewygodny moment by się ujawnić. Rozpylili jakiś gaz?

Nagle zauważył, że ktoś owinał długą wstęgę materiału wokół pnia najbliższego z drzew. Odcinała się od otoczenia swoją bielą i zdawała się być dość cienka. Oleg ruszył w jej kierunku, broń trzymając w gotowości. Dotknął materiału. Bandaż. Zwykły bandaż, trochę starawy.

W tym momencie przypomniał sobie co powiedziała mu baba sprzed sklepu.

Zdjął lewą dłoń z rękojeści pistoletu i wyciągnął z kurtki małą latarkę. Snop światła nie rozproszył ciemności przed nim. Ale dostrzegł następne kawałki bandażu i wiszące wyżej na gałęziach strzępy jasnych szmat.

– Kto tu jest!? – krzyknął. Nie dbał już o ukrywanie się.

W odpowiedzi gdzieś z góry, z koron drzew, spadł kłęb splątanych bandaży. Potoczył się po drodze w stronę zdezorientowanego Olega, jak te wyschnięte krzewy podczas westernowego pojedynku. Dopiero, gdy gangster podszedł bliżej zobaczył, że materiał opatrunków jest nasiąknięty jakąś ciemną substancją.

Kiedy zbliżył się do bandaży, coś złapało go za kostki i szarpnęło mocno. Stracił równowagę, runął twarzą na ziemię. Nieznana siła ciągnęła go jeszcze parę metrów do tyłu, szorując nim po twardym podłożu. Poczuł ból odrapanej skóry.

Uścisk zelżał i Oleg natychmiast zerwał się z ziemi. Podniósł latarkę. Zobaczył białe wstęgi. Spęzły z jego kostek. Poruszały się jak robaki albo węże. Jak żywe.

– Jaja sobie robisz!? – zapytał ukrytego twórcę tego spektaklu. – Wyłaż, kurwa, pokaż się!

Światło latarki zaczęło mrugać, potem zgasło całkowicie. Przysięgłby, że jeszcze chwilę temu nie było aż tak ciemno. Próbował coś wypatrzyć, ale widział tylko ściany z drzew.

Latarka zapaliła się z powrotem, sycząc przy tym dziwacznie.

Na środku drogi stała niska postać. Tak śnieżnobiała, że aż otoczona niedorzecznie jasną poświatą. Była owinięta od stóp do głów w bandażę, szmaty i skrawki prześcieradeł, jak mumia. Szła w stronę Olega, powoli, i z ruchów bioder odgadł, że pod warstwami materiału kryje się kobieta. Gracja poruszania się kontrastowała ze sztywnością ramion i tułowia, z przekreśloną na bok głową. Z nielicznych przerw między bandażami na głowie wystawały pasma jasnych włosów.

– Głupia pizda! – wrzasnął bojowo Oleg, po czym rzucił się ku leżącemu na ziemi pistoletowi. Podniósł upuszczoną broń, poderwał się. Nie mierzył. Wystrzelił parę razy w kierunku mumii. Białe płótna momentalnie zrobiły się ciemne w paru miejscach. Plamy krwi zaczęły się rozrastać i po sekundzie były już zdecydowanie za duże jak na efekt ran postrzałowych. Skryty pod materiałem człowiek musiał wykrwawiać się z wielu ran.

Oleg nie przejmował się tym.

Chciał znów nacisnąć spust, ale poczuł, że coś chwyta go za nadgarstek. Pistolet wypadł mu z dłoni. Coś zaczęło się także owijać wokół jego brzucha. Zdążył tylko spojrzeć w dół. Bandaże. Więcej bandaży.

Wtedy wystrzelił w górę.

Oleg wisiał wysoko, złapany w pajęczynę utkaną z bandaży. Owinięty był ciasno i rzucanie się, próby wyszarpięcia z kokonu spełzały na niczym. Jakby nie były to zwykłe pasma opatrunku, tylko grube liny. W pułapce tkwił zdawałoby się godzinami. Nad nim, wokół czubka sosny, wirowało małe tornado z białych strzępków. W środku unosiła się dziewczęca sylwetka. Skrawki materiału odlatywały na boki, niesione silnymi podmuchami. Widział postać coraz lepiej, światło ogromnego Księżyca pozwalało dostrzec każdy szczegół.

Krzyczał. Darł się z przerażenia, choć kiedyś, jako małolat, obiecał sobie, że już nigdy więcej nie będzie. Wyrwał się wtedy z kleszczy śmierci. Teraz ona upominała się o niego, wrzaski były usprawiedliwione.

Dziewczyna-niedziewczyna złapała się pnia drzewa. Ktoś wyrwał z niej płaty skóry, wilgotne mięso lśniło, a te miejsca, których nie okaleczono, pokrywały ciemne żyły świadczące o zakażeniu. Wiatr odrzucił włosy z jej twarzy. Na obliczu potwornej istoty nie został ani kawałek skóry. W czerwonej masie obracały się się pozbawione powiek oczy, wyłupiaste kule uwieńczone czarnymi tęczówkami. Zęby, nie zakryte ustami, szczyrzyły się uśmiechem z Piekła rodem.

Nie wydawała z siebie żadnego odgłosu. Syku, szmeru, jęku, gulgotu, ryku. Może to było najgorsze.

Maszka nawet poruszała się trochę jak pajak.

Wlaza na sieć z bandaży, aż zatrzęsło. Oleg chciał spaść. Byle jak najdalej od niej, spotkanie z oddalonym gruntem uznał za lepszą perspektywę niż cokolwiek, co ona zamierzała. Nie dano mu jednak spokojnie upaść. Pełzała ku niemu, powoli, jakby chciała podtrzymać jak najdłużej to oczekiwanie na najgorsze.

Gdy była już tak blisko, że Oleg czuł odrażający smród gnijącego ciała, oderwała ręce od białych lin. Miała długie, pokryte brudem paznokcie.

Jej oczy się cieszyły. Nie mógł tego inaczej określić.

Pazury dziewczyny wbiły się w twarz Olega. Szponiaste haki wpiły się w skórę tuż przy uszach. Ciągnęła. Zrywała. Cierpienia nie dałoby się opisać.

Oleg nie miał już siły krzyczeć. Razem z krwią spływającą z ran odpłynęły jego zmysły. Odrzucając wolniutko, metodycznie skórę pozbawiła go resztek rozumu.

Został ból i strach.

Dziewczyna z bagażnika próbowała się poruszyć, ale była tak zwiotczała, tak słaba, że zwyczajnie nie potrafiła. Chciała widzieć normalnie, czuć normalnie. Pragnęła wiedzieć gdzie jest i czyje wrzaski przywróciły jej odrobinę świadomości, której desperacko się trzymała.

Dziewczyna z bagażnika mogła tylko patrzeć.

Biała wstęga uniosła się na wysokość jej oczu, jak peryskop zaglądający do wnętrza samochodu. Falowała jak kobra tańcząca w rytm nut wygrywanych na flecie. Zaraz dołączyła do niej następna. I jeszcze jedna, coraz więcej, aż ułożyły się w z grubsza ludzką sylwetkę zakrytą warstwami bieli.

Widmo pochyliło się, wyciągnęło chude dłonie w stronę uwiezioną w samochodzie ofiary.

Nagle w bok mumii walnął długi kij zakończony metalową „stopką”. Uderzenie było tak mocne, że odrzuciło zabandażowaną istotę daleko od samochodu. Upiorna postać podniosła się i chciała ruszyć na napastnika na czworakach, jak zwierzę. Zatrzymała się jednak. Znieruchomiła. A potem zniknęła.

Czarna postać opuściła laskę i podparła się na niej. Rozejrzała się, spoglądając na

kulące się w krzakach, w starych chatach, skryte za drzewami i wiszące na gałęziach cienie o nie do końca ludzkich kształtach. Szeptaly. Wszystkie miały ochotę na niedobitki.

– Kysz! – Rozległ się krzyk.

Oczekujący zrezygnowali. Wycofali się, zbyt słabi, by przeciwstawić się nieoczekiwanemu zbawcy ostatniej żyjącej zabawki.

Dziewczyna z bagażnika otworzyła szeroko oczy. Wysoki, choć lekko zgarbiony mężczyzna zbliżył się do niej. Kiedy podchodził, zobaczyła, że nieznajomy kuleje. Ale wąsata, surowa, ale w dziwny sposób życzliwa twarz uspokoiła ją.

Dziewczyna z bagażnika poczuła się bezpiecznie. Usnęła jak dziecko.

Ostatnie ciało spadło z okna szkoły i uderzyło głośno o ziemię. Staszek nie podchodził nawet do zwłok. Już wiele razy to widział, wizyty w Strzyżewie stawały się rutyną i naprawdę nie widział potrzeby psuć sobie apetytu obcowaniem z trupami. Starczyło mu oglądanie kafara ze zdartą z całej głowy skórą. Dobrze, że łeb bandziora oblepiły już liście i ściółka leśna, trochę łagodząc widok gołego mięsa. Za to twarz, której mu brakowało, Owinięta położyła na widoku, na jego szerokiej klatce piersiowej.

– Chora sucz – mruknął Staszek mimowolnie.

Marcin tymczasem wyszedł z budynku. Nie oglądał się za siebie. Podbiegł do zostawionego przez gangsterów samochodu i do swojego kolegi.

– Farbą przydałoby się maznąć – oznajmił, pokazując palcem miejsce, gdzie znaleźli mięśniaka pozbawionego oblicza. – To nowość, zwykle zabijała w środku szkoły.

– Sołtys się opierdziela – przyznał Staszek.

– On nie ma już siły znaczyć nowych miejsc. Nawet nie wie pewnie gdzie nie należy teraz łązić. Widziałem go ostatnio. Spędza całe dni na skraju lasu i patrzy się. Po prostu, nic więcej, stoi jak słup i się jopi na drzewa – podkreślił Marcin. – Przepadł chłop.

– Jakoś się nie dziwię...

Marcin musiał przyznać w duchu rację koledze. Na dłuższą metę nikt nie wytrzyma naporu widm na Strzyżewo. To zawsze była przeklęta okolica i szkoda, że ludzie zapomnieli, że nie należy tu się osiedlać. Pomoc dziadka nie mogła trzymać z daleka wszystkich upiorów lasu na dłuższą metę.

Marcin cieszył się, że kontroluje on przynajmniej Owiniętą.

– Co zrobimy z dziewczyną? – Staszek wyrwał go z rozmyślań.

– Jest nieprzytomna. Musieli ją nieźle szprycować. Odstawimy ją na jakiś dworzec kolejowy czy coś. Tam ktoś ją znajdzie albo sama w końcu się ocknie.

– Jest ryzyko.

– Zawsze było.

Marcin podszedł do bagażnika kombi. Zawahał się, nie chciał zostawić śladów, ale zdjął rękawiczkę i dotknął przedramienia dziewczyny. Było ciepłe. Przesunął dłoń na nadgarstek córki Misiaka. Puls wydawał się stabilny. Dobre i to.

– A znalazłeś, no wiesz, towar? – zainteresował się nagle Staszek.

– Niestety. Nic nie mieli. Chyba zamierzali po prostu rozwalić tamtych.

Staszek wydawał się zrezygnowany. Miał nadzieję, że przechwycą i narkotyki.

– Myślałem, że nie przyjadą. Nie Misiakowi, tamci drudzy – powiedział. – Jak można być tak głupim?

– Słyszeli zew – odpowiedział tajemniczo Marcin.

Staszek nie był do końca świadomy siły przyciągania tego miejsca. Strzyżewo samo wybierało, kogo wpuści, a komu oszczędzi marnego losu, ale gdy już złapało nieszczęśnika, to nie wypuszczało.

„Tej ziemi nie należy słuchać” – mówiła często ciotka.

Jędrzej, dziadek, on się poddał. Kiedy inny zakrywali uszy poduszkami, udając, że nocne nawoływanie to ułuda, ślad po zabobonie, Jędrzej zaczął nasłuchiwać. Wiedział co otacza Strzyżewo. Wierzył, że ta ziemia zabiera życia, kradnie ludzkie tragedie, by potem przywrócić je światu w postaci upiorów. Lecz także nabrał przekonania, że jeżeli jej posłucha, może da się ją udobruchać. Strzyżewo szydziło z jego starań i, w odruchu złośliwości, kazało mu zrobić najgorsze.

Porwał dziewczynę. Obdzierał ją ze skóry żywcem, myśląc, że składa lasom ofiarę na przebłaganie. Potem owinał w szmaty i bandażę, pogrzebał na terenie swojej szkoły.

Tak stworzył Owiniętą. Najwściekłe dziecko Strzyżewa.

Odpokutował za to. Nieświadomi natury wioski mieszkańcy, sprowadzeni po wojnie i budujący tu prężnie miasteczko, zaczęli ginąć. Domy opuszczono. Szkołę zamknięto. Las z chęcią pożarł nowe zabudowania, tak jak zjadał wszystko od stuleci. Dziadek został sam, co noc goszcząc upiora, którego powołał do życia. Aż znalazł sposób. Złożył drugą ofiarę. Z samego siebie. Oddał się ziemi, by ta pozwoliła mu wiecznie nadzorować Owiniętą i choć trochę ulżyć pozostałym w Strzyżewie nieszczęśnikom w ich batalii z mrokiem.

– Hej, zawiesiłeś się? – Staszek zawołał do kumpla. – Ruchy. Mamy jeszcze kupę roboty. Samochodów trzeba się pozbyć, trupy do bagna wrzucić, a jutro do roboty wstać trzeba.

– Tak. Sorry, jakoś tak dziś nie kontaktuje – odparł Marcin, wpatrzony w budynek szkoły.

– To szkoda. Jak tak dalej pójdzie, w końcu damy się zauważyć.

Staszek przesadzał z ostrożnością. Nie był stąd, nie rozumiał. Mogliby nawet nie ruszać zwłok, nie zacierać śladów. Dziadek nie pozwoliłby, by ktoś wpadł na trop ich przedsięwzięcia. Chętnie pomagał. Odkrył to ojciec, za którego Owinięta pozbyła się wścibskich esbeków. A teraz wykorzystywał to Marcin, aby choć trochę oczyścić ulice miasta w którym przyszło mu pracować.

Załadowali więc zwłoki bandytów na przykrytą folią pakę furgonetki. Już kończyli, gdy rozległ się sygnał telefonu. Staszek aż podskoczył. Spojrzał na kolegę z wyrzutem.

– SMS od ciotki. – wyjaśnił Marcin, uśmiechając się głupio.

„I jak, posprzątaście?” – wyczytał z ekraniku Nokii.

Przyrzekł sobie, że kupi ciotce cały karton wina. Bezbłędnie wypatrzyła oprychów, którzy byli na tyle głupi, żeby zwyczajnie wejść sobie do sklepu. Dzięki temu mogli wyjechać ze Staszkiem w odpowiedniej chwili. Ciotka była bystrzejsza niż o niej mówili.

– Ja pierdołę – bluzgnął Staszek, zażenowany postawą kumpla. – Z twoją dyskrecją to niedługo cała komenda będzie wiedziała w co bawimy się w cywilu.

– Spokojnie. Jesteśmy, było nie było, w środku cholernego lasu.

Marcin już miał wsiadać do furgonetki, gdy przypomniał sobie o jeszcze jednej ważnej sprawie.

– Czekaj no. Zapomniałem – powiedział.

– Daj spokój. Chcesz tam wracać? – Staszek nie krył obawy w swym głosie.

– Chwilka. Poczekaj, okej?

Marcin podbiegł w kierunku szkoły. Zanurzył się w ciemnym wnętrzu. Wszedł ostrożnie na drugie piętro, przyświecając sobie policyjną latarką. Wszedł do pomieszczenia, opróżnionego już z trupów, ale nadal śmierdzącego jak rzeźnia.

Wyjął z kieszeni kurtki kilka fotografii, które wydrukował rano w komendzie. Przyczepił taśmą klejącą do okna. Potem postawił świeczkę. Zapalił. Płomień wydawał się słaby

Poczuł powiew powietrza od strony wejścia, tak lekki, że nieomal nieistniejący. Dziadek przyszedł po nowe zadanie. Marcin podziękował mu milcząco za wszystkie przysługi.

Niedługo następne męty usłyszą wołanie, choć nawet nie będą o tym wiedzieć. Strzyżewo ich przyciągnie. Takich zawsze wita z otwartymi ramionami.

Przyjaciel z dzieciństwa

Szymon Adamus

– Sylwia, kochanie, nalej mi jeszcze jednego.

Gdy wprowadził się kilka dni temu, to „kochanie” bardzo działało jej na nerwy. Jednak z czasem się przyzwyczaiła. Tak jak do innych jego dziwactw.

– Wiesz, że to nie jest bar?

Spojrzał na nią znad grubego szkła do whisky i nie rezygnując z zawadiackiego uśmiechu postarał się, by ani jedna kropla nie zasłaniała jego dna.

– Powtarzasz to od początku, a później i tak lejesz... Mnie i sobie.

Rzeczywiście powtarzała. W jej domu nigdy się dużo nie piło, a bądź co bądź to nadal był jej dom. Nawet jeśli jego połowę dzieliła z każdym przejezdnym, który miał dostatecznie dużo gotówki, by zapłacić za nocleg ze śniadaniem i na tyle mało rozumu, by zatrzymywać się w tej dziurze. Miastowi to lubili. Ten swąd natury, o którym tak wiele słyszeli z National Geographic. Za możliwość rąbania drewna dopłacali ekstra. Wariaci.

– No więc kochanie, jak będzie?

Bystre oczy wciągały ją w błękitną głębię i już wiedziała, że tej nocy staną się dwie rzeczy. Stojące na blacie recepcji szklanki nie zaznają suszy, a ona znów wyląduje z nim w łóżku.

Zjawił się w Strzyżewie tydzień temu. W wytartym płaszczu, który bardzo dawno temu był chyba czarny i z niewiele bardziej zadbaną teczką. Nie miał walizki na kółkach. Nie przyjechał taksówką. Po prostu wszedł do wioski, jakby wracał do domu.

– Jestem Norbert. Masz wolne pokoje? – zapytał po odczekaniu kilku minut przy ladzie recepcji. Polubiła go od razu za dwie rzeczy. Po pierwsze patrzył jej w oczy, a nie na wydatny dekolt. Po drugie nie użył tego cholernego dzwonka, który miała na ladzie. Sama go tam postawiła kilka lat temu, bo miała dość wykrzykujących gości. Nienawidziła jednak do cna jego brzęku.

– Pokoje mam tylko cztery. Jeden może być twój, ale dopiero po południu. Goście łowią jeszcze szczupaka.

– To jakaś przenośnia?

– Biorąc pod uwagę ich rezultaty ich wędkowania, to w sumie tak.

Zaśmiał się gromko odsłaniając zęby, których biel kontrastowała z kruczoczarnymi, mocno zmierzwionymi włosami.

– Jeśli mogę usiąść w tamtym fotelu – wskazał na już leciwe siedzisko przy wejściu do sali gier – i poczęstujesz mnie kochanie szklanką wody z lodem, to poczekam.

– Fotel jest twój, wodę dorzucę na mój koszt. Tylko nie mów do mnie „kochanie”.

– Nie mogę obiecać – odparł patrząc w jej szkarłatne oczy, po czym obrócił się na pięcie. Gdy odchodził, ona spuściła wzrok dużo niżej. Nawet przez długi płaszcz jego krągłości nie pozwalały skupić się na niczym innym.

Tego samego wieczoru urządzała pożegnalną partyjkę pokera dla gości. Sześcioro znajomych postanowiło dla odmiany nie jechać na urlop do Chorwacji, tylko zaszyć się w jakiejś dziurze i zażywać rozkoszy prostego życia. Oczywiście w granicach rozsądku. Ciepła woda, śniadanie w postaci szwedzkiego bufetu i „szybki” Internet w pokoju były granicą komfortu, poniżej której nie chcieli schodzić. Zostali u niej dwa tygodnie, zostawili górę napiwków i narąbali drewna na całą zimę, więc nawet ich polubiła. Pożegnalny poker miał być szansą na podziękowanie i oskubanie ich z ostatnich zaskórniaków przeznaczonych na wypoczynek.

Napakowany Darek, bystry Jacek, zezowata Jola i cystacka Patrycja zasiedli do stołu o szesnastej. Farbowana blondyna Malwina i jej przesłodzony kochaś Juliusz, nie grali. Woleli siedzieć na kanapie obok i bardzo wytrwale się macać.

– Może do nas dołączysz? – zawołała do Norberta, który nadal zanurzał się w fotel. Na kolanach trzymał niewielkiego laptopa, którego ekran rozświetlał jego twarz upiorną bielą. Drgnął nagle jak ryba wyciągnięta siłą z wody i po sekundzie miał już na sobie nieskazitelną uśmiech.

– A w co gramy?

– Pokerka.

– Na śmierć i życie?

– Dla zabawy.

Spojrzał najpierw na nią, potem na wszystkich graczy, z których każdy był już na tyle wstawiony, by nie zwracać uwagi na zamieszanie, po czym wstał, podszedł bez słowa do stołu i rzucając za siebie płaszcz rozpiął schowaną pod nim marynarkę.

– Więc wygrajmy trochę pieniędzy! – powiedział w końcu, patrząc na nią i tylko na nią.

Cztery godziny później lokatorzy zdecydowali, że w związku z opróżnieniem dwóch mocnych butelek oraz absencją Malwiny i Juliusza (którzy poszli się bzykać do lasu), muszą zostać jeszcze jedną noc.

Po kolejnych trzech godzinach na stole nie było już żadnej pełnej flaszki i tylko dwie góry żetonów ustawione po przeciwnych stronach. Miastowi spali lub śniali się ledwo przytomni. Ona grała z nim do rana. Po wszystkim, w bardzo prosty sposób rozwiązała problem ulokowania nowego gościa. Zaprosiła go do swojego pokoju. Nic nie podniecało jej bardziej niż zgarnięcie kilkuset złotych z pokerowego stołu.

– Więc co tutaj robisz? – zapytała go tamtej nocy delikatnie gładząc spocony płaski brzuch. Pod koniuszkami jej palców pojawiła się gęsia skórka przyjemnie stawiając delikatny opór.

– Co masz na myśli?

– Strzyżewo to nie jest miejsce, do którego wpada się na partyjkę pokera i z nadzieją, że zaliczy się bardzo seksowną hotelarkę.

Uśmiechnął się szczerze drapiąc zadziornie jej plecy.

– Więc? Co tu właściwie robisz? – powtórzyła, gdy już przeszły jej drgawki.

Leżał obok niej cicho, oddychając spokojnie. Trwało to dostatecznie długo, by zaczęła zastanawiać się, czy aby na pewno zapytała go na głos. Gdy już miała powtórzyć, powiedział:

– Jestem tu dla ciebie.

I kochali się ponownie dziko i namiętnie, pozwalając by świat wirował jak szalony.

Gdy słońce zalało jej twarz, zarzuciła na głowę poduszkę. Gdy ćwierkanie ptaków siedzących na parapecie nie ustawało, pchnęła nogą okno. Gdy jej nozdrza zaatakowała nieposkromiona woń smażonego boczku, skapitulowała. Przetarła kilka razy oczy, zarzuciła na siebie prześcieradło i zwlokła na dół w poszukiwaniu jedynych dwóch rzeczy, jakie miały

teraz znaczenie. Wody i jedzenia.

– Cudownie, że wstałaś. Jajecznica będzie za chwilę gotowa.

Stał przed kuchnią w wytartych dżinsach i niczym więcej. Nawet z korytarza czuła jego wodę po goleniu przedzierającą się przez zapachy upragnionego śniadania. Obejrzał się na nią lekko przymrużonymi oczami. Miał cieplejszą twarz niż wczoraj. Wyglądał na wypoczętego i zadowolonego. Podobnie jak ona. Jedną ręką ruszał cały czas drewnianą kopystką, a drugą wskazywał na ladę recepcji. Podeszła do niej jak w amoku i dopiero poza granicą odurzających zapachów zauważyła odręczną notatkę na blacie. Miastowi zostawili ją wraz z czynszem za ostatnią noc i kolejnym, słonym napiwkiem.

– *Dziękujemy za gościnę* – brzmiało ich ostatnie zdanie, które przeczytała, nie starając się już powstrzymywać ziewania. Zakrywając usta dwiema dłońmi puściła prześcieradło, które jak to zwykle bywa, niesfornie zsunęło się z jej piersi wprost na ziemię. Zapewne zdążyłaby je podnieść, gdyby nie zerknęła na ścienny zegar. Dochodziła czternasta. Kilka sekund później poczuła już ogrzewający uścisk jego silnych ramion i wiedziała, że nie ma sensu się zakrywać. Szkoda czasu.

W podobny sposób minęły im kolejne dni. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mimo środka sezonu, nie było nowych gości. Zresztą nawet, gdyby się pojawili, to chyba by ich odprawiła z kwitkiem. Za dobrze się bawiła. Jak głupia nastolatka na wakacjach. Jedli, pili, spacerowali po okolicy ignorując stare baby wypatrujące z okien i raczyli się wszelkimi innymi rozkoszami ciała i umysłu. Ona słuchała stukotu klawiszy jego komputera, a on udawał, że nie widzi, jak go obserwuje. Rozmawiali o tym, że pisze, chociaż nie chciał powiedzieć co. Oraz o tym, że w głębi duszy się jej tu podoba, tylko czasem udaje tęsknotę za wielkim światem.

– Wyjedziesz kiedyś? – pytał głaszcząc jej mokre włosy.

– Nie sądzę. Nie. A ty jak tu w ogóle trafiłeś? – dodała po chwili, zmieniając temat.

– Wiesz... Sam już nie pamiętam. Co ty ze mną robisz dziewczyno!

Zachichotała jak uczennica.

– Dasz mi przeczytać coś z tego, co piszesz?

Wstrzymał oddech na ułamek sekundy, po którym uśmiechnął się równie pięknie jak zawsze i pogłaskał ją po głowie.

– Nie jest jeszcze gotowe. Może później.

Przytaknęła mu, nie mogąc jednak przestać myśleć o dźwięku klawiszy, w które uderzał delikatnie gwałtownie kilka godzin dziennie.

Tej nocy obudził ją, gdy księżyc przejął już panowanie nad całym niebem. Nie rzucał się na łóżku, nie jęczał, nie krzyczał... Jednak każdy mięsień jego ciała naprężył się jak struna. Skórę miał lodowato zimną. Oczy pod powiekami nie przestawały się ruszać. Bała się go dobudzić niepewna jego reakcji. Zamiast tego wyslizgnęła się spod przykrycia i stanęła przy otwartym oknie. Noc była gorąca. Powietrze pachniało skwarem minionego dnia. Czuła jednak, że kropli potu spływającego po plecach nie wywołała wysoka temperatura. Norbert leżał na łóżku nadal nieruchomy, a jednocześnie pełen emocji. Emocji, które rozpoznawała intuicyjnie, nie mogąc jednak jeszcze określić ich słowami. I właśnie wtedy, gdy na plecach czuła mrowienie, a w nosie kręciło ją od emocji, przypomniała sobie o jego komputerze. Nie rozumiała tego swojej reakcji, ale i nie potrafiła jej opanować. Sięgnęła na oślep w mrok i chwyciła silnie urządzenie. Czując chłód plastiku obudowy komputera na nagich piersiach wyszła z pokoju nie zapalając światła. Świat wirował przed jej oczami gdy stawiała laptopa na nocnej szafce w korytarzu. Odchylając monitor niewidzącym wzrokiem docierała dalej niż kiedykolwiek wcześniej, nie mogąc przypomnieć sobie teraźniejszości nawet na czas jednego oddechu. Sięgnęła ku przyciskom dłonią, tak pewną, że mogłaby teraz chwycić nią skalpel. Nie bała się. Nie czuła w zasadzie nic. Chociaż... Tak. To musiało być podniecenie. Skórę miała coraz gorętszą. Pod spodenkami od piżamy poczuła mrowienie. W ustach zdawał się dominować lekko metaliczny, słodkawy smak, którego jeszcze nie rozpoznała, ale już kochała. Nie musiała przecierać oczu. Gdy reszta świata zanurzyła się we mgle, wydało jej się, że klawiatura jaśniała blaskiem silniejszym niż latarnia. Chciała, by ktoś jej dotykał. A ona jeszcze silniej pragnęła być tym kimś. Uśmiechnęła się delikatnie, niemal jak mała dziewczynka prosząca o lizaka i przesunęła palce na przycisk włączenia komputera.

– Co robisz? – usłyszała nagle, a cały świat wylał się na nią jak wiadro pełne lodowatej rzeczywistości.

– Ja... ja.

– Chodź Mała. Chyba lunatykujesz.

Przytulił ją mocno i już nie był zimny. Już nie napinał mięśni jak przed ogromnym wysiłkiem. Gdy tulił ją silnie w łóżku czuła spokój topiący bez litości ostatnie cienie przerażenia. Mgła ustąpiła. Żar spłynął z niej natychmiast. Zaledwie po kilku wdechach

pozwoili by piaskowy dziadek sypnł jej w oczy magicznym pyłem i zabrał do swego królestwa. Dopiero wtedy, gdy jej powieki zamknęły się spokojnie, a oddech wyrównał, leżący obok niej mężczyzna otworzył oczy. I nie zmrużył ich już do rana.

Powietrze poranka szczypało w nos ledwo wyczuwalną rosą. Kochała zapach mokrej trawy i nie mogła się już doczekać jesieni, gdy poranna wilgoć będzie unosić się dłużej. Zetnie wtedy trawę, którą teraz dopiero co posadziła na świeżej ziemi, usiądzie na ganku z ulubioną książką i będzie saczyć chłodne piwo, aż do momentu, gdy wieczór zmusi ją do ukrycia się w środku.

Tymczasem przysłoniła lekko okno, wpuszczając do jadalni nieco cienia i z rozkoszą wgryzła się w kielbaski, które Norbert podsmażył perfekcyjnie.

– Co chcesz dzisiaj porobić? – zapytała, nie martwiąc się o buzię wypchaną śniadaniem. Mrużyła oczy gryząc pomidora, więc nie zauważyła wzroku Norberta śledzącego każdy centymetr jej twarzy. Gdy przełknęła ostatni kęs soczystego warzywa, uśmiechał się już do niej zza szklanki soku pomarańczowego.

– A co tu jeszcze można robić?

– Iść na kolejny spacer, popływać w jeziorze, zjeść coś parszywego w knajpie, wypić piwo z żułami pod sklepem... Bo ja wiem. Bzykać się – dodała po chwili rozbawiona. Humor miała tego poranka znakomity. Nie mogła sobie przypomnieć jakiegoś ciekawego snu, który miała tej nocy, ale już przestawało ją to dręczyć.

– Brzmi świetnie.

– Co?

– Wszystko.

Zaśmiali się jednocześnie, po czym równie zgodnie, wygłodniali, rzucili na resztki jedzenia.

Dzień był długi, męczący i nieopisanie satysfakcjonujący. Odhaczali kolejno wszystkie pomysły z jej listy z zaangażowaniem i radością. Zmieniali tylko kolejność i natężenie, tak by na przykład zimne piwo pod sklepem dodało im trochę odwagi na wskoczenie do jeziora bez ubrań. Lokalne kwoki obgadywałyby ją zapewne przez kolejne dziesięć lat, gdyby ją zobaczyły. Na szczęście nad jezioro wybierali się tylko licealiści ze zbyt długimi wakacjami i zbyt pustymi kieszeniami, by móc spożytkować je sensownie. Cieszyła się, że jej goły,

mokry tyłek był w stanie złamać nieco monotonię ich życia.

– Cześć Adaś. Jak tam? – zagadała do syna jednego z rolników, który nawet nie próbował udawać, że nie patrzy na mokry ręcznik owinięty wokół jej piersi. Minę miał kompletnie nieobecny. – Hej! Jesteś tam? Chyba odleciał – zażartowała do Norberta, jednocześnie wypinając jeszcze bardziej swoje krągłości.

– C... Co? A! Tak, tak!

– Co tak?

– A o co pani pytała?

– Chryste Adam, mówiłam ci już, że jestem Sylwia. Jak mi mówisz na pani, to się czuję jak twoja ciotka.

– Nie mam takiej ciotki – wydukał chłopak cały czas próbując chociaż przez kilka sekund utrzymać wzrok na jej twarzy. Bezskutecznie.

– No mam nadzieję! – odpowiedziała szybko, mierzwiąc mu jednocześnie włosy. – Musisz popracować trochę nad gadką przed rozmową z Martą Józwiaków.

Chłopak otrzeźwiał na chwilę i wyprostował się jak tyczka.

– Martą? Ale ja nie...

– Dobra, dobra. Daj spokój. Przecież mi mówiła, że nie spuszczasz jej z oka.

– Tak?

– Jasne. Wpadnijcie kiedyś razem do mnie. Mam taki jeden fajny stolik w rogu jadalni. Zasłania go ta duża paproć, której nienawidzę, bo za cholerę nic za nią nie widać.

Puściła mu oko i odwróciła się na pięcie, by mógł ze spokojem zaczerwienić się w samotności. Będzie miał co opowiadać kolegom po wakacjach.

– To doby chłopak, tylko pechowy – powiedziała Norbertowi, gdy weszli na leśną ścieżkę. W cieniu drzew było znacznie chłodniej, więc nie miała zamiaru odmawiać uścisku swojego towarzysza. – Jego matka pracuje w mieście w przetwórni mięsa, a ojciec zamiast orać pole, opróżnia sklep z taniego wina. Co roku wydajność spada mu chyba o hektar. Niedługo będzie mógł najwyżej sadzić marchewki w ogródku.

– Szkoda chłopaka. Wydawał się w porządku.

– Jest. Tylko musi wreszcie znaleźć sobie dziewczynę, bo nadgarstki mu poodpadają.

– Jezu, Sylwia!

– A ty coś taki oburzony? Myślisz, że nie wiem, czym się zajmują chłopcy, gdy nikt nie patrzy?

Szczypała go po boczach z satysfakcją patrząc, jak wiję się ze śmiechu. Po czym uciekła w stronę domu dostatecznie szybko, by musiał naprawdę ją gonić, ale nie na tyle, by stracił z oczu. Przed samymi drzwiami udała zmęczenie i pozwoliła się dopaść. Faceci byli dla niej zawsze jak otwarta książka. Kochali ganiać za spódniczkami prawie tak samo, jak je ściągać. Ważne tylko by zawsze byli górą i mogli podbudować swoje ego.

Gdy rzucił ją na stół w korytarzu chciało się jej trochę śmiać. Ale potem zaczął całować ją w kark dokładnie tam, gdzie lubiła i już nie miała ochoty chichotać. Pieścił ją długo i cierpliwie. Potem kochali się długo i namiętnie, z przerwami na jedzenie, alkohol i jointa. Ekologiczna maryśka, którą zasadziła za jeżynami w ogrodzie działała cuda na ich libido. Kilka razy miała wrażenie, jakby znał jej ciało lepiej niż ona sama. Odgadywał każdą jej zachciankę, pozwalał smakować do końca każdą chwilę. Gdy słońce schowało się wreszcie za pobliskim lasem, miała palce sztywne od zaciskania na prześcieradle.

Szum wody wyciągnął ją delikatnie z przyjemnej drzemki. Sypialnia ukryła się już za mgłą otępienia, więc postanowiła pomóc jej w zupełnym odejściu w nicość. Pociągnęła siarczyście niedokończony skręta, a drapanie w gardle złagodziła czerwonym winem. Zamknęła oczy chichocząc jak uczennica i czekając aż czas zacznie płynąć normalnym tempem. On nie podzielał tego zdania. Wstała więc na równe nogi, mając poczucie, że zajęło jej to godzinę. Norbert jednak nadal podśpiewywał pod prysznicem, więc chyba nie trwało to aż tak długo. Popełzła w stronę korytarza. Potrzebowała wody i odrobiny ruchu, by wygonić z siebie ten uporczywy chichot. Mgła nie ułatwiała jednak tego zadania. Szła prawie na oślep otumaniona bardziej niż zazwyczaj. W gęstej mazi przez jaką teraz się przedzierała widać było tylko koniuszek własnego nosa i światło na końcu korytarza. Brnęła do niego zatrzymując się co kilka kroków na nową salwę śmiechu. Próżni, jaką czuła w głowie nie będzie mogła zapełnić tak łatwo jak głodu. Żołądek jest organem łatwym do oszukania. Jest jak pies, który przestanie wyć i gryźć za byle ochłap ze stołu. Mózg to kot. Cierpliwy, sprytny i diabelsko wymagający.

Na końcu korytarza odpoczęła chwilę na fotelu przy świetle. Patrząc tępo przed siebie odliczała oddechy, zawsze gubiąc się przy piątym. Próbowwała zliczyć wszystkie razy, gdy straciła rachubę, ale to okazało się jeszcze trudniejsze. Chwyciła się więc ostatniej kotwicy rzuconej przez rzeczywistość. Pochwyciła ciepłe światło i wzięła je na swoje kolana. Mruczało. Gdy położyła na nim ręce ból w palcach ustąpił i koniuszki poruszyły się

samodzielnie. Usłyszała delikatny stukot, w którym rozpoznała szept zaproszenia. Spojrzała więc na ekran komputera i zaczęła czytać zdanie wyrwane z kontekstu.

...jej rozerwane ciało pachniało jak szarlotka, którą pamiętam z młodości. Smakowało inaczej. Lepiej. Naturalny sok w ustach przypominał trochę kwasek cytrynowy, którego zawsze dodaję do ryb. Tego metalicznego posmaku nie jestem jednak w stanie odtworzyć niczym innym.

Wszyscy byli prawie nieprzytomni, więc czasu było dość. Teraz idę szukać łopaty i czegoś do picia. Zawsze strasznie mnie suszy po alkoholu. Jutro muszę kupić wodę i zrobić małe zakupy...

– Odłóż to.

Jego głos był czysty i wyraźny, mimo że stał na końcu korytarza, po drugiej stronie mgły. Przetarła oczy próbując wrócić do właściwego świata. Ten zaczął jednak wirować. Chciała zejść z tej karuzeli. Zeskoczyć, jeśli będzie trzeba. Coś trzymało ją jednak coraz silniej w mglistym więzieniu.

– Spójrz na mnie do cholery! Widzisz mnie?

– Ja... Nie rozumiem. Co to jest?

Podszedł nieco bliżej. Widziała teraz jego twarz. Nie mogła jednak rozpoznać, czy spowił ją strach, czy gniew.

– Przecież wiesz.

– Po co to napisałeś?

Zaśmiał się głośno, ale dziwnie. Tak... Boleśnie. Jakby ostatkiem sił powstrzymywał się przed płaczem. Zbliżył się jeszcze bardziej i wystawił rękę poza mgłę. Czuła ciepło jego ciała i wilgoć wody spod prysznica.

– To... To nie ja. Zrozum...

– A kto!? – wrzasnęła silniej niż chciała, zrywając się z miejsca. Zakreśliło się jej w głowie i upadła z powrotem na fotel. Mgła znów ją opatulila. Musiała zamknąć oczy, by nie zwymiotować. Coś łupało ją z tyłu głowy próbując wydostać się na zewnątrz.

– Nie krzycz. Proszę. To nie ja.

– A kto, do cholery!? – powtórzyła.

– On – odparł szeptem patrząc w stronę schodów prowadzących na dół. Gdy spojrzała w tamtą stronę widziała tylko biel. Coś jednak słyszała. Równomierne, coraz głośniejsze i nieludzko spokojne kroki.

Norbert odskoczył do tyłu jak poparzony. Skulił się w rogu ściany chlipiąc jak małe dziecko.

– Nie, nie... O Chryste nie – mamrotał, zasłaniając twarz dłońmi. – Dlaczego? Przecież było już dobrze, już było...

– Zamknij się!

Głos ją przygwoździł. Wmurował w fotel poharatanym basem (z dna grobu). To nie mógł być dźwięk człowieka. Żadne ludzkie struny głosowe nie byłyby w stanie wygenerować takiego koszmaru. Chciała zakryć uszy, ale ręce miała jak z betonu. Chciała zacisnąć powieki, ale coś przykleiło je do brwi. Cień szedł przed nią spokojnie, chyba tylko przez nieuwagę przybierając kształt istoty ludzkiej.

– Kim jesteś?

– Wszystkim tym, czego pragniesz.

Spojrzał na nią otwierając szeroko oczy, ale już tego nie widziała. Nie mogła. Znikła.

Poznała ten zapach zanim odzyskała przytomność. Wilgotny, lekko zastały, ale nadal jeszcze przyjemny. Podnosząc się odruchowo schyliła głowę. Wiedziała, że w piwnicy strop jest niski.

Jedynym źródłem światła w pomieszczeniu był blask wdzierający się spod drzwi na szczycie wysokich schodów. Nie było go wiele, ale dość, by mogła dojrzeć skulone ciało w rogu piwnicy. Podskoczyła do niego nie czując bólu.

– Nie... Proszę nie!

– Norbert, spokojnie.

– Sylwia? To Ty?

– Tak. Jezu... – dodała po chwili widząc jego zmasakrowaną twarz. Ktoś zrobił sobie z niej worek treningowy i ćwiczył bardzo pieczołowicie. Pogłaskała go po jedynym fragmencie twarzy nie zbryzganym krwią. Starła się omijać otwarte rany, ale i tak miała całe ręce w czerwieni. Nie mogła uwierzyć, że mężczyzna jest jeszcze w stanie utrzymać przytomność.

– Boże, kochanie... – wyszeptała tuląc go do siebie. Zapłakał razem z nią, a każda łza spływająca po policzkach zmieniała barwę na ostrą czerwień.

– Kto to jest? Czego chce?

Spojrzał na nią próbując otworzyć szerzej podbite oczy. Nie miał sił mówić. Widziała to.

Ale próbował.

– To... zło. I ekstaza. Ukryta gdzieś w każdym z nas. Uśpiona. Wypełza na świat, gdy stracimy czujność. Gdy o niej pomyślimy, powiemy lub... napiszemy.

Majaczył. Była tego pewna. Ale... Może... W głowie rozbrzmiał jej równomierny stukot klawiszy, który słyszała tak często przez ostatnie dni. Blask diody na obudowie komputera przebijający się przez mgłę snu. Ku jawie. W stronę rzeczywistości.

Blask zalał piwnicę jak piorun w środku nocy. Upadła do tyłu na coś twardego. Jęknęła z bólu turlając się w bok. Chciała z gniewem odepchnąć metalową rurkę, która wrzynała się jej w pośladki, ale nie miała sił. Już rok temu planowała uprzątnąć te śmieci.

– Kurwa mać! – zaklęła zużywając resztkę sił. Po tym mogła już tylko płakać.

Postać stojąca na tle blasku nie ruszyła się. Nic nie mówiła. Czuła jednak, że na nią patrzy i śmieje się.

– Zdechniesz jak suka, czy pokażesz kły?

– Nie słuchaj go – wyjęczał Norbert.

Oderwała dłonie od twarzy próbując zasłonić nimi oślepiający blask. Widziała tylko zarys sylwetki i błysk jasnych zębów. Potem była już tylko mgła.

Nie wiedziała, na jak długo straciła przytomność. Żołądek przykleił się jej jednak do kręgosłupa. Konała z głodu i pragnienia. Zlizwała trochę wilgoci z cegieł wystających spod tynku. Zwilżyła też urwany kawałek koszuli i wkropiła ile się dało do ust Norberta.

– Dzień... kuję – powiedział tylko i opadł na ziemię. Stare rany zaczęły sinieć. Nowe pokryły te części ciała, które ostatnio jakimś cudem udało mu się uchronić. Gdzieś w odmętach pamięci odnalazła wspomnienie jego jęków i błagalnego szlochu, ale nie chciała ich słyszeć. Nie mogła już też płakać. Planowała wykorzystać resztkę sił, doczołgać się do drzwi i spróbować uciec z mroku. Mgła spowiła ją jednak szybciej niż sądziła. Przetarła oczy już tylko raz, zacisnęła zęby i odpłynęła.

Ostatni raz ocknęła się już tylko na ułamek tchnienia. Świat wirował wokół, łupanie z tyłu głowy powróciło. Drzwi na schodach były otwarte, a na najniższym stopniu siedział on. Teraz widziała go już dokładnie. Rysy jego twarzy były identyczne jak Norberta. Jednak wszystko inne przeciwne. Oczy miał puste jak wyschnięte studnie. Biel zębów znaczyły czerwone wstęgi. Patrzył na nią pewnie, ale i z cieniem strachu. Jak pies, który zna swoje

miejsce. Już się go nie bała. Nie wierzyła, że wcześniej wywoływał u niej takie przerażenie. Był przecież taki prozaiczny. Wręcz banalny. Jak ten bezbronny wróbel przylatujący pod jej okno w poszukiwaniu okruszków, które zostawiała specjalnie dla niego na parapecie. Każdego ranka, od lat. Uzależniony od jej dobroci.

Poznała go dawno temu, gdy pomagał jej palić mrówki za pomocą szkła powiększającego. Oraz wtedy, gdy pierwszy raz spojrzała w oczy czegoś jeszcze ciepłego, ale już martwego, trzymając je mocno za szyję. Przez lata czuła, że bardzo jej go brakuje, ale bała się zajrzeć w ten fragment siebie. Teraz zupełnie nie rozumiała dlaczego. Przecież chciała tylko być sobą. On jednak czekał cierpliwie i rósł w siłę. Latami. Gdy był wreszcie dostatecznie potężny by powrócić, przegrywające tchnienia blasku jej duszy wysłały swojego emisariusza. Stworzyła delikatnego, rozkosznego Norberta, który pokazał jej, że nie warto poddawać się mrokowi. Jednak pierwszej nocy, gdy marzyła o jego gorących ustach i sprawnych palcach, poczuła też smak krwi. Nieprzytomni od alkoholu goście z miasta byli cudownymi ofiarami jej nowonarodzonej, mrocznej strony. Przyszli do niej jak barany na rzeź w momencie, gdy akurat naostrzyła swoje noże.

Zaśmiała się gromko, a on jej zawtórował. Był bardzo cierpliwy.

Tamtej nocy, gdy po partyjce krwawego pokera posypała wreszcie świeżo ubitą ziemię nasionami nowej trawy, napisała wiadomość od zarżniętych baranów. Zostawiła ją na hotelowej ladzie i zmieniła się w sen. Jej jaśniejsza strona straciła czujność. Nie była godna zwycięstwa w walce o jej duszę, skoro dała się nabrać na takie prymitywne sztuczki. Wolała baraszkować w fantazjach, nie patrząc nawet na oczywiste znaki.

Teraz śmiała się już gromko. Wstała na równe nogi pełna sił i spojrzała na puste schody. Zaraz wejdzie po nich do góry w stronę światła, by narodzić się na nowo. Mimo, że przecież nigdy nie umarła. Zdrzemnęła się tylko przez wiele lat, ułożona do snu śpiewem jakiejś idiotycznej moralności. Jak bardzo prostackiej i banalnej, skoro zabraniała jej być sobą?

– Żegnaj – wyszeptała do pustego pomieszczenia wreszcie w pełni oddając się mgle.

Kostki lodu tańczyły w szklance, gdy wlewała do niej sok pomarańczowy. Napój trzymała w lodówce, więc lód nie był potrzebny, ale lubiła to brzęczenie. Na śniadanie zjadła trzy, idealnie usmażone kielbaski i dwa sadzone jajka. Miała wilczy apetyt. Wiedziała co prawda, że nie zaspokoi go aż do wieczora, ale póki co nie mogła przecież chodzić

z burczącym brzuchem. Uśmiechnęła się sama do siebie poprawiając jednocześnie świeżo upieczone warkocze. Miała straszną ochotę poczuć na deser ten przepyszny, metaliczny smak krwi, ale zadowolili ją pączkiem i kawą. Wieczorem ten mały skurwiel Adaś przyprowadzi swoją kurwę na romantyczną kolację przy paprotce. Kupiła już odpowiednie produkty na rybę z kwaskiem cytrynowym i proszkami nasennymi. Tylko odrobiną, by nie zabić smaku halibuta. Przecież bardzo się przy nim napracuje.

Wstała od stołu zostawiając na nim brudne naczynia. Nie było pośpiechu. Miała cały dzień na odkopanie dołu w ogródku i przygotowanie narzędzi w piwnicy. Zaraz weźmie się do pracy, tylko zapisze kilka przemyśleń w swoim pamiętniku.

Komputer mruczał jej na kolanach jak kociak. Dotknęła go delikatnie pozwalając, by palce same niosły się po klawiaturze.

Zapowiadał się cudowny dzień.

Rzeźnik

Antonina Kostrzewa

Świat dzieli się na tych, którzy wiedzą, że będą rzeźnikami i na tych, co nie. Stefan należał do tej drugiej grupy. W jego rodzinie nie było ani rzeźników, ani masarzy, ani też żadnych hodowców zwierząt. Zresztą sam nie mógł się spodziewać, co przyniesie przyszłość.

Urodził się, jako drugie dziecko urzędnika państwowego Stanów Zjednoczonych Słowian (zwanych Slawią) i prostej szwaczki. Bity przez starszą siostrę był trochę skryty, ale i przy tym mądrzejszy. Właśnie w nim ojciec pokładał nadzieję uważając, że córka odziedziczyła intelekt po matce. Ich małżeństwo było określane, jako: „Najpiękniejsza z biednych poślubiła najbrzydszego z bogatych” i dokładnie w ten sam sposób historia miała się powtórzyć u Stefana. Oto bowiem młody burmistrz miasta znalazł sobie Jadwigę – prostą córkę piekarza, która codziennie o szóstej otwierała piekarnię. Mając setki urzędniczek pod sobą, Stefanowi spodobała się właśnie ona i właśnie jej przypadł zaszczyt zostania jego przyszłą żoną.

Tak uzgodnił z jej ojcem w zamian za drobną pomoc z urzędowymi dokumentami i pokaźną sumą pieniędzy na rozwój interesu. Jednak Jadwiga wciąż patrzy na niego z nienawiścią i pogardą. Dobrze wie, że została sprzedana. Właśnie przez to Stefan ma wątpliwości, co do przyszłości tego związku i wspólnego życia.

– Przyjdzie dzień, kiedy ja będę mógł tak patrzeć na ciebie – mówił sobie – i nie będzie to miało nic wspólnego z pieniędzmi.

Teraz młoda dziewczyna o jasnych, jak zboże włosach rozmyśla w swojej pracy o aspektach czekającego ją życia małżeńskiego i sobotniego ślubu. Najchętniej by uciekła lub popełniła samobójstwo, lecz nie podoba jej się ani jedno, ani drugie rozwiązanie. Raptem dwa dni, a ona jeszcze nie zaznała nigdy prawdziwej miłości, nie doznała rozkoszy, nie zna świata poza swoim miasteczkiem. Nie czekała na swojego księcia, ale według zapewnień jej ojca, dostanie to, co ją najlepszego mogło w życiu spotkać i powinna mu być wdzięczna. Siedząc nucila do siebie:

– Ojciec mój mnie oddać chce. Czemuż on tak każe mnie? Jestem młoda, w kwiecie

wieku. Wciąż mam prawo do miłości. Nie chce bogacza, co brzydki fizys ma. Pragnę miłości i pięknego mężczyzny, co w swoich silnych ramionach utuli mnie. Duszę swą oddam diabłu, bym tylko przed ślubem spotkała go.

I gdy tylko skończyła śpiewać, wiatr otworzył drzwi i wtargnął do środka, niczym trąba powietrzna. Zatoczył się po środku, wzniósł w powietrze mękę, a kiedy ta opadła stanął przed Jadwigą piękny młodzieniec o włoskich rysach. Cały niczym z bajki w pięknym stroju, jakby był rycerzem w zbroi.

– Czego tu szukasz? Po co przyszedłeś? – Zapytała znając bezsens swego pytania.

– Moja droga. Jam tu tylko jest dla ciebie – powiedział prężąc się przed nią i składając usta do pocałunku – wiele drogi przebyłem, by spotkać taką piękność, jak ty.

Ona nie rzekła nic więcej, tylko przeskoczyła ladę i rzuciła się na niego czekając na tą chwilę dwadzieścia dwie wiosny. Oddała mu się na podłodze zaznając pełnej rozkoszy i jęcząc z zachwyty, a kiedy otworzyła oczy znów stała przy ladzie, a pięknego nieznajomego nie było.

– Pewnie mi się to marzyło, szkoda – rzekła do siebie – było takie realne. Tracę zmysły. Powinnam myśleć o swoim przyszłym życiu u boku burmistrza. Zapłakała cicho ukrywając ręce w dłoniach, po czym zamknęła piekarnię i zniknęła w swoim pokoiku.

Niezbyt szczęśliwa, lecz pragnąc szczęścia rodzinnego poślubiła Stefana. Nie było wielkiego przyjęcia, ani tłumu gości. Cichy skromny ślub, zaś burmistrz, aż promieniował widząc ją w białej sukni.

– Idziesz w moje ślady – powiedział po cichu ojciec Stefana kładąc mu rękę na ramieniu – i dumny z ciebie jestem, lecz teraz twoja wybiła godzina. Idź spełnił swój małżeński obowiązek i daj mi szybko potomka.

– Dobrze ojcze – odparł mu, lecz ten go już nie usłyszał dołączając do reszty gości.

Stefan wziął słowa rodziciela do siebie i nim wszyscy się rozeszli złapał Jadwigę za rękę i pocałował ciągnąc ze sobą do domu.

– Gdzie mnie zabierasz, przestań to boli! – Próbowwała mu się wyrwać.

– Na zabawę przyjdzie jeszcze czas. Teraz jesteś mi potrzebna, gdzie indziej jesteś.

Uległa jego sile i po chwili zamknęły się za nią drzwi sypialni, lecz nie byli tam sami. Nim Stefan zdążył krzyknąć „Złodziej” jego usta zlepiły się niczym od kleju i nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

– Drogi panie Stefanie na gości chce pan krzyczeć. Któż to widział? Jednak jak mi pan

obieca, że zachowa spokój, to zrzucę swe zaklęcie.

Wszystko to mówił człowiek wysoki, tak ponad metr osiemdziesiąt ubrany w garnitur i melonik. W jednej ręce trzymał laskę, którą teraz odstawił na bok. Krótka, czarna bródka nie ujmowała mu powagi. Z wyglądu tak na 40 lat.

Burmistrz pokiwał tylko głową, a jego usta znów mogły się otworzyć i łapał nimi właśnie łapczywie powietrze.

– Powód mojej wizyty chcę właśnie państwu wyjaśnić. Zważ mnie różnie – kontynuował – Szatan, Mefistofeles, Belzebub, Lucyfer. Wy możecie do mnie mówić Demonie – i jak gdyby nigdy nic ściągnął z głowy melonik i ukłonił się im.

Stefan stał zamurowany i choć mógł już mówić, to nie wypowiedział żadnego słowa. Jadwiga zaś była przerażona wiedząc, że wydarzenia w piekarni były prawdziwe.

– Pozwolicie, że sobie usiądę – w wyniku braku sprzeciwu Demon rozsiadł się na łóżku – Jestem tutaj z powodu twojej świeżo poślubionej żony – Jadwigi, która, o dziwo, dziewczyną dotychczas była. Rzecz w tym, że w pragnieniach swych, a raczej z obawy przed przyszłym, nudnym życiem, zapragnęła czegoś nowego i to dostała.

Gdy skończył mówić, zmienił się w włoskiego amanta z piekarni.

– Proszę, nie mów nic więcej – błagała go Jadwiga klęcząc i łkając.

– Dlaczego nie, toż to historia interesująca, a do tego myślę, że Stefan chętnie ją usłyszy – Dokończył patrząc na burmistrza, który nawet nie mrugnął. – Chciałaś przeżyć prawdziwe uniesienia, to ci je dałem. Ty obiecałaś mi swą duszę i po nią właśnie przyszedłem.

– Odejdź, przepadnij, na Boga, wyzywam cię – krzyczał do niego Stefan, który nie wiadomo, dlaczego teraz, podjął próbę walki.

– Drogi Stefanie, radzę usiąść. Spektakl właśnie się zaczyna, a twoje słowa są tu zbyteczne – i ponownie skleił jego usta. Stefan zaś widząc swą bezsilność usiadł posłusznie pod oknem i obserwował przedstawienie z boku.

– Wybór ci daję jednak, bo młoda jeszcze jesteś. – Rzekł Demon wyraźnie głośniejszym i straszniejszym głosem – Zabieram twą duszę i na wieki w ogniu moim skąpana będziesz i służebnicą zostaniesz...

– Albo... – spytała gryząc rąbek swej sukni.

– Albo zostaniesz z mężem, jak nigdy nic. Nadal piękna będziesz i o ile on ci wybaczy, będzie cię nadal kochał. Jednak, co szóste dziecko będzie zabierał ci mój wysłannik, bym mógł krew jego wypić i siły swe uzdrawiać.

– To chyba oczywiste, że wybiorę drugą opcję.

– Przemyśl to dobrze, byś później nie żałowała.

– Nic mi nie grozi – mówiła już spokojnie – szóstki dzieci mieć nie będę, a ty mój mężu pewnie mi wybaczysz – dorzuciła z pewnością w głosie widząc bojącego się skandalu Stefana.

– W takim razie podpisz tu na dole – podał jej kartkę zapisaną czarnym atramentem, a gdy podpis został przez nią złożony dodał:

– Żebyś się nie pomyliła – i nim jego szyderczy śmiech rozległ się po pokoju, już go nie było.

Jadwiga wstała i podniosła z ziemi Stefana, który nadal nic nie mówił.

– Mów do mnie. Możesz już coś powiedzieć, tylko powiedz, że mi wybaczysz. Chciałam po prostu zobaczyć, jak to jest, nim ci się oddam na całe życie.

Jednak Stefan nic nie powiedział. Wstał i wyszedł w milczeniu zostawiając żonę samą ze swymi łzami i wyrzutami sumienia.

Jeszcze nie zdarzyło się, by diabeł wszystko dopowiedział i by układ z nim był taki prosty, jak się wydawało. Zatajenie warunków umowy i brak możliwości zerwania, to podstawa jego układu, a za każdym razem gdzieś malutętkim drukiem wpisany jest jakiś haczyk. Oto bowiem Jadwiga w ciąży już była, lecz klątwą jej było, że ciąża ta trwa zaledwie sześć dni, sześć godzin i sześć minut. Dokładnie, co tyle czasu na świat przychodził kolejny chłopiec, syn samego diabła. Po niej samej, nie było nic widać, aż nagle na sześć godzin, sześć minut i sześć sekund przed porodem, jej brzuch zaczynał rosnać. Za pierwszym razem krzyknęła przeraźliwie, aż przybiegł Stefan zobaczyć, co się dzieje. Nie musiał zadawać zbędnych pytań.

– W tym domu nie będzie żadnych bękartów!– Zagroził jej. – Każdego, który się urodzi zabiję własnymi rękami.

– Ale, co ty mówisz? Przecież to moje dziecko – szlochała.

– To nie jest twoje dziecko! Taka miała być twoja klątwa i ja dopilnuję, by żyło ci się z tym źle. Ach, mówił Papa, bym znalazł dziewczynę z dobrego domu – dodał po cichu wychodząc.

Wrócił po pół godzinie. Obejrzał jej brzuch. Przyglądał się z prawej, potem z lewej i znów wyszedł. Jadwiga przerażona leżała bez ruchu. Nie wiedziała czy uciekać, czy może się gdzieś schować. Jednak na ulicy byłoby to podejrzane, przecież dopiero co są po ślubie.

Tym razem Stefan przyszedł z torbą, dokładnie taką, z jaką przychodzą lekarze.

– Nigdy nie było mi dane odebrać porodu – rzekł do niej – ale nie mam wyjścia. Do szpitala cię nie zabiorę. Zresztą nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się kolejne dziecko. Myślę, że w łazience będzie najbezpieczniej. Chodź.

Zabrał ją ze sobą, z troską nalał wody do wanny, a później dolewał cały czas ciepłej, by nie zmarzła, lecz z jego oczu wciąż biła nienawiść.

– Siedź spokojnie, wszystko będzie dobrze. Najpierw musimy się dowiedzieć, co skrywasz w sobie.

Nie minęła kolejna godzina, a brzuch Jadwigi był pękaty, niczym arbuz. Do porodu pozostała chwila, a ona nadal marzyła o tym, by mąż jej chociaż przebaczył, skoro czasu cofnąć już nie może.

– Wybacz mi proszę – szlochała do niego.

– Nie czas na dyskusje. Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie – pomyśl lepiej, żeby przeć. Chcę zobaczyć to ustrojstwo, co w tobie siedzi. Natychmiast!

Posłuchała rozkazu bojąc się o siebie. Stefan zaś patrzył z pogardą na nią, a zarazem z blaskiem szaleństwa w oku. Mógłby się jej śmiać teraz w twarz, ale właśnie w tym momencie pojawiła się główka.

– Jeszcze chwila – już zaraz będzie.

A gdy tylko dziecko pojawiło się, Stefan odciął pępowinę, zawinał je szczelnie w prześcieradło i wrzucił do torby, jak zwykłą piłkę nie zwracając uwagi na zmęczoną żonę. Dziecko wyglądało normalnie, tylko czarne oczy migotały dziwnym blaskiem, a i w buzi coś już na wzór kłów się świeciło. Nawet nie zapłakało, lecz i na to, by nie pozwolił dusząc je prześcieradłem. Zdawał sobie sprawę, czyje jest to dziecko, lecz nie bał się tak z nim postępować. Męski potomek szatana i jego żony wyzionął ducha. Tego dnia pod jabłonią wykopał płytki grób, w którym go zakopał razem z łożyskiem. Nie minęło tygodni trzy, a już pod jabłonią pięć grobów było.

Stefan im więcej grobów przybywało, tym bardziej się zmieniał. Był podejrzliwy, małomówny i unikał ludzi. W domu zamykał Jadwigę na klucz, by nie uciekła, sam zaś całkiem zwyczajnie chodził do urzędu. Z rodziną utrzymywał stałe stosunki wmawiając im, że Jadwiga przechodzi ciężki okres adaptacji do życia małżeńskiego. Całkowity spokój, zważając na różnice majątkowe między nimi.

Gdy zaś szósty poród odebrał usłyszał głos za sobą. Nie obrócił się za siebie, bo wiedział,

z kim może mieć do czynienia.

– Zgodnie z umową, co szósty potomek trafia do mego pana – zabrzmiał młodzieńczy, lecz pewny siebie głos.

Stefan obrócił się i rzeczywiście przed nim stał młodzieniec w czarno-kruczych kręconych włosach ubrany w czarny garnitur i granatową koszulę. Miał czarne oczy i uśmiechał się szyderczo. Z wyglądu na lat około siedemnaście wyglądał.

– Chyba nie myślałeś, że sam będzie się fatygował? – Powiedział ponownie posłaniec.

– Myślałem, że o nas zapomnicie.

– Umowa, to umowa – Rzekł młodzieniec podchodząc powoli do niego.

– Czyli, co miesiąc będziemy się spotykali?

– Dokładnie, co szóstego potomka zabiera On.

– Aż tyle służby potrzebuje.

– Ależ skąd – zaśmiał się – krew z dziecka Lucyfera niejako eliksirem młodości jest zwana. Służy do trzymania przy życiu tych, co łaski nieśmiertelności nie zaznali.

– To jeśli bym wypił krew tego dziecka, to byłbym..

– Przynajmniej tak młody, jak wczoraj.

Wysłannik wziął dziecko na ręce i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Jadwiga nie odezwała się ani słowem, ale Stefan obmyślał już swój plan. Coś mu w głowie świtało. Sposób na biznes, za który nie wiedział jeszcze, jak się zabrać.

– Pakuj się, wyjeżdżamy – powiedział do wycieńczonej Jadwigi.

Zresztą nawet zabrał dla niej za dużo rzeczy. Dobrze wiedział, że w tej sytuacji nie będą jej zbytnio potrzebne. Nakazał jej szybko zejść do samochodu i ruszył do swojego domku letniskowego znajdującego się niecałe dwadzieścia kilometrów od miasta. Nie rozmawiali. Jego nienawiść i obrzydzenie do żony wyrażały w tym momencie więcej, niż tysiąc słów. Jadwiga sama nie wiedziała, co zrobić. Myślała o tym, że pewnego dnia przyjdzie i ją zabije, albo pojawi się diabeł i ją uwolni od cierpienia.

Gdy dojechali, Stefan zamknął żonę w pokoju, a sam usiadł na ganku zapalając papierosa. Nie robił tego od dłuższego czasu, lecz stres domagał się swojej dawki.

– Oj niedobrze Stefanie, od tego możesz dostać raka – usłyszał całkiem miły głos po prawej stronie. Obrócił się i prawie krzyknął. Obok niego po raz kolejny pojawił się szatan. Znow w garniturze, ale koszulę miał jakby za małą, a krawat tak ściśnięty, jakby ktoś go na nim powiesił. Uśmiechał się do niego grzebiąc wykałaczką w zębach.

- Co cię tu sprowadza? Oddałem ci dziecko – bronił się.
- Tak, tak, ale martwi mnie, że inne moje dzieci nie zaznały spokoju.
- Bałem się, nie wiedziałem, co z nimi zrobić – tłumaczył się Stefan.
- Nie bój się, nie przyszedłem cię ukarać. Mam dla ciebie propozycję.
- Jaką propozycję?

– Pozwól, że ktoś inny ci ją przedstawi. – Wskazał palcem, a na ganku rozjarzyła się

kula ognia, z której wydobyła się postać.

– A idź w cholerę z tymi twoimi sztuczkami, to już normalnie przyjść nie mogę -
Bulwersowała się starsza pani.

– Myślałem, że tak będzie efektowniej.

– Kogo to obchodzi. Takie czary to już nawet nie na moje lata. Zobacz, on się nawet
mnie nie boi – wskazała na zdziwionego burmistrza.

– Przedstawiam ci – najprawdziwszą wiedźmę, a i moją dobrą koleżankę.

– Witam – zaskrzeczała. – Podobno masz coś, na czym mi zależy i możesz mi trochę
pomóc.

– Mógłbym, ale co ja z tego będę miał.

– Ach, dobrze mówiłeś mój ty czorcie, prawdziwy negocjator z niego. Mogę dać ci to,
czego najbardziej pragniesz – wpatrywała się Stefanowi w oczy – Władzę i szacunek.

– Już to mam, a do tego i pieniądze.

– Ach, jaki przemądrzały. Jeszcze powiedz, że ci pomniki budują. Zamilcz, jak ci
składałam propozycję!

Wskazując na niego palcem, a jego usta się zlepiły i nic już nie mógł powiedzieć.

– Żona twa – kontynuowała spokojniejsza, a jej kurczaki kłóciły się na policzku –
bękartę rodzić wciąż będzie. Nie możesz robić prywatnego cmentarza. Zresztą, któż to
widział zabijać dzieci, w których płynie taka szlachetna krew – ze złowieszczym uśmiechem
popatrzyła się na diabła.

– Daruj sobie twe pochlebstwa, przejdź do rzeczy – przemówił machając na nią ręką.

– Hmm, dam ci władzę, nieskazitelną opinię i szacunek całego miasta. Ludzie będą ci się
kłaniali i uważali za godnego człowieka nie z przymusu, tylko z miłości. Będą ci współczuć
i wielbić zarazem, a i dla żony odpowiednią karę znajdziesz. Wszystko to za jedno dziecko
w miesiącu. Nic więcej nie potrzebuję. Dla mnie młodość z jego krwi, dla ciebie wieczna
władza i poniżenie dla żony. Stare życie zniknie i pojawi się nowe. I co ty na to?

Ściągnęła szybkim ruchem czar.

– A gdzie miałbym rządzić?

– O nie! Rządzić nie będziesz. Rządzi burmistrz. Ty będziesz wielbiony.

– No dobrze, ale co to za miasto? Gdzie ono jest?

– To nie miasto, to osada – rozsiadła się na schodach – Strzyżewo się zwie. Wszyscy o nim słyszeli, lecz nikt go nie widział. Ukryte pod czarami w lesie się znajduje. Tam nikt się nie zapuszcza oprócz wilków. Jeśli raz tam wejdiesz zostaniesz na zawsze.

– Miałbym zostawić to wszystko? Nigdy.

– Na twoim miejscu bym nie dyskutowała. Praktycznie niczego nie masz. Zresztą sam zobacz. Jutrzejsza! – Powiedziała rzucając mu gazetę.

Stefan popatrzył na okładkę. „Skandal w ratuszu”. Podniósł gazetę z ziemi i zaczął przeglądać dokładniej: „Wielka defraudacja publicznych pieniędzy”, „Burmistrz okrada gminę”, „Burmistrz zlecił zabójstwo swojej żony”, „Nowe wybory już wkrótce”.

– Myślę, że byś nie chciał skończyć w lochu?

– Ale to szantaż!

– Każdy ma swoje sposoby – uśmiechnął się do niego diabeł gładząc swoją bródkę – Zresztą nie pytamy cię o zgodę

– Wszystko już postanowiliście – stwierdził zmartwiony.

– Że tak powiem – powiedziała wiedźma – my już targu dobiliśmy. Jedno dziecko za zdjęcie starej klątwy, a i dla ciebie coś przy okazji. Proste.

– A ja pewnie skończę, jak moja żona. Gdzie jest haczyk?

– Mój drogi. Ze mną nie ma haczyków. Zresztą mogłabym cię przemienić, w co tylko zechcę i zabrać twoją żonę ze sobą, ale jesteś mi potrzebny.

– Do czego?

– Brakuje nam ludzi wykształconych, obeznanych ze światem, prawdziwych mówców. Potrzebuję powiedzmy prawej ręki. Najważniejszej osoby w Strzyżewie. Ciebie.

– Ale jak? Mam jeszcze pół roku kadencji. Znajomi, rodzina...

– O to się nie martw – przerwała mu – o to już zadbamy. Podpisz tylko kontrakt i będzie wszystko dobrze.

Na zwoju papieru było tylko jedno zdanie:

„Ja, niżej podpisany zobowiązuję się służyć wiedźmie i na stałe zamieszkać w Strzyżewie, jako szanowany jego obywatel”.

– Nie mam pióra przy sobie.

– Drogi Stefanie – uśmiechnął się diabeł wyrzucając wykałaczkę – myślisz, że takie pisma atramentem się podpisuje. Proszę – podsunął mu do ręki nóż – szybkie cięcie opuszka i odcisk palca najlepszą gwarancją. Szybko i prosto. Do dzieła.

Stefan wziął nóż, lecz zamiast przeciąć palca, po prostu się ukłuł. Nim jedna kropla się pojawiła minęła prawie minuta. Dotknął lekko trzęsącą ręką papieru, który zaczął lśnić i pokrywać się napisami po łacinie.

– Co się dzieje?! – Krzyczał Stefan – miało być tylko jedno zdanie!

– Jest jedno, reszta to szczegółowe warunki umowy. Teraz śpij, jutro zaczynasz nowe życie. Pstryknęła w palce i Stefan osunął się na drewniane deski na ganku. Mefistofeles uśmiechnął się do wiedzy. Zaśmiali się głośno płosząc ptaki w okolicy i zniknęli tak szybko, jak się pojawili..

Jadwiga ze Stefanem spali na wozie, który jechał przed siebie ciągnięty przez dwa kare konie. Woźnica – w dziwnym garniturze i jego towarzyszka – starsza kobieta, której twarz pokrywały zmarszczki i kurczaki, pili herbatę z samowaru rozmawiając o terminie zniesienia klątwy sprzed prawie trzystu lat. Wtedy to po jednej z kłótni na balu zła wiedźma z Dalekich Mór rzuciła niezwykle potężny, a zarazem dokuczliwy czar. Objawiał się on potwornym bólem w łokciu wraz z każdą burzą, co było strasznie uciążliwe. Nie mógł się doprosić o pomoc koleżanki za darmo, więc teraz, gdy ją przekupił użyła wszystkich swych mocy, by cofnąć złe zaklęcie. Błysnęło na niebie, lecz tym razem z łokciem nic się nie działo. Diabeł uśmiechnął się do niej szeroko.

– Umowa wypełniona. Czyń z tymi nieszczęśnikami, co chcesz. Będę was odwiedzał – powiedział najzyczliwiej, jak tylko mógł.

Stefan obudził się w łóżku. Bolała go głowa, jak po całonocnej biesiadzie. Usiadł na jego skraju i masując sobie policzki, rozglądał się wokół. Nie był u siebie, ale czuł, jakby to miejsce już znał od dawna. Obok spała znienawidzona przez niego osoba, czyli żona, lecz nadal była piękna. Zadając jej karę za zdradę i zniesławienie, zadawał ją także sobie. W końcu inaczej nie znalazłby się tutaj. Wstał, wolnym krokiem podszedł do okna i zerknął spodziewając się jakiegoś wspaniałego widoku. Lekko zamarł, ale przed sobą zobaczył miasteczko żywcem przeniesione z dzikiego zachodu, albo raczej skansen. Drewniane, jednopiętrowe domy ciągnące się wzdłuż głównej ulicy, a nawet nie ulicy, co zwykłej utwardzonej drogi. Przy domach stały wozy i konie, które spokojnie jadły owies nie

zwracając uwagi na przerażenie Stefana. Już miał on usiąść z wrażenia, kiedy do drzwi ktoś zapukał i po chwili stanęła w nich wiedźma.

– Witam, mam nadzieję, że się już rozgościliście? – Rzekła – O jednak nie. – Dodała widząc śpiącą Jadwigę.

– Gdzie jesteście?

– Jak to gdzie? W magicznej wiosce – Strzyżewie. Istnieje tutaj od tysięcy lat, nawet niektórzy pierwsi mieszkańcy żyją do tej pory. Dla zwykłych śmiertelników jest ona niewidoczna, a do tego chronią ją potężne czary. Wyczuwają ją za to zwierzęta, a zwłaszcza wilki, których wataha często przebywa w tej okolicy. Nie raz je zobaczysz. Teraz jednak czas, by mieszkańcy cię poznali. Ubierz się stosownie. Wszelkie ciuchy znajdziesz w garderobie.

– A co z Jadwigą?

– Ty jesteś tu w nagrodę, ona za karę, więc nie musisz się nią teraz przejmować. Możesz z nią zrobić, co chcesz, bylebyś wywiązywał się z umowy. Chodźmy, na pewno wszyscy już czekają – poganiała go.

Nie minęło pięć minut, a Stefan był już gotowy. Stosowny na tą okazję, a do tego idealnie dopasowany beżowy garnitur znalazł w garderobie obok sypialni. Zszedł na dół razem z wiedźmą, którą o imię nie śmiał nawet spytać. Konie stały tam, gdzie wcześniej, lecz na ulicy nie było nikogo. Razem z wiedźmą mijali kolejne domy – karczmę, bawialnię, piekarnię, pralnię, pracownię kapeluszy, sklep czy salon uciech. Budynki te były całkowicie naturalne w tej scenerii, ale za to śmieszyły Stefana. W końcu dotarli na podłużny plac, przy którym znajdował się ratusz – jedyny kamienny budynek w mieście. Strzelista wieża, drewniane okiennice i czerwone pelargonie będące kontrastem dla białego kamienia, z którego został wzniesiony.

– Wchodź, oni czekają na ciebie.

Stefan zawahał się przez chwilę, ale gdy nacisnął klamkę usłyszał ze środka:

– A teraz przed państwem nowy członek naszej społeczności – Stefan.

Drzwi otworzyły się na oścież. Chłód kamiennej posadzki uderzył Stefana w nozdrza. Był zaskoczony, a po chwili jeszcze bardziej, gdy wszyscy wiwatowali na jego cześć. Przed nim zebrała się cała społeczność osady.

– Zapraszamy do nas – mówił jegomość w czarnym fraku, który z pewnością był burmistrzem. – Proszę nas nie trzymać dłużej w niepewności i powiedzieć, czym będzie się

pan zajmował.

Stefan minął powoli ludzi i wszedł na mównicę, a gdy otworzył usta z magiczną mocą powiedział coś, czym sam się zdziwił.

– Witam wszystkich mieszkańców – mówił prawie basem – Rad jestem, że mogę tutaj z wami przebywać. Będę nowym rzeźnikiem, ale nie byle, jakim. Będę Tym rzeźnikiem, na którego tyle czasu czekacie – podkreślił. – Zapraszam w ostatnią niedzielę miesiąca. Jeszcze raz dziękuję za przyjęcie do tej rodziny.

Rozległy się brawa i gwizdy, a Stefan jeszcze szybciej, niż myślał, znalazł się przed drzwiami, jakby nigdy ich nie przekroczył.

– Oni cię już zaakceptowali – odezwała się wiedźma – teraz czas byś im pokazał, co umiesz.

– Ale ja nigdy nie byłem rzeźnikiem. Skąd ten pomysł? Od zawsze byłem urzędnikiem.

– Tutaj wszystko się zmienia – powiedziała i po prostu rozplynęła się w powietrzu.

Stefan zatrzymał się, ale po chwili ruszył w drogę powrotną. Rozglądał się po okolicy, która teraz wydała mu się przytulna, jak nigdy i popatrzył na swój dom. Wielki szyld oznajmiał „Rzeźnik”. Na drzwiach kartka „Zapraszam w ostatnią niedzielę miesiąca” i pod spodem dopisek „Kości proszę oddawać do poniedziałku do zmroku”. Podrapał się po głowie, jeszcze raz przeczytał z niedowierzaniem napis i wszedł do środka. Nieduże pomieszczenie, drewniana lada, waga szalkowa, czarna tablica z boku i kawałek kredy na sznurku. Zamiast stosowanych wszędzie kafelków, dębowe deski na ścianie i wiszące haki na ścianie. Podeszedł bliżej. Na stole leżały noże i wielki tasak wbity w pień. Poza tym było tu pusto. Otworzył drzwi prowadzące na zaplecze. Niezbyt duża chłodnia była także całkowicie pusta. Zwisające z sufitu haki zionęły swym metalicznym blaskiem. Pomieszczenie było lekko przytłaczające, a z drugiej strony miały kolejne drzwi. Stefan pchnął je i znalazł się bezpośrednio w holu swojego domu. Na wprost znajdowała się potężna kuchnia. W niej znajdowała się ogromna kuchenka, na której stały jeszcze większe garnki. Na ścianach wisiały patelnie, noże i deski do krojenia, a szafki pełne były najróżniejszych przypraw. W centralnej części znajdował się wielki stół ze zlewem i różnymi maszynami umieszczonymi na krawędzi. Stefan dotknął jednej z nich, po czym uśmiechnął się szyderczo. Prosto z kuchni zszedł do piwnicy.

Gdy tylko otworzył drzwi prowadzące na dół, za nimi zmaterializowała się czarownica.

– Chodź, chodź. Już czas – powiedziała i chwyciła go za rękę.

Zeszli po dwunastu stopniach skřęćili korytarzem w prawo i znaleźli się w małym, niskim pomieszczeniu, do którego przez maleńkie okienko wpadało trochę światła. Na środku, na prowizorycznym łóżku leżała, a raczej była do niego przywiązana Jadwiga.

– Nie denerwuj się Stefanie, tak już musi być. Zresztą zaraz zrozumiesz – uspokajała go wiedźma.

Stefan przez chwilę się przejął, a nawet trochę zmartwił, lecz po chwili patrzył na wzdymający się brzuch swojej żony, który wyglądał, jakby lada chwila miałby eksplodować. Kobieta jęknęła cicho, po czym odeszły jej wody i rozpoczął się kolejny poród. Nienawiść w oczach nowego rzeźnika wzrosła. Rozglądał się nerwowo wokół siebie, aż w końcu dostrzegł nożyce przyczepione do ściany. Chwycił je, a gdy tylko bękart diabła pojawił się na zewnątrz, przeciął pępowinę i podniósł nożyce w górę by zadać ostateczny cios.

– Chyba nie chcesz tego zrobić w ten sposób?

– Ale jak to?

– Weź go na górę, pokażę ci – zachęciła go swoim skrzeczącym głosem.

Stefan spojrzał jeszcze raz na dziecko, któremu oczu płonęły żywym płomieniem. Nie mogąc na nie patrzeć, chwycił je za nogę i niósł do góry nogami, aż znalazł się w kuchni. Nie wiedząc, co dalej zrobić, włożył dziecko do zlewu.

– Czyń to, po co tu jesteś i daj mieszkańcom to, czego potrzebują – wygłosiła czarownica rzucając na niego zaklęcie – A teraz użyj narzędzi.

Stefan stał cały czas w bezruchu nawet nie mrugając. Jediną zmianą był jego włos na głowie, który w odróżnieniu od pozostałych, zaczął siwieć od czubka, a gdy zsiwiał cały, w oku Stefana pojawił się błysk. Chwycił tasak, położył dziecko na stole i szybkim, sprawnym ruchem odciął mu głowę. Ciało podzielił na dwie połówki i powiesił w chłodni. Wrócił po chwili, by krew ze zlewu zlać do szklanego słoja, zaś umyte wnętrzności zmielił i umieścił pod oknem. Głowę zaś zapakował w gazetę i wrzucił do piwnicy.

– Jeszcze nie pora karmienia, ale niech wie, że nie zginie z głodu – pomyślał na głos.

Sam zaś udał się na górę i zrzucił z siebie zakrwawione ubranie. Zmył z siebie brud, krew i winę, a gdy wyszedł z wanny jego garnitur znów był nieskazitelnie czysty. Ubrał go na nowo i uśmiechnął się do siebie.

Z kolejnymi synami diabła poszło mu jeszcze łatwiej, niż za pierwszym razem. Odcinał im głowy, jak kat toporem. Krew lała się wokół, a on tylko śmiał się do siebie. Później

wyprawiał wnętrzności i w zależności od dnia przygotowywał coś dobrego dla mieszkańców. Raz była to kaszanka, szynka i łopatka bez kości, innym zaś razem pasztet, kiełbasa parzona czy mózdzek w galarecie. Przy pracy pogwizdywał sobie pod nosem ciesząc się, że w końcu robi coś, co sprawia mu przyjemność.

Mijał czas i Stefan potrafił już wiele więcej, niż wcześniej sobie wyobrażał. Wszelkie skomplikowane dotychczas przetwory wyrabiał z wielką łatwością. Za każdym razem, gdy tylko wchodził obejrzeć swój sklep, widział głowy mieszkańców pragnących zobaczyć, co dobrego mogą dostać w tym tajemniczym miejscu. Długo już nie będą musieli czekać.

Dzisiaj nadszedł jego największy dzień – ostatnia niedziela miesiąca. Przed sklepem tworzyły się kolejki, mieszkańcy czekali już od kilku godzin przepychając się między sobą. Stefan poprawił muchę pod szyją, do swojego garnituru dołożył jeszcze fartuch na wszelki wypadek. Wszystko musiało wyglądać, jak najbardziej profesjonalnie. Otworzył drzwi.

– Witam szanownych państwa. Zapraszam – powiedział z dumą.

Tłum się przestraszył i zamilkł, a po chwili pierwsze osoby, lekko onieśmielone, przekroczyły próg sklepu. Tym razem nie było pusto. Lady były pełne kiełbas, szynek, pasztecików, mielonek, galaret i innych przetworów. Na dzień otwarcia Stefan napracował się, co nie miara. W kolejce stało prawie trzydzieści osób, ale każdy z mieszkańców wiedział, że nie wyjdzie stąd z pustymi rękoma. Przydział na mięso wprowadziła czarownica, a jej nikt się nie sprzeciwił. Zresztą, nim pierwszy klient coś kupił, pojawiła się ona w drzwiach z dostojnym towarzyszem. I choć wszyscy wiedzieli, że właśnie obok nich przeszedł diabeł, nikt nie przeraził się, tylko każdy bił im pokłony i witał szanownych gości.

– Witaj rzeźniku – powiedziała wiedźma – dla mnie pół kilo tej szynki wiejskiej i dwadzieścia deko wątróbki dla kotów.

– Oczywiście, szanowna pani – odparł kłaniając się – A dla pana?

– Och, rzeźniku – rzekł prześmiewczo diabeł – Mi nic dawać nie musisz, w końcu zaledwie kilka dni temu oddałeś mi dziecię. Co u twojej małżonki?

– Wiesz dobrze drogi panie, że poczwary tej nie nazwałbym nigdy żoną, lecz ma się dobrze. Nie choruje i nie sprawia problemów. Dopilnuję zresztą, by żadnych nie było.

– Zaczne twe słowa, a tobie jak się żyje w Strzyżewie?

– Znakomicie, wręcz każdego dnia coraz lepiej..

– Zatem nie przeszkadzamy i do zobaczenia za miesiąc – rzekła czarownica zabierając swoje zakupy i wychodząc ze współtowarzyszem ze sklepu.

Gdy tylko wyszli, ludzie wyskoczyli z kolejki i prawie pobili się, by dostać się do środka. Rzeźnik pilnował porządku, nie obyło się bez użycia pałki i uspokojenia niektórych zbyt nachalnych klientów oraz wytłumaczeniem im panujących tutaj zasad. Cały towar został sprzedany, choć nazwać tego sprzedażą nie było można. Nie było tu pieniędzy i nigdy one nie istniały, nawet handel złotem nie był popularny. Nigdy, nikomu, niczego nie brakowało, a czary potrafiły zdziałać o wiele więcej, niż zapłata. Zgodnie z ustalonym przydziałem, w zależności od zasług, wieku, liczności rodziny i szacunku, na każdy dom przypadała jedna magiczna tabliczka. Ona ustalała, kto, w jakiej kolejności dokona zakupu, co dostanie i w jakiej ilości. W ramach sprawiedliwości społecznej, co miesiąc jedna osoba dostawała przydział bez kolejki. Oprócz samych tabliczek, mieszkańcy płacili Stefanowi szacunkiem, a im więcej mięsa sprzedął, tym bardziej był tutaj poważany. Do tego stopnia, że na ulicy kłaniano mu się niżej, niż burmistrzowi. Był po prostu szczęśliwy.

Stefan wypogodniał, zmęźniał i oczywiście odmłodniał od tego, gdyż zawsze musiał spróbować swoich specjałów. W poniedziałek o północy, w dzień po otwarciu sklepu, rzeźnik wychodził przed swój dom. Spoglądał na płócienny worek powieszony na kołku na ganku, który mieszkańcy od rana wypełniali kośćmi. Podnosił go jedną ręką i ważył sprawdzając, czy każda kosteczka wróciła zgodnie z umową. Nie musiał się tego obawiać, bo wiemy zbyt bardzo się tu bali, by jej się narazić, a za cenę wygnania nikt nie chciał ryzykować. Nawet dla psa. Stefan zarzucał worek na plecy i ruszał w kierunku lasu, skąd dobywało się wycie. Wataha wilków czekała tylko na ten dar. W zamian za ochronę osady należało im się też trochę nieśmiertelności. Na widok idącego w ich kierunku rzeźnika skakały z radości. W końcu nikt nie może być bardziej wdzięczny, niż zwierzęta.

Żona zaś jego Jadwiga po latach zamknięcia w ciemnej piwnicy zmieniła się nie do poznania. Jej powieki zrosły się, a twarz przeszedł skurcz nienawiści sprawiając, że nie była już taka piękna, jak kiedyś. Zęby stały się kłami, a paznokcie w szpony się zamieniły. Porzuciła swe bezowocne próby samobójcze i poddała się losowi, lecz wciąż pragnęła śmierci swego męża. Od pasa w dół przypominała teraz rozwleczone ciało królowej mrówek, której potężny odwłok z jajami przyćmiewał ją samą. Podobnie i Jadwidze wyrósł wór długi na dwa metry, pulsujący, szary, w którym dorastały kolejne pokolenia jej dzieci. Już nie czuła, kiedy wydawała na świat kolejnego potomka. Terminu tego pilnował tylko Stefan, który zabierał nowonarodzone dzieci na górę. Jadwiga klęła i parskła na niego, lecz nic nie mogła mu zrobić unieruchomiona na stałe w tej pozycji. Zdawała sobie sprawę,

że już za kilka godzin od jego wyjścia zaskrzypią drzwi piwnicy, a po schodach spadnie głowa, która gdy dobrze odbije się od ściany, to będzie mogła ją od razu pochwycić i zaspokoić swój wieczny głód. Jeśli nie, musiała czekać na kolejne odwiedziny.

Mijały kolejne zimy i przyroda znów budziła się do życia. Stefan stanął na ganku swojego sklepu, by rozejrzeć się po okolicy. Nic jeszcze nie zapowiadało jutrzejszej kolejki, jak i przepychanek mieszkańców, którzy przyjdą do niego po świeże mięso. Nabrał powietrze głęboko do ust i wypuścił powoli.

– Witam serdecznie szanownego pana – przerwał mu rozmyślenia znajomy głos.

– Witam także – odparł odprowadzając wzrokiem burmistrza. Mimo że to on miał faktyczną władzę, to jemu kłaniał się w pas, jak i zresztą pozostali mieszkańcy. Wiedźma miała rację. Znalazł tutaj dokładnie to, czego potrzebował: Szacunek ludzi i wieczną zemstę, którą mógł się delectować za każdym razem, gdy schodził do piwnicy.

Noc Trzynastego

Marek Rosowski

To nie był dobry dzień w Strzyżewie.

Wczesnym rankiem najstarszy chłopak Graczyków w drodze do miasta przejechał trikolorkę Kozłowskich. Biedactwo nawet nie zauważyło tuningowego zderzaka z maty szklanej. Jasio Graczyk zarechotał tylko.

Stary Morus, z postrzępionym uchem i zaropiałym lewym okiem ostrożnie wsunął łeb do sieni. Jeszcze dziesięć kroków i kuchnia. Od dwóch dni niczego porządnego nie jadł.

Boląca wciąż łapa, złamana wiosną, kaprawe oko i starość utrudniały mu polowanie.

U Stachów liczył na jakiś poczęstunek. Choćby najskromniejszy. Długie lata opędzał ich ogród, stodołę i szopę od myszy i nornic. W zamian usłyszał teraz przeciągłe kszszszsz, poparte machnięciem brudnej szczotki.

Nie jest on ostatnim pogonionym tego dnia.

Przy ogrodzeniu za podstawówką trzech czwartoklasistów przywiązało mocną pętlą z żyłki pustą puszkę po napoju do ogona, jeszcze przed chwilą ufego Mruczka.

Zaśmiewali się potem obserwując przerażone zwierzątko.

Wasiak pogmerał brudnym paluchem w pępku i z zainteresowaniem obejrzał to co znalazł. Podciągnął portki, zdeptane klapki wybiły nierówny rytm po podwórzu z betonowej kolorowej kostki. Cicho skrzypnęły drzwi garażu. Zza traktora tanecznym krokiem wybiegła Żabcia, łaszac się do pańskiej nogi, szukając wzrokiem ludzkich źrenic. Wasiak mruknął coś niechętnie o „zadużokotów”, sięgnął w najdalszy kąt, wyszedł z garażu niosąc pod pachą drewnianą skrzynkę po jabłkach. W skrzynce niespokojnie coś piszczało i szuściło. Zdecydowanym krokiem skierował się w kąt podwórza. Żabcia miaucząc

przeraźliwie krążyła potem wokół beczki z deszczówką .

Minął kolejny pracowity strzyżewski dzień. Zapalają się światła w oknach skromnych domków i okazałych willi. Z pól zjechał już ostatni traktor. Przed spożywczakiem maleje grupa stałych bywalców. Nad łąkami rozpościerają się zwiewne mgiełki.

Za łąkami, od północy, w stronę lasu rosną trzciny i pałki wodne. Ich półksiężycowaty zagon okala brzeg niedużego jeziora, a właściwie rozlewiska lichej rzeczki Strzyżki.

Błotniste brzegi bardzo utrudniają dostęp do wody, z rzadka tylko można tam spotkać wędkarzy, zaś muliste dno uniemożliwia pływanie w nim. Drugi brzeg dotyka mrocznego i zaniedbanego mieszanego lasu. Jak wiele podobnych miejsc, tak i to miejsce ma swoje lokalne legendy. O niezmierzonej głębi, o zatopionym kościele, o utopcach – i takich tam innych duperelach. Miejscowi niechętnie tam wędrują , raz – że nie ma po co, dwa – że komary tną jak diabli.

Z wolna gasną światła wsi.

Drobne cienie przemykają bezszelestnie w ciemnościach. Jeden, drugi, trzeci, dziesiąty.

Mokra trawa, dziurawy płot, wąska dróżka. Hop, myk, smyr. Na skraju wsi jest mały pagórek, z łysym grzbietem, okolony wiankiem chwastów i dzikich malin. Kolejne cienie na pagórku. Wątle światło księżyca wypełnia dwanaście par źrenic. I jeszcze jeden myk, powolny, w kulawym inochodzącym rytmie. Trzynaście par. Komplet.

Ich spojrzenia kierują się na wieś. Nieruchome, uważne, stanowcze. Trzynaście par oczu jarzy się w ciemnościach. Jarzy się coraz intensywniej, choć księżyc skryły leniwe nocne chmurki. Pieśń intonuje Trzynasty. Cichnie na polach cykanie koników polnych.

Nieruchomieją zdjęte nagłą grozą polne gryzonie. Milknie żabi koncert. Pieśń płynie w kierunku wsi. Potężnieje. Psy chowają się głęboko w swoich budach i kojcach. Oczy królików, krów, ptactwa wypełnia lęk.

Najpierw otwierają się drzwi Wasiaków. Potem Graczyków. Stara Stachowa wyszła z domu jako pierwsza, plaszcząc bosymi stopami. Zaludniają się podwórka, opłotki, dróżki. Żaden pies niezaszczeka. W ciszy słuchać tylko nierówny rytm oddechów, szelest odzieży,

stąpienia. Wolno rozpoczyna się marsz. Pojedyncze postacie, rodziny, grupy. Duży i mały. Starzy i młodzi. Starzy wspierają się na młodych. Ci najmłodszy są niesieni. Boso, w butach, w kapciach. W piżamach, nocnych koszulach, gatkach.

Milczący pochód kieruje się przez wieś na północ. Drogą przez łąki, na przełaj, przez rowy i miedze.

Ludzie śnią. Jeśli sny są odzwierciedleniem lęków, to ci ludzie są od nich wolni. Sny spokojne, pogodne, prawdziwe marzenia senne. Takie sny chce się śnić. Chce się by trwały i by nie było przebudzenia. Stary śni o młodości. Młody śni o miłości.

Najmłodszy śni o kształtach, kolorach i dźwiękach. Śnic, śnić, śnić.

Mokra trawa kładzie się pod stopami. Kolana i biodra rozgarniają trzcinowisko. Stopy grzęzną w chlupoczącym błocie. Dalej. Głębiej. Starych wspierają młodzi. Najmłodszy wtulają się w starszych.

Żaby ustępują leniwymi susami. Roje komarów tylko unoszą się wyżej.

Po kolana. Do bioder. Pod wodą kryją się ramiona. Jeszcze trochę. Na wodzie rozszerzające się kręgi. Ciszę mąci bulgot baniek powietrza. Wreszcie nad jeziorkiem zapada cisza.

Trzyście par oczu wpatruje się w spokojną powierzchnię wody. Pieśń ucichła.

Złoty blask słońca kładzie na dachach domów, rozświetla ogrody, sady, drogę, pola.

W kojcach i przed budami niespokojnie kręcą się cicho popiskujące i poszczekujące psy.

Zdziwione zaglądają w otwarte drzwi domostw. Krowy niecierpliwie muczą w swych oborach. Stado wróbli buszuje w przydomowych chaszczach.

Na schodach domu Stachów, w pełnym słońcu stary Morus bez przekonania wylizuje łapę. Spogląda leniwie i spokojnie.

To była jego noc.

Noc Trzynastego.



Koty ze Strzyżewa

Krzysztof Maciejewski

Magdusi

Tu w Strzyżewie, w dolinie zamkniętej na zawsze w czułym uścisku gór, zupełnie inaczej definiujemy takie słowa, jak prawda i czas. Wezbrane rzeki odbijają się w niebie, a ich źródło bije gdzieś między gwiazdami. Tu zwierzęta znają ludzką mowę, chociaż nigdy nie dają tego po sobie poznać. W ich oczach – obok bestii – kryją się również anioły zrozumienia. Tu rosną wciąż gaje śpiewających drzew, które w innych miejscach dawno wybrały dumę milczenia. Wiem, że sceptyk orzeknie, iż moje słowa formują się w nonsensowny szpaler, ale cóż mogę na to poradzić? Odkąd jesteś obok mnie, świat stał się piękny.

Siedzę zatem pod gałęziami wierzby, na brzegu strumienia w ostatni dzień października i widzę, że zbliża się do mnie stara Katalina. Kiedyś opowiedziała mi historię o wielkich kotach, które zamieszkiwały naszą okolicę. To oczywiście tylko legenda obrosła w zbyt wiele iteracji, do znudzenia opowiadana dzieciakom przed zaśnięciem. Ach, te strachy dzieciństwa ukryte w tysiącach małych piąstek zasłaniających oczy w oczekiwaniu na sen! I znów niektórzy stwierdzą, że to brednie... Cóż z tego – nie umiem zignorować takich opowieści i to wcale nie przez świadomość istnienia ludowej mądrości upraszczającej (czyż każda mądrość taka nie jest?). Chodzi mi o to powiedzenie, które głosi, że w każdym micie tkwi ziarno prawdy (czyż to ziarno nie tkwi też w każdym kłamstwie?). Powoduje mną zupełnie inne przeświadczenie – w tym miejscu zatarły się granice między prawdą, a baśnią, a ponadto zacząłem wierzyć we wszystkie historie, odkąd jesteś obok mnie. Włącznie z pijackimi epopejami starego Stefana... W pewnych okolicznościach to wszystko wygląda właśnie tak, a nie inaczej.

Więc odkąd jesteś obok mnie, mogę przyjąć, że w naszej dolinie naprawdę widziano czarne koty wielkości koni. Sama stara Katalina widziała odciski ich łap na bagnach niedaleko Strzyżewa. Pierwsze doniesienia o występowaniu tych dziwnych stworzeń

pojawiały się jeszcze w średniowieczu. Oczywiście nikt ze współczesnych nie daje wiary tego typu nonsensom...

– Witaj, młodzieńcze – mówi do mnie Katalina, a ja uśmiecham się do niej. Przy jej wieku (a czy mówiłem już, że podobno liczy ponad 350 wiosen?), każdy ma prawo czuć się młodo.

– Wybieram się dziś wieczorem na bagna – mówię, uświadamiając sobie, że właśnie to mam ochotę zrobić.

– Chcesz ujrzeć koty ze Strzyżewa? – uśmiecha się staruszka, przez co jej twarz wygląda, jakby miała pęknąć na pół. – To nie jest najlepszy pomysł...

Ty też wiesz, jak to bywa z moimi pomysłami... Ale odkąd jesteś obok mnie, pojawiają się bardzo często w licznych stadach. Katalina przygląda mi się w milczeniu.

– Wiem, że nigdy ich nie spotkałaś, że może wcale nie istnieją – mówię, ale ona przerywa gwałtownym gestem.

– Chodzi o to, że masz jakieś oczekiwania, a one mogą mieć niewiele wspólnego z rzeczywistością... Nigdy nie natknęłam się na koty ze Strzyżewa tylko dlatego, że nie miałam ochoty na taką konfrontację.

Z Kataliną tak już niestety jest. Każda rozmowa zamienia się w iście mistyczne przeżycie.

– O co chodzi z tymi oczekiwaniem? – pytam, wzdychając w duchu.

Staruszka znów się uśmiecha, ryzykując, że jej fizys utraci integralność.

– To są magiczne istoty, których nie oszukasz. Bóg stworzył je ósmego dnia, gdy pojął, że jego dziełu czegoś brakuje. Czarne koty ze Strzyżewa są ucieleśnieniem piękna i grozy, a gdy je znajdziesz, to tak, jakbyś trafił do rajskiego ogrodu, który na zawsze miał pozostać ukryty.

– Czemu nie wspomina o nich Pismo Święte?

– Bo chociaż Bóg wyraził w nich całą swoją naturę, są jednocześnie świadectwem Jego niedoskonałości, poprawką... Fastrygą na materii Stworzenia.

Wrażenie, że rozmowa zmierza w nieznanym kierunku, nasila się.

– A co z tymi oczekiwaniem? – powtarzam pytanie.

– Cóż, jeśli koty odkryją w tobie nieprawość, wówczas rozszarpią twe ciało na strzępy.

Katalina odchodzi wstrząsana parkosyzmami śmiechu. Pięknie jest w dolinie tuż przed zmierzchem, gdy wyruszam na bagna.

Stefan opowiadał wczoraj wieczorem o starej wieży w lesie. To była kolejna opowieść o starej wieży, snuta nad kuflem piwa ku uciechu przygodnych rozmówców. Stary rzeźnik miał wiele teorii na temat pochodzenia dziwnej budowli – miała więc być szpicą podziemnej katedry, wrotami do otchłani lub kluczem do tajemnicy istnienia, latarnią morską z czasów, gdy u podnóża naszych gór szumiał pradawny ocean. Żadna z tych historii nie miała pokrycia w dowodach, była tylko opowieścią zapijanego banity. Odkąd jesteś obok mnie, wierzę w każdą z kolejnych wersji. Życie jest zbyt krótkie, by trwać przy granitowej skale faktów.

Było więc Halloween, szedłem na bagna, gdy nastała ta chwila pomarańczowego światła tuż przed zachodem słońca, kiedy rzeczywistość przypomina obrazy niderlandzkiego pejzażysty. Drzewa wyrastały z niezapisanych kartek papieru, wiatr wśród gałęzi próbował odgadnąć słowa, jakie pojawią się na płaszczyznach między korzeniami. Już za chwilę cienie pochłoną wszelkie blaski – tu i ówdzie sypią już czarnym pyłem na znikające trawy.

Bagna przy Strzyżewie nie leżą przy uczęszczanych szlakach, więc nie spodziewałem się spotkać nikogo. Usiadłem na omszałym kamieniu. Po chwili ujrzałem dostojną procesję rajskich drapieżników.

Było ich wiele, co najmniej kilkanaście, a każdy przewyższał rozmiarami konia. Czarne i eleganckie skradały się do mnie przez poszycie lasu, omijając zręcznie pułapki grzęzawisk. Podeszły na odległość wyciągniętej ręki i zatonałem w żółciach i zieleniach ich spojrzeń. I nagle zaczęły mruczeć. A kiedy kot mruczy, wówczas nie masz wyjścia – musisz zacząć go głaskać. Ustawiały się więc w kolejce, domagając się należytej im porcji pieszczot. A potem zaczęły biegać wokół mnie, bawić się ze sobą, ścigać niewidzialne myszy i zatrzymywać nagle w biegu, by dokończyć przerwana setki lat temu toaletę.

Jak miałem wytłumaczyć to osobliwe doświadczenie? Dlaczego koty ze Strzyżewa, te przerażające stworzenia, zachowywały się jak gromada małych kociąt spragnionych zabawy? Zastanawiałem się nad tym, gdy pojawiłaś się Ty.

– Nie przestraszyłeś się tych bestii... – powiedziałaś z uśmiechem.

– Zaryzykowałem – odparłem.

Odkąd jesteś obok mnie, świat stał się dziwnym miejscem. To, co budzi lęk, przemienia się nagle w rzeczy godne miłości. Twoja obecność przekształca rzeczywistość. Skoro piękno kryje się w oczach patrzącego, to podobnie musi być z dobrem i szczęściem. Kiedyś

ostrzegałaś mnie, że moje życie ulegnie całkowitemu rozpadowi, że będzie trzeba na nowo nazywać po imieniu prawie wszystko, a przedmioty zyskają zupełnie odmienną naturę. Cóż, dla kobiety takiej jak Ty, warto było zaryzykować. Szliśmy trzymając się za ręce, a gigantyczne koty zapadły w sen pełen rajskich kolorów.



Voodoo

Magdalena Witkiewicz

Miałam wszystkiego dość. Trzy dni temu mój – tak zwany narzeczony – stwierdził, że to jednak nie to. Szkoda, że wpadł na to kilka dni przed ślubem. „Kilka” – mówi mama ciekawskim ciotkom, wujkom i sąsiadkom. Ja wiem, że to było dokładnie 3 dni, 4 godziny i 23 minuty przed momentem, kiedy miałam wchodzić do największego kościoła w mieście, by przyrzekać miłość, wierność i takie tam.

Uczciwość małżeńską również.

Nie przyrzekałam.

Piotr przyszedł rano w środę i powiedział, że może to za szybko, że może powinniśmy się zastanowić, że mamy jeszcze czas i jesteśmy młodzi.

Jak to za szybko? Za szybko? Jesteśmy ze sobą tylko cztery lata? To jest tylko? Za młodzi? Zegar biologiczny tyka, chcę rodziny, dzieci, chcę Piotra!

Na koniec oczywiście zostaliśmy przyjaciółmi. Jak to zwykle bywa. Nawet pocałował mnie w policzek. Przytulił, pogłaskał po głowie, niczym małą dziewczynkę i obiecał zadzwonić.

Zapytał się również, czy nie potrzebuję wsparcia psychicznego.

O Boże, wsparcie psychiczne. I jeszcze co.

Spakowałam swoją suknię ślubną w karton, zakleiłam brązową taśmą i postanowiłam ją spalić, przy najbliższej możliwej okazji. Nie mogłam patrzeć na te zdobiące ją frywolne koronki w kwiatuszki.

Rodzice mnie nie zawiedli. Wszystko poodkręcali. Kościół, knajpę, gości... Nawet powiadomili pana, co miał gołąbki wypuszczać w niebo. Poodkręcali i kazali jechać na wakacje.

Na wakacje... Ostatnie, na co miałam ochotę, to wakacje. Chciałam leżeć i patrzeć w sufit. Nie mogłam jeść, nie chciałam pić, nie mogłam czytać, oglądać telewizji... W sumie bym tylko spała... A spać można gdziekolwiek. To po co urlop?

Dla świętego spokoju – mego i moich rodziców – zgodziłam się na ten wyjazd.

Postanowiłam jechać dokładnie tam, gdzie mnie zaprowadzi mój palec.

– Masz mapę Polski? – zapytałam mojego taty.

– Mapę? – zdziwił się – A nie możesz do Internetu zajrzeć?

– Mapa musi być. – wzruszyłam ramionami i zajrzałam do szafy, gdzie leżały mapy jeszcze z czasów studenckich mojego ojca.

– Palcem po mapie? – zapytał. – Jak za starych dobrych czasów?

Uśmiechnęłam się. Tylko to mi pozostało. Narzeczonego w kosmos nie jestem w stanie wszakże wysłać.

Normalnie się rozmarzyłam.

– To co? Gdzie palec? – tata rozwinął mapę. – Tylko wiesz, nie za daleko....

– Oj tata, tata – zamknęłam oczy, wystawiłam palec i dotknęłam mapy w pierwszym miejscu. Poczułam dziwne ciepło. Przypadek. Otworzyłam oczy.

– I co?

– Strzyżewo. – szepnęłam.

– Coś tam jest ciekawego? – zapytał ojciec.

– A bo ja wiem? – wzruszyłam ramionami – na mapie nie widać, by było ciekawie. Rzeka, jakieś lasy, jezioro obok. Widzisz, niedaleko, bo jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od nas.

Wsiadłam w samochód i pojechałam. Miałam przecież urlop z okazji ślubu. Jak się dowiedziałam, mój były narzeczony pojechał już w podróż poślubną, tylko... z inną panną. Nie młodą, bo ślubu na razie nie wziął, ale grzał swoje (i nie swoje) ciało gdzieś w Egipcie. Taki los. A ja do Strzyżewa. No normalnie rewelacja.

Oczywiście sprawdziłam w Google – Atrakcji brak, ale jezioro było, las i podobno całkiem niezłe jedzenie w przydrożnej gospodzie. Strzyżewo istniało nie tylko na mapie mojego ojca.

Zarezerwowałam wcześniej pokój w pensjonacie o francusko brzmiącej nazwie „Maman Brigitte”, więc rodzice byli spokojni, że nie będę nocować pod gwiazdami, jak nieraz bywało podczas moich studenckich czasów. Poprosiłam ich jednak, by nie dzwonili, bo muszę odpocząć. Odreagować.

W ofercie pensjonatu było obcowanie ze sztuką, lepienie z gliny, zabawy z igłą i nitką, więc miałam nadzieję, że naprawdę odpocznę od wielkomiejskiego zgiełku i przede

wszystkim facetów.

Minęłam Iławę. Powinnam już być blisko. GPS utracił zasięg. Mogłam jednak wziąć mapę.

– Przepraszam! – zatrzymałam się, widząc kulejącego mężczyznę. – Szukam Strzyżewa.

Mężczyzna spojrzał na mnie przestraszony. Przeżegnał się i uciekł tak szybko, na ile mu pozwalała chora noga. Wzruszyłam ramionami.

Zatrzymałam się na stacji benzynowej, kupiłam coś do picia.

– Przepraszam, do Strzyżewa tędy dojadę? – zapytałam kierowcy tira, który najwyraźniej miał zamiar zawrzeć ze mną bliższą znajomość.

Zamarł w bezruchu.

– Dziewczyno... – głos mu się załamał – Nie jedź tam... To wioska przeklętych... – najwyraźniej odechciało się mu amorów. Odszedł robiąc znak krzyża. Dziwne, wytatuowany wielki facet, a trzęsący się ze strachu na samą myśl o małej wiosce w lesie. Chore to wszystko.

Cóż miałam robić. Pojechałam dalej, tak jak mi się wydawało, że trzeba jechać. Gdy wjechałam polną drogą do lasu już zmierzchało. Las był wyjątkowo ciemny. Znad korony drzew nie widać było wcale nieba. Zbliżała się dwudziesta, jakoś strasznie długo tu jechałam. Nie bardzo mogłam sobie przypomnieć o której wyjechałam z domu... po obiedzie? Nie... po śniadaniu... to która była godzina? Tak długo tu jechałam? Było jasno, teraz już ciemno... Nie pasowało mi coś...

Samochód zaczął się krztusić, podejrzenie zawył i nagle stanął.

Zaczęłam się denerwować. Ja, w środku lasu, sama, zbliża się noc, a mój do tej pory wypieszczony i stuprocentowo sprawny samochód odmawia posłuszeństwa.

No cóż. Najpierw narzeczony odmówił posłuszeństwa, teraz samochód. Takie życie.

Otworzyłam maskę. Nie to, żebym się znała na samochodach, ale chciałam sprawdzić, czy coś się nie pali, nie dymi. Docisnęłam klemy akumulatora.

Nagle usłyszałam czyjś oddech za plecami.

Serce podskoczyło mi do gardła, odwróciłam się szybko.

Dosłownie milimetry dzieliły mnie od twarzy starej kobiety. Odsunęłam się. Nie lubię jak ktoś za bardzo ingeruje w moją przestrzeń.

– Podwiezie mnie pani? – zapytała chrapliwym głosem. Jej wąskie zaciśnięte usta na chwilę się otworzyły, by potem zacisnąć się jeszcze bardziej.

– Chętnie. Ale samochód mi nawalił. – odparłam. – Może zna kogoś pani, kto mógłby pomóc?

– Nikogo nie ma w pobliżu. – Ucięła krótko.

– Mogłabym na piechotę do Iławy... – zaczęłam.

– Iława? Dwie godziny drogi stąd. – zarechotała kobieta. – Spróbuj dziewczyno, – dotknęła ręką maski samochodu – może się teraz uda.

Miałam jakiś problem z czasem i przestrzenią. Może te leki, co mama wcisnęła mi na uspokojenie miały takie negatywne skutki?

Kobieta wsiadła do samochodu. Wielką, wypełnioną po brzegi siatkę ułożyła sobie na kolanach, mimo iż proponowałam, by położyła ją na tylnym siedzeniu. Trzymała ją, jakby się bała, że jej zabiorę. Nie zapięła pasów, jedynie rękami obejmowała swój wielki pakunek.

Samochód o dziwo odpalił.

– Gdzie panią podwieźć? – zapytałam.

– Cofnij się kawałek i potem skręć na polanę. Jadę tam gdzie ty.

– Skąd pani wie, gdzie ja jadę? – zapytałam zdziwiona, skręcając w wąską przecinkę przez las.

Kobieta nie odpowiedziała. Jakby wcale nie słyszała mojego pytania.

Tabliczkę „Strzyżewo” minęłam dokładnie o północy Licznik wskazywał dokładnie 66 666 kilometrów. Zrobiło mi się trochę zimno.

– Diabelskie miasto – uśmiechnęłam się do mojej przypadkowej autostopowiczki. Nie odwzajemniła uśmiechu. Jakby nie słyszała moich słów.

Nie wierzyłam nigdy w żadne czary, diabły i inne takie. Umysł ścisły. Byłam najlepszą studentką na roku, potem najlepszym programistą w firmie, nie wierzyłam w magię. W tę czarną również nie. Mimo wszystko, to było dziwne. Najpierw ten pędzący czas, potem kobieta z wąskimi ustami trzy milimetry ode mnie i zawyżona odległość od Iławy... Wszystko dziwne.

No dobra. 66 667 na liczniku. Jakby ulga. No, ale przecież nie wierzę w bzdury.

– Zatrzymaj się. – powiedziała kobieta. – Ja wysiadam tutaj, a ty pojedziesz tą drogą. – wskazała kościstą ręką. Pensjonat „Maman Brigitte” to stara plebania obok kościoła. Poznasz po wieży. Bez krzyża. Bo ukradli na złom.

– Skąd pani wie, gdzie się zatrzymuję? – zapytałam.

– Wszystkie tam się zatrzymują. – odparła kobieta, z trudem wypchnęła torbę z samochodu i sama wysiadła.

– Proszę pani! – zawołałam, bo na siedzeniu został mały przezroczysty woreczek. Kobieta już znikła. Otworzyłam woreczek. Wysypały się z niego oczy. Miniaturowe, porcelanowe oczy. W różnych kolorach. Wszystkie zdawały się na mnie patrzeć.

Do pensjonatu dojechałam w zupełnych ciemnościach. W odtwarzaczu leciało Portishead. Też sobie wybrałam muzykę. Czarna noc, oczy walające się po podłodze i demoniczna muzyka. Nie mogłam lepiej wybrać. Wszystko było takie dziwne.

Nie wiem jak tam trafiłam. Zobaczyłam czerwony napis „Maman Brigitte” i wysiadłam. Naprawdę nie wiem, jak znalazłam się w swoim pokoju, nie wiem skąd w ogóle wiedziałam, że to mój pokój. Muszę do mamy zadzwonić, czy te leki mogą tak działać...

Och jak dobrze mieć mamę lekarza.

Obudziłam się około południa.

Ubrałam się, wyszłam z pokoju. Z dołu (jak się okazało, pokój znajdował się na pierwszym piętrze) dobiegały odgłosy rozmów.

– Dzień dobry... – zaczęłam nieśmiało, gdy zobaczyłam stojącą tyłem wysoką, szczupłą kobietę okutaną w fioletowy szal.

Odwróciła się.

Była tak blada, aż przezroczysta. Tym bardziej od białej skóry odcinał się kolor jej bujnych, kręconych włosów. Płomienny, rudy, prawie czerwony. Poprawiała ciemne okulary, gdzie brakowało prawego szkła. Za nią dreptała wielka kura w kolorze czarnym.

– Witaj Joanno. Jestem Maman Brigitte. Czekaliśmy na ciebie ze śniadaniem. – poprowadziła mnie do stołu, gdzie siedziało już kilkanaście innych kobiet. – opowiedz nam swoją historię.

– Ale... Ale ja... – zaczęłam nieśmiało.

– Napij się, kochanie. – przysunęła fioletową szklanekę do moich ust i sama wlała we mnie jakiś lodowaty napój. – A teraz mów...

– Odszedł 3 dni, 4 godziny i 23 minuty przed ślubem, pojechał z inną do Egiptu, powiedział, że chce być przyjacielem moim... – szeptałam szybko, ciągle w kółko to samo, ledwo słysząc szept innych kobiet.

– Zobaczyłam go w łóżku z sąsiadką z czwartego piętra... – mówiła młoda zgrabna

kobieta.

– Powiedział, że odchodzi do młodszej – pięćdziesięcioletnia pulchna kobieta mówiła z zaciętym wyrazem twarzy – chcę by zniknął...

– Bił mnie... Chciałabym by chociaż raz go tak zabiło...

– Kazał mi to zrobić, zagroził, że odejdzie...

– Mówił mi, że się do niczego nie nadaję, mówił, że głupia jestem, że nienormalna...

A ja po prostu chciałam zdać maturę... – szeptała wysoka blondynka.

Kręciło mi się w głowie, znowu zapomniałam zadzwonić do mamy... Zewsząd dobiegały szepty zranionych kobiet. Próbowałam zatkać uszy, ale mimo tego wszystko było słychać. Świat wirował, przed oczami co chwilę migały mi rude loki Maman Brigitte i słychać było monotonne szepty kobiet opowiadające w kółko o mężczyznach, którzy w taki, czy inny sposób zrobili im krzywdę.

– STOP! – usłyszałam krzyk i kłaśnięcie w dłonie. – Dziękujemy paniom.

To kłaśnięcie przerwało szum panujący w pokoju.

Nigdy chyba nie jadłam posiłku w takiej ciszy.

– Dziękuję. – powiedziała Maman Brigitte, gdy zjadłyśmy. Teraz proponuję, byście panie przeszły do pracowni. Zarzuciła na plecy fioletową chustę i otworzyła drzwi. Wyszłyśmy na zewnątrz. Mimo lata, nie było ciepło. Chmurzyło się i zrobiło się ciemno. Zanosilo się na burzę. Już kropiło, gdy doszłyśmy do pracowni.

Znajdowała się ona na tyłach starego, rozwalającego się kościoła. Przed drzwiami stała kobieta z wąskimi ustami, którą podwiozłam poprzedniego dnia.

– Masz coś mojego. – powiedziała. – Oddaj mi oczy.

Szybko wyciągnęłam z kieszeni woreczek, jakimś dziwnym trafem miałam go przy sobie, i jej oddałam. Skinęła głową.

Zaprowadziła nas na sam koniec ciemnego kościoła. Musiał być tam kiedyś ołtarz, bo zostały złocenia. Krzyże chyba wszystkie rozkradli. Okna też z ledwością ukazywały dawną świetność. Rozsypane, rozbite witraże przesłonięte zwykłymi sosnowymi deskami.

– Anatomia. – powiedziała kobieta z wąskimi ustami, gdy usiadłyśmy w kościelnych ławkach. W miejscu, gdzie kiedyś było tabernakulum rozwinęła wielkie prześcieradło, na którym pojawił się nagi mężczyzna. Dopiero później zauważyłam rzutnik. – Musicie wiedzieć jak ukłuć by zabić. – wyjęła wielką szpilkę i wbiła ją w wypchaną lalkę naturalnej wielkości, która nagle pojawiła się obok prześcieradła. Po chwili wyjęła szpilę. – I musicie

wiedzieć jak tylko uszkodzić. Najbardziej boli serce. Wbiła szpilę prosto w namalowane serce na tej wielkiej kukle.

Zajęcia trwały cały dzień. Pod koniec wiedziałyśmy wszystko o budowie mężczyzny. Z najdrobniejszymi szczegółami byłyśmy oprowadzane po mapie jego ciała. Chłonęłyśmy wiedzę jak gąbka wodę. W czasie przerw rozmawiałyśmy o tym, co nas złego spotkało. O życiu, o mężczyznach, którzy, zupełnie bez sensu, byli dla nas ważni.

Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Nasza nauczycielka czekała na nas i zaprowadziła nas pod stary ołtarz, gdzie leżały rozłożone różne materiały. Tkaniny, dzianiny, tasiemki, włóczki i oczy w różnych kolorach.

– Macie coś, co do nich należało? – zapytała.

Pokiwałam głową przecząco.

– Masz. Pierścione. – powiedziała kobieta. – zdejmuj.

Zdjęłam pierścione. Pod koniec dnia pierścione ten przyczepiłam do szmacianej lalki, samodzielnie przeze mnie uszytej, która do złudzenia przypominała Piotra. Mojego byłego narzeczonego. Nie podejrzewałam siebie o takie artystyczne zdolności...

– Na dzisiaj koniec. – klasnęła w dłonie kobieta. – Czekam jutro.

Nie mogłam spać tej nocy. Świat znowu wirował, przypominałam sobie, że miałam zadzwonić do mamy, zapytać o te tabletki, ale było za późno. Wstałam, napiłam się wody. Przez myśl mi przeszło, że oni coś do tej wody dolewają, że ja się tak czuję, ale szybko tę myśl wybiłam ze swojej głowy. Cały czas przed oczami miałam Piotra. Śnił mi się potem. Na piaszczystej plaży obściskował się z tą panną, którą zaprosił na NASZĄ podróż poślubną. Budząc się nienawidziłam go jeszcze bardziej. Chyba o to chodziło...

– Panienki, wstajemy – do mojego pokoju weszła ruda kobieta. – Dziś mamy najważniejszy dzień. Pozbądźcie się smutków i już zawsze będziecie szczęśliwe! – Pogładziła mnie białą ręką po policzku. – Zegar cofnie wskazówki. – Poprawiła okulary, nadal bez jednego szkła i wyszła.

Nie pamiętam czy tego dnia jadłyśmy śniadanie. Wszystkie założyły swoje najlepsze ubrania, ja nawet pomalowałam usta, czego nie robiłam już dawno... Chciałam być piękna...

Motyle w brzuchu? Spotkanie z ukochanym? Tak. To było to uczucie. W kościele usiadłyśmy w ławkach, każda przed sobą trzymała lalkę, którą uszyła poprzedniego dnia.

– Ja pierwsza! – zawołała kobieta, która regularnie była bita przez męża. – Wyciągnęła szpilkę z włosów i wycelowała prosto w serce. Gdy tylko to zrobiła zaczęła śmiać się histerycznym śmiechem.

– Teraz ja! – krzyknęła druga. – Szpilka zatopiła się w głowie winowajcy.

Przerażona obserwowałam moje nowe znajome, które jedna po drugiej wbijały szpilki w szmaciane lalki. Mocno ściszałam swoją lalkę i doszło do mnie to, że ja chyba nie chcę tego robić!

Kobiety przekrzykiwały się wzajemnie, co chwilę wybuchał potworny śmiech. Uciec, uciec, uciec!!!

Rzuciłam od siebie moją lalkę, jak najdalej. Spadła na zimny kościelny beton. Z krzykiem wybiegłam z kościoła.

Nie patrząc na nic, pędziłam prosto przed siebie. Minęłam dziwnego mężczyznę, który szedł, co chwilę odwracając się za siebie, biegłam tak szybko, jak tylko mogłam.

– Podwiozę panią. – obok mnie zatrzymał się samochód. – Proszę wsiadać.

Cóż miałam robić? Wsiadłam.

– Opowie mi pani, co się stało? – zapytał mężczyzna w samochodzie. – Jestem pisarzem. Mieszkam chwilowo w gospodzie, trochę piszę i... Próbuję zrozumieć...

Opowiedziałam mu wszystko. O Piotrze, o dziwnej rudej kobiecie i jej szatańskim napoju, o nauczycielce anatomii, szyciu lalek i strzałach prosto w serce. Mój kierowca nic nie mówił. Słuchał.

Tak minęła nam cała podróż.

Podwiózł mnie pod sam dom, pożegnał się i odjechał.

Zadrżałam. W samej sukience dojechałam do domu, zostawiłam wszystko w Strzyżewie. Trudno. Może kiedyś po to wrócę. Chociaż... Bardzo nie chciałam tego robić.

Rodzice mi otworzyli, o nic nie pytali. Chciałam tylko spać, spać, spać!

Wydawało mi się, iż spałam bardzo długo. Ocknęłam się.

Dziwnym trafem stałam w salonie, naprzeciwko mojego taty

– Masz mapę Polski? – usłyszałam swój głos.

– Mapę? – zdziwił się – A nie możesz do Internetu zajrzeć?

– Mapa musi być. – wzruszyłam ramionami i zajrzałam do szafy, gdzie leżały mapy jeszcze z czasów studenckich mojego ojca.

– Palcem po mapie? – uśmiechnął się. – Jak za starych dobrych czasów?

Spojrzałam na ojca. Déjà vu. Jeszcze da się to odkręcić.

– A może lepiej nie? – pokiwałam głową – Może coś wybiorę z biura podróży... – poszłam do swojego pokoju, wyjrzałam przez okno. Samochód stał na swoim miejscu. Otworzyłam szafę. Wszystkie ubrania wisiały jak zawsze, walizka stała na swoim miejscu.

– To co ze Strzyżewem?

Usłyszałam głos ojca. Rozmawiał z kimś cicho przez telefon. Po chwili przyszedł do pokoju.

– Dzwoniła mama Piotra. Spadł z jakiejś skały... Poobijał się bardzo, ale już jest lepiej. Podobno bardzo chce ciebie widzieć.

Zamknęłam oczy. Ujrzałam małą szmacianą lalkę, spadającą na zimną podłogę kościoła. Spojrzałam na serdeczny palec. Było tam puste miejsce po pierścionku. Taka wąska nieopalona linia. Ostatni raz widziałam go właśnie, jak przyczepiałam go do lalki, którą wyrzuciłam na kościelną podłogę.

Musiałam odetchnąć.

– Tata, na chwilę wychodzę. – powiedziałam.

Poszłam do sklepu kupić sobie jakieś dobre wino. Minęłam kobietę, która wydawała mi się bardzo znajoma. Zatrzymałam się, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd ją znam. Rozmawiała dość głośno, więc wszystko słyszałam.

– Zmarł na zawał. – mówiła – Ale droga pani, ja się już przez niego napłakałam. Teraz pozostaje mi się tylko cieszyć.

Poznałam ją. To ta kobieta ze Strzyżewa, która pierwsza wbiła szpilkę w serce szmacianej lalki.

Zrobiło mi się na przemian zimno i gorąco. Pobiegałam do domu i usiadłam do komputera.

„Strzyżewo” – wpisałam w Google.

– Strzyżewo, dolnośląskie, to nie to, Strzyżewo Kościelne, też nie to.

Nie mogłam znaleźć mojego Strzyżewa. Tego, w którym byłam. Tego, nieopodal Iławy.

Mapa ojca. Otworzyłam mapę, rozdzierając ją na dwie części. Iława, Kałduny, Rudzienice. Brak śladu Strzyżewa. Przecież było na mapie!

Nic, zobaczę inaczej. Wpisałam nazwę pensjonatu w starej plebanii. „Maman Brigitte”. W Wikipedii napisano:

„*Maman Brigitte* (dosłownie: *Mama Brygida*, czytaj: *mam’a briżít*) – jeden z duchów (loa)

w religii voodoo, żoną Barona Samedi. Opiekunka cmentarzy i grobów.

(...). Jest kobietą o białej skórze i rudych włosach, ubraną w czarną suknię z szalem na ramionach, przykrywa głowę chustą i nosi ciemne okulary w których brakuje prawego szkła. Jej ulubiony kolor to fiolet, a zwierzę ofiarne to czarna kura.”

*** 3 lata później ***

Dostałam pocztą dziwną przesyłkę. Z koperty wypadła książka.

„Halloween II Wioska Przeklętych” – przeczytałam.

Przekartkowałam ją szybko. Był to zbiór opowiadań. Pod jednym z nich widniało zdjęcie mojego kierowcy, pisarza. Tego, który uratował mnie wtedy, gdy uciekłam od Maman Brigitte.

Każde opowiadanie opisywało Strzyżewo. To, w którym kiedyś byłam, albo... nie byłam. I to, którego na pewno nie ma na żadnej mapie...